NRLF-1
MAIN

230 1

DZIEDZICTWO

TEJŻE AUTORKI

Trędowata . . . . . wydanie piętnaste
Ordynat Michorowski . . . . . wydanie dziesiąte
Gehenna. . . . . wydanie dziewiąte
Panicz . . . . . wydanie piąte
Pustelnik . . . . . wydanie czwarte
Zaszumiały pióra . . . . . wydanie trzecie
Książęta boru . . . . . wydanie trzecie
Verte . . . . . wydanie trzecie
Królowa Gizella. . . . . wydanie drugie
Pluton i Persefona, baśń fantastyczna
Czciciele szatana
Prymicja

CZCIONKAMI DRUKARNI PORADNIKA GOSPODARSKIEGO
W POZNANIU: SEW. MIELŻYŃSKIEGO 24.

HELENA MNISZEK

DZIEDZICTWO

POWIEŚĆ

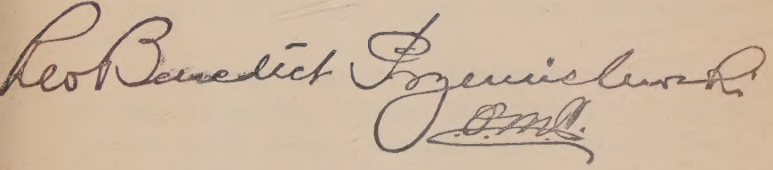

1 9 POZNAŃ 2 7
WIELKOPOLSKA KSIĘGARNIA NAKŁADOWA
KAROLA RZEPECKIEGO

POLISH BOOK IMP. CO., INC.
38 UNION SQ., NEW YORK, N.Y.
Printed in Poland

BERKELEY
LIBRARY
UNIVERSITY OF
CALIFORNIA

Krąż, 16. czerwca 1912 roku.

Jestem w Krążu, zaproszony tu przez kuzyna, Gabrjela Zatorzeckiego. Brzmi to w moich uszach mniej więcej tak samo jakbym powiedział: jestem na Marsie zaproszony przez marsjanina turystę po Europie. Śmiałbym się bowiem przed kilkoma dniami, gdyby mnie kto przepowiadał, że będę w Krążu, ale z moją naturą cygana, wszelkie niemożliwości są możliwe. —

Wyjeżdżając w sobotę z Uchań do Warszawy zapewniłem ojca, że wrócę wkrótce.

— To znaczy kiedy?.... za miesiąc, kwartał czy pół roku — spytał ojciec.

— Ale cóż znowu! — zaprzeczyłem kategorycznie, a oto....

W niedzielę w operze, siedziałem w krzesłach obok młodego człowieka, którego powierzchowność odrazu zwróciła moją uwagę. Zacząłem go dyskretnie obserwować. Mógł mieć lat trzydzieści parę, przytem sporą łysinę i monokl w oku.

Ten szczegół właśnie, monokl przy krawacie, mocno zniszczonym i brudnych paznogciach zaciekawił mię przedewszystkiem. Spostrzegłem, że i on przygląda mi się uparcie, nawet obcesowo.

— Co też on we mnie zauważył, czy również osobliwy dysonans, myślałem.

W zmiętej twarzy mego sąsiada był wyraz nudy, oczy zwężone, blade, świeciły blaskiem martwym, czoło było w nieustannym ruchu. Skóra cienka jak welin podnosiła się gwałtownie w górę, marszczyła, ściągała i rozciągała, jak gutaperka. Parę razy ziewnął lekko. Cieszyłem się, że podczas tej usypiającej i zaraźliwej funkcji zasłaniał sobie usta wytworną chustką do nosa pachnącą świetnemi perfumami. Stopy miał obute w lakierki wyraźnie za duże na jego nogi i zniszczone niesłychanie. Na palcach błyszczał mu wspaniały sygnet i piękny pierścień z brylantami. Był w nim pewien wykwint i zamożność, zbratane z zupełną abnegacją i ironiczną niechęcią do wszystkiego, co go otacza. Na scenę prawie nie patrzał, temperament Carmeny nie porywał go. W antrakcie błądził bezmyślnie oczami po plafonie, a wtedy w monoklu jego błyszczało mnóstwo światełek z żyrandola, drobnych jak mak. Usta blade wykrzywiał niemiłosiernie, jakgdyby miał je na sprężynach rozpięte. Zarost rudawy, sztywny, jakby zaczynający odrastać po ogoleniu, nie osłaniał tych ust, jakkolwiek zyskałyby one wiele, w cieniu nawet rudych ale dłuższych wąsów.

Gdy na sali rozległy się oklaski, mój sąsiad syknął niby z fizycznego bólu i złożył wargi do gwizdania. Na szczęście nie urzeczywistnił zamiaru, zapewne dla tego tylko, że zaciekawiły go nogi kłaniającej się artystki. Przyglądał się im z namaszczeniem i szczerem uznaniem.

Muzyka przeistaczała go zupełnie. Ruchem gwałtownym spuszczał monokl, cofał się w głąb krzesła i zasłoniwszy dłonią oczy nieruchomiał, jakby pogrążony w ekstazie. Tym wzbudził we mnie pewien szacunek. Człowiek, którego twarz na dźwięki muzyki nabiera uduchowienia i słodyczy, posiada widocznie w duszy wielkie

umiłowanie piękna. Nerwy jego pod wpływem tonów uspakajały się wyraźnie, ale pulsa w skroniach waliły pod cienką skórą i na przegubie ręki. Drżał słuchając hucznych akordów, łagodniał gdy śpiewały cichsze melodje....

Co to za oryginalny typ, kto on jest — pytałem sam siebie niebywale zainteresowany!

Wyjaśnienie nastąpiło prędzej niż bym mógł przypuszczać.

Po drugim akcie podszedł do mnie kolega Ganiewicz, krzykliwym głosem wrzasnął mi tuż nad uchem:

— Pobóg! patrzcie się! Romek, biesie jeden!.... Kopę lat cię nie widziałem. Cóż tam u was w Uchaniach?...

Na ten okrzyk sąsiad mój drgnął gwałtownie, zwrócił się do mnie całą figurą i zaczął mi się przypatrywać tak bezczelnie, że rozmawiając z kolegą, patrzyłem mu już wyzywająco w oczy. Nie zmieszał się, złapał mię za ramię bez ceremonji i przysuwając do mnie twarz błyszczącą monoklem, zapytał głośno:

— Pan jest Pobóg?.... Skąd pan pochodzi?.... Pobogów tylko jedna rodzina. Był Marceli Pobóg....

— To mój dziad — podchwyciłem — syn Marcelego, Paweł, jest moim ojcem.

— Paweł?.... a!.... słyszałem. Nieznam!!

Wyciągnął do mnie rękę i rzekł kwaśno.

— No, to witam cię, kuzynie, bo ja jestem Gabrjel Zatorzecki z Krąża.

— Zatorzecki.... z Krąża?.... powtórzyłem zaskoczony niesłychanie.

— No tak, babeczno wujeczny brat, czy coś tam około tego w trzeciem pokoleniu — machnął ręką nie-

dbale. W każdym razie sławetny Hieronim Pobóg z Krąża był twoim i moim pradziadem.

Ponieważ zwróciliśmy na siebie uwagę publiczności, zaproponowałem przejść do fumoiru. Gabrjel znowu machnął ręką z lekceważącą miną.

— Poco?.... jesteśmy tu przecie u siebie. Siadaj, kuzynie porozmawiamy.... Pobóg?.... no!! a to spotkanie!! pisnął falcetem.

Gdy mu przedstawiłem kolegę, przywitał go niechętnie, po chwili znowu siedział, jak zastygły wsłuchany w tony orkiestry.

Zdawało się, że o nas zapomniał, ale gdy Ganiewicz wypowiedział jakieś słowo za głośno, syknął i z pod dłoni, zakrywającej oczy, wykrzywił usta drażniącym grymasem niezadowolenia.

Po skończonem przedstawieniu poszliśmy razem do restauracji. Gabrjel jadł dużo i zachłannie pił wódkę i wino, bębnił po stole palcami, nucił uwerturę z opery, impertynencko przyglądał się kobietom. Wogóle zachowywał się krzykliwie pomimo, że.... milczał.

— Jakiś dobry numer — szepnął mi kolega.

Porozumieliśmy się mrugnięciem. W pewnej chwili Gabrjel położył rękę na mojej dłoni i rzekł z uśmiechem prawie dziecinnym:

— Roman, jedź ze mną do Krąża, wszak nie znasz Krąża? Poznasz Krąż a i to coś warte. Jako zabytek jest on ciekawy. No, babkę Gundzię także poznać warto. Pojedziesz?

— Pojadę — odrzekłem bez namysłu.

— Wyjeżdżam jutro rano.

Powiedziawszy to, znowu jął się rozglądać po sali i bębnić długiemi chudemi palcami po obrusie, zimny,

obojętny jak przedtem. Miałem jeszcze zamiar być w Warszawie przez kilka dni, lecz ciekawość przemogła. Postanowiłem jechać. Krąż w rodzinie naszej jest prawie legendą. Znam tę historję w głównych zarysach, lecz nigdy jej nie mogłem zgłębić, ponieważ u nas o Krążu i Zatorzeckich nie mówi się wcale.

Ojciec mój Paweł, syn Marcelego a wnuk Hieronima, nie porusza nigdy tej sprawy przedemną, nawet parokrotnie wręcz pytany, zbywał ją celowo. Z tego co wywnioskowałem z różnych niewyraźnych i niedomówionych słów ojca, pradziad Hieronim Pobóg popełnił jakąś wielką niesprawiedliwość względem starszego i jedynego syna, Marcelego, mego dziada, na korzyść córki swojej, także jedynej, Kunegundy, która wyszła za Ksawerego Zatorzeckiego i oddziedziczyła Krąż. O powodach tej niesprawiedliwości ojcowskiej nic nie wiem. —

Po rozejściu się z Gabrjelem, u siebie w hotelu nie mogłem długo zasnąć, ogarnął mnie jakiś niepokój dziwny, męczyłem się wśród natłoku myśli, sunących ku mnie jak ciężkie chmury.

Wreszcie znużenie nerwowe sprowadziło pożądany sen. Nie był mi on jednak wypoczynkiem. Szczególna wrażliwość i przytomność w śnie.

Oto śniłem i czułem, że śnię sen kilkakrotnie już w życiu powtórzony, jeszcze na uniwersytecie w Krakowie, parę razy w Uchaniach a nawet, gdy podróżowałem za granicą, śniłem to samo, na statku włoskim Ostia.

Zbliżaliśmy się wtedy do brzegów Krety, groziła burza, rozpętała się potem straszliwie, spienione bałwany o mało nie zatopiły statku, a ja będąc pod wpływem okropnej paniki pasażerów i sam lękając się rozbicia

stał ł, nie mogłem pozbyć się wrażenia tego snu z poprzedniej nocy. Ten sen krzepił mnie podczas najkrytyczniejszych momentów, bo jakiś głos wołał we mnie „będziesz żył, nie zginiesz, skoro śniłeś znowu sen zapowiadający twoją przyszłość".

I tej nocy, po spotkaniu Gabrjela, przed podróżą do Francji, znowu to samo?....

Widzę plastycznie znajome już z sennych majaków mury zamku starego, szare, z kamienia, omszałe, gęsto pleśnią i mchem wieków porosłe. Jakieś schody kamienne powybijane, z tworzywami roślin, wytryskujących ze szpar pomiędzy płytami głazów. Widzę krużganek stary, widzę sale duże i mroczne i jedną jakby główną, gdzie wiszą portrety wypłowiałe. Chodzę po tej sali, bo ktoś mnie tu woła, nie wiem kto. Jakaś siła przedziwna trzyma mnie tu przykutego. Widzę jeden portret duży w ciężkich ramach, stoi w nich jakby żywa postać młodego mężczyzny w czamarze polskiej. Postać pełna energji i grozy, oczy duże, ciemne, przenikliwe w wyrazie. Brwi zjeżone groźnie, wąsy ciemne, usta zacięte stanowczo. W jednej dłoni miecz, druga oparta na poręczy krzesła ma w sobie moc wybitną, ręka stworzona do buławy, zdaje się, że siłą swoją rozkruszy rzeźbiony mahoń. W postaci tego mężczyzny jest potęga herkulesowa i władza despoty. Patrzę na niego we śnie zawsze w osłupieniu i zastanawiam się, kto to jest i gdzie się znajduję? Wtem postać w czamarze występuje z ram, idzie krokiem stanowczym, a drewnianym niby statua komandora, chwyta moją rękę i prowadzi — dokąd?..... Nie uczuwam lęku tylko lekki niepokój i ciekawość..... Pan w czamarze prowadzi mnie przez szeregi sal, przez komnaty sklepione do mrocznej wielkiej izby pełnej sta-

rych pergaminów, ksiąg o pożółkłych, zapylonych kartach i grzbietach poszarpanych przez myszy. Wiem, że śnię i czuję wyraźnie duszny zapach stęchlizny..... Postać z portretu patrzy na mnie nakazującym wyrazem oczów z taką mocą woli, że drętwieję. Nagle wszystko się rozwiewa, ginie jakby we mgle, zostaję sam nad wielką, czarną wodą, płynącą wartko i patrzę na zamek ponury. Widzę uparcie mężczyznę z portretu, dającego mnie jakieś niedosłyszane rozkazy. Kilkakrotnie śniłem to samo i nigdy do żadnego wniosku dojść nie mogłem. Nic podobnego nie widziałem w życiu, nikt mnie tego nie opowiadał. Te obrazy są mojem własnem przeżyciem sennem, które mię zawsze przejmuje szczególnym dreszczem. Gdy o tych snach opowiadałem ojcu, zacinał usta i milczał. Widziałem, że mu to robi dużą przykrość.

— Senne głupstwa — odpowiadał najczęściej.

Po tej nocy majaków, tak mi już znajomych, ocknąłem się późno. Niepokój, nieodłączny następca owego snu, zawisł nademną jak pająk i snuł i omotywał moją duszę kokonem melancholji, nieznanej mi dotąd nigdy. Nie pojadę do Krąża! — strzeliła myśl nagła — myśl niepokojąca.

Poco wałęsać się po jakichś kuzynach, o których milczy rodzina?

Gabrjel, dziwadło jakieś, poco mi to wszystko!?....

Byłem zdecydowany pozostać, pomimo, że podświadomie odczuwałem niesłychany poryw do tej podróży.

— Nie pojadę!... ani myślę! Wracam do Uchań.

Z tak bogobojnem postanowieniem pojechałem ale.... do Krąża.

Podczas podróży koleją rozmowa moja z Gabrje-

lem z początku obojętna, ułożyła się mniej więcej tak: prosiłem go, by mi opowiedział coś o Krążu.

— Krąż?.... stare zamczysko, pamięta Batorego.... Ot, ruina!

Słowa te uderzyły mię w mózg jakby taranem.

— Prawda! prawda! — wykrzyknąłem — w Krążu jest zamek!.... zapomniałem o tem.... to ciekawe!....

— Dlaczego ciekawe? — zdumiał się Gabrjel, zrywając monokl z oka. — Główny korpus zamku nie zamieszkały, tam.... straszy.

— Żartujesz Gabrjelu.

— No, babkę Gundzię wystraszyło z zamku to coś, co tam łazi i czegoś szuka.

— Któż to.... łazi?....

— Ach ja nic niewiem. Gundzia, Korejwo, hetmanówna Chmielnicka, nawet nieśmiertelny Paschalis widują jakiegoś księdza z papierami, portret Hieronimka wyłazi z ram, wyobraź sobie, ten Katon rodzinny ukazuje się na krużganku w postaci truposza i wygraża maczugą, podobno Zatorzeckim.

Drgnąłem.

— Portret występuje z ram? To jakaś legenda?... Za cóż by groził Zatorzeckim?

— No, o to trzeba się spytać Gundzi. Ona się najwięcej obawia tych strachów, zapewne rozumie co to wszystko znaczy. Coś tak zbladł nagle? — zapytał patrząc na mnie badawczo.

— Och!... nic! dziwnie nazywasz babkę — rzekłem, aby coś rzec słowami jego istotnie wstrząśnięty.

— Tak się utarło, wszyscy tak babsztyla tego nazywają. Gdy poznasz tę chodzącą dżumę...

Doznałem przykrego niesmaku i spytałem, przery-

wając, kim jest owa hetmanówna Chmielnicka. Gabrjel skrzywił się potwornie.

— Babsko!! w pretensjach co do swej osoby i rodu pochodzącego jakoby w prostej linji od Bohdana. Dlatego otrzymała u nas tytuł hetmanówny. Niech się pannuleńka cieszy.

— A Korejwo, Paschalis?....

— O! zbytnioś ciekawy! Sam poznasz i ocenisz tych dygnitarzy. Korejwo to zarządzający Krążem, a Paschalis to nietoperz murów zamczyska i stary jak te mury. Wątpię, czy od pół wieku wyszedł nawet do parku, można go również nazwać puszczykiem Krąża, bo wiecznie coś złego przepowiada i wróży.

— Komu?.... — spytałem.

— No, podobno Zatorzeckim, których nie adoruje.

Odczułem, że ostatnie słowo oznaczało co innego. Gabrjel mówił dalej.

— Krąż, to mauzoleum starożytności, kwitną w nim tylko dwa kwiaty.... Weroninka i.... ja.

Wskazał na siebie palcem z taką miną, na pół ironiczną, na pół kpiącą, że zaśmiałem się ubawiony.

— Czego się znowu śmiejesz?

— Któż to owa Weroninka?....

— Oo.... za wiele chcesz wiedzieć! Weroninka nie nadaje się do opisu, trzeba ją znać. Widziałeś zagranicą stare, zmurszałe mury, na których uśmiechają się śliczne grona glicynji. Weronika to właśnie taka glicynja w Krążu.

Dość obcesowo zmienił rozmowę i nic już więcej nie chciał mówić wogóle.

Nie wypytywałem go, zajęty wrażeniem poprzednich słów.

Gabrjel ciągle majstrował koło swego monokla, otwierał walizkę, przekładał w niej. W pewnej chwili coś stuknęło na podłodze wagonu. Schyliłem się i podniosłem wązkie, safianowe pudełeczko otwarte wskutek uderzenia o podłogę. Z białego aksamitu zsuwał się maleńki złoty zegarek, na bransoletce damskiej, wysadzany brylantami i szafirami. Oddałem go Gabrjelowi i jednocześnie ujrzałem w wyobraźni ową Weroninkę z tem cackiem na ręku. Bezwątpienia dla niej.

Gabrjel poprawił nerwowo monokl w oku, i skrzywiwszy się, spytał, pokazując mi klejnocik:

— Czy to ładne? bo to, uważasz... dla Weroniki.

— Domyśliłem się.

— Czegoś się znowu domyślał — odburknął — nie przypuszczasz chyba romansu?....

— W każdym razie ta osoba nie jest dla ciebie obojętną. Może to twoja siostra?

— Ha, ha! Nie, bo to w przyszłości moja żona.

— Zatem teraz narzeczona?

— Skąd znowu, czy ten wstęp konieczny, jak próg przed pokojem lub słomianka przy drzwiach?...

— I ona mieszka w Krążu?....

— Naturalnie, wszak mówiłem, Glicynja odwiecznych murów Krąża.

Ciekawość moja rosła, ale Gabrjel umilkł, przeto nie pytałem więcej.

Był późny wieczór, gdy wysiedliśmy z pociągu na małej stacyjce.

W brudnym bufecie wypiliśmy po szklance bronzowego wrzątku, nazywanego przez kurtuazję dla samowara — herbatą, poczem wyszliśmy do oczekujących na nas koni.

— Bogdziewicz, a czemu to karetą nie powozem, wiesz, że nie lubię tego pudła — sarknął Gabrjel.

— Choć i lato a ziąb chwyta po nocy niezgorszy, tak rządca dał przykaz, żeby karetą — odrzekł stary stangret imponujący bakami.

— Masz oto jednego z mamutów Krąża — informował mnie Gabrjel bez ceremonji, głośno.

Staroświecki wielce wehikuł i ten wiekowy stangret, patrzący jednem okiem, gdyż drugie miał zasklepione powieką, dopełniali wybornie wrażenia nieznanego jeszcze, ale już imaginowanego Krąża i jego mieszkańców.

Spostrzegłem, że Bogdziewicz bada mnie swojem okiem przenikliwie, uparcie. Jak robak w nieznany sobie owoc, tak ten wzrok jego wświdrowywał się w moją twarz, w całą postać.

— Kto to? — zdawało się pytać to jedno oko błyszczące jak świeczka, z pod daszka liberyjnej czapki. W pytaniu tem była ogromna ciekawość i zdumienie, wyraźnie na jego twarzy odbite.

Zaledwie ulokowaliśmy się w karecie i tęgie konie ruszyły, gdy zapadła noc chłodna, ciemna. Chmury obciążyły niebo. Przez okna karety majaczył w grubym mroku czarny, zwarty bór, zawiesiste gałęzie jodeł wyglądały jak festony opierając się aż na drodze, którą jechaliśmy. Próbowałem rozmawiać z Gabrjelem, lecz odpowiadał niechętnie i wkrótce zaczął drzemać. Pogrążyłem się w myślach. Pytałem siebie, po co właściwie jadę do Krąża, co mnie tam niesie do tej tajemniczej sadyby?....

Wszystko to co mówił Gabrjel w wagonie, zestawiałem z moim snem, poprzedzającym wyjazd.

Ten wędrujący pradziad?.... to wychodzenie z ram portretu?... Jest to naturalnie legenda, przywiązana do Krąża, lecz.... dlaczego ja wszystko to widziałem w snach?.... Jadę tam powodowany kaprysem własnym, bo mogłem przecież odmówić i na zaproszenie, dość lakoniczne, nie zareagować. Lecz muszę przyznać, że mię to spotkanie Zatorzeckiego i cała ta historja podnieciła. Doznałem wrażenia, że jadę do owego legendarnego Krąża dzięki przeznaczeniu, które ma w tem jakiś cel wyraźny. Śmiałem się a jednak pozbyć się tego wrażenia nie mogłem, jak nie można niekiedy stłumić głosów wołających w duszy, pomimo naszych chęci i wbrew woli.

Niezwykły zbieg faktów, moje sny i te wiadomości o Krążu zapewne budziły mój nastrój i okraszały go fantazją jakiejś niezwykłej bajki. — Zmęczony rozmyślaniami nie mogłem jednak zdrzemnąć się, za zachęcającym przykładem Gabrjela, który chrapał sumiennie.

Po paru godzinach, późną już nocą, zbudziło mnie z rozmyślań ujadanie psów. Spuściłem okno karety i w blasku latarni ujrzałem brytany wielkie, jak lwy, rzucające się zajadle do koni.

Jechaliśmy po bruku, ostro, z hałasem w niemilknącym warku i szczeku rozjuszonych zwierząt. Przeraźliwy gwizd świstawki stróża obudził Gabrjela. Ktoś rozmawiał głośno z Bogdziewiczem. Kareta stanęła. Psy opadły nas skacząc wprost do drzwiczek, może zwęszyły obcego. Gabrjel wołał zły.

— Co u czarta, Szymon, odwołać te bestje, Roman, może masz rewolwer, wal prosto we łby! Gdzie Kacper, otwierać! Hej, służba!....

Postać chłopca w liberyjnej kurtce podbiegła do nas z pochodnią w dłoni. Wyrostek ujrzawszy mnie, otwo-

rzył usta od ucha do ucha i miał taką minę, jakby zobaczył upiora. Weszliśmy do obszernego przedpokoju, oświetlonego pochodnią Kacpra, stamtąd do małej, ciasno zastawionej komnatki, którą rozjaśniał trzaskający wesoło na kominku ogień. Po chłodnej nocy ciepło ognia sprawiało szczególną przyjemność. Gabrjel stanął plecami do komina.

— Co masz na kolację?... — spytał opryskliwie zapatrzonego we mnie lokajczyka.

— Zimne mięsiwo i marynata z ryb, jest i herbata.

— Wódka?....

— A jakże! Pani ochmistrzyni takoż....

— Dawaj wódkę nie panią ochmistrzynią, prędzej!

— Kiedyż ja nie skończył, że ochmistrzyni kazała zostawić, ale tylko czystą, a starkę zamknęła, bo konie dwa dni chodziły na kolej, nie wiedzieli my czy i dziś jaśnie pan przyjedzie.

— A... a!... hetmanówna bała się, żebyś starki nie wypił. No, dawaj jaką tam masz lurę, aby mocna. Pamiętaj pokój dla pana przygotuj.

Gdy Kacper wybiegł, Gabrjel odstąpił od kominka, przeciągnął się z lubością i patrząc przed siebie, rzekł jakby do kogoś trzeciego.

— A, a, a, a!.... że też tobie chciało się jechać z Warszawy do tego przedpotopowego Krąża?....

— Czy do mnie mówisz?.... — spytałem.

— Do ciebie, bo ja jestem tu stałym więźniem, ale ty, co tobie po Krążu?

Znalazłem się w kłopotliwem położeniu. Spojrzałem na Gabrjela uważniej. Twarz jego nie wyrażała nic prócz nudy, może nie rozumiał słów wypowiedzianych, nie odczuł jakie na mnie mogą zrobić wrażenie.

— Przyjechałem tu zaproszony przez ciebie, jako twój gość... i przytem lubię takie stare gniazda — rzekłem siląc się na swobodę.

— Jakie tam gniazda? dziury!

— Stare zamczyska.....

— Ruiny! kamieniołomy!....

— Jestem tu trochę jako amator-badacz — ratowałem się z niewyraźnej sytuacji.

Zatorzecki roześmiał się.

— Dotąd będziesz badał zamek, dopóki nie natkniesz się na wędrującego pradziada, lub tylko na Paschalisa, który ci o tamtym naopowiada dziwy takie, że drapniesz gdzie pieprz rośnie.

Odrzekłem mu, że nie jestem płochliwym, wszelkie zaś stare legendy i baśnie interesują mnie bardzo. Wyraziłem też nadzieję, że jako swemu kuzynowi i gościowi Gabrjel pokaże wszystko co najciekawsze w Krążu.

Na widok wnoszonej kolacji Gabrjel ożywił się, uścisnął mnie za ramię i rzekł tonem zakrawającym na serdeczność.

— No, Romek, rozchmurz czoło, w gruncie rzeczy jestem bardzo rad, że przyjechałeś do tej Tebaidy, za jaką uważam Krąż, bądź tu jak u siebie w domu, badaj, szperaj, podzwiaj. Będę ci nawet nieskończenie wdzięczny, o ile wystraszysz pradziada odwagą i nauczysz go, aby zastosował się do swojej roli obecnej, czcigodnego nieboszczyka. Takie szastanie się ubliża godności, jaką on piastuje w rodzinie. Przedewszystkiem byłaby ci wdzięczna za to Gundzia, a to już wielkie słowo! Weroninka także boi się naszego pradziadka straszliwie i ja najgorzej na tem wychodzę.

Dobry nastrój między nami powrócił.

Po wieczerzy udałem się na spoczynek. W pokoju gościnnym, szablonowym, ale dużym i widocznie jasnym, zastanowił mnie odrazu monotonny odgłos płynący z poza okien, jękliwy jak bełkot fali. Otworzyłem okno. Radosny okrzyk wyrwał się z mojej piersi. Pod oknem, nisko w dole bałwaniła się czarna spieniona rzeka, dość szeroka, tłukąca się z pasją o wyrwy wysokich brzegów.

Patrząc na tę rzekę, zamyśliłem się głęboko nad Krążem. Postanowiłem zgłębić historję zamczyska i tło, na jakiem powstała owa baśń szczególna, o wędrującym pradziadku. W toku rozmyślań, sam nie wiem dlaczego, nasunęły się wspomnienia, starego, opuszczonego pałacu Sławohora, nad Dunajcem, w głuchem zaciszu Beskidów. Gdy swego czasu zwiedzałem ten pałac, stróż miejscowy mówił mi, że pałac oczekuje prawego dziedzica, który jest gdzieś w świecie zabłąkany i dlatego pałac co roku kruszy swoje starożytne mury na znak żałoby i opuszczenia. Gdy prawy dziedzic odnajdzie się i stanie w swoich, od dawna opuszczonych progach, na Sławohorze życie zapanuje na nowo i góra pałacowa zakwitnie weselem.

Spytałem stróża, typowego górala, dlaczego odszedł i kiedy, góral splunął i rzekł z flegmą.

— Odszedł!.... Krew, jaka się tu polała, zaschła na murach, łzy jego wsiąkły w głazy i dla tego Sławohora się wali, ale to się wszystko zmieni gdy pan powróci.

Skąd mi te myśli teraz?.... Czy nasunęły je szumiące fale rzeki, jak tam wartkiego Dunajca? Czy może bór czarny, majaczący na przeciwległym brzegu, podobny zupełnie do tego na stokach wyżyn, w których tonie Sławohora? Zmęczony zamknąłem okno chcąc się położyć do

łóżka. Naraz usłyszałem za drzwiami ciche kroki. Ktoś zatrzymał się po tamtej stronie.

— Kto tam? — spytałem ostro.

Na progu stanął Kacper blady, trzęsący się, przerażony. Oczy pełne grozy utkwił we mnie.

— Co się stało?.... — zawołałem.

— Jaśnie panie, zamek oświetlony — wybełkotał.

Nie zrozumiałem o co mu chodzi.

— Więc cóż z tego? Ktoś tam jest widocznie i oświetlił.

Oczy chłopca zrobiły się jeszcze większe ze zdumienia.

— Tam nikt nie oświetla, tam nikt nie pójdzie, nigdy. Paschalis ma izbę swoją na dole i tylko kaganek na oliwie. A tam okna głównej sali żarzą się jakimś ogniem. Wszyscy w zamku pobudziwszy się. Starsza pani zapaliła światło, ochmistrzyni takoż i w prawym pawilonie już nie śpią. Ja tu przybieżał, myślał, że jaśnie pan może co wie.

— Nic nie wiem i radzę ci iść spać.

— Kiedyż jak okna zamkowe się świecą, nikt spać nie może. Już nie świeciły dawno.... a.... ot znowu....

Kacper zniżył głos i dodał prawie szeptem:

— To oświetla ten, co wychodzi z ram i grozi na krużganku.....

— Brednie opowiadasz mój Kacprze.

Chłopak drgnął i ze zgrozą zacisnął sobie dłonią usta.

— Boże mój! — jęknął — jak, broń Chryste, usłyszy!! Niech jaśnie pan sam zobaczy światła w zamku. Widać z małego salonu.

Z lampą w ręku przeszedłem dwa pokoje, oddziela-

jące mój pokój od salonu. Postawiłem lampę na bocznym stoliku i wyjrzałem przez okno.

— Czy to te światła, które przebłyskują przez jakieś drzewa naprzeciw? — spytałem.

— Nie, to prawy pawilon za gaikiem, niech jaśnie pan spojrzy na zamek, na prawo, w głębi....

Otworzyłem okno i wychyliłem się na zewnątrz.

Szereg okien na wysokości drugiego piętra, niedostrzegalnego w cieniu nocy gmachu, błyszczał mętnym blaskiem księżycowym.

— Gasną — szepnął za mną wystraszony lokajczyk.

I rzeczywiście światło w oknach zgasło nagle, jak zdmuchnięte. Ale jakie to było światło szczególne! białozielone, bławe, chłodne jak stal, może najlepiej określić meteoryczne. Dowiedziałem się, że w zamku niema także elektryczności wogóle ani jednej lampy ani świec. Wkrótce wyprawiłem Kacpra spać i sam położyłem się do łóżka. Spałem krótko, nerwowo. W ciszy nocy i świtu mąconego przytłumionym bełkotem rzeki, wsłuchiwałem się w jakieś głosy niesamowite wołające ku mnie, jakby od strony zamku. Czy to był zew tych murów tajemniczych?....

Ten głos dziwny wewnętrzny, jakby wymowne bicie serca prześladował mnie nieustannie aż do rana.

Jest ósma, dzień mętny, deszczowy, zatopiony w sinawej sszerzodze. Wygląda raczej na jesienny niż na czerwcowy. Rzeka leży cicha, metaliczna jak wąż przyczajony, spowity w dymie.

Piszę już dwie godziny. W domu cisza, wszyscy widocznie śpią. Gabrjel mówił, że sypia długo, to mię wszakże nie obowiązuje. Czuję się wyczerpanym, ale zaciekawia mnie Krąż. Pójdę na zwiady.

Nie rozumiem dlaczego doznaję lekkiej tremy.

Niesłychany objaw! Co u licha!... cóż za wpływ ma ten Krąż.... czyż mu ulegnę? —

17-go czerwca.

Jestem, wyrażając się plastycznie, przepełniony Krążem i jego mieszkańcami. Cóż za szczególna miejscowość, panuje tu nastrój baśniowy. Czasem mnie się zdaje, że to dalszy ciąg moich dziwacznych snów. Na każdym kroku mgły tajemnic. Gdy wczoraj o ósmej rano wyruszyłem z mego pokoju na zwiady, spotkałem najpierw Kacpra. Zaprowadził mnie do stołowego pokoju na śniadanie i stojąc przy samowarze wdał się ze mną w gawędę, nieproszony o to wcale. Widziałem, że Kacper pała ciekawością, kim ja jestem i w jakiej roli tu przyjechałem. Przyglądał mi się bardzo uważnie, miał wielką ochotę do obszerniejszej rozmowy, ale ja wolałem samemu sobie zawdzięczać wszelkie spostrzeżenia i wiadomości. Powściągliwość moja tembardziej niepokoiła gadatliwego chłopca. Przeprowadził mnie potem na ganek pod filarami, opleciony caprifoljum. Zapach tam silny od mnóstwa cielistych baldaszków, tych wytwornych kwiatów. Nawprost ganku, na obszernym dziedzińcu ujrzałem wielką kępę drzew, gaj świerków, jodeł, modrzewi, rozjaśniony gęstemi świecami brzóz, o białej jak śnieg korze. Ich puszyste, jasno seledynowe pióropusze, na tle głębokiej zieleni drzew iglastych wyglądały malowniczo.

Gaik ten przyciągnął mój wzrok, chciałem mu się bliżej przypatrzyć. Zbiegłem z ganku i.... stanąłem oniemiały. Ujrzałem przed sobą w głębi, na prawo, zamek w całej wspaniałości frontowej fasady. Zdumienie moje było zupełnie uzasadnione, gdyż jest to zamek z mojego snu, identycznie taki sam. Gmach szary, ponury, sprawia przygnębiające wrażenie, także znajome dobrze z sennych marzeń. Nawet płyty schodów kamiennych przetkane porostami traw, takie same. Przetarłem oczy, chcąc się przekonać, że nie śpię i odruchowo, bez namysłu podążyłem wprost do zamku. Wstępowałem właśnie na schody, zakończone szeroką płaszczyzną wielkiego portyku, pod sklepionemi arkadami, gdy przedemną otworzyły się nagle drzwi wejściowe, właściwie jakby wierzeje z okutych bierwion dębowych. Stanął w nich jakiś cudak; człowiek bardzo stary, zupełnie łysy, żółty jak chińczyk, z twarzą opadającą niezliczonemi fugami fałd, bruzd, głębokich załamań i węzłów szczególnych. Twarz ta ozdobiona figlarną parą uszów, daleko odstawionych i o wiele za dużych, przypominała stary zmurszały pergamin, rozpięty na dwóch hakach i ciężko obwisły na dół. Oczy okrągle wypukłe, bure czy żółte, bez brwi i rzęs wyglądały jak dwa nity zardzewiałe, wbite w ten zmurszały zwój pergaminu, należycie żółtego, z dostateczną warstwą kurzu w załomach. Cała figura tego osobnika niemiłosiernie chuda, robiła wrażenie szkieletu, obciągniętego żółtą skórą. Nogi cienkie w białych pończochach pocerowanych szczodrze, w pantoflach z klamrami antycznej mody, istne dwa patyki podtrzymujące deskę korpusu. Człowiek ten ubrany był w atłasowe dawniej, dziś wytłuszczone, krótkie spodeńki do kolan, szerokie jak worki i w taką samą szeroką kamizelę wyświechtaną tłuszczem.

Biały strzęp halsztuka i czerwony widocznie, za czasów swej młodości, dziś rudo-plamisty frak, ze złoconemi guzikami, dopełniał tego stroju, który zdawał się sam błagać o strych i stary kufer z rupieciami, a w świetle dnia dzisiejszego urągał śmiesznie własnej przeszłości. Najciekawszem jednak było wrażenie, jakie wywarłem na właściciela tego stroju. Spojrzał na mnie i rudo-złote oczy jego znieruchomiały. Całą figurą odskoczył w tył, a w źrenicach odmalowało mu się najwyższe przerażenie. Bełkotał coś niezrozumiałego, patrząc na mnie jak w obłędzie. Domyśliłem się łatwo. kto to jest.

— Dzień dobry — Paschalisie — rzekłem obcesowo.

Zatrząsł się cały, jak spróchniały odziom pnia, uderzony kijem, i jeszcze bardziej zżółkł.

— Co to? jak to? wielka fortuno! — wyrzucił gwałtownie ze zwiędłych ust i nagle zgiął się przedemną niemal do ziemi, na swych chudych, trzęsących się, białych, pocerowanych piszczelach.

— Jaśnie Wielmożny Pobóg?! Pobóg?! Boże wielki!! co... jak?... Fortuno!

Zaciekawiło mnie to, skąd on zna moje nazwisko.

— Chcę obejrzeć zamek — rzekłem nie zdradzając zdziwienia.

Wstąpiłem do wielkiej sieni zamkowej, mrocznej, zimnej, ponurej. Zaduch stęchlizny nie pozwalał tu oddychać. Doznałem jakby uderzenia w piersi, cofnąłem się. Zostawmy zwiedzanie na potem. Dławiło mię przykre uczucie ciężkie nad wyraz i tem przykrzejsze, że już mi znane. Wszak tego samego uczucia doznawałem w snach, wchodząc do tajemniczego zamku?....

Z nieprzyjemnym dreszczem wewnętrznym powróciłem na ganek.

— Jaśnie wielmożny, nie wiedziałem, nie wywietrzone!.... dawno, dawno! co.... jak!?....

Paschalis skłonił się prawie w pas i znikł w czeluściach sieni, nie zamykając drzwi. Miałem wrażenie, że z jakiejś dziury obserwują mię napewno jego żółto-bure oczy pająka.

Zapaliłem papierosa i wolno zstępowałem ze schodów. Nowe dziwo!... Z prawej strony ganku wyszła postać wysoka, zagadkowa. Mężczyzna czy kobieta?....

Chuderlawe kształty owej postaci ginęły niemal w głębokich kaloszach i w burce nieokreślonej formy, wiszącej na niej jak na szaragach. Kołnierz wytarty do białości okrywał jej twarz do połowy. Głowę miała owiniętą, aż po brwi, w czarną włóczkową czapkę. Pomimo jednak tego pozornego ubóstwa, na kołnierzu po bokach twarzy, suchej jak trzaska, ujrzałem dwie wspaniałe perły-gruszki, spływające z osady brylantowych kolczyków. A więc to kobieta!...

— Babka Gundzia?!....

Byłem od niej o parę kroków. Zatrzymała się jak wkuta w ziemię. Oczy czarne, wypukłe, przenikliwe wpatrzyły się we mnie ze zdumieniem i przestrachem gwałtownym.

— Co we mnie jest do djabła.... — pomyślałem z przykrością.

Skłoniłem się w milczeniu.

— Kto pan jest? — wypadły szybkie, skandowane słowa z wąskich ust starej kobiety.

— Przyjechałem wczoraj z Gabrjelem.... jestem....

— Był w zamku? — przerwała mi ostro.

— Kto?....

— Pan.... widziałam!

— Paschalis otworzył drzwi, wszedłem do sieni, ale...

— Paschalis? co to znaczy? kto pan jest?.... skąd znasz Paschalisa.... ktoś ty?....

Jej szczególny niepokój, prawie trwożny, wzmagał się.

Zaryzykowałem:

— Jestem jedynym wnukiem brata... pani, Marcelego Poboga, Roman Pobóg z Uchań....

Zapewne miałem zakłopotany uśmiech na ustach, lecz i ten znikł wobec wyrazu twarzy staruszki po moich słowach.

— Ktooo?!.....

— Roman Pobóg z Uchań.

— Pobóg.... z Uchań?....

— Tak jest, syn Pawła, wnuk Marcelego, prawnuk Hieronima — wyrecytowałem jak uczeń.

Na dźwięk ostatniego imienia staruszka szarpnęła się z głuchym okrzykiem przerażenia.

— Milcz!....

Wzburzyłem się, już miałem cisnąć coś przykrego i odejść, gdy staruszka zawołała z wyraźną męką na twarzy.

— Nie wymawiaj tego imienia — nie trzeba!

— Ależ ciociu!

— Cóż to.... znowu?!. ..

— Bo chyba mam prawo nazywać tak rodzoną ciotkę mego ojca?....

Spojrzała na mnie z pod czoła, ponuro, niezbyt życzliwie.

Odwróciła się i nie podając mi ręki, rzekła krótko:

— Chodź do pawilonu.

Zrównałem się z nią. Szła bardzo prędko, trochę po-

chylając naprzód wysoką, chudą postać. Spostrzegłem, że rozmowa nasza miała świadków. Pod filarami ganku, stał Paschalis przyczajony, twarz jego zdaleka podobna była do głowy starego osła. Z poza gaju, skąd wyszła babka, wyglądał, chowając się za jodłę, stangret Bogdziewicz. Poznałem go odrazu po bokobrodach i jednem oku. Oko to, o spojrzeniu ostrem jak strzała, przeszywało mię na wskroś. Wzruszyłem ramionami, zaczynało mnie to wszystko śmieszyć. W przedpokoju babka Gundzia zrzuciła burkę, zanim zdążyłem jej pomóc, z tąż samą żywością powyciągała nogi z otchłannych kaloszy i czapkę cisnęła na stolik. Figurę miała okropną, wysoką, płaską, w szarej sukni. Głowa duża, sucha, o twarzy ściągłej, bardzo bladej, trzymała się sztywno na cienkiej szyji jakby na sztabie żelaznej. Włosy obfite zupełnie białe, gładko zaczesane w zwinięty ciasno warkocz na tyle głowy... Rysy twarzy, wydatne, usta zaciśnięte jakby gniewnie i czarne, długie brwi, nad czarnemi oczami, czyniły tę fizjonomję niezwykle surową o nieubłaganym wyrazie.

Prócz wspaniałych kolczyków z perłami, wiszącemi prawie do pół szyji, babka miała jeszcze suknię zapiętą wielką broszą brylantową z perłami: trzy perły także w kształcie gruszek jak wielkie łzy. Na chudych palcach pierścienie i sygnety.

Babka kiwnęła na mnie ręką. Przez parę dziwacznie umeblowanych pokoi weszliśmy do małego gabinetu, gdzie palił się, na wielkim kominie, suty ogień, trzaskając wesoło.

Tu dopiero babka podała mi rękę nerwowo, tak, że zaledwo dotknąłem ustami jej palców.

— Siadaj... no, tu naprzeciw mnie.

Sama wsunęła się w głęboki fotel na wprost ognia stojący.

— Tedy mówisz... że Pobóg?... — padło ostre pytanie.

— Jestem rodzonym wnukiem Hieronima Pobога po mieczu.

Zbladła i zadrżała, nie spuszczając ze mnie oczów.

— Któż ci to... to mówił?

W słowach jej był ton twardy, nieprzyjemny.

— Mówił mi mój ojciec, Paweł.

— Z Uchań?

— No tak.

— A Marceli?

— Dziad Marceli dawno nie żyje, umarł w Paryżu.

— A jego żona?...

— Również. Oboje spoczywają na cmentarzu Montmartre.

— A jego dzieci?

— Jest tylko ojciec mój, Paweł.

— A jego dzieci? — powtórzyła z akcentem, niecierpliwie.

— Jestem jedynakiem.

Babka oderwała oczy odemnie, spojrzała na ogień. Coś jakby lekkie westchnienie uniosło zapadłą, suchą pierś staruszki.

Trwało to chwilę, czarne płomieniste źrenice znowu wlepiły się we mnie uważnie, badawczo, z dziwną iskrą tlącą się w ich ponurej czarności.

— Ojciec... zdrów?...

Odczułem, że to pytanie zdawkowe. Ominąłem je celowo, zagadnąwszy ze swej strony.

— Ciocia nie zna rodziny naszej od czasu dziadka Marcelego. Nieprawdaż?

— Nie! — brzmiała krótka, gniewna odpowiedź.

Spytała innym tonem.

— Jakimże sposobem przyjechałeś do Krąża?

Opowiedziałem o naszem spotkaniu w teatrze z Gabrjelem.

— Warjat! — mruknęła.

Nie byłem pewny, do którego z nas odnosił się ten epitet, ale mnie ubawił, więc się uśmiechnąłem.

— Czegoż ty się śmiejesz? — sarknęła zdziwiona.

Wpadłem w doskonały humor, jakby na przekór sytuacji.

Zacząłem opowiadać o naszej podróży, o Warszawie, zaczepiłem o lata studjów na uniwersytecie — opowiadałem o podróży do Afryki, wespół z paru kolegami. Przeskakiwałem z tematu na temat, swobodnie, czując na sobie bez przerwy dwie czarne otchłanie oczów babki, utkwione we mnie.

— A cóż ty będziesz robił w Krążu? — przerwała tok mego opowiadania.

Tegom właśnie chciał.

— Krąż bardzo mi się podoba — oświadczyłem skwapliwie — zamek wspaniały. Korzystając z łaskawego zaproszenia Gabrjela, a przypuszczam, że obecnie i... cioci — skłoniłem się przed nią głęboko — chcę tu przebyć jakiś czas, by poznać tak ciekawą miejscowość.

— Ciekawą? — zdziwiła się.

— No, zamek starożytny, gmach niepospolity, nie często się taki spotyka w kraju. Pragnę mu się bliżej przypatrzyć, zapoznać się z tą budowlą archaiczną.

— W Krążu niebezpieczne takie eksperymenty.

— Dlaczego? — spytałem.

— A... czy Gabrjel nic ci nie mówił?

— Czy o tem, że podobno w zamku ktoś straszy?...

— Nie ktoś straszy, lecz zamek ten jest groźny, nie mów z lekceważeniem o rzeczy, której nie znasz.

— Sądzę, że to nie realnie brane fakty?

— To są właśnie fakty i ty im nie zaprzeczaj.

— Chciałbym je zbadać.

— Nie radzę, nie radzę!... może się to dla ciebie smutno skończyć. Nic tu niema do badania, nic do oglądania w tej starej, okropnej ruderze. Tylko taki nietoperz, jak Paschalis, może tam mieszkać.

— Pyszne określenie... nietoperz — zaśmiałem się. — Czy on mieszka w samym gmachu?

— Tak... zupełnie sam.

— Może to on urządza owe strachy?...

Babka zerwała się z miejsca, była groźna.

— Milcz! jeszcze nam do pawilonu nieszczęście sprowadzisz.

Zaczęła chodzić po pokoju szerokiemi krokami, założywszy ramiona splecione na piersiach. Przerwałem milczenie.

— Wczoraj w nocy, Kacper był przerażony, ujrzawszy światła w oknach zamkowych, poprostu ktoś był w zamku ze światłem i to już wywołało popłoch. Może wszystkie inne strachy są tak samo wątpliwej natury?...

Babka Gundzia stanęła przedemną w wyzywającej pozie.

— A czy ty wiesz, dlaczego te światła przeraziły wszystkich?

Milczałem umyślnie, zrobiwszy brwiami znak nieświadomości.

— Nie wiesz?... no, więc, skoro nie wiesz, to nie przesądzaj sprawy.

Nie powiedziała mi tego, co mówił Kacper o owych światłach w zamku. Nie zdradziłem się, że o tem wiem.

Tymczasem podano drugie śniadanie. Obiad jadają tu o szóstej wieczorem. Gabrjela nie było. Na wyrażoną przezemnie uwagę, czy nie chory, babka sarknęła:

— Przecież on z dnia robi noc, a w nocy awanturuje się zawsze. Uciekniesz ty z Krążą, gdy go lepiej poznasz — zaśmiała się przykro.

— Kogo?... Gabrjela... czy Krąż?...

— Wszystko!

Wszedł rządca Korejwo, mężczyzna w starszym wieku, rubaszny, o dobrodusznym wyrazie twarzy pospolitej. On także, usłyszawszy moje nazwisko, spojrzał na mnie z takiem zdumieniem, jakby własnym oczom nie wierzył. Nagle stanął przed nami Gabrjel, kwaśny, niewyspany. Podał mi rękę, poprawiając monokl dwoma palcami. Babkę przywitał, cmoknąwszy ją w rękę w powietrzu.

— Cóż to za objawienie, że tak dziś wcześnie? — spytała staruszka.

— Musiałem leczyć pacjenta, jest przeziębiony.

— Kto?

— Fortepian, przecie nikt inny mnie tu nie obchodzi.

— Cóż mu się stało? — spytałem z uśmiechem.

— A cóż, Kacperek kochany, wietrzył salę, gdy padał deszcz, jemu się zdaje, że Blüthner, to stara pierzyna i zwyczajny cymbał, z którym się można obchodzić jak kto chce.

Przydreptała do stołu nowa osoba: jejmość o kształ-

tach powydymanych jak balony. Wdzięki te były tak silnie oklamrzone gorsetem, że aż wystąpiły jej na twarz ogniste wypieki, włosy miała rude, przypieczone żelazkami w nioby i pukle.

Szła, podrygując, z piersią jak kopuła podaną naprzód, wystrojona, w lekkiej, różowej, młodzieńczej sukni; prawdziwa reklama pretensji, bez kwalifikacji do tego. Podbiegła z ciężką imitacją lekkości do Gabrjela i rzekła z umizgiem:

— Niech mnie pan przedstawi temu panu.

— A po co, on to i sam zrobi — odrzekł Gabrjel, zabierając się do polędwicy.

— Roman Pobóg — rzekłem z ukłonem.

Cofnęła się i oniemiała. Oczy jej zamigotały niespokojnie, wyglądała na przerażoną.

— Czy pani zwarjowała? — sarknęła babka gniewnie.

Jejmość opanowała się natychmiast i podała mi rękę z godnością niewypowiedzianie śmieszną.

— Jestem Chmielnicka, w prostej linji od...

— Od bat'ki Chmiela i jakiejś krasawicy z Zaporoża — rzekł Gabrjel z humorem.

— Et! pan Gabrjel to zawsze dokuczliwy.

— Nie zawsze, tylko przy tak podłej polędwicy.

— Albo, jak fortepian kataru dostanie — uśmiechnął się Korejwo.

— A tak, bo cały Krąż nic nie wart wobec mego Blüthnera.

— Są ich tam przecie całe zastępy — dogryzła babka.

— Ale on jedyny.

Gabrjel z kwaśną miną jął dogadywać babce w sposób bardzo niesympatyczny. Widziałem, że staruszka

mieni się na twarzy. Było mi przykro i wstyd za niedelikatność Gabrjela. Chciałem mu przerwać jego złośliwość, gdy uprzedził mnie Korejwo, pytając, dlaczego „pan dziedzic" po wycieczce do Warszawy nie grał dziś jak bywa co dzień. Gabrjel skrzywił się jak po piołunie.

— Najpierw nie co dzień, a co noc i niechże się pan oduczy dawać mi idjotyczny tytuł — dziedzic — to trąci oborą, zaraz mię zalatuje woń tej instytucji i tracę apetyt. Czy byłeś w zamku? — zwrócił się do mnie gwałtownie. — Jakże tam Hieronimek? wylazł z ram na powitanie twoje?

Babka zadrżała...

— Gabrjelu!...

— Jużby też pan i nie wspominał nie wiedzieć co! — jęknęła hetmanówna.

Gabrjel wzruszył ramionami.

— No jakże!... być w Rzymie i nie widzieć Papieża?... Wszakże wczoraj sam się oznajmił illuminując zamek, zapewne in gratiam przyjazdu Romana. Pobóg witał w ten sposób Poboga! To sprawka pradziadunia, znam ja go dobrze. Oho! ho!... — zatrząsł widelcem nad swoją głową.

Babka Zatorzecka zerwała się z krzesła.

— Jeżeli natychmiast nie przestaniesz — wyjdę z pokoju.

Była blada, jak widmo, przestraszająca.

Żal mi się jej zrobiło. Chwyciłem rękę staruszki i ucałowałem, zatrzymując silnie na miejscu.

— Babciu droga — (tytuł ten wypowiedziałem odruchowo i tak już zostało) Gabrjel żartuje, poco się tak przejmować? No, proszę usiąść, proszę nam nie uciekać, będziemy mówili o czem innem.

Spojrzała na mnie bezmiernie zdumionemi oczami, usta jej się zatrzęsły, jakby z wrażenia. Usiadła dziwnie zmieniona.

— Są rzeczy, z których żartować nie wolno — rzekła półszeptem, z naciskiem.

— Nie wolno! — powtórzył Gabrjel z patosem, podnosząc wysoko palec wskazujący i grożąc nim nad swoją głową. Oczy przytem roztworzył szeroko, tak, że monokl spadł mu prosto na talerz i osiadł na gęstym sosie jak liść na błocie.

— O... do czarta!...

Był zły, zaczął z niezwykłem namaszczeniem wyjmować monokl palcami i widelcem, ocierał go chusteczką do nosa, którą potem bez ceremonji rzucił w potrawę i krzyknął na Kacpra ostro:

— Daj drugi talerz, a uważasz... zęby w gardło, ośle!...

Chłopak dusił się od śmiechu. Hetmanówna schowała twarz w chustkę.

Zacząłem mówić o czem innem, bo i mnie komizm tej chwili, a zwłaszcza mina Gabrjela, ubawiła serdecznie.

W toku mojego opowiadania zauważyłem, że babka spogląda na mnie ciekawie i jakoś inaczej, niż przedtem.

Przyciszonym i trochę drżącym głosem spytała mnie, czy dawno straciłem matkę. Rozmowa skierowała się na moją rodzinę i Uchanie. Babka była powściągliwa w pytaniach, ale wyczułem, że temat ten interesował ją i zarazem bolał.

W wyrazistych oczach babki był stały niepokój, często dostrzegłem w nich wzruszenie, tłumione jakby gniewem.

Po śniadaniu udałem się z Gabrjelem do jego pokoju. Słusznie mówiła babka, że posiada on zastępy fortepianów. Wielki okrągły salon zastawiony był tylko temi instrumentami. Naliczyłem ich dwanaście. Jak duże foki rozpierają się tu wszędzie błyszczące ich cielska. Odróżnia się mahoniowy przepiękny Blüthner, polisandrowy, jakiejś starej firmy pyszny okaz i wązki wydłużony antyk klawikord, wielce widać sfatygowany kolejami swego istnienia, pełen inkrustacji emaljowanych, medaljonów i złoceń.

Wszystkie fortepiany starannie pozamykane, oddalone od kwiatów, których tu jest również pełno i bardzo niepospolitych. Doniczki kwiatów pogrążone są w porcelanowych wazonach, widocznie się tu obawiają, by wilgoć najmniejsza nie zaszkodziła płucom faworytów.

Posadzka jak szkło, żadnego dywanu, ściany pokryte białym jak marmur stiukiem, puste, gdyż, jak twierdzi Gabrjel, obrazy tłumią akustykę. Na wprost Blüthnera, na sztalugach, stoi portret kredkowy młodej, ślicznej dziewczyny. Główka malownicza z rozpuszczonemi warkoczami przykuwa wzrok. Nie chciałem pytać, ale byłem pewny, że to Weroninka. Sprytny, zalotny wyraz jasnych oczów, na portrecie, zaciekawia. Przyglądałem się zbyt długo. Gabrjel majstrując coś około fortepianu, rzucił na mnie okiem.

— Podziwiasz Glicynję Krąża? Kredka nie jest w stanie wykazać całego jej piękna. Zdawaćby się mogło, że wszelkie strachy powinny się łasić do niej, jak psy i nie dokuczać jej, a oto, widzisz, jest inaczej. Weroninka chora z powodu wczorajszego dowcipu pradziadunia.

— Czy ona mieszka w zamku? — spytałem.

— Nie, gdzież tam! W prawym pawilonie, ale tam widziano światła lepiej, niż u nas.

Byłem ciekawy, kim jest Weroninka, lecz ponieważ Gabrjel nie zdradzał chęci mówienia o niej, nie pytałem. Natomiast prosiłem go, by zagrał.

— Teraz?... nigdy! Nie grywam za dnia.

— W takim razie do widzenia, idę na przechadzkę.

— A nie natknij się gdzie na Hieronima, a gdyby, to mu powiedz odemnie reprimendę za nastraszenie Weroninki — zawołał za mną.

Wyszedłem na dziedziniec, mający w pośrodku skupinę drzew, rozejrzałem się ciekawie dokoła.

Dziedziniec zamyka wielka brama murowana, z daszkiem staroświeckim, z wieżyczkami, nie tyle ładna, ile ciężka i jakaś więzienna. Minąwszy ją, ujrzałem przed sobą przestrzeń wzgórzystą, okoloną czarną linją lasu. Pod lasem błękitniały dymy, zapewne wioska.

Na polach zielonych od zbóż stoją drzewa pojedyńcze, jak maćkowe grusze, gdzieniegdzie kępa tarnin, wszystko w mętnym tumanie deszczowego pyłu miało w sobie przedziwną melancholję. Poza prawym pawilonem zamku grupują się murowane budynki gospodarcze, dawniej widocznie świetne, dziś bardzo zębem czasu naruszone, gdzieniegdzie prawie walące się.

Jaskrawe plamy nowych budynków odcinają się wyraźnie na tle tych szanownych pół-ruin, świadcząc sobą, że jest tu jakaś ręka w tym Krążu, która nie zapomina o przyszłości, nie unicestwiając zabytków przeszłości. Nie czułem jednak ochoty do zwiedzania gospodarstwa, tembardziej, że przy budynkach kręcili się ludzie, ja zaś wolałem być sam. Zawróciłem przeto w przeciwną stro-

nę, ku zaroślom parkowym, otaczającym lewy, zamieszkały przez nas pawilon.

Prosta wstęga rzeki, idąca z pod lasu, czyniła tu wygięte do wewnętrz półkole i płynęła pod wyżyną zamkową, szeroka, zbałwaniona, koloru żelaza. Zstąpiłem na brzeg, mokrym piaskiem pokryty. Stało tam parę łodzi rybackich i na kołkach suszyły się niewody i węcierze. Ludzi nie było. Patrzyłem długo na rzekę. Monotonny szelest jej wód nasuwał mi jakieś wspomnienia odległe, nieuchwytne majaki. Szelest wody przy brzegu szeptał tajemniczo, wyobraźnia moja podchwytywała te szmery i może okrasiłaby je fantazją marzeń, gdybym się chciał poddać nastrojowi, jaki budziła we mnie ta ciemno-stalowa wstęga wody wśród łąk zielono-mglistych.

Rzeka zakręcała prosto pod zamek. Przez małą bramkę w murze, otaczającym siedzibę, wszedłem do cienistego parku. Wielkie drzewa stare kończyły się tuż nad piaskiem nadbrzeżnym, park z wyżyny zamkowej spływał potokami zarośli ku rzece. W pewnem miejscu wrzynał się w niego ostrym węgłem budynek lewego pawilonu i wznosił się tuż nad rzeką.

Spojrzałem w górę. Tam jest okno mego pokoju, w tym szeregu okien błyszczących szybami, niby tafelkami lodu.

Poza rzeką rozpościerają się łąki, młodą zielenią traw i kępami rokiciny buchające, dalej las zwarty, nieprzenikniony... czarny, snać iglasty. Idąc po piasku mokrym, usianym kamieniami i muszlami, minąłem wzdłuż mury pawilonu i znalazłem się znowu w parku. Był to ogromny narożnik półkolisty, zarośnięty całkowicie starodrzewiem. Rzeka odsunąwszy się prawie gwałtownie od przeciwległego węgła pawilonu, otaczała ów narożnik sze-

rokim wieńcem, by znowu podpłynąć pod potężny cokół gmachu zamkowego, liżąc w pokorze jakby jego stopy. I... oto znowu odsuwała się łagodnie dalej i dalej, ustępując miejsca rozbuchanej masie drzew, cofniętych ku rzece i odkrywających wielką płaszczyznę przed tarasem zamczyska.

Wyglądało to tak, jakby niezliczone legje starodrzewiu odepchnęły od zamku natrętną rzekę i stały na straży, by nie powróciła. Dobra nazwa — Krąż — rzeka istotnie otacza całą wyżynę krętem kołem, bo i w oddali po stronie prawego pawilonu i folwarku poza nim, prześwitywały znowu stalowe fale, i słychać tam było przytłumiony huk wody. Wodospad, porohy jakieś, czy młyn? Nie zastanawiałem się nad tem, gdyż zajął mnie teraz widok zamku, odkrytego w całej chwale archaizmu i siły. Gmach nie jest kolosalny, ale jednak duży. Ściany łamane we wnęki i występy murów, okrągła narożna baszta zębata z wąskiemi oknami, parę krużganków i wieżyczki. Dach ciężki, także łamany z blachy dobrze zczerniałej. Taras otoczony kamienną balustradą, z niego wiodą do wewnątrz wielkie oddrzwia, zaokrąglone u góry, jak dwie połowy tarczy. Okna wysokie i wąskie na parterze, na pierwszem i drugiem piętrze są już rozmaite, widać nawet kilka weneckich, snać dorabiano je po kilku wiekach istnienia zamku. Wogóle gmach jest nieco pokiereszowany w stylu, wskutek nowożytnych dotknięć ręki profana, ale całość robi wrażenie ogromne.

Coś mi się zaczynało śnić.

Jakieś nowe, a nieznane melodje napływały hucznemi tonami, ni to dźwięki kopji, uderzanych o pancerze i szczęk dzirytów... ni to chrzęst rozwianych piór... husarzy... czy łoskot walących moździerzów...

Oto tam hetman na rumaku cisawym w rozwianej opończy, w szyszaku na dumnej głowie... Rząd jego konia bojowy... Hetman skinął buzdyganem, hej! popłyną zastępy rycerzy... tętni łomot walącej chorągwi...

W skok!!...

Ocknąłem się. Cóż mnie się majaczy? Zastępy?... Dzisiejszy kasztelan tego zamku ma zastępy... ale fortepianów. Oprzytomniałem zupełnie, uczułem gorzki smak niechęci z powodu tego przebudzenia... coś jak raptowne oderwanie się od dostojnych kart i wizji historycznych, by ujrzeć realnie sprofanowany pomnik przeszłości... gdzie... „straszy"... wedle opinji obecnych kasztelanów. Ale ten zamek jest mi tak samo znajomy, jak naprzykład Uchanie, tylko Uchanie realnie, a zamek ten z sennych widziadeł. Zdumienie moje rosło. Owładnęła mną szalona chęć wejścia do środka zamczyska, które, jak mnie się zdawało, znałem również doskonale. Zapadał lekki mrok wieczorny, zerwał się wiatr, powstał łoskot drzew tłukących się czubami, suchy chrzęst jodeł i świerków. Zrobiło to wrażenie, że park przemówił, usłyszałem jakieś głosy, zwrócone jakby wprost do mnie.

Stojąc na tarasie przy wielkich oddrzwiach wejściowych, zamkniętych na głucho, zrozumiałem, że tędy nie dostanę się do środka. Z wejścia trzeba było zrezygnować, ale w tej chwili zajęło mię coś innego. Oto napłynęły do mózgu dziwaczne myśli, że po długiem i bezcelowem błądzeniu stanąłem nareszcie u mety, przywołany tu siłą nadprzyrodzoną, mocą hypnotycznego nakazu czyjejś woli niezłomnej. Oparty na kamiennej, ciężkiej balustradzie, patrzyłem przed siebie na rozległy i piękny widok trawników. otoczony zwartem bogactwem drzew w tem miejscu. Przez wąską lukę pomiędzy drzewami

widać rzekę, łąkę i wioskę pod czarnym murem lasu, kurzącą teraz smugami dymów, które w zapadającym mroku nabrały błękitno-sinych tonów.

Rozgwar drzew nie ustawał i oprócz tej chrzęszczącej rozmowy, szelestnych szeptów gałęzi i konarów, żadne inne odgłosy nie dochodziły. Byłem pod wrażeniem dziwnego niepokoju, koncentrującego się w pytaniach: poco tu jestem i niezwykłej podświadomej pewności, że jestem tu przywołany potężną wolą przeznaczenia, czy może fantomu?... Pierwszy raz nie władałem sobą, pierwszy raz byłem pod mocą czegoś, co mnie opanowywało bez mojej woli, bez mojej świadomości. Odnosiłem jedno tylko wrażenie, że nie przypadkiem jestem w Krążu, lecz, że to jest konieczność, wynikła z szeregu faktów, poprzedzających mój przyjazd.

Niepojęte zagadki szły ku mnie z tych starych murów, magnetyczny fluid trzymał się tu uparcie i popychał do wnętrza. Pogrążyłem się w mgławicy własnej psychiki, której nie mogłem zgłębić i nie chciałem. Może to wpływ zabobonów, krążących dokoła zamku, lecz na to chyba jestem zbyt trzeźwym. Pogrążony w tej zadumie, usłyszałem nagle czyjeś kroki na asfalcie chodnika, pod tarasem. Wychyliłem się poza balustradę.

Kroki zbliżały się. Szedł Gabrjel. Mijał zamek, nie widząc mnie. Zmierzał na lewo, w stronę prawego pawilonu. Domyśliłem się, że zapewne idzie do Weroninki. Znikł wreszcie w podłużnym niskim budynku w głębi parku. Nie zauważyłem przedtem tej budowli.

Wkrótce błysnęło tam światełko i rozjaśniła się prawie cała ściana pochyła do wewnątrz, a więc to cieplarnia.

Teraz dopiero zrozumiałem, skąd Gabrjel ma w po-

koju swoim tak piękne okazy kwiatów. Ponieważ i ja przepadam za kwiatami, postanowiłem tedy iść za nim. Dochodząc do oranżerji, usłyszałem wesoły śmiech kobiecy. To mnie na chwilę powstrzymało, ale wnet pchnąłem drzwi i stanąłem na progu. Byłbym wydał okrzyk zachwycenia na widok cudownej otchłani kwiecistej, gdyby nie inny jeszcze widok, na tamtem tle, który w tej samej chwili zatamował mi głos.

Na wysokiej drabince, w świetle jasnej lampy, stała postać kobieca, zwrócona twarzą w stronę oranżerji, czyli profilem do mnie. Jedną ręką trzymała się za wyższy szczebel, drugą otulała suknię dokoła nóg. Gabrjel stojąc niżej, trzymał jej stopy w objęciach rąk — i przyciskał do nich usta.

— Tableau!... Co tu robić! Lada chwila Gabrjel i ona, oczywiście Weroninka, dojrzą mnie i... Tego „i" bałem się najwięcej. Miła sytuacja! Stałem w grubym cieniu cedrów zdobiących wejście, lecz bezpieczniej było wycofać się, ale jak?...

— Niech pan puści moje nogi. Ojej, bo zaraz tatko nadejdzie! — zawołała piskliwym głosikiem.

— Tatko dobrze wie, że cię kocham — odrzekł Gabrjel.

Masz tobie! Tatko!... włosy mi stanęły na głowie. Ktokolwiek on jest ów — tatko — wejdzie naturalnie temi drzwiami, przy których stoję. Co robić?...

Zaryzykowałem śmiały czyn. Lekko i cicho, jak sprawny kot, zaczajony na myszy, albo zazdrosny mąż, cofnąłem się w tył i... nagle z hałasem otworzyłem drzwi, wchodząc niby impetycznie.

— Tatko! — krzyknęła z przestrachem dziewczyna.

Ja byłem już w pełni światła, blisko nich. Zatrzy-

małem się, gdyż tak wypadało w mojej roli. Dziewczyna jak wiewiórka zbiegła z drabinki z okrzykiem przerażenia. W tej samej chwili wszedł „tatko". O, błogosławiony mój pomysł udanego wtargnięcia! Gdybym się był wahał, co?... Gabrjel wziął za rękę piękną pannę i rzekł niedbale:

— Przedstawiam... pani mego kuzyna... Romana Poboga... panna Weronika Ślazówna. — Pan Ślaz — dokończył rekomendacji, wskazując na „tatkę".

Podałem im rękę, patrząc z zaciekawieniem na pannę. Ale uniżoność, z jaką mnie witał „tatko", jego uparte wpatrywanie się we mnie, jego cała z gruba ciosana postać zastanowiły mnie. Kim on jest? Wygląd niższego oficjalisty.

— Wielmoż... Szanowny pan wczoraj w nocy przyjechał?... ja wiem, z naszym panem Gabrjelem. Jakże się wielmożne... szanownemu panu oranżerja podobała? bo to jest moje gospodarstwo.

Prezentacja dopełniła się sama przez się... a więc ogrodniczka! Zauważyłem, że ile razy „tatko" zdradzał tendencję nazwania mnie wielmożnym, córka gwałtownym znakiem mimicznym hamowała go w zapędzie. Ów pan Ślaz przypatrywał mi się natrętnie i chciał widocznie o coś spytać, ale zawahał się. Zamieniał z córką porozumiewawcze spojrzenia... Ona również patrzyła na mnie wzrokiem przestraszonym.

Sytuacja była zabawna, lecz nieprzyjemna... Tu chyba wszyscy widzą we mnie jakiegoś upiora?...

Ślaz pokazywał mi oranżerję, bogatą w okazy kwiatowe. Niepokój ogrodnika rósł widocznie. Nareszcie skorzystał, że Gabrjel z Weroninką ukryli się w gąszczu palm i spytał zniżonym głosem:

— Wielmożny pan jakoby nazywa się... Pobóg... przepraszam... ale pan Gabrjel tak mówił.

— Nie jakoby — ale jestem istotnie Pobóg.

— Rzeczywiście... tak... bo to nawet podobny jasny pan do... (przeżegnał się) panie świeć... — rozejrzał się trwożnie dokoła. — Ech!... nie będę wspominał.

— O czem to pan nie będzie wspominał? — spytałem, podchodząc do niego bliżej...

Ślaz odskoczył odemnie przerażony... Zakrył sobie oczy.

— Co u djabła! co za komedje pan wyprawiasz?

Byłem już zły.

Gabrjel usłyszał mój podniesiony głos i wyszedł z Weroninką z za klombu palm. Spojrzał na nas i widocznie zorjentował się w sytuacji. Ale zamiast do ogrodnika, zwrócił się do swej panny. Podprowadził ją do mnie i nagle żywym ruchem obmacał mię obu rękami od szyji do stóp, jakby dokonywał osobistej rewizji.

Stało się to tak prędko, że nie zdążyłem zaprotestować.

— No, widzi pani, że to człowiek żywy, nie zaś duch.

Mówiąc to, ujął rękę Weroninki i dotknął nią mego ramienia.

— Cóż, nie boi się już pani? — spytał z odcieniem ironji.

— Powiedz nareszcie, Gabrjelu, za kogo mnie tu biorą? bo nie spotkałem osoby w Krążu, którejbym nie przeraził. Domyślam się, że przypominam zapewne jakiegoś upiora, grasującego w Krążu. Dziś wieczorem idę do zamku.

— Ach! ach! — wykrzyknął jednocześnie tatko

Ślaz i panna Ślazówna. — Niech pan tam nie idzie! A już wieczorem, tak za nic! — szepnęła Weroninka, składając pobożnie ręce przy ustach.

— A ot co... może to i dobrze, że pan przyjechał tutaj... może to i przeznaczenie, co ludzie gadają... — rozwlekłym głosem rzekł ogrodnik Ślaz, trzymając się jednak przezornie daleko odemnie.

Gabrjel spojrzał na niego ostro i ostentacyjnie wzruszył ramionami.

— Taż nie ja... a ludzie tak gadają... że jakby...

— No, dosyć! — szybko przerwał Gabrjel.

Uścisnął rękę Weroninki, istotnie prześlicznej dziewczyny, ja skłoniłem się z daleka i wyszliśmy z cieplarni. Gabrjel milczał. Chciałem go szczerze wybadać co do zagadkowych słów Ślaza, lecz po krótkim namyśle dałem spokój. Postanowiłem bagatelizować rzecz całą wobec wszystkich i, o ile zdołam, wobec siebie. Przyznaję, że mnie to jednak intryguje.

Przy wieczornej herbacie Gabrjel ciągle grymasił, przedrzeźniał się z hetmanówną, z lekka dokuczał babce.

Gdy zaś staruszka z wyraźnem zaciekawieniem spytała mnie, gdzie byłem, opowiedziałem jej wędrówkę po parku. Instynktownie zamilkłem o wizycie w oranżerji. Gdy wtem rządca Korejwo, rzuciwszy ukośne spojrzenie na Gabrjela, niezbyt życzliwe, zainterpelował mnie wprost:

— A jakże się panu cieplarnie nasze podobały? — Mówił mi Bogdziewicz, że pan tam był i oglądał kwiaty.

Przemknęła myśl niemiła, że stangret mnie śledzi. Zacząłem tedy wyrażać swoje, szczerze pochlebne zachwyty, pod uważnym wzrokiem babki, widząc skrzywioną minę Gabrjela.

— Czy i — Glicynję widziałeś, czy i ciebie oczarował ten cud? — spytała babka tonem szyderczym.

Zrozumiałem, o czem mowa i zastanowiłem się chwilę, co na to odrzec.

Wyręczyła mnie znowu staruszka, mówiąc tym samym tonem:

— Jest tu Glicynja, tak nazwana przez... niektórych, pnie się nie na zamek wprawdzie, bo się go boi, ale opina cały Krąż.

— Zdobiąc go jednocześnie jako jedyne jego piękno — dodał Gabrjel z intencją.

— Wszystko to — piękno — (duży nacisk) dla Krąża, pomimo ponurego zamku, gdyby nie stało Krąża, opadłyby kwiatki Glicynji.

— Ale ponieważ Krąż jest i będzie zawsze — znowu Gabrjel odparował pocisk „Gundzi".

Zaległa długa cisza i przeciągała się kłopotliwie. Wyczupurzona hetmanówna szepnęła coś cichutko Korejwie prawie do ucha, on miał w oczach zaciekawienie. Mnie to już zaczynało nudzić...

Wtem do jadalni wbiegł prędko pokojowiec Kacper i zawołał głosem spłoszonym:

— Kamerdyner Paschalis bardzo zachorował, cały zamek znowu oświetlony.

Wszyscy zerwali się z miejsc, nawet Gabrjel powstał, poprawiając monokl i patrząc krzywo na Kacpra.

— Znowu... znowu... co to znaczy? — wyraźnie usłyszałem z ust babki.

— Kto ci to mówił? — spytał Korejwo pół szeptem.

— Światła w zamku wszyscy widzą, cała służba patrzy się z dziedzińca, a Krzepa był u Paschalisa i melduje, że... bardzo chory...

Znowu cisza głucha.

— Kto to jest Krzepa? — spytałem.

— Stary borowy — odrzekł Korejwo.

— Trzebaby zobaczyć... Paschalisa... ale ja nie pójdę za nic na świecie! — zawołała z emfazą hetmanówna.

— Ja mam nocny objazd — bąknął Korejwo.

— Ja pójdę — rzekłem spokojnie.

— No... a ja idę do siebie — zadecydował Gabrjel. — Dobranoc państwu.

Skinął głową wszystkim i wysunął się z jadalni. Za nim wyszła hetmanówna, Korejwo także gdzieś znikł, jak kamfora. Kacper patrzał na mnie z przerażeniem.

— Jaśnie pan pójdzie... tam... do zamku?... Oj, jaśnie panie... oj, lepiej nie...

Poklepałem go po ramieniu wesoło, wychodząc z pokoju, gdy umiejscowił mię głos babki.

— Roman! — zawołała ostro.

Zbliżyłem się do niej, odsyłając Kacpra za drzwi. Stała wyprostowana, oparta o poręcz krzesła, bardzo blada, ze ściągniętemi brwiami i grozą w oczach.

— Pójdziesz tam, naprawdę?...

— Pójdę... babciu.

— Masz silne nerwy?...

— Ależ zapewniam cię, babciu, że się niczego nie boję... odwiedzę Paschalisa, zobaczę, co mu jest.

— Do sali... głównej, mahoniowej, nie idź... posłuchaj mnie, Romek.

Spojrzałem na nią uważnie, była wzruszona. Podała mi długą, suchą rękę. Ucałowałem ją serdecznie. Staruszka ta była dla wszystkich zimna, odpychająca, ale w jej wzroku, skierowanym na mnie, dostrzegam czasem jakiś cieplejszy promień.

Przeprowadzony przez Kacpra, podążyłem do zamku. Środkowe okna głównego gmachu błyszczały tak samo jak wczoraj srebrnym, błękitnym blaskiem, nienaturalnym, jakby wewnątrz świecił księżyc w pełni.

— Są to okna bibljoteki i głównej sali mahoniowej, w której jest portret pana... Hieronima Poboga — informował Kacper.

Na dziedzińcu, przy gaju drzew, stało pełno ludzi, wszyscy patrzyli na oświetlone okna — szeptali w przerażeniu, że to niebywała rzecz, aby światło pokazywało się tak często, ale to pewno dlatego, że *on* przyjechał. W owym *on* domyślałem się siebie. W gromadzie dostrzegłem świdrujące oko Bogdziewicza; wpiło się ono we mnie jak kleszcz w ciało.

Spojrzałem mu śmiało i ostro w to oczko małe, ale szczególne, koloru ciemnej stali i zjadliwe, jak ostrze sztyletu. Na mój widok powstał szmer w gromadzie.

— To on... to on... patrzcie — Pobóg... — usłyszałem wyraźnie.

— I sam... sam idzie?...

— Jonże tam może iść, jemu nic złego tam nie będzie — rzekł ktoś głośniej. Miałem wrażenie, że Bogdziewicz.

Stanęliśmy przed bocznem wejściem do zamku. W tejże chwili Kacper jakby się rozwiał w ciemnościach. Uciekł.

Zawołałem go, nikt się nie odezwał, w gromadzie milczano głucho. Nacisnąłem klamkę, ciężką, żelazną, drzwi dębowe, okute antabami, z trudem ustąpiły.

Teraz przeciągły okrzyk zgrozy jęknął w gromadzie skupionej na dziedzińcu.

Zamknąłem za sobą drzwi, ogarnęły mnie ciemno-

ści i stęchły zapach niewidzianego wnętrza. Zapaliłem zapałkę, lecz zgasła natychmiast pod wpływem wilgoci i powietrza. Jednakże przez tę sekundę światła zdołałem zauważyć drzwi w głębi tej sionki. Trafiłem do nich po omacku. Ciężkie oddrzwia uchyliły się cicho, błysnęło mdłe światełko w ciasnej izbie. Wszedłem, zatrzymując się na progu.

Na łóżku pod ścianą siedziała skurczona figura męska, plecami do mnie. Człowiek ten pochylony nad łóżkiem, rozmawiał półgłosem z kimś leżącym na pościeli. Domyśliłem się, że to Paschalis i Krzepa. Niezauważony, usłyszałem przyciszone ich głosy.

— Mówił co do was?

— Nie... pokazał na papiery, które zawsze ma przy sobie. Dobrze ja jego rozumiem, wiem, czego chce... Ot co!... kiedy nie było, to nie było, ale kiedy jest, żyje i przyjechał, to Krąż do niego należy... Ksiądz drugą noc przychodzi do mnie, taki straszny! Drugą noc światło w zamku... Boże zmiłuj się... pewno on potępiony...

— On by zaś znowu? taki święty?... prędzej stary...

— Stary umarł z czystem sumieniem, Staremu nic, to Halmozena pokuta.

— Jak tak będzie dalej...

Chrząknąłem i podszedłem do nich. Człowiek siedzący na łóżku zerwał się na odgłos kroków, ale gdy on i leżący Paschalis ujrzeli mnie, na twarzach ich odbiło się wyraźne przerażenie. Skinąwszy głową na niskie, za niskie stanowczo ukłony starego borowego, który ucałował moje ręce z powagą, zacząłem wypytywać Paschalisa, co mu jest. Był jeszcze bardziej żółty, niż dziś rano. Twarz jego pergaminowa mogła być twarzą nieboszczyka, gdyby nie te żywe, palące oczki zielono-żółte, które

jak małe płomyki żarzyły się i wżerały we mnie z zachłanną jakąś chciwością. Patrzył tak na mnie, patrzył długą chwilę, nagle i on chwycił moją rękę i przycisnął do zwiędłych, zapadłych ust.

— Dziękuję jaśnie panu pokornie, że zechciał mnie starego odwiedzić. Ja już stary jestem — jaśnie panie, stary... bardzo stary.. i jaśnie pan mnie chciał...

— Nie jaśniujcie mnie, bo ja tego nie lubię...

— A! inaczej nie można, nie można — mówił z głębokiem przekonaniem.

O chorobie jego dowiedziałem się tylko tyle, że borowy znalazł Paschalisa zemdlonego w głównym korytarzu zamkowym i przyniósł go sam na łóżko.

Spojrzałem na niego — mógł tego dokonać, chłop był wysoki i tęgi, jak dąb, chociaż także bardzo już stary. Na kurcie myśliwskiej skórzanej, wytartej, nosił blachę strzelecką, wypolerowaną jak lustro złote na której ujrzałem koronę szlachecką, pod nią zaś, w miejscu, gdzie powinien być herb, blacha była tak pogięta, połamana i wklęsła, że nic nie mogłem odróżnić. Domyśliłem się jeno herbu Zatorzeckich.

— Jakaż przyczyna zemdlenia? — spytałem.

Paschalis spuścił oczy, a stary Krzepa szepnął tylko tajemniczo.

— Jaśnie pan widział, zamek znowu oświetlony?....

— Pocóż Paschalis zapala światło? — zaryzykowałem bez przekonania, co prawda.

Słowa moje wywarły wrażenie szczególne. Paschalis zatrząsł się, otworzył szeroko oczy i wlepił je we mnie z wyrazem nieopisanego zdumienia i strachu. Krzepa zbladł i także wpatrzył się we mnie wzrokiem przerażonym, przeżegnał się z widoczną trwogą.

Długa chwila ciszy. — Powtórzyłem pytanie.

— Niech jaśnie pan tak, broń Boże, nie mówi — szepnął borowy — tu nikt nie oświetla. To... to jasny panie, stary pradziad jasnego pana Hieronim Pobóg.... Te światła w oknach nie są tak straszne, ale zawsze niesamowicie patrzyć, bo i dawno nie świeciły. Gorzej jak duch pokazuje się w korytarzu głównym, albo na krużganku frontowym. To samo co jasny pan, mówili z początku i Zatorzeccy i... ot uciekli do pawilonu. Tu nikt z nich nie zajrzy, choćby Paschalis umierał.. A jemu już nie długo.... Te widma jego okrutnie mordują, on wtedy jak martwy chodzi, ni siak ni tak do niego gadać, sam na spectra wygląda.... i potem nic nie pamięta co się działo.

— Chciałbym obejrzeć zamek, czy pójdziecie ze mną? — spytałem Krzepę.

Paschalis ciężko dźwignął się na łóżku.

— Ja pójdę.

Zacząłem go wstrzymywać ze względu na jego chorobę. Nie dał się przekonać. Ociężały, ale radośnie ożywiony, ubrał się w odwieczną szubę i ruszył naprzód z kagankiem w ręku. Ja podążyłem za nim, na końcu szedł borowy. Pomimo serdeczności, jaką mi okazywali obaj starcy, byłem pewny, że zaczną mię sugestjonować strachami. Śmiałem się w duchu z ich rozczarowań. Minąwszy korytarz ciemny, przypominający klasztorny, weszliśmy do pierwszej komnaty również ciemnej. Rozglądałem się ciekawie. Sala długa i szeroka była zapewne niegdyś balową. Na ścianach zwisały stare obicia, dawniej białe jedwabne, teraz rude, jakby w glazurze woskowej, pogryzione gęsto przez mole, rozpaczliwe resztki dawnej świetności. Tu i owdzie połyskują na meblach stare zło-

cenia, zczerniałe ramy, obtłuczone politury. Sala ta pełna woni stęchlizny i cuchnącego swędu szczurów, z temi połyskami złoceń i atłasów, nasunęła porównanie do starca wyczupurzonego, a pełnego pretensji i blichtru.

Następne pokoje, mniej lub więcej umeblowane, czyniły wrażenie przykre, nie zachęcały. Mijałem je, nie widząc nic osobliwego.

Paschalis głosem monotonnym wymieniał mi nazwę każdej komnaty, szedł prędko, nie patrząc na boki, jakby się czegoś lękał. Nieskończona ilość była tych izb obszernych i małych z posadzkami kamiennemi i drewnianemi, wśród bardzo grubych murów, najczęściej o sufitach sklepionych z wąskimi oknami, za kratą żelazną. Znać tu wielkie bogactwo antyczne pleśnią okryte. Coś niesamowitego istotnie błąkało się w tych komnatach, szepcząc do przechodnia „uciekaj". Ale ja wrażenia takie kładłem na karb sugestji; nic się tu nie błąka, niema nic więcej nad ponurą ruinę i pustkę, która ziębi, oto wszystko. Broniłem się od tej zmory, męczącej mnie od chwili, gdym tu wszedł. Odrzucałem od siebie przesądy tembardziej, iż nie podlegałem im nigdy. Jednakże cały mój instynkt samozachowawczy był jakby skierowany tylko na to, by nie lękać się czegoś, co tu przeraża mimowoli i by uciec stąd jak najprędzej.

Komnaty zdawały się nieskończone na parterze i piętrach, szły w amfiladę, załamywały się w różnych kierunkach i pod różnemi kątami, były tego szeregi, drażniące swym nierozerwalnym łańcuchem.

— Ile jest komnat w zamku? — spytałem, aby coś mówić i choćby swój własny głos usłyszeć w tym głuchym labiryncie murów.

Paschalis spojrzał na mnie wzrokiem przestraszo-

nym. Palec położył na ustach ostrzegawczo. Nie odezwał się ani słowa i poszedł naprzód przyśpieszonym krokiem. Krzepa wskazał mi wielkie drzwi dębowe, okute bronzem. Ujrzałem na nich rzeźbione herby Pobogów. Jąłem je uważnie rozpatrywać. Zauważyłem, że Paschalis zamienił z Krzepą parę cichych słów.

Sięgnąłem do klamki, otworzyłem drzwi. Na progu zatrzymałem się nieco stropiony. Sala była bardzo duża, ciemna najzupełniej, a wszak to w niej błyszczało księżycowe światło. Nie czekając na Paschalisa i Krzepę postąpiłem w głąb sali prędkim krokiem, rozświetlając ciemne wnętrze lampką elektryczną, którą noszę w kieszeni.... Znowu zaduch stęchlizny.... Szmery znamienne uciekających przed światłem gryzoniów. Obejrzałem się — Paschalis i borowy stojąc na progu majstrowali około czegoś szepcząc półgłosem.

— Dlaczego nie idziecie za mną? — spytałem.

— Trzeba wziąść więcej światła — brzmiała odpowiedź.

Badałem salę za pomocą mej lampki. Nigdzie najmniejszego śladu, który by usprawiedliwiał pochodzenie księżycowego blasku w oknach tej potężnej mahoniowej sali. Jednak okna błyszczały jeszcze wtedy, gdy wszedłem do zamku. Zaciekawiony niebywale, zajrzałem do każdego kąta, ale nigdzie nic, oprócz grubej warstwy kurzu, nie zauważyłem ani jednej lampy, ani świecy, nic w tym rodzaju.... Zdumiewająca zagadka intrygowała mnie drażniąc swą tajemniczością. Jakaś halucynacja czy sugestja.... ale czyja?.... bo przecie nie autosugestja. W tej chwili wszedł Paschalis, podtrzymywany silnie pod ramiona przez Krzepę, niósł bowiem w obu rękach ogromny świecznik bronzowy. Dziewięć świec wosko-

wych, pierwszy raz zapalonych, w trzech kondygnacjach gorzało żółto-czerwonem płomieniem. Środkowa świeca najwyższa chwiała się w oprawie, kapiąc woskiem niby łzami bursztynu. Spojrzałem na świecznik. Na ciężkiej podstawie wyobrażającej krótki pancerz rycerski, wznosiły się trzy kopje złączone na krzyż, a spięte w środku wiązania tarczą herbową Pobogów, z płaskorzeźbą herbu naszego. Kopje podtrzymywały ramiona, na których były lichtarze w kształcie hełmów z przyłbicami. Sztuka niezwykle okazała, ciężka, ale piękna, w swym archaicznym bogatym stylu.

— Dwanaście takich było w skarbcu naszym, kiedy, świeć panie jego duszy, pradziad jasnego pana, Hieronim... tu obecny... życie zakończył... Ale pan Ksawery Zatorzecki wszystkie zabrał, tylko ten został, bom go... wykradł ze skarbca — rzekł uroczyście Paschalis.

Nie spuszczał ze mnie oczów załzawionych, widocznie uradowany, żem zwrócił uwagę na świecznik.

— Ciekawy antyk!... i mówicie, że takich było dwanaście?.... Ho, ho! sto ośm świec tak grubych jak te, to i w tej sali możnaby szpilki zbierać. — A gdzież przechowaliście tę jedną sztukę?....

— Mam takie miejsce.... czekałem długo, żeby nim oświetlić jasnemu panu Pobogowi wejście do tej sali mahoniowej, gdzie wszystkie te świeczniki zawsze paliły się razem i.... gdzie, świeć Panie nad jego duszą, pradziad jasnego pana, Hieronim Pobóg, tu obecny, życie zakończył....

Zastanowiły mnie te słowa powtórzone dwukrotnie, a dziwne.

— Jakto.... tu obecny?

Paschalis prędko postąpił naprzód i podniósł świecznik wysoko w górę.

— Jasny pan stoi przed portretem pradziada, panie świeć jego duszy, Hieronima Poboga.

Spojrzałem przed siebie i.... zastygłem w zdumieniu....

Stałem jakby przed swoim sobowtórem. Co to jest?... portret czy żywy człowiek?.... Zapatrzyłem się, bez słowa bez ruchu.... Światło świec migotliwe, od drżącego w rękach Paschalisa świecznika, oświetlało wyniosłą postać młodego mężczyzny w czamarze polskiej. Twarz ściągła, smagła, rysy wydatne, ciemne nieduże wąsy, brwi gęste, oczy piwne bardzo przenikliwe, jest w nich jakaś olbrzymia energja i groza... Rękę ma opartą na poręczy rzeźbionego krzesła z tak przedziwną siłą, że zda się złamie dębową poręcz... Jest władza despoty, w tej postaci człowieka. Nie widzi się ciężkich ram okutych bronzem, w których postać ta wyniosła jest uwięziona, bo to chyba nie portret, to żywy człowiek!.... a zarazem to przecie moja twarz, jakbym patrzał na siebie w lustrze... Przetarłem oczy zdumiony.

— Pradziad jasnego pana, kiedy był młody i obejmował Krąż po ojcu swoim — szepnął Paschalis. — Jasny pan taki sam... taki sam... że aż strach patrzeć. Bo zdaje się... że z portretu tego wyszedł... Ja... wiedziałem, że Pobóg wróci do Krąża, ale żeby zupełnie taki sam, jak ten... choć i rodzony prawnuk, tom... nie myślał...

Ostry, starczy szept Paschalisa wywołał u mnie dreszcz niemiły. Patrzyłem bez słowa na portret — na mój sobowtór... Byłem zahypnotyzowany tem podobieństwem. Jednocześnie błąkała się myśl zdumiona... i spłoszona... Ja ten portret już widziałem...

Gdzie?.... ależ napewno?....

Nagle olśniewa mnie świadomość rzeczy.

— To mój sen.... to mój uparty sen....

Wzdrygnąłem się.

— Jasny panie!....

Dałem znak Paschalisowi, aby nie przeszkadzał i patrzyłem... patrzyłem... Blask świec czerwono-żółty, pełzając po bladej twarzy portretu, ożywiał ją w szczególny sposób. Oczy piwne mówiły, mówiły coś najwyraźniej, wpijały się we mnie z nakazem i mocą jakiejś woli niepojętej a władczej.... brwi jeżyły się gniewnie, usta pod małym ciemnym wąsem drgały życiem.... zaraz przemówią.... ręka oderwie się od poręczy krzesła i człowiek ten wystąpi z ram..., stanie tu przy nas.... a może pójdzie naprzód, gdzieś w mrok sali, by mnie prowadzić... jak tam ten... ze snów, by mi coś nakazywać, coś wskazując.

Byłem zdenerwowany, przykuty do miejsca i wpatrzony w portret, zrozumiałem, że trzeba odejść, chcąc być panem siebie i zachować zupełny spokój wobec służby... Dreszcze zimne obsypywały mię gradem kolącym. Zapragnąłem nagle powietrza, ruchu przestrzeni. Przedewszystkiem oddalenia się od tego portretu sobowtóra, wpatrzonego we mnie i z pod upartego wzroku Paschalisa i Krzepy....

Ocknąłem się obrzuciwszy wzrokiem salę.... Cała ściana długa i ciemna obwieszona postaciami portretów... Ujrzałem na sobie mnóstwo oczów.... i miałem tego dosyć, doprawdy dosyć. Dawniej śmiałbym się z takich wrażeń, dziś ani chwili nie zostałbym tu dłużej. Skinąłem na Paschalisa i prędko opuściłem salę. Niewiem jak przebiegłem ten zator komnat i salonów. Paschalis i Krzepa zaledwo za mną zdążyli. W jakimś korytarzu,

stary kamerdyner, który oddał już świecznik borowemu, ujął mnie delikatnie za rękę.

— Jasny panie?!...

Wydawał się cały w jednym znaku zapytania zawarty. Zrozumiałem go.

— Przyjdę jutro zwiedzić dokładniej — odrzekłem mu i ruszyłem dalej pragnąc, by czemprędzej znaleźć się wolnym.... Nareszcie!.... Błądziłem długo po nocy w parku, chłonąc świeże powietrze przepojone zapachami kwiatów. Późno wróciłem do pawilonu. O spaniu nie było mowy, pisałem długo, długo.... gdy nagle przerwałem pisanie, bo uniosły mnie z miejsca tony muzyki Gabrjela.... W pewnym momencie rozbrzmiał nią cały pawilon... Cudowny akord po wrażeniach wieczornych, po wizycie w zamku tajemniczym. Nerwy moje, roztargane bezprzykładnie, muzyka ta koiła, cudów dokazywała ze mną. Cóż za artysta! Nie miałem pojęcia, by on mógł tak grać. To Blüthner śpiewał pod jego palcami. Natchniony artysta i natchniony instrument. Te melodje to był hymn nocy najwznioślejszej, bo hejnał zamczyska, opiewający epokę rycerską, hejnał triumfu samej muzyki. Pieśń nieziemska. Gdy te akordy dostojne uderzyły w ciszę nocy doznałem wrażenia, że genjusz muzyki zatrzymał się w przelocie nad Krążem i rozsnuł tu pieśń zachwytu i czaru.

Otworzyłem cicho wszystkie drzwi wiodące w stronę sali, skąd płynął ten urok melodji. W małym salonie, bezpośrednio obok sali, gdzie grał Gabrjel, stałem oparty o futrynę drzwi i... jakkolwiek egzaltowany nie jestem, to jednak czułem, że przy tej muzyce nawet umrzeć było by łatwo. Gabrjel wyrósł nagle w moich oczach. Więc on posiada taką potęgę duchową?.... Tego się w nim nie do-

myślałem. Tak odtwarzanego Beethovena nie słyszałem nigdy. I co za różnorodność talentu. Po brawurze i niesłychanej precyzji wykonywanych sonet Beethovenowskich, przesubtelność w odczuciu Chopina wprost genjalna. Marzyły nokturny, śniły proludja..., zdawało się, że to nie palce człowieka, lecz dotyk skrzydełek motylich wyrywa z klawiszów te zaczarowane tony. Zasłuchałem się zapomniawszy o całym świecie. W duszy budziły się nowe uczucia, nieznane mi dawniej, myśli głębokie nasuwały się do mózgu, ale przedewszystkiem całą istotą swoją żyjącą i myślącą oddałem się tej muzyce. Ona mogła mnie w tym momencie przeistoczyć, zrobić ze mnie innego człowieka, nie oparłbym się niczemu, co by wówczas nakazała cudem swej przedziwnej nocy.

Zapomniałem o Krążu, o zamku tajemniczym, o portrecie-sobowtórze. Jak długo trwało moje zasłuchanie się i ta pieśń-bajka, pieśń-epopeja niewiem, — tylko gdy chwilami milkły tony, doznawałem wstrząsu z obawy by nie zgasły zupełnie. Każdy nowy utwór witałem błogosławieństwem rozradowanej duszy.... I oto w pewnej chwili zapadłem w marzenia haftowane na tle wspomnień.

Muzyka huczna w onej minucie, jakaś uwertura Wagnerowska, przeniosła mnie nagle w głąb lasów czarnych nad Dunajec, gdzie stare wyniosłe mury walą się w gruzy. Ujrzałem antyczną wieżę pałacu, spiętrzone głazy kamienne, basztę, na której od lat już, nie powiewa zwinięta chorągiew herbowa byłych właścicieli — Sławohora... Dokoła ni to park ni las starodrzewia. Dęby, jakich się nie widuje teraz, platany olbrzymie, a dokoła góry, lasem porosłe zwartym jak nieprzebyte ściany....

Przy grupie platanów, oparta głową o oliwkowoszarą korę drzewa, na ławce kamiennej, mchem wieko-

wym okrytej.... *ona*.... ta wytęskniona, cudna, utopja — wizja. Zapatrzona w łańcuch gór, zasłuchana, w nocturny marzeń, czy szumu fal Dunajca, czy w te wagnerowskie akordy, których i ja słuchałem z nabożeństwem?.... Jak się te akordy kojarzą z fizjonomją i otoczeniem Sławohory. Dzikie, huczne, szarpiące a jednocześnie wzniosłe. Lot ku wyrzynie wolny, szeroki.

Gdy uwertura skonała i cisza zaległa dokoła, jeno echem tonów drgająca — ocknąłem się jak ze snu, ale z bólem, że sen się przerwał. Co śniłem?... Skąd ona?... nie znam Jej, jak żyję nie widziałem podobnej...

A wszak jestem w Krążu... i to nie grały góry ni fale rzeki... jeno grał Gabrjel... Ona nie słuchała tej muzyki, bo ona nie egzystuje, słuchałem sam... Dlaczego ta utopja, wizja Jej postaci wyśnionej, ukazuje się mnie zawsze jednocześnie z wizją i wspomnieniem Sławohory? Na dworze świtało. Muzyka umilkłszy, nie odezwała się więcej... Echo jej rozprysnęło się w ciszy, by może ulecieć poza Krąż, hen... ku niej... o ile ona istnieje... i o ile echa wagnerowskiej pieśni przepojone mojemi marzeniami, wnikną w jej duszę siłą sugestji czy telepatji...

Zaczynam być nieprzytomnym, wróćmy do porządku myśli i czynów... wróćmy do Krąża.

O, to przedewszystkiem! Muzyka Gabrjela odrzuciła mnie daleko od przedmiotu czysto realnego, od zamku w Krążu. Muszę skupić myśli i... otrząsnąć się z marzeń.

19 czerwca.

Przez tych kilka dni byłem pod wrażeniem muzyki Gabrjela. Gdy powiedziałem mu o tem, zachmurzył się i odburknął niegrzecznie, unikając wogóle rozmowy na ten temat. W tej chwili znowu gra. Posiada on nietylko doskonałą technikę, lecz i olbrzymią skalę uczucia, co się u niego wogóle nie uzewnętrznia. Jednakże zdaje się, że moje zachwyty nad jego muzyką, zrobiły mu przyjemność, pomimo, że się do nich odniósł tak nieżyczliwie. To natura skryta, zapewne nieufna w stosunku do ludzi. Dziś rozmawialiśmy z sobą dłużej i wnioskuję, że szczerość jest dla niego dźwiękiem pustym, pojęciem w jego naturze nie istniejącem. O mojej wizycie, onegdaj u Paschalisa w zamku nie wspomniał ani słowem, więc i ja milczałem. Wczoraj przy obiedzie babka Gundzia spytała mnie krótko, jak zdrowie kamerdynera — opowiedziałem przeto swoją bytność u niego. O częściowem zwiedzeniu zamku zamilkłem, sam nie wiem dlaczego. Babka była zasępiona, wszyscy jak zwarzeni. Rządca Korejwo rzucił pytanie, jak mi się podoba borowy Krzepa, a na moją odpowiedź pochlebną, odrzekł kiwając głową znacząco:

— Ho, ho, to mądry chłop! on nietylko wie, jak trawa rośnie, ale nawet jak rosną korzenie trawy. To wielki przyjaciel Paschalisa.

Podczas zamiany tych słów, babka okazywała niepokój szczególny. W twarzy staruszki jest zastygły ból i trwoga. Robi wrażenie, że ciągle się czegoś obawia, jakby miecz Damoklesa wisiał nad nią i jakby oczekiwała ciosu lada chwila. Jest zamknięta w sobie, mało-

mówna, Gabrjela nie lubi, zawsze na niego patrzy niechętnie i docina mu w sposób przykry, za co on dłużnym nie pozostaje. Jest jej jedynym wnukiem po synie Konstantym. Dwaj inni jej synowie i córka nie żyją. Jeden z nich zastrzelił się, córka utonęła w rzece. Istotnie tragiczna rodzina. Dla mnie babka Gundzia jest wyjątkowo uprzejmą, zdaje się, że już to wszyscy spostrzegli i że ich to dziwi. Ta uprzejmość, czasem zakrawająca na serdeczność, krępuje i mnie wobec niej, tembardziej, że źródła tych objawów nie odgaduję.

Wczoraj po obiedzie, chodząc po parku, spotkałem Weroninkę. Zaczepiła mnie sama z wdzięcznym uśmiechem i zalotnym wyrazem dużych, niebieskich oczów. Sprytnie zaczęła rozmowę na temat Krąża, prowadząc mię bardzo zręcznie w dziką pustosz parku. Kokietuje z wprawą godną podziwu. Jest młodziutką, a już wytrawną zalotnicą. Nadzwyczaj swobodna i pewna siebie nie wygląda co prawda na ogrodniczkę z zapadłej wsi, raczej na pannę miejską, zupełnie świadomą swej urody i wdzięku. Rozglądała się niespokojnie, jakby oczekując kogoś, lub może lękając się, że nam kto przeszkodzi w rozmowie. To ostatnie przypuszczenie wydało się prawdziwsze.

Zacząłem tedy grę, chcąc wypróbować panienkę. Celowo już odsuwałem się z nią coraz głębiej w cieniste aleje parkowe. Zauważyła to odrazu i ujrzałem triumfujący uśmieszek na jej ustach. Spojrzała mi zalotnie w oczy. Przysunęła się do mnie ciasno ramieniem. Szepnęła zdyszana:

— Pan jest zupełnie inny, niż pan Gabrjel, ale to zupełnie inny, jakby był całkiem obcy.

Łatwo było odczuć, że w akcentowaniu tej różnicy chciała pochlebić mnie.

Zaśmiała się figlarnie, szczebiocąc z umizgiem...

— Chociaż pan taki przystojny, ale pan okropnie podobny do tamtego z portretu i Pobóg, więc wszyscy się tu pana boją, właśnie dlatego, że pan jest Pobóg.

— To chyba najmniejszy powód do strachów — rzuciłem niechętnie.

— Owszem, bo tu o Pobogach nigdy nie mówiono, a jeżeli się kto odważył, to chyba szeptem.

Zamyśliłem się nad tym szczegółem, tak bardzo podobnym do identycznej sytuacji w Uchaniach, różniącej się jedynie zmianą nazwiska. Dotknęło mnie to w sposób przykry. U nas nie mówi się o Zatorzeckich, tu o Pobogach. Jakże nieubłaganie odsunęły się od siebie te dwie rodziny, z jednego pnia wyrosłe! Czyżby powodem tego był ów fakt niesprawiedliwego wydziedziczenia syna na korzyść córki przez pradziada? Ale w takim razie zrozumiałą byłaby tylko niechęć Pobogów do Zatorzeckich, dlaczego istnieje to samo i ze strony przeciwnej?...

— Ja pana widocznie nudzę!?...

Gniewne słowa Weroninki zbudziły mię z zamyślenia. Parsknęła, jak rozkapryszona kotka.

— Pan mnie wcale nie widzi! Czy ja jestem taka, że mnie można nie widzieć? Pan Gabrjel mówi, że to niepodobieństwo.

Zacząłem ją uspokajać w tym samym tonie. Nagle na końcu aleji ukazał się Gabrjel. Szedł, rozglądając się, widocznie nas nie dojrzał. Weroninka śmiała się zdławionym chichotem.

— Pan Gabrjel mnie wypatruje. Nie można ukryć się przed nim na krok, ale że prawie ślepy, więc pan

mógłby mnie nawet całować, a on nie zobaczyłby napewno.

— A gdyby?... wówczas straszyłbym w Krążu nie jako żywy, lecz jako umarły. Co?...

— A pan dałby się zabić dla mnie... bo pan Gabrjel pozwoliłby się za mnie porąbać, za to ręczę. On mnie strasznie kocha.

— Aż strasznie?... Gabrjelu, tu jesteśmy — zawołałem.

Śmieszna mina Zatorzeckiego, węszącego jak wyżeł za zwierzyną, ubawiła mnie.

— A... ładnie! — pisnęła Weroninka — to zamiast się ze mną schować, pan jego woła?

— Teraz już zapoźno, niestety...

Gabrjel podszedł szybko i przyjrzał się najpierw mnie, potem Weronince.

— Szukam was po całym Krążu.

— Was, czy mnie? — zapytała kokieteryjnie i wsunęła rękę poufale pod ramię Gabrjela, zaglądając mu pod jego monokl. Zatorzecki uśmiechnął się po swojemu, krzywiąc usta. Zerknął na mnie niechętnie i zaczął coś szeptać do Weroninki. Skorzystałem z pierwszej uliczki bocznej, by ich zostawić sam na sam. Po chwili rozległ się śmiech ogrodniczki, piskliwy, nieprzyjemny. Obejrzałem się. Z poza drzew ujrzałem głowę dziewczyny na ramieniu Gabrjela i twarz jego nad jej twarzą.

Zatem wszystko w porządku.

Postanowiłem iść do zamku. Skierowałem się przez trawniki do tarasu, bez wielkiej nadzieji, że tędy wejdę do wnętrza gmachu. Drzwi w kształcie tarcz były zawarte szczelnie. Chciałem raz jeszcze w pełnem świetle obejrzeć ich antyczne okucia i budowę, której topory,

ani chyba kule nie potrafiłyby roztrzaskać. Przy tych potężnych oddrzwiach wydawałem się prawie małym, pomimo, że jestem wysokiego wzrostu. Po chwili usłyszałem wewnątrz zgrzyt rygli. Odsuwano tam żelazne sztaby. Dębowe zawory rozchyliły się ciężko, z ostrym skrzypem zardzewiałych zawias i w progu stanął Paschalis, w tym samym kostjumie, w którym go ujrzałem poraz pierwszy. Żółty, jak stary wosk, oczy miał zaczerwienione, twarz bardziej obwisłą. Usta zwiędłe, trzęsły się, ręce mu drżały. Zrobił szeroki gest ramionami, wskazując mroczne wnętrze.

— Jaśnie wielmożny pan pozwoli, cały zamek na usługi jaśnie pana, dziedzica wielkiej fortuny Krąża i sławnego nazwiska Pobogów.

Patos ten zdumiał mnie i rozgniewał. Dość szorstko zabroniłem mu tytułować się w ten sposób. Powiedziałem mu, że jestem gościem w Krążu i dalekim kuzynem Zatorzeckich i że mu zapowiadam, by zaprzestał swoich pochlebstw. Paschalis skłonił się tak, że prawie dotknął moich kolan i rzekł z uroczystą powagą:

— Jaśnie wielmożny pan jest prawym dziedzicem Krąża, a Zatorzeccy są tu gośćmi tylko.

Wzruszyłem ramionami. Stary maniak — pomyślałem rozbrojony i ubawiony miną i całą postawą kamerdynera. Wyglądał, jakby witał monarchę, wstępującego na tron. Położyłem mu dłoń na ramieniu z uśmiechem pobłażliwym, prosząc go, by pokazał dalszy ciąg zamku. Skłonił się uszczęśliwiony, a w oczach miał płomień szczególnego zadowolenia. W milczeniu zaryglował drzwi. Po przebyciu kilku komnat mniej ciekawych, weszliśmy do sali portretowej. Patrzyłem znowu na portret pradziada, jakbym patrzał na swój własny w innych co-

kolwiek akcesorjach. Paschalis stał poza mną i nie odzywał się przez parę minut, wreszcie zaczął dowodzić o nadzwyczajnem podobieństwie mojem do pradziada. Mówił, że i dziadek Marceli był podobny do swego ojca, lecz ja jestem jego sobowtórem. Spytałem go, czy znał mego dziada. Paschalis uśmiechnął się jakimś rozdzierającym uśmiechem, a na policzkach wystąpiły mu ceglaste plamy.

— Znałem młodego pana, a jakże, ale najlepiej znałem pana Hieronima.

— Znaliście osobiście pradziada? — zawołałem zdumiony.

Paschalis wyprostował się z godnością.

— Ojciec mój Kryspin był kamerdynerem przy panu Hieronimie przez 35 lat; gdy umarł, ja objąłem po nim obowiązek i spełniałem go wiernie przez dwadzieścia lat. Kochałem pana, jak ojca i byłem przy śmierci jego.

— Więc ileż lat liczycie sobie teraz?

— Stary jestem, to jedno wiem dobrze. Miałem coś niespełna siedemnaście lat, jak stanąłem do służby przy boku pana, a pan Hieronim umarł czterdzieści jeden lat temu, jak wiadomo. Te lata sieroce już dla mnie, lata-wieki, trwam ciągle jakby przy jego boku. Krzepa liczy sobie siedmdziesiąt trzy, a młodszy on odemnie, to wiem. Krzepa był z panem Marcelim w powstaniu w sześćdziesiątym trzecim roku, razem wojowali, a potem z pola bitwy pod Węgrowem Krzepa wyniósł rannego pana na rękach swoich, ukrył go w chłopskiej chałupie i młodą panią tam sprowadził, żonę pana Marcelego z synkiem, jedenastoletnim Pawłem.

— Z moim ojcem — zawołałem.

— Tak jest. Krzepa z panią leczyli rannego i ukrywali go przed moskalami. A gdy już mógł chodzić, Krzepa dopomógł państwu do ucieczki z kraju za granicę, bo inaczej pan Marceli byłby zesłany na Syberję... Jak wyjechali, tak i zginęli, od tej pory ślad wszelki przepadł.

— Więc nie znaliście mego ojca? — spytałem.

— Ja nie znałem, tylko Krzepa, bo pan Marceli po ożenieniu się nie był w Krążu ani z żoną, ani z synem. Pan Hieronim nie dał błogosławieństwa na to małżeństwo, bo choć młoda pani była jak kwiat na łące, ale że nie z pałacu, ani ze dworu, jeno z miasta... to i ojciec za to wyrzekł się syna, znać go nie chciał... ot już takie nieszczęście!

Patrzyłem na starego ciekawie. Ile uczucia jest w tej twarzy wyjątkowo charakterystycznej, jaki wyraz bólu i żalu, jaka inteligencja w oczach.

Paschalis z nagłą determinacją drżącemi ze wzruszenia ustami, zaproponował mi przejść do zamkowej bibljoteki, gdzie opowie wszystko. Wskazał ręką na prawo ruchem przywołującym i nakazującym, znajomym mi dobrze z moich snów. Tylko w snach przywoływał mnie w tym samym kierunku pradziad, wychodząc z ram portretu.

Bibljoteka, przytykająca prawie do sali portretowej, mroczna już była nieco o tej godzinie przedwieczornej, pomimo czterech wielkich okien, z których dwa są weneckie. Komnata jest duża, okrągła, z wnękami w murze, których tu wogóle pełno. Ściany pokrywa ciemny, wypłowiały adamaszek, z tłoczonym deseniem złotych lwów, połyskującym smutnie na tle już nieokreślonego koloru jedwabiu. Ściany te przypominają starą szatę, zdjętą po

wiekach ze strychu. Posadzka pokryta całkowicie pięknym kobiercem, pogryzionym przez mole, co mu nadaje wygląd wyłysiałego eleganta, gdzieniegdzie bowiem błyszczy żywym kolorem jakiś motyw deseniu, urągający wytartym placom, jakby gołej czaszce.

Środek komnaty zajmuje stół okrągły mahoniowy, na staroświeckich krzyżakach, na nim ciężki posążek Napoleona, cały z bronzu, bardzo piękna sztuka. Dokoła leżą stare księgi, oprawne w zamsz, biblja w czerwonej skórze, tłoczonej w złote desenie, przedstawiające sceny z tekstu. Dokoła ścian rozpierają się szafy ciężkie, oszklone, półki olbrzymie, pełne ksiąg pyłem okrytych. Ponura to komnata i chłodna, ale niezmiernie ciekawa. W głębi naprzeciw okien, a pomimo to w cieniu stoi starożytny antyk zegar, w szafce wysokiej, rzeźbionej. Ogromne wagi mosiężne na łańcuchach zwisają apatycznie. Potężne wskazówki unieruchomione na godzinie piątej. Można się domyślać, że gdy ta machina wyda głos, usłyszy go napewno cały zamek, cały Krąż. Uwagę tę zrobiłem głośno.

Paschalis podniósł rękę uroczyście i rzekł, akcentując słowa znamiennie.

— Ten zegar stanął w godzinie zgonu pana Hieronima Poboga, o piątej rano. Wybił piątą, gdy pan wydał ostatnie tchnienie. Od tej pory on głuchy, ale o nim jest wróżba księdza pokutnika Halmozena, którą wypowiedział przed samą śmiercią, że zegar uderzy znowu, gdy Pobóg, prawy dziedzic Krąża, odnajdzie i obejmie dziedzictwo.

Zapewniłem go ubawiony, że najlepszym dowodem, iż nie jestem prawym dziedzicem, jest fakt, że zegar milczy. Paschalis podniósł dłoń do góry, jak natchniony.

— Poczekajmy, gdy jasny pan odnajdzie testament.

Zanim zdążyłem spytać go, jaki testament, opowiedział mi, że tej nocy, co przyjechałem do Krąża, on spać nie mógł, coś go trapiło i męczyło; poszedł do bibljoteki, sam nie wie po co i ujrzał przed sobą księdza Halmozena ze zwojem papierów. Widuje go często, ale owej nocy duch pokutnika prześladował go wyjątkowo. Do rana nie spał, a rano coś mu nakazało otworzyć drzwi główne, wiodące do zamkowej sieni, czego nigdy nie czyni i... odrazu ujrzał przed sobą... Poboga. O mało nie padł trupem na miejscu.

Pamiętam zresztą doskonale jego wrażenie na mój widok.

— Te papiery — mówił dalej — które ksiądz pokutnik nosi z sobą, to testament pana Hieronima. Ksiądz był wykonawcą tego testamentu, naznaczonym przez umierającego, ale misji tej nie wypełnił. Za to pokutuje w zamku jego duch i nakazuje, by szukać testamentu, który jest ukryty tu, w bibljotece...

Zgryzotę i ból miał w twarzy. Byłem niesłychanie zdumiony jego słowami. Rzekłem, patrząc mu badawczo w oczy:

— Wszak pradziad Hieronim chyba na mocy testamentu uczynił córkę swoją Kunegundę, do dziś żyjącą panią Zatorzecką, właścicielką Krąża, przeto testament był dawno ujawniony?

Paschalis zrobił minę tajemniczą, spojrzał na mnie z pobłażliwą ironją. Podniósł obie dłonie z rozwartemi szeroko palcami do twarzy, i rzekł dobitnie:

— Jasny pan nie wie całej prawdy. Oddanie Krąża córce Kunegundzie, było tylko prywatną darowizną po wydziedziczeniu syna, a testament był jedyny, sporzą-

dzony przed śmiercią pradziada i spisany przez księdza Halmozena, z własnoręcznym podpisem umierającego. Świadkiem sporządzania testamentu i podpisu pana Hieronima byłem ja, stary kucharz zamkowy Bogdziewicz, ojciec dzisiejszego stangreta, dziś już nieżyjący, kościelny organista, który również nie żyje, i borowy Krzepa. Pani Kunegunda Zatorzecka i jej mąż Ksawery, przyjechali wezwani z zagranicy, na parę godzin przed śmiercią ojca i słyszeli odczytany im testament przez księdza pokutnika.

Gdy spytałem, co zawierał testament, Paschalis zatrząsł się.

— I tego jasny pan nie wie?... prawda! Skąd ma wiedzieć! Testament nakazywał oddać cały klucz Krąża panu Marcelemu. Córce Kunegundzie obowiązywał wyliczyć dużą spłatę, należną jej jako posag. Pan Hieronim jeszcze zdążył ustnie powtórzyć wolę swoją obojgu Zatorzeckim przy nas wszystkich.

— Cóż się stało z tym testamentem? — spytałem coraz bardziej zaciekawiony.

— Jest ukryty w tej komnacie — rzekł Paschalis z powagą.

I opowiadał dalej, że ksiądz Halmozen, pokutnik, jak go stale nazywał, naznaczony przez pradziada wykonawcą jego woli, miał rejentalnie potwierdzić dokument. Ale był chory, działo się to w zimie, panowały wielkie mrozy, nieprzebyte śniegi zasypywały drogi. Sam wyjechać nie mógł, aby roborować testament u rejenta, a rejenta wzywać do Krąża bał się. Halmozen nie ufał Zatorzeckim, ani rejentowi, który był Rosjaninem, cieszącym się niezbyt dobrą opinją. Zresztą ksiądz obawiał się, że Zatorzeccy mogą rejenta przekupić i zrobić jakąś

malwersację, że zaś Halmozen kochał wielce pradziada Hieronima, przeto wolę jego chciał wypełnić święcie i najsumienniej.

Choroba księdza przedłużała się, a tymczasem lody i śniegi stopniały, rzeka wylała na milę dokoła, „jak to ona potrafi — wedle słów Paschalisa — zrobić morze dokoła Krąża". W tę to powódź właśnie ksiądz pokutnik zmarł nagle. Zapewne na paraliż, jak się domyślają, bo odrazu zaniemówił. Z wysiłkiem wielkim wybełkotał do mnie i Krzepy: „testament w bibljotece ukryty... napewno" i więcej ani słowa wyrzec nie zdołał. Dawał jakieś znaki ręką, lecz nikt się na tem nie poznał. Podaliśmy mu papier i pióro, chciał pisać z męką wyraźną, ale tylko rzucił jakieś kreski nie do odcyfrowania, oczy miały wyraz straszny z przerażenia, i tak skonał, nie wyjawiwszy tajemnicy.

Paschalis kończył opowiadanie:

— Umarł, zacny ksiądz pokutnik. Bóg mu za jakąś karę z jego własnej winy, czy z winy pana Hieronima, nie dozwolił wypowiedzieć tych słów ważnych. Może szatan wplątał się w tę sprawę i sprawił nieszczęście. Ale ot... Zatorzeccy triumfowali!...

Łzy wielkie stoczyły się z wypłowiałych oczów Paschalisa i zaczęły wędrówkę po parowach, bruzdach i fosach pooranej twarzy starca.

Zapadło między nami długie milczenie. Patrzyłem uważnie na te łzy wiernego sługi, widziałem w nich szczerość, prawdę i ból rozpaczliwy. Usiadłem w fotelu, zapaliłem papierosa, myśląc, że Paschalis jako typ i jako sługa jest już anachronizmem w epoce naszej. A on kontynuował dalej swą ponurą opowieść.

Mówił, że zaraz po zgonie księdza on i reszta świad-

ków testamentu wezwali sami rejenta do zamku, szukali dokumentu w bibljotece, badali ściany, szafy, stoły, książki, nawet ten zegar antyk, nigdzie ani śladu testamentu!

Wyraziłem wątpliwość, czy ksiądz był przytomny, gdy mówił o bibljotece, a może zresztą dokument został przedtem wykradziony lub unicestwiony.

Paschalis zaprzeczył energicznie.

— O nie!... nie!... Ksiądz tego dokumentu strzegł przed Zatorzeckimi, jak oka w głowie. Przed śmiercią sam, często po nocach, pracował w bibljotece, coś pisał, a gdy tylko umarł, myśmy dzień i noc na zmianę pilnowali bibljoteki, bez przerwy ktoś z nas stał na straży w tej komnacie. Od zgonu księdza Zatorzeccy nigdy tam nie byli, ani razu. Potem w kilkanaście lat zachodził tu czasem który z ich synów, ale zawsze tylko ze mną, bo sami się bali.

Paschalis powtórzył kilkakrotnie z siłą niezłomnego przekonania:

— Testament jest w tej komnacie, wielka fortuno! jest napewno. Jasny pan jest prawym dziedzicem Krąża i musi szukać dokumentu, by objąć samemu dziedzictwo wedle ostatniej woli zmarłego. Trzeba się spieszyć, bo ja umrę, Krzepa umrze, ostatni świadkowie!... Chryste Panie! — krzyknął okropnym głosem — dozwól mi ujrzeć Poboga na Krążu przed moją śmiercią!

— Czy Zatorzeccy nigdy nie robili starań, by odszukać Pobogów? — spytałem, wzruszony wyglądem i bólem kamerdynera.

— Oni nie szukali, bo odrazu po przyjeździe z zagranicy rozgłosili, że Marceli zginął razem z synem Pawłem, na statku, płynąc jakoby do Ameryki. Nikt temu

nie wierzył, ani nawet umierający pan Hieronim nie uwierzył, choć oni jemu rzucili to w oczy przy odczytywaniu testamentu. Ale potem my sami z rejentem robili starania, rejent miał rozpisywać po gazetach, ale czy go Zatorzeccy nie przekupili, tego nie wiemy. To nie był człowiek pewny. Przeszły lata, Pobogowie się nie odzywali i ot Zatorzeccy dzierżą Krąż — jak swój po dzień dzisiejszy, całkiem nieprawnie. Siedzą na krzywdzie brata i czują to dobrze, że sąd Boży nad nimi i kara musi się wypełnić, bo Bóg nie rychliwy, ale sprawiedliwy.

W miarę, jak Paschalis mówił, czułem napływ gorącej krwi do serca. Dreszcz niemiły przeniknął mnie nawskroś. Nagle stanęła mi w oczach nędza mego dziada w Paryżu, opowiadana przez ojca. Nadmierna praca, która zabrała zdrowie jemu i jego żonie, a wkrótce i życie obojgu. Dziadek mój był długi czas prostym robotnikiem w Paryżu, babka nauczycielką muzyki i rysunków. Pracując w pocie czoła, kształcili syna, Pawła. Umierając, żądali od syna, by powrócił do kraju koniecznie i tam pracował na ojczystej ziemi, co też ojciec mój uczynił, mając już około trzydziestu lat. Wtedy ożenił się i za zaoszczędzone pieniądze z własnej pracy w Paryżu i z pomocą posagu mojej matki kupił majątek Uchań. Zestawiałem te fakty z tem, co mówił Paschalis. Nurtowało mnie jedno pytanie, które chciałem zadać starcowi, lecz przerwał mi jego ponury, tragiczny pomruk:

— Zginęli, zginęli... a ot i nie zginęli!... ot i sam Zatorzecki zrządzeniem Bożem przywiózł prawego dziedzica do Krąża. Ja wiedziałem, że Pobóg wróci, modliłem się tylko o to, żeby doczekać tego dnia szczęsnego...

Gdy go spytałem, skąd miał tę pewność, że Pobogowie żyją i wrócą, Paschalis odrzekł:

— Mówił to do mnie przed śmiercią pan Hieronim w objawieniu proroczem: „będziesz jeszcze służył wiernie Pobogom w Krążu — oni mi wybaczą zbrodnię popełnioną na Marcelim, wiem, że on mię nie przeklina". Mówił to samo ksiądz Halmozen, za życia i potem, gdy mi się jako duch objawiał — „są Pobogowie i wrócą do Krąża, Zatorzeckich zetrze gniew Boży". Ksiądz Halmozen to był święty ksiądz i prorok.

— Więc i Halmozen wam się objawia?...

W moich słowach zadrgał ton żartobliwy. Paschalis uchwycił go w lot. Podniósł po swojemu obie dłonie do twarzy, mając wygląd modlącego się chińskiego mandaryna.

— Jaśnie panie, stary sługa Pobogów nie kłamie nigdy. Duch księdza pokazuje mi zawsze w stronę biljoteki, jakby mówił: — tam ukryte, tam szukaj.

Szczególne — pomyślałem — to samo zdawał się mówić i w tym samym kierunku wskazywał mi portret pradziada w czamarze, w sennych majakach.

Po chwilowem wahaniu spytałem Paschalisa, patrząc mu bystro w oczy.

— Słyszałem, że pradziad mój jakoby występuje z ram portretu i na krużganku wygraża maczugą. Skąd powstała taka legenda?

Paschalis podsunął się do mnie blisko i spytał cicho — skąd o tem wiem.

— Tak mi mówiono...

— Ale kto, kto mówił? O, o... pewno mówił pan Gabrjel, albo ta, ta kukawka z oranżerji, której panią na Krążu zachciało się zostać.

Zastanowił się chwilę, poczem położył palec na ustach i mówił uroczyście:

— A może mówiła to stara? Wielka fortuno! O!... może być. Ją sumienie dawno już gryzie, a że jej grób bliski, to i sumienie głośniejsze.

— Mniejsza kto mówił. Nie warto dociekać takich bajek — odrzekłem.

Paschalis zesztywniał, stał się prawie groźny. Błysnął mu w źrenicach gniewny, nieprzyjemny blask. W oczach jego w tej chwili było coś mistycznego. Uderzyło mnie to tak silnie i niespodziewanie, że patrzyłem na niego ze zdumieniem. A on jął mówić półgłosem jakimś nieswoim, patrząc przed siebie tym mglistym, niepojętym, jakby zaświatowym wzrokiem.

— Gdyby to były bajki, toby Zatorzeccy nie mieszkali teraz w pawilonie, jeno w zamku. Oni są chciwi, a tu się marnują bogactwa, nikt ich stąd nawet nie ruszy, żadnego sprzęta nie tknęli, bo się boją. Zatorzeccy nie mieszkają w zamku od czterdziestu lat. Nie mogli oni tu mieszkać, pan Hieronim i ksiądz zakonnik nie dopuścili. Zatorzeccy z wielką zgryzotą wynieśli się stąd do pawilonu. Dobrze oni tu szukali, śledzili, nie wierząc z początku, że to duchy pana Hieronima i księdza ich prześladują. Przekonali się sami, że tak jest i musieli uciekać. Z nieczystem sumieniem mieszkać tu nie można, bo kiedy sumienie kąsa, to strach zawsze większy, włosy dybą odrywa na głowie, a gady rzuca pod nogi. W tych progach miejsce tylko dla Pobogów, nie dla krzywdzicieli i oszustów.

Siła przedziwna i nienawiść była w słowach Paschalisa. Chwycił gwałtownie moją rękę i gniotąc ją w swej kościstej dłoni, szeptał zdyszanym głosem:

— Ja tu od czterdziestu jeden lat jestem ciągle jak w grobie... Duchy mnie prześladują, spokoju nie dają. W portrecie pana Hieronima jest duch jego żywy, zaklęty... boję się go i księdza się strasznie boję... panie!..... Ale nie opuściłbym tych progów za nic!... Czekałem w tych pustych, strasznych murach na Poboga. Zatorzeccy mnie także nie wyrzucili, mogli wyrzucić mnie i Krzepę, a przecie nie zrobili tego, bo się... bali... Samą męką tu żyję i modlitwą o przyjazd Poboga. Bóg mi darował tyle lat, by chwili tej doczekać...

...Zgiął się, stęknął i upadł przedemną na kolana.

Ucałował moje stopy, zanim się zorjentowałem, co on robi. Dźwignąłem go prędko z ziemi i posadziłem na fotelu.

Wzruszony, uspokajałem go łagodnie. Starzec trząsł się, łzy płynęły mu z oczów. Całował moje ręce, pomimo oporu, powtarzając:

— Jest prawdziwy dziedzic Krąża, jest Pobóg! jest prawnuk ukochanego pana, młody kasztelan zamku!

Nie pomogły moje perswaje, że jestem tylko gościem w Krążu, że Krąż należy do Zatorzeckich i nikt im go nie odbierze, ja zaś za kilka dni wyjadę.

Starzec płakał, patrząc na mnie wzrokiem rozdzierającym, z rozpaczą w głosie.

Widząc, że nie dojdę do ładu z biednym maniakiem, postanowiłem skierować myśl jego w inną stronę.

Spytałem go, czy był już wtedy obecnym przy pradziadku Hieronimie, gdy on wydziedziczał syna. Paschalis ożywił się odrazu, ręce na piersiach splótł i jął mówić, jak zwykle uroczystym tonem:

— To się stało w pierwszym roku mojej służby przy umiłowanym panu. Pamiętam dobrze ten dzień

straszny, kiedy pan Marceli powiedział ojcu o swojej miłości dla mieszczki. Sądny to był dzień w Krążu. Pan Hieronim był despotą wielkim, wszyscy przed nim drżeli. Złoto to było, nie panisko, ale jak czego chciał, albo na co nie pozwalał, tak już amen! Wszyscy musieli panu ulegać i jego woli być posłusznymi. Taki już był. Nie uznawał takiej samej natury u swego syna, bo i pan Marceli także miał swoją wolę silną i ogień we krwi. Starli się z sobą, ojciec z synem, jak dwie skały. Pan Hieronim wołał, że nie pozwoli żenić się synowi z łyczkówną, że go wydziedziczy z majątku. A panicz na to: „Milsza mi ona, niż cały Krąż, jej się dla majątku nie wyrzeknę". Co się to działo. Boże miły, co się działo!! Pan Hieronim, gdy zostawał sam, ryczał, jak tur, i włosy rwał z głowy. — Zgubiony, zgubiony! — jęczał. — Zatraci nazwisko, hańbi nasz ród!... A panicz o ustępstwie i słuchać nie chciał. Pan starszy kazał mu iść precz z oczów swoich i nie wstępować więcej na próg Krąża, nie dał mu błogosławieństwa, wydziedziczył... Panicz odszedł. Z ojcem się nawet nie mógł pożegnać, bo pan starszy nie chciał widzieć syna. Cały dwór we łzach tonął, błagaliśmy panicza, by zerwał zaręczyny, by nie opuszczał nas. Ale panicz kochał narzeczoną więcej niż wszystko na świecie i odszedł. Narzeczona panicza nie chciała ślubu bez pozwolenia i błogosławieństwa ojcowskiego... myśleliśmy, że już nic z tego nie będzie. Panicz szalał z rozpaczy, łzami błagał ojca, aby mu szczęścia nie odbierał, ale pan nie i nie! W końcu zdesperowany pan Marceli przeonał narzeczoną i cichy ich ślub odbył się w Warszawie. Pan Marceli pracował sam na siebie i więcej się nie pokazywał w Krążu. W rok po ślubie urodził się młodym państwu syn, Paweł. Pan Hieronim i słuchać nie

chciał o wnuku. Po nocach nie sypiał, jęczał strasznie, rzucał się na łóżku, albo wołał córkę, całował ją ze łzami... i krzyczał do niej: ty moja jedynaczka, ty jedyna dziedziczka Krąża. Sierota jestem, sierota nieszczęsny!... Myśleliśmy nieraz, że pan oszalał.

— Ileż córka Kunegunda miała wtedy lat? — spytałem.

— Pewnie osiemnaście, już była dorosła. W dwa lata potem wyszła zamąż za Ksawerego Zatorzeckiego. Dla majątku się ożenił, wszyscy o tem wiedzieli, bo jak się rozeszło, że Krąż dla niej, tak od konkurentów opędzić się nie było można.

Na zapytanie moje, czy działo się to już przy księdzu Halmozenie, Paschalis zatrzepotał rękoma.

— Przy księdzu pokutniku taka rzecz by się nie stała nigdy!... nigdy!... To się działo na jakieś siedemnaście lat przed przyjazdem księdza. Ksiądz był w Krążu tylko trzy lata przy panu Hieronimie i, w trzy miesiące po nim sam umarł...

— Cóż się działo potem jak Zatorzecki się ożenił? — rzuciłem nowe pytanie.

Paschalis opowiadał, że Zatorzeccy zamieszkali w zamku, ale Krążem rządził pradziad Hieronim. Zatorzeccy bawili się, podróżowali, tylko w zamku nie wolno było urządzać żadnych festynów, bo „starszy pan“ zabraniał kategorycznie. Nadeszło powstanie 63 roku. Gdy się dowiedziano w Krążu, że Marceli wstąpił do partji, natychmiast podążył za nim młody Krzepa, gajowy lasów dworskich, na czele kilkunastu chłopców z dworskiej służby. Miał iść i Paschalis, lecz pradziad mu nie pozwolił, rozkazując pozostać przy sobie.

— A Zatorzecki? — spytałem.

Paschalis lekceważąco wzruszył ramionami.

— Zatorzecki nie poszedł. Ukrywał się przed powstańcami, a był w wielkich łaskach u moskali. Zatorzecki dbał tylko o własną kieszeń i żeby jemu dobrze było. Z żoną kłócili się ciągle, niezgodnie żyjąc z sobą ku zgrozie pana Hieronima. Tak przeszły lata. Pan Hieronim umarł, a ród Zatorzeckich rozpanoszył się w Krążu aż do dziś, kiedy zbliża się na nich kara...

Lękając się, że kamerdyner znowu powróci do swego tematu, opartego, jak sądzę, na maniactwie, zapytałem go, dlaczego nazywano Halmozena pokutnikiem?

Paschalis odrzekł, że Halmozen wstąpił do zakonu, mając już trzydzieści kilka lat, że o swojej młodości nigdy nic nie mówił, że się umartwiał, wyglądał jak cień człowieka i że się ciągle modlił. Gdy zaś pradziad pod jego wpływem bezpośrednim sporządził testament na korzyść Pobogów, Halmozen upadł w ekstazie przed krucyfiksem i zawołał z głębi serca: „Dzięki ci Chryste, że przezemnie, przeklętego, sprawiedliwość czynisz. Daj, Boże, by za moje grzechy przyjaciel mój Hieronim został z grzechu krzywdy obmyty".

Paschalis cytując te słowa, miał tyle natchnienia w twarzy jakby sam był ich twórcą.

Opowiadał dalej:

— Drugi raz słyszałem jak Halmozen mówił do pana Hieronima: „Lepiej być skrzywdzonym, niż krzywdzicielem, pamiętaj o tem przyjacielu. Twój syn ma czoło jasne a ty zaciemnione jego krzywdą. Jego sumienie w słońcu, twoje w chmurach... tak samo, jak moje... chociaż za inne występki, a to ci mówię, że niech Bóg strzeże od takich chmur!! Z tego com słyszał i z innych jeszcze rzeczy wiem, że ksiądz pokutnik jakiegoś kamienia cięż-

kiego zwalić z serca do śmierci nie zdołał. W Krążu przybył mu nowy kamień, niespełnienia obowiązku i przysięgi danej umierającemu. Może za jego własne winy Bóg mu nie dozwolił obmyć Krąża z krzywdy, jaka na nim ciąży, i tak zostało....

Paschalis znowu zwrócił się do mnie z tragicznym wybuchem:

— Ostatnia nadzieja w tobie, panie nasz najdroższy. Szukaj testamentu, ty go znajdziesz napewno! Bo inaczej wszystko tu pójdzie w gruzy. Po śmierci mojej i Krzepy nikt tu nigdy nie zamieszka. Przekleństwo wieczne zawiśnie nad Krążem....

Rozstałem się z nim wreszcie. Jestem rozdrażniony, niespokojny o tego starca, który mnie wzrusza i przygnębia jednocześnie. Chyba fatum przywiodło mię do Krąża na takie niespodziewane przygody. Jak wybrnę z nich — niewiem. Jutro wybiorę się na dalszą wycieczkę w okolicę, by zebrać myśli i zastanowić się nad położeniem. Słyszę początkowe tony sonaty księżycowej. Gabrjel zaczyna swój nocny koncert. Zatem rzucam pióro chcąc zapomnieć o świecie całym.... a może tylko o Krążu?....

---

20. czerwca.

Zwiedziłem dzis folwark Krąża, stajnie, obory, owczarnie. Niewyzyskane na każdym kroku bogactwa. Stajnia ma piękne okazy cugantów, czwórki niedobrane maścią, lecz bardzo cenne, utrzymane dobrze. To zasługa

Bogdziewicza. Stadnina liczna i ładna, po reproduktorze, angliku pełnej krwi, Bedfordzie. Stare już konisko nad porcelanowym żłobem zapada w spleen, rozmyślając na temat: „Było się kiedyś pierwszym Adonisem stajni... a dziś „Vanitas Vanitatum".

Budynki stajenne, wozownie, szorownie zachowały dotąd piękno dawnej świetności.... ale znać tu już ząb czasu i odczuwa się dotyk ręki starej służby bez pańskiego oka, które tuczy i gładzi.

Nietylko ospały Bedford, ale wszystko dokoła niego zda się również wzdychać na nutę „Vanitas". Karety, powozy poobrywane, dawno nie widziały rymarza. Kareta antyk, na pasach staroświeckich, wewnątrz z salonikiem, umywalnią, stołem obiadowym i stolikiem do kart, wybita błękitnym adamaszkiem, pełna złoceń, zaciekawiła mnie najwięcej. Podobno Stanisław August Poniatowski jeździł nią, zwiedzając tutejsze okolice i będąc podejmowanym w Krążu, przez któregoś prapradziada Tymoteusza Poboga, którego owa kareta była własnością. Zaprząg do tej landary na 8 koni, złocony, wysadzany konchą perłową i turkusami... poobdzierany bezlitośnie.

Wogóle nie szanują tu pamiątek, co mnie rozgoryczyło. Powiedziałem Bogdziewiczowi swoje uwagi.... odrzekł z flegmą:

— Toż i człowieka, nie myj-żeż, nie ogól-żeż, nie ubierz, a zostaw bez opieki, będzie to samo. Żeb nie ja i Krzepa, co skurzamy pył, a straszymy szczury, jonże pan Gabrjel i nie spojrzy w tę stronę — a.... Ona.... starsza Pani — poprawił się — tyle o to dba, co i o zamek. Ot kiedy jasny pan dziedzic u nas będzie, tak by i co innego było!

Zagadałem starego satyra, rozumiejąc intencję jego słów.

Obora ma piękne holendry, ale prowadzona nieracjonalnie, bez selekcji hodowlanej i bez celu. Wszystko mleko idzie na dwór.

W owczarni zabytki skarlałe hiszpańskich Negretti i Merynosów, wełnę kupuje żydek....

Brak organizacji i intensywnego czynu.

Namawiałem Gabrjela, po drugiem śniadaniu, na konną przejażdżkę. Wahał się, certował, był niechętny. Wreszcie dał się namówić, głównie dlatego, że Weroninka wyraziła wątpliwość co do jego sportowych zdolności, parsknąwszy krótkim śmieszkiem ironji.

Bogdziewicz, wezwany przez Gabrjela do oranżerji, otrzymał od niego polecenie osiodłania koni. Chłop zrobił wielką minę zdumienia.

— Jasny pan na Zoożu?...

Była w tych paru słowach wiele znacząca intonacja.

Dla siebie wybrałem upatrzonego szpaka, wielkiej krwi, przypominającego fantazją mego Demona w Uchaniu. Chciałem iść do stajni, lecz Gabrjel oparł się temu. Podprowadzono konie do pawilonu. Zrozumiałem teraz intencję słów Bogdziewicza i śmieszek Ślazówny. Podano wysokie, przenośne schodki z cieplarni i Gabrjel przy pomocy Bogdziewicza ładował się na szeroką jak fotel kulbakę... Koń, Zooż, nie bardzo płomienny, ale żywy skoczył w bok i Gabrjel utknął nosem w grzywę.

Babka Gundzia wzruszyła ramionami ostentacyjnie.

Próba druga.... trzecia,... Gabrjel zieleniał, klął w pasji i od cymbałów wymyślał stangretowi. Bogdziewicz odpowiadał z flegmą niewzruszoną i zdaje się celowo utrudniał Gabrjelowi zainstalowanie się na kulbace.

Widząc tę scenę już z siodła, chwyciłem za uzdę Zooża, osadzając go silnie na miejscu. Gabrjel wsiadł niezgrabnie i poprawiając monokl, spytał zadyszany:

— Czy ta bestja nie zwali?....

Rzucił oczyma na prawo, gdzie z poza gaiku wyglądała główka Weroninki.

— Jak jasny pan nie zechcesz tak i nie zwali — zaopinjował Bogdziewicz.

Ja zaś miałem poważne wątpliwości. Ruszyliśmy.

— Omijajcie rzekę! — krzyknęła babka. — Gabrjel nie lubi kąpieli a zdaje się pewna.

Gabrjel zaklął przez zęby, a gdy już byliśmy za bramą, warknął zły.

— Ją spławić jak czarownicę.... rzeka by zakipiała od tego piekielnego ozora.

— Jak ty się o babce wyrażasz Gabrjelu?....

— Jak o każdej wiedźmie.... Ty się na niej nie poznałeś dotąd?.... Wyglądasz na sprytniejszego... Czego ta cholera tak trzęsie? Prrrr.....

Puściłem szpaka tęgiego kłusa. Zooż podążał za nim.

Nagle krzyk. Gabrjel, leżąc prawie na grzbiecie konia, trzymał się karku obu rękoma, nogi w pozycji komicznej.... mina zabawna z przerażenia, — monokl na sznurku tańczy przed łbem końskim, jakby chciał wpaść na oko Zooża.

— Stój! Rom...mman to byd....dlę mnie strat...tuje... Ojej.... Ojej.... Oj!....

Zanim dopadłem, Gabrjel był już na ziemi... Zooża zatrzymałem. Chciałem wracać do domu, ale Gabrjel zaciął zęby.

— Nie! Ja nauczę to podłe bydlę moresu.... ale jak wsiąść?

Długo nie namyślając się podniosłem Gabrjela pod pachy i posadziłem na siodło.

— Goljat!... a to dopiero Goljat z ciebie, Romku — pisnął Gabrjel.

— Dalej!....

Dalej było to samo, w końcu zaszła konieczność powrotu do domu. Babka Gundzia wyszła naprzeciw nas.... milcząca, ironiczna.... Na Gabrjela nie patrzała.

Bogdziewicz z triumfem w złośliwem oczku zabierał Zooża.

— Dobry koń, ale narwany — ostro rzekł Gabrjel — trzeba go objeździć. Jeżdżę tylko na rumakach dobrze ujeżdżonych....

— Nawet na wodowozie naszym, ślepym, nie radzę jeździć bez Romana, — docięła babka sucho.

Gabrjel poszedł do oranżerji, mrucząc impertynencje pod adresem babki, Bogdziewicza, Zooża i zapewne, moim?

Pojechałem tedy sam na pola i lasy....

Po paru godzinach hasania, postanowiłem odwiedzić rodzinne groby Pobogów, na cmentarzu we wsi kościelnej Krąż, o parę kilometrów od rezydencji. Spoczywa tam pradziad Hieronim.

Wśród olbrzymich lip, chyba siostrzyc Czarnoleskiej, wznosi się kaplica-mauzoleum — cała w ranach od poodpadanego tynku, starożytna wielce, stylem, ponura. Przez małą bramkę w murze, okalającym cmentarzysko, wszedłem tam, z lekkim, podświadomym dreszczem, jaki się odczuwa może zawsze, wchodząc z zalewiska słonecznego w mrok królestwa śmierci. — Na lipach gruchały gołębie, gdzieś z bagien dochodziło monotonne kumkanie żab, zresztą cisza, spokój letniego po-

południa. Nastrój jednakże nie wesoły; błąka się melancholja, tchnienie z zaświatów, pogodne, lecz nie tą pogodą pól, okrytych zielonemi piórami kłosujących zbóż, gdzie wszystko woła o życie, tchnie życiem, daje życie. Tu snuje się dokoła smętna mgławica i słychać szept grobów: memento mori. Obchodziłem kaplicę, gdyż drzwi były zamknięte.... Zjawił się organista i otworzył dla mnie mauzoleum.

W ołtarzu Chrystus na krzyżu, dużo połamanych świec, stare malowidła w kurzu i pajęczynach, powietrze iście grobowe. Na ścianach tablice stare z szarego marmuru z napisami czarnemi, zamykające otwory do nisz, gdzie spoczywają zwłoki. Z dziwnem uczuciem stałem przed grobem pradziada Hieronima. Historja mojej rodziny wydała się tu bardziej ponura i tem okrutniejsza tragedja tego ojca, który przez swój feudalizm wypędziwszy z domu syna, nigdy go już do zgonu nie widział i umierał z tęsknotą do niego, z żalem do siebie, ze skruchą wobec Boga.

Weschnąłem za Jego duszę.... Przyszły mi na myśl słowa, które od dzieciństwa słyszałem często z ust ojca, gdy modlił się z matką i ze mną przy ołtarzyku domowym.

„Winy dziadów i ojców naszych odpuść im, Panie, nie zsyłaj do serc naszych zawiści ni zemsty, ocal je od złych wpływów i podszeptów szatana, by dzieci nasze modląc się za nas w przyszłości, pamiętały tylko dobro czynione im przez nas".

Przymknąłem oczy i ujrzałem obraz z dziecinnych lat, jak granitem wryty w mózg:

Matka moja przed obrazem Ostrobramskiej.... oczy matki słodkie, wzniesione do góry z tak potężną wiarą,

z takiem natchnieniem modlitwy, że, będąc wówczas malcem, zapamiętałem wyraz Jej oczów anielskich. Obok matki ojciec, zawsze z twarzą w dłoniach, zamodlony, poważny, i ja przy nich sześcioletni brzdąc, ukochany, choć z niesłychaną surowością wychowywany jedynak. Zastanawiały mnie wówczas słowa modlitwy ojca. Jakie to mogą być winy dziadów i ojców, czyli jak sądziłem wtedy mego właśnie ojca i... jak to szatan, znany mi z szopki, noszonej po Bożem Narodzeniu, może szeptać „skoro on tylko Heroda, zabitego przez kościstą śmierć, ciągnie do piekła na widłach". Wspomnienia tamte są mnie zawsze drogie, wracam do nich z radosną pieśnią w duszy, bo tchną one tym samym czarem, jak naprzykład dzwonienie skowronka nad polami w krasie pierwszej runi wiosennej.

Obejrzałem wszystkie grobowce straszliwie opuszczone.

Na jednym napis. „Ksawery Zatorzecki".

Nigdzie śladu bodaj starego wieńca, nigdzie kwiatka....

Spytałem o grób księdza Halmozena?

— A on nie tu, na własne żądanie leży gdzieindziej.

Poszliśmy aż na koniec cmentarza. Skromna mogiła darniną zarosła i wysoki dębowy krzyż. Żadnego napisu. Dokoła mogiły żelazny, grubo ordzewiały, pręt, na czterech podporach z dużych głazów. Obok ogromna brzoza płacząca, gałęzie jej, zwisając na krzyż, tworzą nad nim rozchwiany szelestny baldachim.

— Krzyż i barjerę postawiła służba zamkowa z Krąża, kamerdyner, borowy i kucharz, ojciec dzisiejszego stangreta. Oni podobno i brzozę zasadzili, to dawne czasy, ja nie pamiętam — rzekł organista....

— A dlaczego tak daleko? — spytałem przykro dotknięty, że mogiłą przyjaciela mego pradziada nie zainteresowała się babka.

— To był zakonnik, podobno pokutnik, chciał być pochowany pod samym murem, ale służba tu wybrała miejsce.

Po chwili niemej obserwacji organista spytał mnie trochę nieśmiało.

— A pan z Krąża?

— Jestem przyjezdny, bawię tam chwilowo.

— Słyszałem, że przyjechał Pobóg, prawnuk.... ostatniego.... może to.... pan?....

— Tak, ja nim jestem.

Organista poskoczył do mnie.

— To jasny pan obejmuje Krąż w dziedzictwo? Toż i chwała Bogu!.... Oto się Paschalis stary ucieszy. On czeka na Poboga już całe czterdzieści lat....

— Jestem Pobóg, ale nie dziedzic Krąża.... dziedzicami są państwo Zatorzeccy.

— Jasny pan dziedzic pierwszy był w kaplicy grobowej od czasu jak ja tu jestem, to znaczy od ośmnastu lat.... i na grobie księdza zakonnika napewno pierwszy raz był ktoś z Krąża, prócz służby, od czasu pogrzebu księdza. Tu, na te groby nikt nigdy z zamku nie przyjeżdża. —

Było mi przykro....

Dlaczego taki brak pamięci o zmarłych u babki? Skąd w tej kobiecie tak mało uczuć?....

Przypomniał mi się grób matki mojej w naszej parafji. Jeden snop kwiecia otacza ładny pomnik.... Wędrówka ojca z laską, na górę cmentarną.... Jakiż to częsty widok z pól Uchańskich. Wszak w tej kaplicy leży nie

tylko znienawidzony, zdaje się ojciec babki, Hieronim, ale i synowie, jeden z nich ojciec Gabrjela.

Czyż ta kobieta nie ma serca, żadnych uczuć rodzinnych?..... Nie dziwię się, że i Gabrjel jest głazem.

Ale u babki to chyba objaw nabyty od męża, w Gabrjelu oddziedziczony atawistycznie po ojcu. Pobogowie mają więcej uczuć, czy głębiej potrafią miłować.....

---

21. czerwca.

Postanowiłem wyjechać jutro do Uchań. Za długo siedzę w Krążu, pomimo, że babka jest dla mnie bardzo uprzejma, prawie serdeczna, cały dwór również, lecz obojętność Gabrjela mrozi mnie i nie zachęca.

Dziś wstałem raniutko i wyszedłem do parku z zamiarem popłynięcia łodzią na dalszy spacer. Zaciekawia mnie okolica Krąża, a głównie rzeka i lasy, które chcę poznać bliżej. Nie znalazłem łodzi na brzegu, widocznie rybacy wypłynęli na dalszy połów. Ranek był prześliczny, więc zapragnąłem przejść się po polach, zapowiadających wspaniałe urodzaje.

Gdy mijałem gąszcza krzewów, okalających prawy pawilon, nagle ujrzałem Weroninkę. Miała na sobie lekki ponsowy szlafroczek, głęboko wycięty w ramionach i na piersiach i była tak ładna, tą swoją urodą samiczki wiele obiecującej, że szybko podszedłem do niej, rezygnując ze swej samotności.

— Dokąd pan idzie tak rano? — zapytała z zalotnym uśmiechem.

— Na pola i łąki, ale ponieważ spotkałem panią, pójdziemy razem — nieprawdaż?

— Naturalnie! — odrzekła, wdzięcząc się. — Ja już dawno chciałam z panem pójść na spacer, ale pan mi się zawsze wymykał.

Żałuję niezmiernie, że jestem taki niedomyślny, ale to trochę i pani wina. Trzeba mnie było zachęcić. Jestem tu gościem.

— Ee! zachętę to pan miał, tylko nie chciał się pan na tem poznać! — dodała ze śmiechem, rzucając na mnie charakterystyczne spojrzenie.

Uśmiechnąłem się do niej również kokieteryjnie.

— Doprawdy?... jestem wdzięczny! Ale sądziłem, że Gabrjel miałby coś przeciwko temu. Jest on tak bardzo oczarowany panią.

Panna roześmiała się szeroko, ukazując szereg białych ostrych zębów, w oprawie koralowych dziąseł i blasku czerwonych ust.

— Ale ja nie jestem nim oczarowana!

— No, niechby to usłyszał!

— To i cóż... musiałby mnie najwyżej przeprosić....

— Pani zapewne lubi ten akt przeprosin?

— A co pan chce mnie pogniewać?...

— Broń Boże, nie mam tego zamiaru — odparłem lekko.

— Bo możemy się łatwo pogniewać! Ojej, czemu nie!

— Nie będzie jednak czasu na przeprosiny, gdyż jutro jadę.

Weroninka spojrzała na mnie przeciągle i zmrużyła oczy.

— Ja wiem, dlaczego pan to mówi. O, doskonale wiem.

— Naprzykład?

— Pan chce, abym pana prosiła, żeby pan został. Pan jest bardzo przebiegły. Oho, ale mnie trudno oszukać!

Zaśmiałem się ubawiony rozumowaniem dziewczyny.

— A widzi pan, jak pana odgadłam! Pan chciał, żebym go prosiła o zostanie w Krążu. A ja na złość tego nie zrobię... na złość!...

— Wątpię, czyby prośby pani co pomogły.

— Taak?... No, to niech pan sobie jedzie, kiedy pan taki niedobry. Nie chcę więcej na pana patrzeć! — odrzekła z dąsem.

— Tymczasem jestem na spacerze i zgoła niespodziewanie bawię się w towarzystwie pani.

— Ee!... tam, taka zabawa!... Dopiero mi ciekawa zabawa! — wzruszyła ramionami lekceważąco. — A gdzie pan jedzie?

— Z powrotem do Warszawy, a stamtąd do Uchań.

— Czy i tam jest pański majątek?...

— Dlaczego pani pyta: i tam?...

— Bo podobno Krąż do pana należy?...

— Nie, pani. Krąż jest w posiadaniu państwa Zatorzeckich.

Dziewczyna spojrzała na mnie tak, jakby się chciała upewnić, czy mówię prawdę, rzekła z widocznem zainteresowaniem się:

— To pan się zrzekł tego majątku?... Tak?...

— Nie zrzekałem się, bo go nie posiadałem. Czy panią specjalnie interesuje ta kwestja? — zapytałem poirytowany chciwą ciekawością dziewczyny.

— Tak sobie pytam, bo myślałam już, że Gabrjel tylko chwali się przedemną... a on mówi prawdę — dodała z uśmiechem triumfu i zadowolenia.

Skręciliśmy właśnie w stronę pobliskiego brzeźniaka. Weroninka nagle przystanęła i muskając kwiatem polnym odkryte głęboko ramiona, rzekła z umizgiem:

— Do lasu to już chyba boję się iść z panem, sam na sam.

— Dlaczego? czy jestem taki straszny dla pani? — spytałem, zapalając wolno papierosa.

Odrzekła ze skromną miną z którą jej nie było do twarzy:

— Ee... pan rozumie, do czego ja mówię!... Pewno, że straszny, albo lepiej powiedzieć niebezpieczny dla mnie...

— Zapewniam panią, że nie grozi pani odemnie żadne niebezpieczeństwo...

Weroninka zaśmiała się cynicznie.

— Z czego się pani śmieje?...

— Z tego, że pan co innego mówi, a co innego myśli. Ja widzę dobrze, że pan papierosa za papierosem pali, bo się chce... ratować...

— Ratować?... Od czego?!...

— Oho, niby to pan nie wie!... Ale pan jest i tak bardzo silny.... Gabrjel już dawno przypiąłby się do moich ust, jak mucha do cukierka, choć — gdzie jemu z panem się równać!... ale on za mną szaleje.

— Właśnie dlatego, że Gabrjel za panią szaleje

i że jest pani narzeczonym, ja mogę teraz spokojnie palić papierosa...

— Ale przecie Gabrjel śpi i będzie spał do południa. Nabrzdąkał się całą noc na fortepianie.

— Myślałem, że pani zachwyca się jego muzyką, że on dla pani grywa tak cudownie?

Ślazówna żachnęła się gniewnie i odbiegła parę kroków.

— Jeżeli mamy rozmawiać o muzykowaniu Gabrjela, to się lepiej rozejdźmy! Pan zanadto o niego troskliwy... wogóle!!...

— Hm!... tak pani uważa?...

— A tak! — zaśmiała się głośno — i będzie pan mnie przepraszał...

— Kiedyż to nastąpi?

— Dziś wieczorem w oranżerji.

— Przy Gabrjelu?...

— To już moja w tem głowa... Niech się pan nie martwi! Ojej, już pójdę sobie! Jeszcze mnie kto z folwarku zobaczy tu z panem i będą opowiadać Bóg wie co!... A Gabrjel strasznie zazdrosny...

— I... gotów się ze mną strzelać.

— On nie umie strzelać. Kiedyś mierzył z floweru do wróbli, a strzelił w dach — zachichotała ironicznie. — Już idę! niech pan nie zapomni o oranżerji — rzuciła, błysnąwszy oczami.

Skłoniłem się z przesadną elegancją.

Rozstaliśmy się. Ona poskoczyła żwawo w kierunku oranżerji, ja odszedłem w stronę folwarku, nie oglądając się. Zabawna dziewczyna, ale choć ładna bestja i działa na nerwy, lecz jednocześnie przejmuje niesmakiem tak silnym, że nawet wyostrzony apetyt tępieje pod wpły-

wem tego czegoś, co do niej nie zachęca. Co ten Gabrjel w niej widzi, że jest taki zazdrosny o nią?... Czyżby dziewczyna ta, poza wzbudzeniem chwilowej podniety zmysłowej, mogła wzbudzić i miłość?... Biedny Gabrjel, udaje dziedzicznego pana na Krążu, byle zdobyć łaski swej najbardziej przeciętnej sroczki.

Przed stajniami siodłano mi konia, gdy ujrzałem babkę, wychodzącą z Korejwą ze śpichrza. Powitała mnie bardzo życzliwie, pytając, dokąd jadę.

Odrzekłem, że korzystam z ostatniego dnia pobytu w Krążu, by zwiedzić coś jeszcze w okolicy.

Staruszka przybladła nagle i zwróciła na mnie badawcze, prawie groźne, spojrzenie.

— Już chcesz wyjechać?

— Tak, babciu, czas na mnie. Lękam się, że już nadużyłem gościnności babci i Gabrjela.

— Chodź ze mną do pawilonu! — rzekła krótko.

Poszliśmy razem, babka nic nie mówiła, dopiero w swoim pokoju, przytrzymała mnie oczami, jak noc czarnemi i spytała kategorycznie:

— Dlaczego chcesz już wyjechać? Mów otwarcie.

Zapewniłem ją, że spieszę do domu, lecz staruszka wzruszyła ramionami.

— Nie, to nie to! Ty się źle czujesz w Krążu i ciebie emabluje ta sikora z oranżerji. Wiem wszystko, to najdak dziewczyna, ona chce ciebie usidlić.

— Ależ babciu, widziałem ją parę razy zaledwo.

— Tak, ale ona na ciebie czatuje.... już ty mi nie mów!....

Nagle babka podała mi rękę i rzekła tonem rozkazującym:

— Zostań, Romek, jeszcze w Krążu, ja tak chcę! Zrobisz mi przyjemność.

— Tobie, babciu?! — wyrwało mi się niezręcznie.

Spuściła oczy, powieki jej drgnęły i ręka zadrżała w mojej dłoni.

— Tak! mnie zrobisz przyjemność.... to ciebie dziwi.... ja wiem! ale proszę cię zostań. Masz konie do dyspozycji, możesz jeździć ile chcesz, zwiedzać okolicę.... Na Gabrjela nie uważaj, on jest ci wyjątkowo życzliwy. Ja go znam! Gdy kogo nie lubi, robi mu impertynencje. Może być tylko zazdrosny o swoją... Glicynję, ale gdyby się do niej rozczarował nareszcie, byłoby to zbawieniem dla niego i dla Krąża.

— Ja się do tego nie będę przyczyniał — odrzekłem hardo.

— Spodziewam się, że ona w ogóle nie potrafi ciebie skokietować, pomimo, że do tego dąży. Tylko Gabrjel mógł się na nią złapać i w niej zaślepić. Więc zostajesz Romek jeszcze?...

— Jeśli babcia sobie tego życzy.... zostanę.

— Dziękuję ci, jesteś dobry i masz serce.... a ja dawno już, bardzo dawno serca koło siebie nie odczuwałam.

Słowa te ciche i smutne wzruszyły mnie najniespodziewaniej. Ucałowałem gorąco ręce staruszki, a ona rzekła głosem drżącym.

— Jesteś zapewne bardzo dobrym synem dla swego ojca. Są ludzie, którzy twierdzą, że serce to świadectwo słabości i rzecz niepotrzebna w życiu. Ja teraz uważam przeciwnie, że kto posiada serce w sobie lub obok siebie, ten jest mocniejszy do wszelkich walk, ten łatwiej znosi

cierpienia,... ten prędzej zwycięża, łamie ból.... i rozpacz niekiedy....

Rozmawiałem z babką do śniadania. Gdy babka przy stole oznajmiła głośno, iż zostaję w Krążu na dłużej, Gabrjel podał mi rękę i poprawiając monokl, rzekł krzykliwie:

— Bardzo się cieszę! Uważam, że twoja obecność jednych uspokaja, drugich łagodzi. Zamek przycichł również i jakoś wszyscy mają lepsze humory.

Babka zacięła usta a Chmielnicka rzekła, krygując się:

— Tylko panu pewno nudno w Krążu, pan z szerokiego świata pochodzi, a tu u nas....

— Hetmanówna Chmielnicka, we własnej osobie upiększa Krąż! Czegoż chcieć więcej?! — zawołał Gabrjel z patosem.

— Ja nie jestem żadną.... Glicynją, żeby upiększać Krąż — odrzekła obrażona.

— Ho, ho, żądło Bohdanka, watażki, odezwało się w prawnuczce — śmiał się Gabrjel.

— Za młoda jeszcze jestem na.... prawnuczkę hetmana — odparła z godnością.

— A co, za mało dodałem pra?... No, sumiennie poszperawszy w latkach, to pomimo, że tam każdy rok trwa... dziesięć lat... ale zawsze... tego... fura!...

Korejwo rzekł basem zwróciwszy się do mnie:

— Nie tylko my wszyscy i Krzepa, ale i Bogdziewicz będzie uszczęśliwiony, że pan zostaje dłużej w Krążu. On mówi, że pan objeździł szpaka tak, jakby najlepszy ujeżdżacz a to był prawie dziki koń.

— Szczególne amatorstwo — bąknął Gabrjel! — Ty,

Romek, skoro tak doskonale władasz końmi, to pewno i kobiety potrafisz ujarzmiać niezgorzej. Co?...

— Nie próbowałem swoich sił w tym kierunku.

— No, a ja widzę już jeden przykład, nawet w Krążu.

Umilkł. Oczy wszystkich spoczęły na Gabrjelu jakby w oczekiwaniu kogo wymieni. — On uśmiechnął się dziecinnie i zrzuciwszy monokl nerwowo, rzekł wolno, cedząc słowa:

— Wprawdzie to konkieta mniej niebezpieczna, ale... walna!... bo jest nią aż... pani babka.

Skłoniłem się babce głęboko, z uśmiechem, chcąc złagodzić szorstkość sytuacji.

— Byłbym uszczęśliwiony, gdybym zasłużył na pewne uznanie, kochanej babci.

W tem Korejwo zaśmiał się dyskretnie.

— Toż wnuk, to co innego! Ja myślał, że pan Gabrjel o innej konkiecie mówi, a to wtedy, tak już naprawdę niebezpiecznie byłoby dla pana.

Gabrjel nasrożył się. Zrobił śmieszny grymas i przeszył Korejwę ostrym wzrokiem, ale nic nie powiedział.

Rozmawiałem z babką odczuwając, że niemądre słowa Korejwy rzuciły cień na humor Gabrjela.

Wkrótce wstaliśmy od stołu. Babka pocałowała mnie w głowę, pierwszy raz i rzekła ze smutnym uśmiechem.

— Baw się, Romek, jak chcesz i lubisz, ale i mnie ofiaruj czasem chwilę rozmowy. Lubię z tobą rozmawiać... zdaje mi się wtedy, że... nie jestem w Krążu.

Odszedłem zamyślony. Co jest w duszy tej kobiety, jaka jest jej psychika i jej historja w ogóle?...

Zimna jak głaz, sucha w obejściu się ze wszystkimi,

zdobywa się jednak na takie momenty jak ten dzisiejszy ze mną?... Coś widocznie w niej tęskni do innego życia, do ciepła rodzinnego, którego nie zaznała, lub już tak dawno nie odczuwała dokoła siebie, co zresztą mi sama wyznała, że każdy najdrobniejszy objaw mojej serdeczności wpływa na nią dodatnio. Jak okropnem musi być życie w takiej pustce duchowej... w takiej beznadziejnej ruinie wszelkich ideałów, wszelkich uczuć. Zapewne sama sobie wytworzyła taką atmosferę życia, lecz ten brak słońca i ciepła odczuwa teraz, na starość silniej i boleśniej. Takie jak jej modus vivendi nie nakarmi duszy. Gdy serce głodne, życie jest trucizną.

---

22. czerwca.

Dwa dni przewałęsałem się zwiedzając okolicę i znalazłem, że tylko lasy są tu bardzo piękne, jakich się już nie często spotyka. Istna puszcza drzew iglastych, kolosy dębów, potężne buki. Cóż za buki! Z rozkoszą zanurzałem się w ten labirynt drzew-olbrzymów idących zda się w nieskończoność. Nie było horyzontu, ani przestrzeni, jeno zwarty kolumnowy gmach o zielonem sklepieniu.

Pomyślałem zgoła bezwiednie, że ten bór był Pobogów nie zaś Zatorzeckich, że oni są tu uzurpatorami, ja zaś potomkiem tych, których wyzuto z ojcowizny, których odarto z mienia na korzyść przybysza i jego rodu.

Odsuwałem te myśli natrętne, chcąc zachować spokój wewnętrzny z jakim przybyłem tutaj.... Bo cóż mi z tego, że Krąż i jego bogactwa były ongiś Pobogów, skoro sam pradziad ofiarował je ciepłą ręką Zatorzeckim. A testament? Miły Boże! pozostał z niego tylko strzęp w maniackich wspomnieniach Paschalisa. Trzeba być bardzo naiwnym, by wierzyć, że Zatorzeccy nie postarali się o odnalezienie i zapewne zniszczenie dokumentu. Przecie to takie ludzkie! A jednak....

— Ten bór jest twój — mówił mi jakiś głos, prześladując mnie uparcie krok w krok.

— Ten bór jest twój — majaczyło mi się widmo pradziada, wpatrzone we mnie z tą despotyczną mocą, z jaką patrzały na mnie, w sali zamkowej, z portretu, jego oczy.

— Szukaj testamentu — słyszałem dokoła echo słów Paschalisa, zniewalające mnie do zwrócenia myśli wyłącznie w tym kierunku. Potężne konary drzew wydawały huk złowrogi ostrzegający, zły. Było chłodno, ale nie czuło się wilgoci w powietrzu, jeno jakąś grozę, idącą wraz z cieniami od sunących górą obłoków.

Długo błądziłem po lesie, gdyż wydawał mi się coraz piękniejszym i coraz bogatszym w niezwykłe okazy roślinne. Cieszyłem się nim, oceniałem go ze strony wartości realnej, jak gdybym wchodził w jego posiadanie. —

W południe dobrnąłem do rzeki, o brzegu płaskim i dostępie łatwym. Odbijają się w niej cudownie wielkie sosny, dekorując ją z obu stron ciemno zieloną, ruchomą ramą aksamitu, który ku środkowi rzeki zakończony jest koronką rozchwianych czubów. Fala była cicha, łagodna i miała zimny, stalowy połysk. Lekki bełkot bijącej o brzeg wody i szum boru z obu stron rzeki wpra-

wił mnie w dziwną zadumę. I przyszło mi na myśl, że po tym borze chodził jeszcze pradziad Hieronim i mój dziad, gdy był młodzieńcem, że i te drzewa potężne może poznają we mnie prawnuka i wnuka tamtych.

I przyszło mi na myśl, że dziad mój i ojciec cierpieli wielki niedostatek na obczyźnie, przez tyle lat a ten las, ich dziedzictwo, szumiał tak samo jak teraz szumi poznając mnie.

Zdawało mi się, że sosny przemawiają do mnie i.... znowu usłyszałem głos: ten las jest twój.

Gdy powróciłem do parku, zapadł już wieczór. Zacząłem bezcelowo błądzić alejami, odwlekając powrót swój do pawilonu. Szum drzew parkowych był inny niż tamten w borze, inaczej przemawiał do mnie, ale dla czego, sam nie bardzo wiedziałem. Rozmarzył mię ten bór, może głównie dlatego, że zawsze szum potężnych sosen usposabia nieco tęskno.

Chodziłem po żwirowanych ulicach tam i z powrotem, kierując się jeno światłem błyskającem słabo z oddali, z oszklonej cieplarni. Byłem pewny, że to mdłe światełko przyświeca czułemu sam na sam Gabrjela z Weroninką. A może?... przypomniałem sobie jej słowa wczorajsze, rzucone mi na pożegnanie: „wieczorem w oranżerji" — czyżby drugi wieczór oczekiwała mnie?... Ech! głupstwo! Weroninka przy swych instynktach i pożądaniach, kieruje się jednak praktyczną stroną życia i ten ostatni wzgląd zdolny jest nawet zagłuszyć w niej prawdziwy poryw zmysłowy. Ona „leci" na Gabrjela tylko dla Krąża oczywiście, bynajmniej nie z popędu krwi, czego nawet nie ukrywa (może tylko przedemną) i celowo działa na Gabrjela zmysłami, wiedząc, że tem go trzyma. To wstrętne!

Doznałem nagłej pokusy by zajrzeć do cieplarni..... Podsunąłem się w stronę światełka, gdy wtem usłyszałem za sobą, z daleka, kroki. Ktoś szedł za mną, dążąc w tymże kierunku; kroki były ciężkie ale ostrożne jakby skradającego się drapieżnika.

Zasunąłem się za gruby pień ogromnego drzewa, nie chcąc być odkrytym przez kogoś, ktokolwiek on był.

Nareszcie ów ktoś zrównał się z drzewem, za którym stałem. Zatrzymał się. Stał chwilę, a ja miałem taki moment jak kiedy się trzyma na cynglu tygrysa, z myślą błyskawiczną, czy pierwej padnie strzał, czy nastąpi skok zwierzęcia. Chyba od czasów mego polowania w dżungli nie taiłem nigdy oddechu tak długo jak teraz.

Wreszcie poszedł sobie! Uczułem prawie fizycznie, jak mi ciężar zsunął się z piersi. Kroki oddalały się i zwolna cień męskiej postaci wysunął się z aleji na jaśniejszą nieco połać trawników. Nie wierzyłem własnym oczom....

Czyżby to Gabrjel?....

Postać szybkim ruchem posunęła się naprzód. Mijał pasemko światła, drżące na trawie z okien oranżerji. Tak, był to Gabrjel!

Zatem dopiero teraz dąży na schadzkę — pomyślałem. Ale dlaczego tak się skrada, czyż nie może iść śmiało?...

Nagle trzask ostry oszklonych drzwi i jednocześnie przenikliwy krzyk kobiecy, krzyk jakby przestrachu.

Wzruszyłem ramionami. Wejście kochanka na rendez vous do kochanki stanowczo zbyt głośne! Pierwszą moją myślą było odejść do pawilonu, lecz jakiś wewnętrzny nakaz zatrzymał mnie na miejscu. Nie przeszło bowiem dziesięciu minut, gdy światło zgasło i znowu

trzasnęły drzwi. Wyszli z cieplarni oboje, Gabrjel i Weroninka. Ona biegła szybko ukośnie przez trawnik, jakby zdążając do uliczki, wiodącej do prawego pawilonu, gdy wtem rozległ się syczący głos Gabrjela.

— Stój, ani kroku! pójdziemy do parku.

— Ale ja się boję! — zawołała dziewczyna z trwogą.

Gabrjel ujął ją pod rękę i weszli w cienie. O zgrozo! usłyszałem ich kroki znowu dążące w moją stronę.

Tego było dla mnie doprawdy za wiele. Już poruszyłem się, by wyjść na środek aleji, gdy jakaś siła, chyba hypnotyczna, czy co u djabła, zatrzymała mnie znowu tak stanowczo, jakby mnie ktoś garścią chwycił za włosy i krzyknął w same ucho: „stój!“ — Oni nadchodzili spiesznym krokiem wprost ku mnie. Rozmawiali z żywością. Usłyszałem podniecone słowa Gabrjela:

— Czemu nie chcesz powiedzieć, poco czekałaś, skoro byłem przedtem i odprowadziłem cię do domu.

— Mówię przecie... pikowałam kwiaty.

— Kłamiesz! czekałaś na tamtego wczoraj i dziś. On dotąd nie wrócił do mieszkania a ty przyszłaś powtórnie i zapaliłaś świeczkę.

— Jak tatka kocham... że....

— Nie kłam! przy świeczce nie pikuje się kwiatów, siedziałaś z założonemi rękami. Czekałaś na niego,... wypatrujesz go, widzę.

— Jak wtedy, po obiedzie, w parku pan mnie z nim rozłączył, tak i więcej go nie widziałam.

— Milcz, już wszyscy wiedzą, że on się tobie podoba, a jego wczoraj od śniadania do późnej nocy, a dziś cały dzień nie widać....

Minęli mnie i te ostatnie słowa, dosłyszane już poza mną rozpłynęły się w szumie drzew.

A więc to tak!? Gabrjel mnie posądza?... O, dziękuję! podobna sytuacja nie uśmiecha mi się na przyszłość ani trochę.

Na razie nie wiedziałem co robić. Korzystając jednak z tego, że oni oboje oddalili się w głąb parku, zawróciłem spokojnie w stronę naszego pawilonu i oto jestem w swoim pokoju. W pół godziny potem przyszedł do mnie Gabrjel. Wypytywał mnie o wrażenia z wycieczki i był tak drobiazgowy w pytaniach, jakby chciał się upewnić ponad wszelką wątpliwość, że nigdzie więcej nie byłem i z nikim się nie widziałem.

Gdy się dowiedział, że jutro wybieram się na nową wycieczkę, spytał skwapliwie czy potrzebuję koni. Odczułem, że pragnie wiedzieć dokładnie dokąd zamierzam się udać. Przyszła mi łobuzerska myśl do głowy. Podziękowałem mu uprzejmie, zapewniając go, że znowu popłynę łodzią, w drugą stronę Krąża i, zapewne późno powrócę, a może nawet przenocuję na leśniczówce, pod Zatorami.

Gabrjel zaniepokoił się.

— Jakto, nie wrócisz na noc do domu?...

— Lubię las w nocy, gdyż przypominają mi się moje myśliwskie peregrynacje.

To trochę uspokoiło Gabrjela, może nareszcie odwróci odemnie swoje niesympatyczne podejrzenia?

Tego właśnie pragnę.

24. czerwca.

Doszedłem do przekonania, że Opatrzność kieruje mojemi krokami.

Spotkanie bowiem Gabrjela z Weroninką w parku, onegdaj wieczorem i zastawianie pułapki na mnie przez kuzynka, wywołało projekt mój wczorajszej wycieczki w bór i na rzekę. Opłaciło mi się to stokrotnie. Myślę, że mój przyjazd do Krąża był tylko wstępem koniecznym do tej uroczej nocy wczorajszej i dzisiejszego poranku.

Wczoraj rano odwiedziłem Paschalisa, obiecując mu, że będę szperał w bibljotece, oczywiście nie dzięki jego naleganiom, lecz dla wertowania starych ksiąg, które mnie bardzo interesują. Przedtem jednak pragnę zwiedzić okolicę w jak największym rejonie.

Paschalis doradził mi, bym za przewodnika wziął Krzepę. Usłuchałem jego rady i w towarzystwie Krzepy zwiedziłem piękny majątek Zatory, dawniej Dębowe, przechrzcony tak przez Ksawerego Zatorzeckiego, oraz tartak, dwa młyny: parowy i wodny i wspaniałe lasy.

Po zachodzie słońca Krzepa poszedł na obchód swego rewiru, ja zaś dopływając łodzią do Krąża, postanowiłem, w myśl wczorajszego projektu, nie wracać na noc. Minąłem zamek i przebrnąwszy liczne zakręty rzeczne i wiry, płynąłem powoli w górę rzeki, pod prąd w stronę puszczy, która mnie onegdaj tak zachwyciła. Djablo przeciągałem swoją wycieczkę, głód mi dokuczał na dobre. gdyż wszystkie zapasy przygotowane rano przez mizdrzącą się hetmanównę, spożyłem jeszcze za dnia. Wkrótce zapadła noc, nasycona ciszą i ciepłem. Rzeka oddy-

chała sennym omdlewającym bełkotem fal. Woda ciemna, jak oksydowana stal, unosiła moją łódź na swej płynnej szarfie, powoli oddalając mnie coraz bardziej od Krąża. Gdy wreszcie z obu stron rzeki spiętrzył się bór czarny, przepaścisty, doznałem złudzenia, że płynę w podzwrotnikowej okolicy w dziewiczym borze, na murzyńskiej pirodze. Parna noc, pełna gorących podmuchów, dopełniała złudzenia. Wrażenie było tak silne, że oddałem się mu z rozkoszą. Rozmarzyłem się zupełnie.

Jak to było dawno... dawno!... Las dziewiczy, polowania, chaty murzyńskie, placki z tłuczonego przez czarne piękności manioku, niebezpieczeństwo dżungli, urok tej bajkowej strefy, gdzie ziemia spieczona słońcem nie przestaje tworzyć cudów roślinnych, gdzie kwiaty i trawy wyrastają na wysokość człowieka, chowając w sobie co krok śmierć dla niego.

W pewnej chwili zapaliłem papierosa, składając wiosła bezczynnie, lecz fala zaczęła mnie znosić w kierunku powrotnym, wiosłowałem tedy dalej. Wreszcie po zakręcie rzeki i małej zatoce poznałem ów brzeg, który mnie wtedy zachwycił. Spojrzałem na zegarek, była jedenasta. Dokądże dopłynę i gdzie się oprę? — myślałem mętnie.

Noc stawała się coraz jaśniejsza i cieplejsza, czasem nawet fala nagrzanego powietrza jak z jakiegoś niewidzialnego pieca w lesie uderzyła swym gorącym oddechem, owiewając pożarem moje chłodne czoło.

Czułem wtedy żywszy obieg krwi w żyłach, a taki śmigający dreszczyk jest przyjemny, ale niebezpieczny — budzi pożądania.

Wprawdzie w tej puszczy z obu stron rzeki, nie grozi żadne niebezpieczeństwo ani nikomu odemnie, ani

mnie od nikogo, ale może wywołać zbyt upojne wizje i tęsknoty narazie nie urzeczywistnione. Uśmiechnąłem się....

A Weroninka?...

Hm! to byłoby gorzej!....

Myśl ta, łaskocząca nerwy, przebiegła skośnym lotem jaskółki wskroś mojej istoty fizycznej i uleciała w przestrzeń, pozostawiając po sobie zabawny wniosek:

— A gdyby ocalić Krąż od ewentualnej kasztelanki, Weroninki de domo Ślaz, za pośrednictwem takiej intrygi?... Tfu! świństwo!... Niech ją sobie Gabrjel pielęgnuje z powodzeniem.

Gdzieś z daleka, z daleka, z łąk nadrzecznych rozległ się głos bąka i płynął po fali czysty, wyraźny coraz bliższy. W ciszy nocnej głos ten nie był miłym, ale obudził martwotę lasu. W głębi czarnej zakwilił jakiś ptak, odezwał się lelek, tuż nad wodą cichym lotem, miękkim jak kłaczek piór przewinęła się sowa, potem zatrzeszczały gałęzie, gdzieś w pobliżu brzegu i rozległo się przytłumione rechtanie. Dziki!...

Las ożywił się chwilowo i znowu zamarł w swej głuchej ciszy nocnej. Długo płynąłem zamyślony, posuwając się naprzód bardzo wolno. Czułem się wybornie w tej głuszy, na rzece szerokiej, pośród boru i w zupełnej samotności. Pomimo mnóstwa myśli, które następowały jedne po drugich z szybkością, jakiej żaden mechanizm dorównać nie zdoła, — myśl o Krążu wracała jednak upartym refrenem, nie dając się odepchnąć żadną miarą. Postanowienie moje, aby jaknajprędzej opuścić Krąż — dojrzewało, ale nurtowała mnie ciekawość, czy istotnie mógłbym znaleźć testament, wedle zapewnień Paschalisa.

Nagle, w toku tych uporczywych rozmyślań, ujrzałem przed sobą, na sinej stali rzeki jakiś punkt, zbliżający się z niesłychaną szybkością. Po chwili spostrzegłem, iż to była łódeczka, mała jak łupina. Siedziała w niej jakaś drobna postać... — wzrok mnie nie mylił... postać kobieca. Kobieta ta wykonywała rękoma jakieś ruchy desperackie, wyraźnie do mnie skierowane. Usłyszałem głos donośny wzywający ratunku. Jeszcze sekunda i spostrzegłem, że kobieta najwidoczniej nie posiada wiosła, prąd rzeki unosi ją szybko w dół i prędzej czy później grozi jej poważne niebezpieczeństwo, zwłaszcza gdy będzie mijała Krąż, gdzie rzeka gwałtownie skręca i ma szalone wiry. Łódeczka zbliżała się pędem, nie było czasu do stracenia. Gwałtownie poruszyłem wiosłami w gryfach, skierowując łódź swoją wprost na płynącą. Po minucie łodzie zrównały się z sobą. Zgrzytnęły burty. Chwyciłem łańcuch i podałem go nieznajomej, zatrzymując jednocześnie łódeczkę silnie za brzeg jej ostrego dzioba.

— Ach panie! dziękuję! co za szczęście!... byłabym się rozbiła. Rzeka porwała mi wiosło! łódka uderzyła o jakąś zaporę i woda przesiąka! — zawołała młodym, niezwykle dźwięcznym głosem, który podziałał na mnie niezwykle i uświadomił mnie, że mam przed sobą inteligentkę.

— Proszę na moją łódkę, niech mi pani poda rękę! — zawołałem, wyciągając do niej ramię.

— Ależ co znowu!? Niech mi pan pożyczy tylko jedno wiosło, może z jednem pan sobie poradzi?

— Musi pani przejść na moją łódź, pani ma już całe stopy w wodzie. Proszę!

— Nie! dopłynę do brzegu, wyleję wodę z łódki i z pana wiosłem powrócę do domu.

Ogarnęło mnie pragnienie szalone postawienia na swojem.

— Proszę na moją łódź, ani chwili do namysłu, łódkę przyholuję do brzegu.

Głos mój miał widocznie szczególny akcent, gdyż nieznajoma nie opierała się więcej. Spojrzała na mnie badawczo, oczami, które błyszczały nawet w nocy. Oczy jej na tle jasnej, drobnej twarzy i ciemne wyraziste brwi rysowały się malowniczo na białem czole pod gładko zaczesanemi włosami ciemnemi, okrytemi kwiecistą chusteczką. Powstała i znowu zawahała się, chwiejąc się na łódce, niezdecydowana.

— Proszę panią — powtórzyłem z naciskiem.

Podała mi obie ręce i niesłychanie zręcznie przeskoczyła z chyboczącej się łódki na moją łódź. Trzymając mocno jej drobne dłonie, posadziłem ją na ławeczce i wówczas dopiero jąłem przymocowywać do siebie obie łodzie. Gdy skończyłem i łańcuch wyprężył się, utrzymując za sobą w należytem posłuszeństwie łódkę przybyłej, wtedy, biorąc za wiosła, spojrzałem na swego gościa. Patrzyła na mnie ciekawie. Uśmiechnąłem się.

— Musimy się sobie przedstawić. Jestem Pobóg... z Krąża.

Cofnęła się zdumiona, brwi na jej czole jasnem zbiegły się w śliczny łuk.

— Pan żartuje!... czyżby to był dalszy ciąg mojej przygody?... Pobóg z Krąża?!... mógł pan również powiedzieć... upiór z Krąża, bo to na jedno wychodzi.

Zrobiło mi się dziwnie przykro.

— Więc i pani.....

Nie skończyłem, gdyż ona podała mi żywo rękę i uśmiechnęła się bardzo wdzięcznie.

— Przepraszam pana, ale zestawienie tych nazwisk!... Na upiora pan nie wygląda. Zresztą... nawet upiorowi dziękowałabym za ocalenie mię od niebezpieczeństwa, w jakiem byłam. Nazywam się Teresa Orliczówna, a mieszkam obecnie u mego stryja Orlicza w Porzeczu. Wyjechałam sobie daleko, co prawda na rzekę, na spacer, zamyśliłam się, wiosło mi się zsunęło do wody, nie mogłam go już uchwycić i taka przygoda! Wszak to już późna noc.

Zapaliłem zapałkę i spojrzałem na zegarek. Była godzina dwunasta. Przeraziła się, gdy to usłyszała.

— Cóż ja teraz zrobię? — załamała ręce.

Przy blasku zapałki błysnęły mi jej oczy żywym ogniem, cała twarz wydała się Kameą. Smukła postać ciemno ubrana, była zręczna a silna.

— Już wiem! — zawołała z zapałem. — Dopłyniemy do brzegu, naprawimy łódkę i z pożyczonem od pana wiosłem wrócę do domu. O ile mi pan zechce w tem wszystkiem dopomóc.

Gdy wyraziłem wątpliwość naprawienia łódki bez żadnych narzędzi i materjałów potrzebnych, zasępiła się znowu. Zacząłem ją tedy uspokajać. Oto odpocznie na brzegu, osuszy się przy ognisku i o świcie sam ją odwiozę do Porzecza.

Uśmiechnęła się.

— Ale właściwie to ja nawet nie wiem, kto pan jest? Pobóg z Krąża, to wygląda baśniowo. Od czasu, jak mieszkam w Porzeczu, pałam pragnieniem poznania tego zaczarowanego zamczyska, ale zwiedzać go podobno nie można, u państwa Zatorzeckich stryj nie bywa, wybra-

łam się przeto sama łodzią, by zobaczyć choć zdaleka tę legendarną miejscowość. A tu raptem pan, spotkany na rzece jak zbawienie i... Pobóg z Krąża. Nadzwyczajne!

Dopłynęliśmy znowu do tego miejsca, które mnie tak zainteresowało, gdym zwiedzał las onegdaj. Olbrzymie sosny i jodły zwieszały tu swe gałęzie nad ciemną wodą i zdawały się sięgać granatowego stropu nieba.

— Opowiem pani, dlaczego jestem w Krążu, ale teraz przybijamy do brzegu.

— Pod te jodły?...

— Tak, jesteśmy jak w puszczy dziewiczej. Nie będzie tu niestety tygrysów, szakali, ani okularników — zaśmiałem się. — Najwyżej wystraszymy dzika.

— Czy to konieczne wylądowywać?... Możemy przecie odrazu popłynąć w górę rzeki, o ile pan taki uprzejmy i chce mię odprowadzić.

— Rozpalimy ognisko, pani się ogrzeje i wysuszy sobie ubranie i obuwie...

— Ach, to mi nie zaszkodzi, jestem zdrowa. A te lasy pewno należą już do Krąża, blask ognia gotów ściągnąć kogo ze straży, zrobią nam nieprzyjemność.

— Biorę to na siebie, proszę być spokojną. Wysiadamy.

Wahała się, nie była pewną, co robić. Ująłem ją silnie za obie ręce i prawie zniosłem z łodzi na brzeg. Był suchy i bujną trawą porosły. Stanęła bezradnie pod odłą, drżała trochę, nie wiem ze zmęczenia, czy z lęku, który w niej odczuwałem.

Umocowawszy łódź przy grubym pniu drzewa, skłoniłem się przed nią, ledwo majaczącą w gęstym cieniu odeł.

— Proszę, niech pani przestanie uważać mnie za

upiora. Jestem Pobóg, ale żywy i nic z Krążem nie mający wspólnego, bo zaledwo od tygodnia tam mieszkam i już prędko opuszczę ten, istotnie zaczarowany zamek. Jestem bardzo rad, że w swojej, również przypadkowej wycieczce na rzekę, spotkałem towarzyszkę. Bądźmy przeto jak pątnicy zbłąkani w puszczy, którym wesoło i dobrze. Zabieram się do rozpalenia wielkiego ogniska..

— Ja panu pomogę, urządzimy olbrzymi stos! — zawołała nagle rozweselona, z ożywieniem.

Trochę po omacku szukaliśmy suchych gałęzi. Obłamywałem susz z niskich odziomków jodeł i wkrótce zapaliłem stosik. Ona rzuciła nań również sporą wiązkę chróstu, buchnął duży płomień, rozjaśniając na kilka metrów przestrzeń przed nami.

Panna Teresa krzątała się żwawo i ciągle podsycała ognisko. Była ożywiona, swobodna i bardzo miła. Wysoka, smukła, ale nie chuda, zgrabna, w ruchach dziwnie harmonijna i proporcjonalna. Śliczne ciemne oczy ocienione ładnie, wdzięczyły się mimowoli; ale nie było w niej kokieterji robionej, lecz naturalny porywający wdzięk. Ubrana w ciemną lekką sukienkę, za całą ozdobę miała białą i świeżą szyję, ładnie wychyloną z wycięcia sukni, oraz czerwoną, kwiecistą chusteczkę, osłaniającą włosy. Jest szatynką. Nie jest piękną klasycznie, lecz bardzo przystojną, a przedewszystkiem niesłychanie uroczą w swym naturalnym wdzięku. Może mieć dwadzieścia lat najwyżej. Usta soczyste jak świeże jagody, uśmiechały się tak cudownie i tak zaraźliwy był jej wesoły śmiech, że doprawdy czułem się podniecony i sam nie wiem, dlaczego szczęśliwy. Rozbawiliśmy się przy ogniu jak dzieci. Wtem ona załamała ręce komicznym gestem i zawołała:

— Och, jaka ja głodna!

Rozłożyłem ramiona bezradnie.

— Cóż robić i ja jestem głodny...

Zaśmiała się.

— Tak, na to rady niema, trzeba być wytrwałą do rana.

— Wie pani co? Łapmy raki, wiem, że tu są, na ogień dadzą się przywabić.

— W czemże je ugotujemy, choćbyśmy nałapali.

— Prawda! Ale widziałem tu w dzień maliny, to gdzieś blisko. Chodźmy szukać!

— Doskonale! Zaraz, weźmiemy pochodnię.

— Czy i pani także? może jedna wystarczy.

— Będzie jaśniej.

Chwyciła płonącą gałąź, ja drugą i świecąc przed sobą, poszliśmy naprzód. Trafiliśmy na krzaki malinowe, lecz jagód niełatwo było znaleźć, mnie też wcale nie o to chodziło.

Mogłem podziwiać zręczność i swobodę ruchów młodej dziewczyny, mogłem patrzeć w jej oczy, które przy blasku ogni wydawały się nalane złotemi iskrami i tak gorące, tak pełne niewysłowionego czaru, że czułem, iż tracę głowę. Czyżby to był mój typ kobiety, niespotykany dotąd, a wymarzony, jedyny?...

Udało mi się spostrzedz gałązkę oblepioną malinami, które przy świetle ogni wydawały się ciemne, jak granaty. Zerwałem ją i podałem mojej towarzyszce. Klasnęła w ręce z radością.

— Wspaniałe! ale i pan musi jeść razem ze mną.

— W takim razie pani będzie mi sama podawała jagody do ust — zaryzykowałem.

— Zrobimy inaczej — o tak!

Całą gałązkę z maliną podała mi z oddali, sam zerwałem ustami jagodę z szypułki, nie było to jednak to, czego chciałem. W ten sposób podała mi kilka gałęzi z jagodami z wytworną swobodą i wdziękiem. Byłem jej wdzięczny za ten takt, sam nie rozumiejąc czemu. Nareszcie żagiew jej płonąca zgasła. Jakiś szatan podszepnął mi, by i swoją zgasić, zrobiłem to bez zastanowienia, tak zręcznym manewrem, iż była pewną, że stało się to mimowoli. Ogarnęły nas ciemności tem większe, że i ognisko w oddali przygasło. Chwyciłem rękę dziewczyny z pragnieniem przyciągnięcia jej do siebie. Byłem jak pijany, przyznaję. Lecz w swych zapałach doznałem zawodu. Panienka zaśmiała się z wesołą swobodą i zawołała:

— O nie, panie, mamy się przewrócić oboje przez jaki pień, to już lepiej niech każde z nas o sobie myśli.

Pobiegła naprzód, wołając trochę zdyszanym głosem, czy może tak mi się tylko zdawało:

— Proszę podążać za mną, ja widzę w nocy, jak kot!

Czułem się wobec niej zmieszanym, było mi przykro, iż mogła odgadnąć moje agresywne intencje.

Panna Teresa dobiegła pierwsza do ogniska i podsyciła je tak, że zapłonęło jaskrawo. Wtedy spojrzała na mnie poważnie, ale ujrzałem w jej oczach jakiś płomyk, którego przedtem nie było. Głos jej też zabrzmiał trochę sztucznie, gdy przemówiła:

— Możebyśmy jednak popłynęli już w górę rzeki, o ile pan...

— O ile ja panią odprowadzę na swojej łodzi?... oczywiście, że tak, ale jeszcze nie w tej chwili, trzeba poczekać świtu.

— Dlaczego? lepiej teraz płyńmy, taka cicha, śliczna noc.

— Tak nam tu dobrze przy tym ogniu, tak zacisznie... czy pani nie uważa?

— Tak!... tu jest ślicznie, dziwnie bajkowo — uśmiechnęła się szczerze.

Przez chwilę zatonąłem oczami w jej oczach, ona poczerwieniała ogniście, lecz oczów nie spuściła, i piłem z nich czar szczególny, nowy dla mnie a wprowadzający mię w zachwyt, w jakieś niemal religijne uwielbienie.

— Pozostańmy dziś razem do świtu. Niech pani spocznie o tu, na pniu, — usiadła posłusznie — ja obok pani... o tak, tak nam będzie dobrze — ulokowałem się na trawie niedaleko jej kolan.

— A teraz opowiem pani, czy może przekonam cstatecznie, że nie jestem upiorem z Krąża, jakkolwiek jestem Pobóg.

I zacząłem jej opowiadać o sobie. Słuchała tak, jak kobieta subtelna słuchać potrafi. Patrzyła na mnie, przysłaniając czasem rzęsami oczy, czasem źrenice jej spoczęły na czarnej masie drzew, a wtedy wydawały się ciemne jak toń rzeki wśród nocy. Gdy utkwiły chwilami w płonącem ognisku, nabierały blasków nieopisanych, zdawały się palić, jak złote topazy, przepalać swym żarem, wyrazem czarować.

Gdy opowiadałem o Krążu i o tem, jak sny moje znalazły tam wytłomaczenie, aczkolwiek jeszcze niezrealizowane, słuchała z wyjątkowem skupieniem, nie spuszczając ze mnie oczów, a usta świeże rozchylały się z zaciekawieniem i była tak ładna w tem zasłuchaniu się, że chwilami gubiłem wątek opowiadania, wpatrzony w nią.

W pewnej chwili, gdy po jakiemś zdaniu umilkłem, panna Teresa rzekła swym niskim, miłym głosem:

— Od czasu, gdy znam tę okolicę, przebywając w Porzeczu, zawsze słyszałam, iż Krąż jest Pobogów. Zatorzeckich nazywają tu uzurpatorami. Pana Gabrjela Zatorzeckiego widziałam parę razy z daleka; jest niesympatyczny. No, a tak zwaną babcię Gundzię, której się wszyscy boją i nazywają jeszcze Herodem w spódnicy, ja uważam przedewszystkiem za bardzo nieszczęśliwą kobietę. Zdaje się, iż życie nie szczędziło jej bólów i trosk. Mam wrażenie, że przyczyną tego jest jakiś straszny ciężar moralny, który ta kobieta dźwiga przez całe życie.

— Jak ją pani świetnie scharakteryzowała! — zawołałem, zachwycony przenikliwością młodej dziewczyny. Poczem zwierzyłem się jej ze swoich spostrzeżeń co do babki Gundzi i z tego, że mnie zaszczycała większemi względami niż innych, co przypisywałem mojemu odnoszeniu się do niej.

— Tak, to możliwe, lecz panią Zatorzecką uważają tu jednak za bardzo przebiegłą osobę, więcej... za chytrą, której uczucia są zawsze retuszowane własnym interesem i korzyścią. Może przeto?... Nie chcę jej posądzać.

— Rozumiem panią. Może babce chodzi o zjednanie mnie dla siebie, gdyż poczuwa się do winy wobec mnie, jako Poboga? Ale ja wszak nie występuję z pretensjami.

— A właśnie wtedy pani Zatorzecka wykazałaby prawdziwe oblicze. W każdym razie obecność pana w Krążu nie sprawia jej zapewne zbytniej przyjemności. Przepraszam, że pana może rozgoryczam, ale mówię tylko to, co mi na myśl nasunęło pańskie opowiadanie.

— To słusznie, pani ma rację, gdyż czuję się wogóle w Krążu intruzem i dlatego... wkrótce stąd wyjadę...

Powiedziałem to trochę niepewnie, patrząc w jej oczy.

Zapłonęła ślicznie i zawołała żywo:

— Jakto? i nie zbada pan bibljoteki, nie będzie pan szukał testamentu?...

— Czy to warto, proszę pani?... Paschalis, powtarzam, to stary maniak...

— Wszystko jedno, ale dla własnej przyjemności, dla własnego doświadczenia szukałabym koniecznie.

— Tak pani radzi?...

— Stanowczo, panie, przecie to bardzo ciekawe, a przytem sny pańskie w zestawieniu z zeznaniami Paschalisa, to tak zgodny akord i tak fascynujący, że nigdybym się nie wyrzekła sposobności zbadania podobnej tajemnicy.

Zamyśliła się chwilę i nagle rzekła z zadziwiającem przeświadczeniem:

— Ja wierzę w takie nadprzyrodzone wróżby i wiem, że sny to coś niesamowitego, co nieraz kieruje czynami i przeznaczeniami ludzi. Krąż jest wszakże symbolem wielkiej krzywdy, a krzywda — to niesłychanie krucha i ruchoma opoka, na której nie ostoją się najpotężniejsze gmachy. Niech pan rozpocznie poszukiwania.

Patrzyła na mnie chwilę i uśmiechnęła się.

— Pan się dziwi zapewne, że tak namawiam na to, by pan szukał tego testamentu?... Bo mnie historja Krąża wyjątkowo zainteresowała i ze względu na nią samą i z powodu, że mi przypomina coś równie tajemniczego w naszej rodzinie. To także smutna legenda, nawet o wiele zdaje się smutniejsza, niż ta, którą zawiera Krąż. I tam źródłem jest wielka krzywda... lecz...

Umilkła, przybladła.

— Nie mówmy o tem...

— Owszem, niech pani mówi, powiedziałem pani wszystko o sobie, słuchała pani tak ślicznie, czy ja nie zasłużyłem na zaufanie pani?...

— Historja pańskiej rodziny jest mniej smutna, nasza jest tragiczna...

— Proszę, niech pani mówi... błagam panią.

— Czy pan wie, że matka i ja nikomu tego nie opowiadałyśmy?

Skłoniłem przed nią głowę poważnie, chciałem ująć jej rękę, lecz... bałem się ją spłoszyć. Ona uśmiechnęła się.

— Gdyby mi kto przepowiedział dziś rano, że tej nocy będę swoją historję rodzinną opowiadała... Pobogowi z Krąża... w lesie, sam na sam przy ognisku... myślałabym, że ta wróżba zwarjowana przepowiada chyba... śmierć.

Rzuciłem się do niej i porwałem jej ręce.

— Niech mię pani nie nazywa Pobogiem z Krąża! Z Krążem nic mię nie łączy, prócz nazwiska. Nic więcej!

— Proszę... niech pan puści moje ręce — szepnęła dziwnie miękko, z takim wdziękiem, że znowu musiałem opanować się, by nie okazać jej zbyt wiele uczucia.

Cóż za urok wiał od tej kobiety!... co za urok!! popatrzyłem jej długo, mocno w złociste, pełne iskier oczy i wolno, schylając nisko głowę, przysuwałem jej rączki zduszone w moich dłoniach do ust. Gdy wargi moje dotknęły i wpiły się w jej paluszki, zadrżała silnie, podrywając się z siedzenia, ale ją zatrzymałem i w upojeniu, odwracając jej ręce, wtuliłem usta w jej ciepłe, miękkie dłonki, dygocące jak schwytane ptaki. Czułem, że i ona traci władzę nad sobą i byłem szczęśliwy. Spojrzałem

w jej oczy. Lekka mgła przysłoniła jej blask. Był taki moment, że jeden cień zachęty z jej strony, jeden kokieteryjny uśmiech, a byłbym ją porwał w ramiona... Ale nic z tego. Wysunęła ręce z moich rąk. Patrzyła na mnie poważnie głębinami swych oczów promiennych, lecz usta jej były bez uśmiechu, tylko, uroku pełne, nakazywały dla siebie cześć i uwielbienie.

Trwało to względnie długo. Wtem ona zatrzepotała rzęsami niespokojnie, rozejrzała się dokoła i palcami, trochę nerwowo zacisnęła sobie oczy. Zbliżyłem się do niej o krok, nie cofnęła się... Patrzyła na mnie uważnie, może trochę jak pogromca, w każdym razie ten mój pogromca był śliczny, ja zaś byłem już daleko od zakusów napastniczych. Nie mogłem się jednak powstrzymać, by znowu nie ująć łagodnie, lecz stanowczo, jej ręki, którą poraz drugi podniosłem do ust. Dłoń jej drobna nerwowa, lecz silna, drżała w mojej. Odczuwałem to wyraźnie, panowałem nad sobą, by zachować spokój. Kobiety łatwo odgadują, na którego mężczyznę robią wrażenie; wykluczam tu kobiety zarozumiałe, kobiety papugi, którym się zdaje w ich naiwności, że wszyscy za niemi szaleją i które czcze komplementy biorą za najlepsze monety. Ona do tych nie należy.

Rzęsy jej opadły na policzki, zakrywając blask jej źrenic, ale była w tej chwili w nowym uroku i jeszcze bardziej ponętna w tem zmięszaniu cudownem.

Nie chciałem nadużywać chwili, więc pieściłem jej rękę i rzekłem półszeptem, prawie pieszczotliwie:

— Proszę, niech pani opowie historję, czy legendę swojej rodziny. Słucham całem sercem, jak człowiek bardzo pani oddany, któremu pani może zaufać i wierzyć.

Uśmiechnęła się do mnie trochę smutno. Nagle promień złoty trysnął z jej oczów przedziwnym blaskiem.

— Czy pan wie, dziś noc świętojańska? noc Kupały, wróżb... i kwiatu paproci? Możemy tu sobie na rzece urządzić sobótki.

— Wolę kwiat paproci, gdyż przynosi mi szczęście i upaja urokiem — rzekłem, patrząc na nią.

— Za ciemno, niestety, by go szukać — zawołała żałośnie. — Kwiat paproci kwitnie w nieprzebytych kniejach.

— Ja go już znalazłem i patrzę na niego, jak na cudne zjawisko.

Brwi jej drgnęły, blask oczów przyćmiły na chwilę długie rzęsy. Była w łunie rumieńca...

Ale się wnet ocknęła, spojrzała na mnie z wesołym uśmiechem.

— Znaleziony na rzece... nie należy do legendy...

— Nie chcę legendy — wolę szczery urok, bo taki czar nie rozwiewa się we mgle złudzeń...

Wszak nie jesteś złudą? — dokończyłem w myśli — gdy wtem ona odsunęła się, podnosząc dłoń do góry.

— Cyt! panie... to noc czarów, coś tu błądzi... pan nie słyszy?

Oczy jej nabrały innego wyrazu, rozszerzyły się jakby przerażone... Podniosła głowę, nasłuchując.

— Ktoś tu się skrada — szepnęła spłoszona.

Rozejrzałem się, jakiś szelest istotnie dał się słyszeć, jakby czyjeś kroki.

— Kto tam? — zawołałem ostro.

Z ciemności wyłoniła się ciężka, ogromna postać borowego Krzepy.

Uspokoiłem tedy pannę Teresę i powitałem starego.

Zręcznie udał zdumienie poznawszy mnie, jakoby dopiero teraz. Skłonił mi się wpas, ale na moją towarzyszkę patrzał podejrzliwie. Wyjaśniłem mu sytuację i wskazałem na zepsutą łódkę panienki z Porzecza, pytając, czy się nie da naprawić. Stary rozchmurzył się odrazu, obejrzał, fachowo stateczek, uznając go za niemożliwy do naprawy bez stolarskiego warsztatu. Poczem jął przepraszać nas za swoje najście, tłomacząc się, że zwabiło go ognisko w borze. Ja zaś istotnie byłem na niego wściekły. Przerwał nam tak cudowną chwilę. Opowiadanie nie doszło już do skutku. Terenia, bo tak ją będę nazywał, była spłoszona i wyrywała się, by odpłynąć do Porzecza. Niedorzeczne miała pomysły, najpierw, że popłynie sama na mojej łodzi, potem, że powiezie ją Krzepa, ale spojrzałem na nią tak znacząco i kategorycznie, że zaniechała te swoje projekty.

Krzepa twierdził, jakby w myśl moją, że odpływać jeszcze zawcześnie, trzeba czekać świtu, poczem flegmatycznie ulokował się przy ognisku. W pewnej chwili rzekł, patrząc to na mnie to na Terenię.

— Dziś noc Kupały — święta noc... A państwo nie zapalą sobótek... na rzece?.... Dziś wróżby pewne....

Milczeliśmy oboje, trochę zmieszani. Więc stary zagadał inaczej:

— Tak samo, dawno już dawno, siedzieliśmy, przy ogniu w borze z panem Marcelim Pobogiem i jego żoną, gdy po powstaniu i po ozdrowieniu pana, uciekali oboje zagranicę w przebraniu chłopskiem. Jaśnie pan podobny do pradziada Hieronima, że aż dziw bierze patrzeć, ale podobny i do dziada Marcelego, to mi się tak majaczy jakby to były tamte czasy i.... tamta para jaśnie państwa.

Łuna różowa od ognia, pokrywająca twarz Tereni za-

płonęła żywiej. Spojrzała na mnie, lecz, ujrzawszy mój wzrok, utkwiony w sobie, odwróciła oczy na Krzepę.

— Opowiedzcie, jak to było — zaproponowała staremu.

Ucieszył się i zaczął snuć jedną z tych historji-baśni, jakie się słyszy niemal w każdej rodzinie, w której dziad lub ojciec przelewał krew za Ojczyznę, by tułać się potem bezdomnym, z rozpaczą w duszy i ranami na ciele. Mój dziad Marceli był podwójnie bezdomnym, bo wydziedziczonym z własnej rodziny za miłość.

Terenia słuchała w skupieniu, wreszcie, gdy Krzepa mówił o młodej nieszczęśliwej pani, ciężki los tułaczki dzielącej z mężem, wyzutym z ojczyzny i z majątku, — spytała starego:

— Czy ojciec pana Marcelego, pan Hieronim wiedział o wielkiej miłości synowej dla syna?

— Jakże! — oburzył się Krzepa — wiedzieć to wiedział, ale, że pan Marceli był bogaty, a pani biedna, to starszy pan mówił zawsze, że dla majątku wyszła za pańskiego syna, co już było nieprawdą, bo pan Marceli, jak brał ślub, to już po wydziedziczeniu. Ale to była święta pani. Wiedział o tem pan Hieronim, tylko wiedzieć nie chciał.

Stary opowiadał dalej różne szczegóły z życia moich dziadów, a gdy mówił o pradziadku Hieronimie, twarz jego nabierała jakiejś grozy szczególnej. Oboje z Terenią słuchaliśmy w milczeniu i czułem, że nie tylko mnie, lecz i jej dobrze jest przy tym ogniu, w lesie, w nocy, pod ciemnym stropem, usianym gwiazdami. Odczułem, że nie tylko we mnie, lecz i w niej budzą się uczucia, nieznane dotąd a dziwnie dobre i słodkie, może upojne. Często oczy nasze spotykały się z sobą i nie roz-

biegały spłoszone, przeciwnie, tonęły w sobie z zaufaniem jakbyśmy byli bardzo blizcy i drodzy. Że ona doznawała tych samych wrażeń, byłem prawie pewny. A może nawet nie tylko my oboje, lecz i Krzepa ulegał tej hypnozie dziwnej, porywającej ku sobie nasze duchy i.... serca.... bo w opowiadaniu dziada były zwroty, które mogły nasuwać podobne przypuszczenie. Raz naprzykład patrząc dyskretnie na Terenię, zrobił jakby luźną uwagę, skierowaną niby do mojej babki, żony Marcelego.

— Bywa czasem, że Pan Bóg w ciężkich opresjach zeszle taką niewiastę co jest jakby anioł żywy ze skrzydłami, które zwinął dlatego, żeby ludzie odrazu nie padli na kolana i nie całowali stóp. Do takiej niewiasty człowiek odrazu się garnie, jak dziecko do matki, bo to moc od Boga dana, że jedno do drugiego popycha i przykuwa ich do siebie na wieki....

Umilkł jakby nam dał czas do refleksji. Poczem rzekł znowu z dziwną siłą:

— Taka niewiasta zesłana od Boga, to przeznaczenie i ono poprowadzi tam, gdzie trzeba, gdzie Bóg wskazuje palcem świętym, żeby do tego iść, nawet przemocą iść, i zabrać sobie to, co Bóg człowiekowi przeznaczył. A tego czasem jeden człowiek... i... nie potrafi... Dlatego Bóg zsyła niewiastę do pomocy i dla lepszej wiary i dla większej ochoty....

Aluzja do Krąża i Tereni była aż nadto wyraźna, przynajmniej dla mnie. Dobrze powiedział kiedyś Korejwo o Krzepie: „mądry to jest dziad.... o mądry!!"

Terenia jakby również zrozumiała aluzję starego borowego, stała się trochę sztuczną. Odczułem w niej pewien niepokój, ale był on dla mnie miłym. Umyślnie zagadałem do starego na inny temat, by wrażenia jego

słów nie osłabić. Chwile milczenia jednak zapadały coraz częściej, rozmowa rwała się, bo borowy uparcie wracał do jakichś proroczych zwrotów. Krzepa wyglądał jak wróż słowiański w tę noc Kupały, który przy ognisku wspomina przeszłość i nowe przepowiada losy. Postać jego olbrzymia, oświetlona blaskiem płomieni, na tle ciemnych zwalistych gałęzi jodeł, miała w sobie potęgę i majestat weterana. Twarz jego dużą, ogorzałą, z głębokiemi bruzdami na wysokiem czole, ozdabiały obfite wąsy białe jak mleko. Z pod siwych nawisłych brwi patrzyły jasne, mądre oczy, otoczone siecią drobnych zwarszczek. Szpakowaty czub nad czołem jeżył się zawadjacko. Cechowała go szczerość i łagodność, wzbudzająca zaufanie. Uśmiech starca był pociągający, a z pod białych wąsów błyskały zęby prawie młodzieńcze, pomimo iż Krzepa ma z górą siedemdziesiąt lat. Mówił głosem miłym i dźwięcznym. Wreszcie słaby brzask jął przesiewać swe srebrne pyły, oksydowane mrokiem po przez gałęzie niebotycznych jodeł. Rzeka pokryła się siwą ołowianą omastą. Chłód powiał od wody, nagły szum przeleciał po czubach drzew, jakby przeszedł po nich dreszcz budzącego się lasu.

Świtało!

Ciszę ogromną, ciszę senną, prawie mistyczną w borze, zaczęły mącić lekkie kwilenia ocknięty ptaków. Głosy niepewne, słodkie, pojedyńcze, zlewały się z sobą w jedną harmonję, coraz głośniejszą i obfitszą w tony i melodje. Powstawała codzienna pieśń na chwałę poranku!... Szczególny nastrój zapanował w całej naturze, nastrój tak podniosły, że chciało się wykrzyknąć z piersi pełnej wzruszenia:

— Alleluja! Alleluja!...

Spojrzałem na Terenię i jednocześnie ona i ja powstaliśmy z naszych miejsc.

— Świta — szepnęła uroczyście.

— Tak, świta! — powtórzyłem. — Ten brzask srebrno-błękitny robi na mnie wrażenie nagle otworzonego oka pięknej kobiety po rozkosznym śnie.

Usta jej skrzywiły się lekko.

— Ja innego doznaję wrażenia. Poranek to jakby słodki uśmiech przyrody do Boga, uśmiech dziękczynny za łaskę światła i za nadzieję dnia, więc odrodzenia po ciemnościach. Zdaje mi się również, że i ci śpiewacy leśni wznoszą swoje skromne hymny do Boga za cud świtu, za błogosławieństwo istnienia we wszechświecie, za to, że są atomem bóstwa, dźwięku, piękna w potężnym zespole boskiej przyrody. Słyszy pan... już cały bór gra... To pieśń codzienna, a co dzień nowa, bo co dzień inne, choć pozornie te same uczucia serdeczne ją tworzą. Ta sama, a jednak zawsze inna wdzięczność przepełnia te drobne jestestwa, głoszące chwałę Bożą.

— Pani jest głęboko wierzącą, czy też wyobraźnię swoją dostraja pani panteistycznie do największej i najpiękniejszej fantazji, jaką jest religja... wiara?...

Spojrzała na mnie uważnie.

— Religja nie jest fantazją, lecz prawdą, a zatem i wiara w tę wielką prawdę nie może być oparta na wyobraźni, lecz na głębokiem wewnętrznem przekonaniu.

— Jaka pani szczęśliwa! — wykrzyknąłem z zachwytem.

— Tak — odrzekła z prostotą — przyznaję, że, wierząc, już przez to samo czuję się szczęśliwą, ale...

— Niech pani dokończy.

— Ale... najszczęśliwszą czuję się dlatego, że mam

odwagę swojej wiary, że się jej nie wstydzę i nie uważam się za naiwną — wierząc. Przeciwnie, jakkolwiek bardzo daleka od wszelkiej doskonałości, wiem, że jestem na drodze oświetlonej majestatem prawdy, która wiedzie tam, gdzie króluje mądrość niezgłębiona a wszechmocna.

Patrzyłem na nią z podziwem. To mówi dziewczyna tak wytworna, inteligentna, światowa?... nie spotykałem tego dotychczas u panien nowoczesnych... czy może tylko nowocześnie nastrojonych.

— Ma pani rację... odwaga przyznania się do bezwzględnej wiary to dzisiaj może... druga wiara. Czy jednakże pozostanie pani z tym cudem w duszy na całe życie? czy piękno życia, pokusy świata, nie zasłonią pani owego majestatu, który opromienia jej teraz drogę tak wyłącznie? Czy to światło nie zostanie przyćmione przez inny jakowyś blask przepyszny, nasiąkły purpurą czysto ziemskich i ludzkich namiętności... zachwytów?

Zamyśliła się chwilę, poczem spojrzała na mnie poważnie.

— Nie, panie... sądzę, że napewno nie!... Wszak nawet wybuch wulkanu i potężne stosy jego iskier-płomieni nie zaćmiewają blasku gwiazd, świecących na firmamencie, nie zgaszą jednej gwiazdki, pomimo, iż narazie wydać się nawet mogą o wiele świetniejszem zjawiskiem i większą potęgą. Jednak wulkan gaśnie, a gwiazda świeci, wulkan wystyga, a gwiazda świeci wiecznie... Taką gwiazdą jest wiara duszy ludzkiej.

Wpatrywałem się w nią z zachwytem czysto estetycznym, pochłaniałem ją wzrokiem zapewne zbyt zachłannym. Musiała coś dostrzedz w moich oczach, co ją ude-

rzyło lub się jej nie podobało. Zmieszała się nieco i nagle zawołała innym tonem:

— Już świt jasny! odpływam do domu. Do widzenia panu. — Podała mi żywo rękę.

Zatrzymałem jej dłoń w swojej ręce, zapominając o Krzepie.

— Pani jest cudownym misjonarzem moim, gotów jestem być najtępszym poganinem i jaknajdłużej, byle słuchać pani głosu, widzieć jej zapał...

— Ale pan poganinem nie jest, spodziewam się?

— Mniej więcej... Pragnąłbym, aby pani mię nawracała, może wtedy...

— Dobrze — zaśmiała się, przerywając — zaczynam od tego, że skieruję obecnie pańskie kroki do Krąża, ja zaś odpłynę z panem borowym. Wszak prawda?...

Za ten jeden uśmiech, skierowany do Krzepy, można było upaść jej do nóg. Mnie on jednak rozgniewał, gdyż nie był dla mnie...

Zapowiedziałem jej kategorycznie, że ją odwiozę do Porzecza, lecz ponieważ i Krzepa stanowczo ofiarował się wiosłować, nie było rady. Popłynęliśmy tedy we troje.

Byłem zły na starego, ale on swoją atencją dla Tereni przejednał mię wkrótce zupełnie. Płynęliśmy w najlepszej harmonji na rzece czystej, jak płynny kryształ, w różach wschodu słońca, w powietrzu wprost lazurowem, pełnem zapachów kwiecia i świeżości. Przyśpiewywały nam chóry ptaków, zgodną symfonją leśnej lutni. Jaskółki, fruwając nad rzeką, spadały niekiedy na wodę, by, musnąwszy ją białym brzuszkiem, błysnąć granatową strzałką skrzydeł i znowu krzyżykiem zarysować się na błękicie nieba. Było trochę chłodno, nie miałem na sobie palta, by okryć Terenię. Krzepa zaproponował jej

swoją świtę, lecz nie chciała, twierdząc, że jej ciepło. Różowe jej ciało prześlicznie prześwitające przez ciemną lekką, przezroczą tkaninę rękawów i ramion, drżało wyraźnie, policzki jej płonęły, jak zorze poranne, była ponętna, świeża i przedziwnym urokiem owiana, jak kwiat wiosenny wonią. Milczeliśmy oboje, Krzepa tylko mówił coś, czego zdaje się nietylko ja, ale i ona nie słuchała wcale. Śliczne ręce swe zanurzyła w wodzie, zamyślona, ja zaś, patrząc na nią, pytałem jej i siebie: Czy ty jesteś tą, której dotąd nie znałem, tylko przeczuwałem twoje istnienie. Czy to ty wyśniona, wytęskniona.

— Czy to ty?... — pytałem, patrząc na wdzięczną postać siedzącej naprzeciw mnie, zdaje się tak bliską, a tak jednak daleką, ale już nie obcą, pomimo, że przed kilku godzinami nie wiedziałem nawet o jej istnieniu.

Musiałem to sobie uświadomić, gdyż wrażenie było takie, że znam ją od bardzo dawna i że jest moją.

Szczególne!...

Drgnąłem!... ujrzałem znowu jakby migawkowe zdjęcie wizji nawiedzającej mnie już parokrotnie. Ona... nieznana mi, wymarzona kobieta-idea, kobieta-sen, czy myt... na ławce kamiennej... z głową opartą o pień potężnego platana.... w oddali stary..... zgrzybiały pałac. jakieś góry dokoła... To ona napewno! moja kobieta — idea cudu życia, apoteoza szczęścia, to ona, ona!!...

Uniesiony byłem tem odkryciem i tą pewnością, co jak błyskawicą jaskrawą rozjaśniła mi mózg i natchnęła błogosławionem szczęściem. Nie było w mej duszy miejsca na analizowanie tego uczucia niesłychanej błogości, że odnalazłem Ją, nie było we mnie ani atomu zwątpienia czy ironji samokrytycznej, która tak często zakrada się w podświadomość moją i podgryza, jak złośliwy pod-

jadek, największe zapały i pragnienia. Szczególnie względem kobiet doznawałem często podobnych objawów, stawały się one zawsze klęską moich zachwytów. Zawsze ironja tkwiąca we mnie, jak żądło w szerszeniu, choćbym o niej chwilowo zapomniał, przypominała mi o swojem istnieniu zjadliwem ukłóciem, budziła moją czujność, zaostrzała uwagę. Raz ocknięta rozrastała się jak pasożyt i czyniła w uczuciach moich wyłomy przerażające. W kobietach naprzykład, które mi się podobały, odkrywała z niepojętą zręcznością najbardziej ukryte skazy. Ach, nietylko na tem polegała jej złośliwość, bo jeszcze szydziła z mojej krótkowzroczności, z mojej wiary w daną kobietę. Wpływ tego żądła bywał zawsze jednakowy, ujemny i kategorycznie niweczący.

Czy i teraz będzie to samo?

Dotąd ironja śpi przyczajona. Jak skazaniec czekam zbudzenia się w mej duszy ironji i samokrytycznego sarkazmu, który jest jadem tejże ironji. Więc tymczasem marzę o Tereni, swobodnie... szczęśliwy.

Wycieczka nasza skończyła się inaczej niż pragnąłem. Gdy słońce było już wysoko, ujrzeliśmy wielką łódź, naprzeciw nas, oczywiście z Porzecza. Stryj Tereni, Orlicz, z dwoma wioślarzami, płynął na poszukiwanie bratanicy. Radość i szczęście na twarzy Orlicza, gdy ujrzał Terenię zdrową i bezpieczną, oraz ich obopólna serdeczność, uświadomiły mię łatwo, jak ona jest w domu kochaną. Wyjaśnienie Tereni jeszcze bardziej rozpromieniło oblicze obywatela, lecz moje nazwisko zrobiło na nim wrażenie, aż nadto znane mi już z Krąża, w tym wypadku może mniej jaskrawo uwydatnione, bo zaprawne pewną rezerwą i jakby podejrzliwością tego gentlemana. Zabrano mi Terenię. Orlicz, dziękując mi za

opiekę, nadmienił coś w rodzaju lekkich zaprosin do Porzecza, które nie obowiązywały ani trochę, gdyby nie potężny wabik Tereni. W jej oczach ciemno-fijołkowych, iskrami gorącemi zalanych, ujrzałem wyraźnie pytanie „przyjedziesz?“ i jednocześnie prośbę „przyjedź“, co zdaje się ją samą odrazu zmieszało bardzo. Oczyma powiedziałem jej „przyjadę“ i, nie licząc się zupełnie z obecnością Orlicza, rękę jej przytuliłem do ust ze czcią.

Powróciłem do Krąża jak pod wpływem narkozy.

Terenia... Imię to przepełnia mię całego.

---

27. czerwca.

Paschalis nie daje mi spokoju, czyha na mnie wszędzie i nalega, w sposób bardzo natarczywy, bym zaczął szukać testamentu. Przyznam się, że mi to nie było w głowie, jednakże od wczorajszej rozmowy z Terenią, w Porzeczu, zaczynam o tem myśleć inaczej...

Po pożegnaniu się z Terenią na łodzi, tęskniłem za nią i odczuwałem jej brak tak dalece, że, gdybym uległ pragnieniom moim, pojechałbym do Porzecza zaraz na drugi dzień. Nie na długo co prawda odwlokłem swoją wizytę. Wczoraj wybrałem się tam łodzią. Prosić babkę lub Gabrjela o konie było kłopotliwe i tego nie chciałem. Popłynąłem z Krzepą. Wyręczałem starego często w wiosłowaniu dla własnej przyjemności. Przez całą drogę dziad kładł mi w głowę bezustannie konieczność odna-

lezienia testamentu, przyjazd zaś mój do Krąża nazywał zrządzeniem Opatrzności — przeznaczeniem.

Zaczynam już sam w to wierzyć, jakkolwiek wiarę moją budzą zupełnie inne przyczyny, bo nie Krąż, lecz Terenia.

Złota moja dziewczyna nie spodziewała się mnie tak prędko w Porzeczu. Wylądowaliśmy na małej przystani, gdzie stały łodzie dworskie. Ujrzałem murowany ładny dwór na wzgórzu, w otoczeniu gustownych kwietników i krzewów w kwieciu. Widok malowniczy zaciekawił mnie. Z lewej strony domu, cienisty lasek liściasty, urządzony parkowo, pociągnął mię ku sobie.

Nigdzie żywego ducha. Cisza jakby świąteczna, pomimo, że to dzień codzienny. W lasku bujna niekoszona trawa, przetkana kwiatami, świergot ptactwa ogłuszający.

Przebiegałem po gracowanych uliczkach w nadziei spotkania ślicznego celu mojej wizyty i nagle... w głębi jakiejś alejki, pnącej się pod górę, w gąszczu krzewów ujrzałem postać kobiecą. Ona?... Nie! Przed kapliczką murowaną, tonącą w akacjach rozkwitłych, klęczała kobieta starsza, szczupła, drobna, czarno ubrana, z twarzą ukrytą w dłoniach. Cofnąłem się nieco za drzewo i patrzyłem. Odgadłem matkę Tereni. Wszak mówiła mi, że jej stryj jest wdowcem.

Nie chcąc przeszkadzać tej pani w jej kontemplacji modlitewnej, usunąłem się i odszedłem w stronę dworu. Spotkanego ogrodnika w szerokim, słomianym kapeluszu spytałem o panienkę. Obserwując mnie bardzo ciekawie, odrzekł, że „panieneczka“ jest przy gospodarstwie, ale że, „jeśli przykażę, tak on wraz skoczy i przywoła“.

Wolałem ukazać się jej bez uprzedzenia, dyktowała

mi to trochę moja próżność, czy miłość własna, podsycona nadzieją, że... będę mile przyjęty. Nie zawiodłem się. Ujrzałem Terenię... przy kurnikach. Siedząc na kłodzie drzewa, trzymała na kolanach koszyk pełen pierza i żółtych piskląt. Bardzo zgrabne, smukłe nogi w bronzowych półbucikach, odsłonięte wysoko, nastręczały duże ponęty i przedewszystkiem rzucały się w oczy rasowym kształtem i cienką, suchą kostką. Ale na widok tej główki pochylonej, na widok ust świeżych, o barwie maliny, pieściwie przemawiających do piskląt, zabiło mi serce tak radośnie i tak coś rzewnego, a dobrego wpłynęło do duszy, że znikły mi z oczu jej nóżki, mogące budzić zakusy wcale innej natury. Stałem chwilę niepostrzeżony, zapatrzony w nią. Nagle tubalne i przerażone „A cóże to takiego" padło jak kamień pomiędzy nas. Dziewka wielka, jak piec, zasadzista i czerwona, ujrzawszy mnie, wypuściła z rąk rzeszoto pełne ziarna i z otwartemi ustami zastygła w zdumieniu.

Wysunąłem się na widownię w chwili, gdy i Terenia po okrzyku dziewczyny spostrzegła mnie i zerwała się z miejsca w łunie gwałtownego rumieńca.

Na mój ukłon głęboki, skłoniła się ślicznie główką. Trochę gorączkowo oddała koszyk z pisklętami dziewczynie, strzepnęła wdzięcznie jasną płócienną sukienkę i wesoło podała mi rękę.

— Jak pan tu trafił w nasze zakamarki gospodarskie! Chyba ktoś panu wskazał drogę?... Czy nikogo pan nie spotkał? Stryj właśnie w polu, nikt się pana dziś nie spodziewał, co prawda...

— Jeszcze, czy już?... — spytałem, przenikając ją wzrokiem.

— Jeszcze! — błysnęła ku mnie uśmiechem. — To

jest powodem, że tak niegościnnie pana przyjmujemy. Chwileczkę, panie!

Wydawała jakieś polecenia dziewczynie, poczem poszliśmy do ogrodu. Pragnąłem z całej duszy, by pan stryj jak najdłużej z pola nie wracał.

Terenia, śliczna w swej prostej sukience, na głowie miała różowy zawój, z pod którego wymykały się ciekawie na czoło i skronie, ciemne włosy. Była trochę zdyszana, jakby z wrażenia. Widziałem i odczułem wybornie, że działam na nią, może mniej silnie, niż ona na mnie, ale podobnie... Gdy w pewnej chwili całowałem jej rękę, ujrzałem w oczach błaganie, by tego nie czynić, więc... odwróciłem rączkę i wpiłem usta w jej dłoń ciepłą i drżącą. Szalony poryw unosił mnie ku niej, przyciągałem ją lekko, lecz stanowczo ku sobie i — — zdawało mi się, że i ona...

Gdy nagle odszarpnęła się odemnie, zesztywniała i łapiąc szybko oddech, rzekła bezbarwnie, zdawkowo:

— Cóż, zaczął pan poszukiwania w Krążu?

— Nie zacząłem i... nie mówmy o tem — odrzekłem szorstko.

Spojrzała na mnie pytająco, dziwnie miękko.

— Pan się gniewa?... Wie pan co, chodźmy nad rzekę, to nasza sojuszniczka. Niech pan będzie dobry, jak wtedy w lesie...

— Więc wtedy byłem milszym dla pani?

— Milszym nie... lecz lepszym.

— Niech mi to pani wytłomaczy.

— O, nie, proszę tego nie żądać.

— Dobrze, ale wzamian odpowie mi pani szczerze na jedno pytanie.

— To zależy na jakie...

— Bez zastrzeżeń, droga pani moja, bez zastrzeżeń

Silny rumieniec cudownie okrasił jej liczko. Patrzyła na mnie poważnie, ale trochę niepewnie.

— Czy pan jest taki arbitralny, czy też to pytanie?...

— Jest bardzo kategoryczne, panno Tereso, i kategorycznej wymagam odpowiedzi.

— Przestrasza mię pan... ale słucham pana.

Była w niej słodycz porywająca i poddanie ciche, które mię podniecało niebywale.

Ująłem obie jej rączki i mocno ścisnąłem w swoich dłoniach. Chciała wysunąć je z mego uścisku.

— Proszę nie próbować, bo toby się na nic nie zdało. Musi pani w ten sposób odpowiedzieć mi na moje pytanie.

Umyślnie długo całowałem jej ręce, by się uspokoić, by jej dać czas na uspokojenie widocznego wzburzenia i... i... jestem szczery, by wyzywać ironję, która... milczała. Pocałunki moje drażniły Terenię, mieniła się na twarzy, oczy jej pociemniały i pokrywały się powiekami coraz częściej i płochliwiej pod moim wzrokiem.

Wytrzymałem ją tak długo, upojony jej zmieszaniem i niepokojem, jaki ją nurtował... Jeszcze... jeszcze... Jakie są jej myśli w tej chwili, czego się ona spodziewa odemnie w tem pytaniu, z którem tak zwlekam?... — Ta zagadka przyczyniła się tem bardziej do odwlekania momentu oczekiwanego przez nas oboje...

Struna przeciągała się już nadmiernie. Oczy Tereni błagające, by ją nie męczyć dłużej, co wyczytałem w nich łatwo, zatonęły w moich półprzymkniętych źrenicach.

Wtedy spytałem:

— Czy po naszem spotkaniu, po tych kilku niezapomnianych godzinach w lesie, pani myślała o mnie jako

o Pobogu z Krąża, legendarnym, upiornym, czy też jako o Romanie Pobogu z Uchań? Proszę o szczerą i bezwzględną odpowiedź.

Czułem, że bezczelnie pomijam zasadnicze pytanie, czy wogóle o mnie myślała, lecz komunał ten uważałem za zbyteczny i pomimo to... ironja mię nie ukłóła...

Terenia nagle rozpromieniła się, jakby blask słońca padł na nią. Odetchnęła wyraźnie z ulgą. Spodziewała się zapewne innego pytania...

Po mojem zachowaniu się mogła wszakże oczekiwać tylko oświadczyn. I właśnie ta jej promienność, ta swoboda po tem, co usłyszała, była mi nadzwyczaj drogą i miłą. Odrzekła wesoło:

— Z chęcią odpowiem panu na to najszczerzej. Myślałam o Romanie Pobogu z Uchań... ale...

— Nie chcę żadnego ale, to mi wystarcza!... proszę mi nie psuć cudownej chwili! — zawołałem również w uniesieniu, ściskając jej ręce.

— Więc dodam tylko, że mimowoli do myśli o panu przyłączał się Krąż, jako tło nieodzowne, na którem zawsze dotąd rysowało się nazwisko Poboga.

— To co innego, to już pomińmy, droga pani. Zależy mi na tem przedewszystkiem, by pani mnie nie utożsamiała z Krążem i jego historją.

— Jest pan zbyt wybitny jako postać i jako typ, by móc utożsamiać go nawet... z jego sobowtórem na portrecie — zaśmiała się — którego ja zresztą nie znam.

— Właśnie pragnę, by pani poznała zamek i ten portret.

— Och, to niemożliwe, niestety.

— Zupełnie możliwe i zależy tylko od jej zgody.

Mówiłem trochę naoślep, ale myśl ta nagła olśniła mnie.

„Ona musi być w zamku w Krążu", słyszałem uparty głos własnej woli, nie liczącej się z niczem i z nikim.

— Pan chyba żartuje, wszak zamku Krąż nikt nigdy nie zwiedza.

— Nikt, ale pani w nim będzie, bo... ja tego chcę.

Przez długą chwilę miałem czar jej spojrzenia w swoich oczach... pochyliłem się, szepnąłem ciszej:

— Niech pani tylko powie — tak — reszta na mojej głowie. Proszę mi ufać.

Wysunęła szybko ręce z moich rąk, były zaróżowione od uścisków. Odeszła parę kroków, podążyłem za nią.

— Panno Tereso... oczekuję pani zgody.

— Ten projekt, prawie szalony, dopiero w tej chwili przyszedł panu na myśl, nieprawdaż?

Zdumiałem się. Odgadła mnie, przenikliwość jej zaimponowała mi.

— Tak — odrzekłem szczerze — ale czasem najgenjalniejsze, twórcze pomysły w równie impetyczny sposób nawiedzają umysły ludzkie. Zresztą od projektu mego nie odstąpię i pani się na to zgodzi.

— To zobaczymy... to na później. Teraz proszę pana o jedno.

Umilkła, zawahała się.

— Spełnię, co pani każe.

Szliśmy aleją wśród rozkwitłych krzewów. Słońce krasiło twarzyczkę Tereni zarumienioną... jakby zmieszaną. Namyślała się poważnie, skupiona. Ogarnęła mię niecierpliwa ciekawość.

Przepalałem ją wzrokiem pytającym. Podniosła na mnie oczy roziskrzone i rzekła przyciszonym głosem:

— Moja prośba... to prawie nakaz... lecz nie mój... Będę szczerą...

Stanęliśmy oboje.

— Proszę panią... słucham.

— Miałam wczoraj sen dziwny... zapewne, że to wpływ pańskiego opowiadania — mówiła, patrząc mi śmiało w oczy. Śnił mi się... ksiądz... Halmozen, tak, jak panu opowiadał o nim Paschalis... niby żywy... niby duch w jakimś tumanie... W ręku miał zwój papierów... i ten zwój oddawał mnie, przemocą... i coś mówił... ale co, nie pamiętam... Wiem tylko napewno, że to był jakiś rozkaz kategoryczny, bezwzględny. Miałam te papiery w rękach... bezradna słuchałam słów tego księdza.... a wtem... ujrzałam pana, ksiądz zniknął... więc się domyśliłam, — wszystko to we śnie, — że te papiery są dla pana i, oddając je panu, obudziłam się... Długi czas nie mogłam przyjść do siebie. Ale wytłomaczyłam sobie ten sen bardzo prosto. Oto ksiądz Halmozen nakazuje mi widocznie skłaniać pana do szukania testamentu. Wszak to wyraźne, nieprawdaż?

— Tak, bardzo szczególne! — odrzekłem, istotnie poruszony jej opowiadaniem.

Złożyła przedemną ręce wdzięcznie i mówiła z zapałem:

— To jest właśnie powodem mojej prośby... ten sen. Niech pan szuka tych dokumentów. Może to przeznaczenie pańskie i konieczność? Ja tak głęboko w to wierzę! Pańskie sny o Krążu sprawdziły się już w części... Przecie to nadzwyczajne fakty!... Teraz znowu ksiądz Halmozen, o którym, jak żyję przedtem nie sły-

szałam, objawia mi się we śnie i oddaje stare jakieś papiery, z nakazem widocznym, by oddać je panu... bo gdy pan się ukazał, ksiądz zniknął... To dowodzi, że powinnam pana namawiać uparcie na rozpoczęcie poszukiwań. Rozkaz tego księdza uważam już sobie za obowiązek i... nie przestanę panu... dokuczać w tej sprawie.

— Dokuczać?... Kto wie, droga pani, czy właśnie przeznaczenie moje nie spoczywa w jej ręku??... Pani sen wskazuje na to, tak samo, jak moje... wizje... o niej...

— Jakie wizje? — spytała.

. . . . . .

Nasze sam na sam, cudowne, było skończone niestety. Zbliżał się Orlicz z matką Tereni. Oh! jakiż byłem zły za przerwanie naszej samotności.

Pani Orliczowa, ta sama, którą widziałem przy kapliczce, modlącą się, położyła mi niespodziewanie dłoń na głowie, gdy całowałem jej rękę i rzekła cichym i miłym głosem:

— Dziękuję panu za Terenię, przeszłam straszną noc, wtedy, gdy ją pan wyratował z kłopotu, na rzece. Opowiadała mi swoją przygodę ze szczegółami... nawet to, jakie wrażenie zrobiło na niej nazwisko pana w zestawieniu z Krążem.

Rozmowa nasza potoczyła się gładko i nie osłabła do czasu, aż musiałem odpływać, co nastąpiło dopiero po kolacji. Wcześniej Orlicz nie chciał mię puścić. Byłem mu za to wdzięczny, przyznaję. Nie miałem już coprawda sposobności rozmawiać wyłącznie z Terenią, ale mogłem na nią patrzeć, gdy krzątała się około podwieczorku i wieczerzy, wesoła i zarazem jakaś cicha tą rozjaśniającą i ogrzewającą pogodą ducha, która z niej promieniuje. Nie słyszałem o niej od stryja ani od matki żadnej

pochwały, tak często reklamowanej przez rodziców, przed obcymi, a jednak czułem, że Terenia to oczko w głowie stryja i skarb matki, że jest zarazem dobrym duchem domu, tak samo, jak, de facto, jego gospodynią. Wszyscy i wszystko odnosiło się tu do niej, ona prowadziła gospodarstwo domowe i pszczelarstwo w dużym zakresie.

Orlicz, to typ obywatela, wersalczyka. Bardzo układny i wybornie wychowany, średniego wzrostu, siwy już, choć jeszcze nie stary, prosty i lekki w ruchach, sprawia wrażenie miłe i solidne. Może trochę pyszny, lecz w lepszym stylu, ceni swój ród napewno więcej, niż swoją osobę, tradycję zaś swego rodu stawia ponad wymagania i zamiłowania własne. Wspomina często jedynego syna, który studjuje medycynę zagranicą. O ile odczułem, nie jest on jednak jego chlubą, może z powodu, że nie chciał zostać agronomem, pomimo nalegań i zapatrywań ojca. Od Orlicza dowiedziałem się, że rodzice Tereni mieli majątek, nie duży, Pieńczyce. Stracili go przez różne kataklizmy, a także przez nierząd. Ojciec był to mól książkowy, zamiłowany bibljotekarz i szperacz, nie znający się zupełnie na gospodarstwie. Matka, niedoszła zakonnica, całe życie pokutuje w swojem mniemaniu za to, że nie przywdziała habitu i wyobraża sobie, że za karę Bóg zsyła na nią krzyże. Strata kilkorga dzieci, zgon przedwczesny męża na serce, ruina majątku, brak domu własnego dla córki, którą miłuje ogromnie. Prócz tego czeka ciągle na nowe krzyże. Manją jej stało się to oczekiwanie, jak i nieustanna modlitwa, umartwienia i posty, szkodzące jej zdrowiu.

Orlicz opowiadał mi to wszystko z uczuciem, poważnie, trochę smutno. Delikatnie dał mi poznać, że bratowa i bratanica mają na hipotece Porzecza sumę jego zmar-

łego brata, kiedyś pożyczoną od niego i drugą pozostałą po sprzedaży Pieńczyc. Te panie przeto są poniekąd jak u siebie, on zaś tylko się opiekuje niemi i ich sumą, przytem korzysta z dobrodziejstwa ich obecności. Ale bratowa, a zwłaszcza ta „smarkatka" Terenia, nie chcą tego zrozumieć" — dodał pobłażliwie, zapewniając raz jeszcze, że one obie są mu błogosławieństwem w domu. Matka Tereni, wyglądająca raczej na jej babkę, przedstawia typ kobiety niezwykle cichej i skupionej. Istotnie, brak jej tylko habitu. Rysy twarzy ma klasyczne, uduchowione, jakkolwiek zmęczone i zwiędłe. Postać bardzo rasową. Ta sama rasa cechuje Terenię, tylko w matce jest coś jakby z zaświatów, jakaś melancholja i zaduma nieziemska, czem się bardzo różni od córki, w której życie tryska weselem i pogodą, jak niebo błękitne w majowy poranek.

Wieczór był cichy, wonny, przepełniony ciepłemi oddechami rozgrzanej ziemi, gdy odpływałem z Porzecza. Panie i pan Orlicz odprowadzili mnie do przystani. Krzepa oczekiwał zadowolony widocznie z gościny, najedzony i wyspany miał dobrą minę i buńczuczną fantazję. Uzewnętrzniło się to ubraniem łodzi w zielone gałęzie i gałązką świerku, zatkniętą na czapce gajowego. Na Terenię patrzał z uwielbieniem i kłaniał jej się w pas.

Pan Orlicz dziękował mi uprzejmie za odwiedziny i zaznaczył, że jest moim dłużnikiem, ale że rewizytować mię będzie dopiero kiedyś w Uchaniach, gdyż Krąż... i t. d.... i t. d...., za co mu byłem niesłychanie wdzięczny. Prosił mię jednak, bym nadal nie zapominał o Porzeczu, gdzie jako tak miły chwilowy sąsiad i t. d... z wersalskiemi ukłonami. Nadmienił przytem, że bardzo byłby rad widzieć mnie u siebie dwudziestego dziewiątego, bo

w tym dniu tradycyjnym zbiera się w Porzeczu trochę osób, zatem ja w ich gronie... i... znowu dobór komplementów.

Żegnając Terenię, zdołałem ją zapytać szeptem, jaki to dzień 29-go?...

— Piotra, stryja imieniny i bal — odszepnęła.

Ucałowałem jej paluszki. Sądzę, że tradycja pana stryja była tem poraz drugi zadraśnięta, lecz dla przyjemności tego pocałunku poświęciłbym wszystkie tradycje, nietylko Porzecką.

Odpłynąłem z oczyma pełnemi Tereni, z głową pełną jej postaci, jej głosu. Ta dziewczyna nie na żarty kołacze mi do serca. Rodzą się we mnie nieznane mi dotąd uczucia, jakieś nowe prądy wibrują w całem jestestwie, nowe tętna walą w żyłach... O... źle! Instynkt samozachowawczy, mój obrońca, taki mi dotychczas wierny, milczy, zdechł, czy przyczajony urąga mi bezsilnie? Za słabe ma zęby na urok Tereni, tak samo jak ironja... nie śmie spojrzeć w jej oczy, nawet w moje, w które ona patrzyła. Zmuszam się do analizowania tej dziewczyny, chcę ją krytykować, chcę szydzić ze swego zapału. Nic z tego! wszystko milczy, jak zaklęte, rozrasta się we mnie tylko moc niepojęta, nieznana mi. Ale już rozumiem treść tej mocy, mogę ją nazwać właściwie, lecz... nie chcę. Tereniu! pozostań narazie w tej błękitnej mgle... przeczutą, objawioną... ale jeszcze nieprzenikioną.

. . . . . .

Odrywam się myślą od jej upojnej wizji i zaczynam układać plan śmiały, niedorzeczny. Czy to możliwe, by ona była w Krążu, w zamku, oczywiście przez nikogo nie widzianą? Czy mogę ją na to narażać?... ach,

przedewszystkiem czy ona się na to zgodzi? Wykonać plan jako taki, łatwo. Wtajemniczyć tylko Krzepę i Paschalisa, oni nie zdradzą napewno.

W Krążu, raczej w samym zamku, rzecz cała nie budzi obaw, ani trudności, ale jak upozorować w Porzeczu taki długi spacer?

Mąci mi się w głowie, projekt za projektem goni bez konkretnego postanowienia.

. . . . . .

Dziś byłem w zamku, Paschalis mię przygnębia, patrzy na mnie tak boleśnie, z taką niemą prośbą, tak mię uporczywie prowadzi do bibljoteki, tak bezsłownie błaga o zaczęcie poszukiwań testamentu, że wzrusza tem i rozbraja. Obiecuję sobie, że po bytności 29-go w Porzeczu, będę szukał, poszperam w tych książkach zapylonych, zaciekawiają mnie takie stare dokumenty, foljały. Mogą tu być białe kruki... Ach, gdyby z Terenią, szukałbym testamentu do nieskończoności, a nawet znaleziony schowałbym na nowo, by dalej szukać. Idjocieję — czy co u djabła?! W każdym razie z dzisiejszej bytności w zamku wyniosłem niezbitą pewność, że gdybym chciał, Paschalis ułatwiłby mi nietylko bytność Tereni w zamku, ale przeniesienie tu całego Porzecza. Ha! zobaczymy!

Gabrjel jest tak zapędzony w dzień w Weronince, w nocy zaś w muzyce, że nie wie nawet, co porabiam, ani gdzie się obracam, ale babka Gundzia spogląda na mnie podejrzliwie, zwłaszcza od mojej wycieczki nocnej na rzekę i wczorajszej do Porzecza, o której nie mówiłem jej zresztą. W obie te wycieczki, jakoby rzeką do lasu, zdaje się nie wierzyć. Zapewne posądza mię o przebywanie w zamku z Paschalisem. Ratuje mię w sytuacji

Korejwo, gdy rozmawia ze mną o takich lub takich rewirach w puszczy. Jedne z nich znam istotnie... inne domalowuję fantazją, czem zachwycam Korejwę, lecz nie uspokajam babki.

Dziś podczas obiadu Korejwo zawołał dobrodusznie, w trakcie rozmowy ze mną o lesie i polach Krąża:

— Ot, pan to patrzy na wszystko, jak przez lupę z kryształu. Co ciemne, to widzi ciemne, a co jasne, to jasne. Każdą ci panie plamkę najmniejszą dojrzy, jak... karaczana na dłoni. Oho! przed takim wzrokiem i uwagą to się i w borsuczej jamie nie skryjesz.

Babka zwiesiła głowę, usta staruszki drżały widocznie. Było mi przykro, tembardziej, że hetmanówna Chmielnicka, mizdrząc się i krygując, dodała swoje trzy grosze:

— Pana to się pewno i strachy żadne nie czepiają, bo się pana boją. A jakże! to wiadomo, jak kto ma kryształ w duszy, to mu nawet upiory kłaniają się pokornie, kłapiąc ze strachu zębiskami.

— Pan Korejwo mówił o lupie kryształowej, nie zaś o mojej duszy, nie dosłyszała pani — rzekłem podrażniony.

— Wszystko jedno, jak w oczach kryształ, to i w duszy, a przed takim widma, strachy, upiory plackiem padają. Pan może chodzić śmiało do naszego zamku... tam... nawet i starszy pan Hiero...

Zacięła się, wielce przestraszona, a Korejwo nagle, bardzo gorliwie i głośno poprosił o korniszony... do omletu z konfiturami.

Sam nie pojmuję, dlaczego czułem się jakby winnym wobec babki po tej rozmowie, która ją musiała dotknąć.

Gdy całowałem jej rękę po obiedzie, dłoń jej była zimna, chłodna, szybko wysunęła ją z mojej i spojrzała na mnie jakby z wyrzutem.

Było mi przykro. Terenia może dobrze odgadła, że obecność moja w Krążu jest babce niemiłą. Ale dlaczego zapraszała mnie sama do pozostania tu dłużej, gdy chciałem wyjechać?! Zawdzięczając zaprosinom babki poznałem Terenię... Czyżby to był wpływ nieprzepartej woli przeznaczenia, któremu babka uległa bezwiednie i, które mnie skierowało instynktownie dążyć na spotkanie Tereni?

— — — — — — — — — — —

Zaczynam się wahać, czy jechać do Porzecza na owe imieniny. Ale wszak nie jestem tu incognito i... nawet ludzi straszę swojem własnem nazwiskiem, zupełnie otwarcie.

Pojadę dla Tereni...

---

30 czerwca.

Łamie się we mnie dusza i czuję niebywałe ciężary w głowie... Ale ab ovo. Piszę w bibljotece zamkowej. Cisza głucha aż tętni w uszach. Jestem sam. Paschalis długo ze mną rozmawiał, wreszcie poszedł sobie szczęśliwy, że w zamku czuwa Pobóg żyjący i wedle jego mniemania pan na Krążu. Zaciekawiony był, co piszę. Przepalał wzrokiem moją tekę z czarnej skóry, sylabizował oksydowany napis łaciński na niej· „Hic obiit

Gustavus, natus est Conradus". Zrozumiał; zna trochę łacinę, ale spytał o wytłomaczenie tego zdania. Gdym mu powiedział, że te słowa Mickiewicza (z III części Dziadów): „Tu umarł Gustaw, narodzony został Konrad", oznaczają odrodzenie duchowe i moralne człowieka, wejście jego z błędnej drogi na prawdziwą i dobrą, Paschalis podniósł ramiona do góry i zawołał w ekstazie:

— Chwała Ci, Panie, bo to znaczy, że jasny pan zrozumiał posłannictwo swoje i że pójdzie za wskazówką Boga, by tu na Krążu sprawiedliwość uczynić i pomścić prochy pradziada i dziada.

Był tak uroczysty i natchniony, że nawet nie mogłem się z niego śmiać. Nie chciałem mu również tłomaczyć, iż napis istniał już przed Krążem. Trzeba przyznać, że umieściłem go na tece po przedostatnim plastycznym niezwykle śnie o nieznanym mi wówczas Krążu. Ten zaś sen nawiedził mię po bardzo groteskowych, więcej, po rozpustnych hulankach z kolegami w Wiedniu. Działo się to w początkach kwietnia, czyli na dwa miesiące przed poznaniem Gabrjela, poczem, jak wiadomo, śniłem ostatni raz w Warszawie sen o Krążu. Zestawiwszy to sobie w umyśle razem ze słowami Paschalisa, zaczynam dochodzić do wniosku, że pomysł tego napisu był już dla mnie wróżbą, oczywiście dobrą, ponieważ treść i myśl, zawarta w zdaniu, oraz intencja moja: umieszczenia go na tece z pamiętnikami, dowodziła samokrytycznego potępienia siebie i wzlotu pragnień ku wyższym regjonom ducha. Paschalis mimowoli uprzytomnił mi to w całej pełni i doznaję nad wyraz dobrego uczucia, że może mój wzlot nastąpi... Jeśli tak — to — przez ciebie, Tereniu.

Nie znałem cię jeszcze, a już byłaś przezemnie

przeczutą, nosiłem w sobie twój obraz, ideę takiej, jak ty, kobiety.

Wiedziałem, że cię spotkam, lecz nie przypuszczałem, iż to nastąpi przez Krąż.

Nowy dowód, że mój przyjazd tu nie był przypadkiem, lecz wynikiem jakiejś konsekwencji zdarzeń, czy może, powtarzam, przeznaczeń?...

Nie galopujmy naprzód!... Lepiej uświadomię sobie jasno przeżycia onegdajsze, a wynik tych wspomnień może mię pchnąć do zbyt upojonych wizyj.

Wczoraj w Porzeczu, przebierając się w nieodzowny frak, w gościnnym pokoju dla mężczyzn, nasłuchałem się już dużo o paniach, mających być na balu, zanim je zdążyłem poznać. Z rozkoszą skonstatowałem, że Terenia jest tu ogólnie uznaną i wielbioną. Młodzież tutejsza miała jej tylko jedno do zarzucenia, to jest brak posagu. Niektórzy nad tem ubolewali, inni twierdzili, że Orliczówna może się obejść bez takiej oprawy, jak cenny klejnot bez złota. Ja jestem również tego zdania, może nawet więcej, niż kto inny.

Młody Strzełecki, obszarnik kresowy i bardzo miły chłopiec unosił się nad Terenią z tak szczerym zachwytem, iż nie wątpiłem, że to mój rywal, ale nabrałem do niego jeszcze więcej sympatji, gdy jeden ze starszych panów szepnął mi dyskretnie, żebym podziwiał bezinteresowność Strzełeckiego, który przed rokiem dostał od niej kosza i pomimo to nie przestał być szczerym adoratorem jej zalet i wdzięku.

— Zapewne ma jeszcze nadzieję? — szepnąłem z utajoną goryczą, lękając się zdradzić.

— Żadnej! — odparł mój informator. — Ho, ho, Orliczówna jest kategoryczna, wóz albo przewóz i basta!

Żadnych rezerw ani kompromisów. Wielkie dobra i bogactwa Jurka Strzełeckiego nie porwą jej, bo go nie kocha.

— Jakie są moje szanse i jaki będzie wyrok na mnie, Teruś? — pytałem z niepokojem w duszy, ale zarazem z podświadomą nadzieją, że... że...

Bardzo starannie stroiłem się na tę zabawę, jakby od mego fraka i sposobu noszenia go zależało wszystko. Wściekałem się na siebie za taką małostkowość, lecz to chyba naturalne, że gdy się chce podobać uwielbianej kobiecie, każdy nawet szczegół ubrania nabiera walorów poważnych.

Dowiedziałem się, że jest tu jakaś panna Justa Słucka, bogata dziedziczka, którą swatają Strzełeckiemu, lecz on słuchać o tem nie chce, dowodząc, że panna Justa „nawet na złotym półmisku podana, nawet w ogniach palących się spirytualji jej temperamentu, pozostanie dla niego zawsze nie wzbudzającą apetytu... leguminą, kąskiem ponętnym dla hołysza, który poleci na majątek". Nie można zazdrościć takiej pannie, ani temu, kto na nią p o l e c i. Byłem jej ciekawy. Najwięcej jednak zaciekawiała mię Terenia. Jak też ona będzie wyglądała w atmosferze balowej i jak ja się jej wydam w tem świątecznem otoczeniu, tak różnem od dotychczasowych, dwukrotnych spotkań.

Pierwsze wrażenie moje było wyborne. Terenia w gronie panien wyróżnia się bardzo dodatnio. Jest w niej rasa i wykwint patrycjuszki. Jest swobodna, o sobie nie myśląca, jakkolwiek gustownie i ładnie, ale skromnie ubrana, ma w sobie dziewiczość i czar wiosennego kwiatu.

Z wesołą prostotą, serdecznie witała młodzież mę-

ską, garnącą się do niej z zaufaniem, bez sztucznych efektów, z jakiemi odnosili się do wielu panien innego pokroju. Na mój ukłon głęboki błysnęła promiennym uśmiechem i żywo podała mi rękę, jak dobremu przyjacielowi. Na swoją korzyść zauważyłem łunę rumieńca jaskrawszą, iskry w oczach złote, gorące i mimowolne, odruchowe pochylenie się ku mniej całej postaci, gdym uścisnął jej rączkę może zbyt mocno. Powitanie nasze musiało mieć w sobie jakieś cechy znamienne, bo szczególniej panny zwracały na nas nieustanną uwagę. Mnóstwo panien i pań mniej lub więcej pięknych, lecz przeważnie dorodnych, zapełniło dużą salę, zdobiąc ją uroczyście. Wspaniałe stroje, u mężatek wytworne klejnoty, ogólnie dużo swobody, lecz w najlepszym tonie, wytworzyło wkrótce nastrój niesłychanie miły i ochoczy. Z Jurkiem Strzełeckim przypadliśmy sobie odrazu do serca. Zamiłowanie do koni było tą pierwszą spójnią, na której spotkaliśmy się i zrozumieli.

Widziałem, że oczy Strzełeckiego zbyt często biegną za Terenią i że spogląda na mnie z niepokojem. Czyżby już przeczuł?...

Zaprosiliśmy się wspólnie ze Strzełeckim na polowania jesienne. On do Uchań przyjedzie na zające, lisy i kuropatwy, ja do Nowosiółek na łosie, jelenie, dziki, wilki, rysie... Bagatela!...

Zabawa była huczna, zebrałem dużo obserwacji z tutejszego towarzystwa. Orlicz jest imponujący w roli gospodarza domu. Potrafi utrzymać ton odpowiedni, a bez sztucznej pozy. Pani Orliczowa, matka Tereni, stanowi wyborny akord tej harmonji. Terenia jest złotym promieniem oświetlającym i ogrzewającym, to już stwierdziłem dawniej.

Goście jedni dostrajali się łatwo do stylu, panującego w domu, innych skłaniał do tego pewien przymus mniej lub więcej trudny w spełnieniu. Przypuszczać należy, że wielkie wykroczenia poza tradycję domu nie zdarzają się tu nigdy. Zauważyłem parę typów ciekawszych między mężczyznami. Jeden niemłody już otyły krzykacz, czerwony i brzuchaty, typ sejmikowicza zamęczał wszystkich swemi doktrynami, na wszelkie możliwe tematy. Znam ten rodzaj — piły towarzyskiej. — Sąsiad Uchań Czymielski, wielki przyjaciel ojca, nazywany w okolicy Czyścicielski, gdyż wszystko i wszystkich chce umoralniać i wszędzie robić porządek, którego nota bene u siebie nie praktykuje wcale. Także doktryner, apostół, oponent z zasady, w wiecznym konflikcie z rządem rosyjskim, za co już odpowiadałby nieraz, gdyby go nie znali z tej strony i nie uważali za maniaka narwańca. Tutejszy Kołomyjski jest nieco bardziej patetyczny i większy weredyk, zresztą taki sam wrzaskun okoliczny. Ciekawym, jak oni dwaj zgodzili by się z sobą, gdyby się zeszli. Gdy Orlicz mitygował trochę krzykliwie wygłaszane tezy Kołomyjskiego nazwany został „ślimakiem w skorupie", który lęka się wysunąć różki ponad swoją muszlę, by czasem obce ziarenko piasku nie spowodowało przemiany materji. Orlicz nie obraził się, odrzekł tylko z subtelnym uśmiechem, że jest tak pewny owej materji, iż nie tylko ziarnko, ale nawet największe grudy piasku (ironiczny nacisk) nie zdołałyby jej przmienić. Dlatego również ceni muszlę swoją, że wytworzyła w sobie taką materję. Kołomyjski rzucał się na to w dalszym ciągu, więc odrazu powstały dwie partje: Orliczowiczów i Kołomyjczyków. Miałem wrażenie, że gdyby nie pewne kiełzna etyczne, które umiejętnie nakładał

dom w Porzeczu na bardziej krewkich gości, doszłoby do zwady poważnej.

Kilku panów doskakiwało bowiem do siebie jak zacietrzewione koguty, a cała sprawa polegała li tylko na przeciwieństwie przekonań, w drobnej kwestji.

Jeden z młodych paniczów, okolicznych lowelasów, gnący się jak trzcina w wichurę, w monoklu, z głową mozolnie utrzymaną na stanowisku godnem tego szkiełka, (oczywiście w ścisłem porozumieniu z nosem) słysząc hałaśliwą dyskusję przeciwników, podniósł usta do granic najmożliwszych i syknął przez zęby:

— Idjoci!

Drugi młodzieniec upozowany na filozofa o wyglądzie hipochondryka i trapisty, pokiwał głową żałośnie i rzekł do grupy pań poważnie starszych (panien i młodych kobiet wyraźnie unikał):

— „Szczęściem jest, że tacy gladjatorzy nie ujrzą już.... Romy.... w nowym majestacie i na arenie jej przyszłej chwały nie będą kruszyli kopji".

Odpowiedziało mu również potakujące, ale różne w formie i typie kiwanie głowami zaściankowych niewiast, których miny zdradzały, że są jak na chińskiem kazaniu.

Ponieważ byłem blisko, więc spytałem hipochondryka:

— Dlaczego pan wątpi w przyszły występ tych.... gladjatorów na arenie nowej Romy?...

Obejrzał mnie wzrokiem krytycznym badając, czy warto zmierzyć swój miecz z moją szpadką — jak zapewne określił to po swojemu.... i widocznie uznał mię za możliwego do fechtunku, gdyż z nową serją żałosnych huchów głowy rzekł ponuro, enigmatycznie:

— Ave Cezar, imperator... nie rozbrzmi już w Colosseum przyszłej Romy, której oczekujemy,... która idzie ku nam z mroków, rozpiętych nad nami mgieł stykso-wych.

— Skądże wniosek, że ci panowie, w nowych warunkach okrzyk taki mogliby z siebie wydobyć?... Ja ich o to nie posądzam....

— Lojalni, rojaliści, to wystarcza! Pan pochodzi?... przepraszam, że pytam.

— Z Królestwa....

— Inne strony!... zapewne inne hasła — nie znam!

Oczy opadły mu w dół, zaczął badać własne buty.

— Nowe hasła ogólne znalazłyby, przypuszczam i w tych stronach jednakowy oddźwięk. Wszak duch polski....

Mój rozmówca nagle zadrżał, zbladł i jął gwałtownie majstrować koło krawata. Chwilowo myślałem, że go łapie apopleksja, lecz on zawołał zupełnie innym tonem machając rękami około głowy:

— Uf! jak tu gorąco... upał!... ściany się rozsuwają.. czasami jak parawan... a potem mogą się ścisnąć tak ciasno... że przytłoczą.

Ostatnie słowa wypowiedział ze zgrozą, ale cicho i prawie mi na ucho. Odszedł spiesznie, a ja patrzyłem za nim z dziwnem przygnębieniem.

Zrozumiałem go, manja prześladowcza, wieczna obawa aresztowania, uwięzienia... nawet w domu takim jak Porzecze, gdzie pewnym i swobodnym mógł być chyba każdy.

Mówiła mi potem Terenia, że istotnie młodzieniec ten, nazwiskiem Szrenicz, właściwiej młody starzec był kilkakrotnie więźniem politycznym i stale prześladowany

przez policję. Z tych powodów i dlatego, że na coraz nowe uczęszczał wydziały, nie skończył uniwersytetu i jest mędrcem bez katedry. Posiada przytem dwie manje, wymienioną powyżej, oraz manję wszechstronnego rozumu, wielkości. To defekt ogólny niedowarzonych umysłów... choroba epidemiczna. Gorszym objawem jest fakt, że zarazki tej choroby lokują się nietylko w osobnikach niedowarzonych, ale i w zupełnie skończonych ludziach. Wówczas jednakże objawy są gorsze, bo ośmieszają zarażonego i wywołują już nie współczucie i lekceważące pobłażanie lecz... litość.

W gronie panien rzucała się w oczy agresywnie panna Justa, dwudziestokilkoletnia brzydka blondynka, rozrzucona jak wiatr w marcową pogodę. Cera zwiędła, oczy blado popielate, a głos rozwrzeszczonej sójki, wiercący w uszach przeraźliwie. Figurę ma zgrabną, żywa i krzykliwa, cechuje ją najlepsze pojęcie o sobie pod każdym względem. Tylko za często i za wysoko reklamuje swoje nogi, bez ceremonji niekiedy poprawiając podwiązki. Ułatwia to swobodną zabawę z panną, ale nie pociąga. Mnie przedewszystkiem zdenerwowała wrzaskliwością. Druga jej rówieśnica, może trochę młodsza, ładna brunetka, zwracała powszechną uwagę. Twarz Madonny Raphaelowskiej i bardzo wdzięczna. Panna Renata lekceważyła sobie trochę młodzież, jakkolwiek lubi asystę, ale w zupełnie innym rodzaju. Justa zaczepna i zbyt śmiała, jak dla niej zbyt zalotna, sama prowokowała niektórych z młodzieży do kręcenia się koło niej, absorbując ich nieustannie. Renata zaś wolała, by jej szukano i temsamem triumf jej był większy.

W czasie gdy Terenia zajmowała się w stołowym pokoju, przed kolacją, z pomocą starego lokaja, miałem

czas na obserwację tych dwóch typów kobiecych, różnych od siebie jak niebo od ziemi.

Ponieważ byłem nowością w tym salonie, płeć piękna okazała się dla mnie nader łaskawą. Może trochę i owo zestawienie nazwisk — Pobóg z Krąża — działało fascynująco, gdyż na brak powodzenia u panien i mężatek nie mogłem narzekać. Czułem się — en vogue! Był to zresztą mój dzień niezwykle pomyślny, lubiłem siebie, a to już nadzwyczajne i w budżecie moich dni w roku rzadki wypadek.

Zauważyłem ciekawą rzecz. Oto posądzamy zwykle panie o zawiść między sobą i o rywalizację, lecz zdarza się to samo i wśród mężczyzn. Miałem sposobność stwierdzić podobny objaw w Porzeczu. O ile panie rzucały na mnie bardzo promienne, zachęcające spojrzenia, o tyle młodzież męska bojkotowała mnie ze źle ukrytą niechęcią — wyłączam Strzełeckiego. Szczególnie lowelas w monoklu i paru innych, nie mogli mi wogóle darować, że jestem na sali, szokowało ich zbyt widocznie moje powodzenie. Oczywiście, że się ich zmartwieniem nie wzruszałem, bo człowiek ma już to w swojej łajdackiej naturze, że go takie rzeczy ani smucą, ani bolą.

Całość towarzystwa robiła wrażenie dodatnie w zasadzie, jakkolwiek nie pozbawione jest zabawnych stron. To objaw na wsi zbyt częsty, by raził, lub odsuwał. Przeciwnie, nawet dla typów ujemnych, czy śmiesznych, można tu mieć sympatję... bo są to w każdym razie typy. Wszyscy oni tu siedzą mocno na swych zagonach, z butą wielkopańską i tą pewnością siebie, która stworzyła przysłowie „szlachcic na zagrodzie — równy wojewodzie". Jednakże razi tu bardzo widoczna u większości lojalność względem rządu. Petersburg jest jakby ziemią obiecaną.

Rosja niewyczerpaną kopalnią dostatku i rozkoszy życia. Ta „lojalność", jak słusznie nazwał Szrenicz, psuje styl tych tuzów, którzy na swych własnych dziedzictwach, zachowują butną minę wojewodów a umieją jednak kłaniać się uniżenie cudzemu władcy i nie uważają go nawet za uzurpatora własnej ojczyzny. Za wielki zaś honor uznawane tu są stanowiska przy dworze w Petersburgu. Jest to dysonans i zgrzyt, którego się już u nas, w Królestwie, nie wyczuwa, pomimo, iż takich królewiąt, w znaczeniu ilości włók i bogactw posiadamy nie wielu. Stwierdziłem już poprzednio wielki ton, panujący tu samowładnie. Wspaniałe ekwipaże, konie, zaprzęgi przyjeżdżających, liberje służby... pyszna orkiestra... illuminacja... Przy kolacji lukulusowej, wyszukanej w potrawy i sposobie podania ich, przy bogatej zastawie sreber, kryształów, porcelany, lały się wyborne wina zagraniczne i szampan. Nie było jednak pijatyki. Ton domu, jego powaga na to nie pozwalała. Młodzież piła sumiennie, lecz powściągliwie, z umiarem znamionującym wysokie sfery etyki towarzyskiej i kultury osobistej. Gdy jakiś młody człowiek, widocznie podchmieliwszy sobie więcej, zaczął smalić niedorzeczne komplementy jednej z pań, wkrótce znalazł się w gabinecie męskim, wyprowadzony tam z sali podstępnie i był dobrze obstawiony zanim wytrzeźwiał. Zawdzięczając takiej czujności, sala miała wygląd zupełnie europejski. Podczas toastów i tradycyjnego strzelania z batów przez stangretów, na dziedzińcu paliły się smolne beczki, rzekę oświetlały pochodnie, i ognie bengalskie. Pękały rakiety, tonąc z sykiem w cichej granatowej toni. Była to typowa illustracja ziemiańskiej zabawy imieninowej, we dworze bogatym, beztroskim, gdzie są czyste sumienia, sangwiniczne porywy do hulanki, buńczucznej

i pełnej zapału, pomimo, że ujętej w ramy przyzwoitości i w kodeks praw towarzyskich, ściśle przestrzeganych. Niezmiernie dodatnie wrażenie robiła ta zabawa ludzi o szerokich naturach stepowców, którym nawet ich bezbrzeżne przestrzenie wydawały się ciasnemi, a którzy jednakże umieli utrzymać swoje temperamenty na wodzy, nie dopuszczając do wyuzdania i zdziczenia instynktów w zabawie. Flirt tkwił na sali, żarzyły się oczy, paliły usta, serca biły podnietą. Tańczono szumnie i ochoczo a wytwornie.

Opasły Kołomyjski przetoczywszy się w mazurze dwukrotnem kołem, stanął zasapany przy okazałym proboszczu, który odszedł od kart by obserwować mazura.

Kołomyjski obcierając łysinę przemówił do niego swym tubalnym, ostrzegawczym głosem:

— Nie zapuszczaj proboszczuniu, dobrodzieju, perskiego oka między te fruwające spódniczki bo snadnie możesz się dopatrzeć jakiej niecnotliwej koroneczki i uważasz — febry dostaniesz, choć to czerwiec dobrodzieju.

— Czemuż to ja mam dostać febry a nie pan?... jaż nie tańcuję.

— Ale patrzysz na owoc zakazany... a koroneczki, uważasz serce, to mój świat, to mój żywioł, ja na tem zęby zjadłem, to już mnie i febra nie straszy. Wytrzęsła mną dowoli.

— Dawne to czasy! — zaśmiał się proboszcz — że już i ślady twoich febrycznych trzęsień tłuszcz zalał. Z taką walizą pewnie, że ciężko tańcować? Toż stolik od kart unosisz do góry na brzuchu, tak co mówić o tancerce.?...

Kołomyjski klasnął w dłonie.

— Ot i kocioł garnkowi przygania. Słyszeliście!.. a dlatego hołubce biłem nie gorzej niż ten oto młodzieniec światowy — wskazał na mnie, obecnego przy tej rozmowie.

— Pan podobno z Krąża i Pobóg? — zagadnął mnie proboszcz.

Potwierdziłem, zapewniając, że mu się już przedstawiałem.

— A tak, tak, ale ten Krąż, to siedlisko djabła! Czego żeś pan tam wlazł?...

— Nie rozumiem księdza — odrzekłem z niesmakiem.

— Stara Zatorzecka podobno czarownica, ten młody, gadają, niespełna rozumu, romansuje z ogrodniczką, czy coś tak, i tarabani po nocach na fortepianach. Ten stary lokaj w zamku djabłów za sobą wodzi stadami i... różne oni tam sztuki wyrabiają; świecą, grożą.... Chciałem tam z egzorcyzmami przyjechać, ale! — machnął ręką.

— Ha, ha! — huknął Kołomyjski — aleś się zląkł carissime starej Zatorzeckiej i zaniechałeś wyganiać djabłów z owczarni. Z Zatorzecką niema żartów, mądra baba a skąpa, jej nie weźmiesz na bogobojność, braciszku! Jeszcze by ci, baba wytknęła w oczy różne tam... sprawki....

Zaczęli sobie docinać, ale ja już tego nie słuchałem.

Rozmowa ta o babce była dla mnie tak niesympatyczna, że wzruszywszy ramionami odszedłem, czując, że mogę zbyt cierpko odpowiedzieć księdzu na jego uwagi o Krążu. Jaka to różnica ten proboszcz i nasz ksiądz Julian, proboszcz Uchań o szczerozłotem sercu, wielkiej duszy i ascetycznej, uduchowionej twarzy.

Była chwila odpoczynku po tańcach. Wszedłszy

w grono panien rozbawionych, zostałem otoczony i poszukałem oczyma Tereni.

Terenia była śliczna. W białej lekkiej sukience z czemś zielonem u paska i przy bujnych, ładnie upiętych w węzeł grecki włosach, przypominała motyla. Jest w niej zapał i entuzjazm, a niema krzykliwości sójki, jest wesele i bujny lot, a niema roztrzepania, jest przemiła rytmika i harmonja w jej żywych ruchach, jakby melodja płynąca po bystrej fali. Można powiedzieć, że cała się zawierała w jednem słowie — urok.

Gdy była obecną w salonie, otaczałem ją prawie wyłącznie swoją asystą. Odrywano mi ją zbyt często do tańca, robiłem i ja wycieczki w innych kierunkach, ale wracaliśmy zawsze do siebie i ona szła w moje ramiona.

Późno już w nocy tańczyłem z nią dłużej. Melodja walca upajała. Terenia była tak cudna i tak mi oddana w tym rytmie tanecznym, taka moja, że, patrząc sobie w oczy blisko i rozumiejąc dokładnie, co one do siebie mówiły, zapomnieliśmy oboje o całym świecie... Kołysałem ją w ramionach, czułem ciepło jej przy sobie i oddech szybki, a gorący. Słyszałem bicie jej serca i niemal tętna krwi bujnej, pod perłową karnacją jej ciała. Patrząc jej w oczy z góry, gdyż jest dużo niższa odemnie — spytałem w pewnej chwili półgłosem:

— Kiedy popłyniemy razem do Krąża?...

Podniosła na mnie oczy uśmiechnięte.

— Nie wybieram się tam wcale....

Zakręciłem ją silnie w obrocie walca, raz i drugi, raz i drugi....

— Niech pani spojrzy na mnie.... Tak...! proszę nie zakrywać oczów tym lasem rzęs... pani wie, że ja nie mogę schylić się by zajrzeć pod te zasłony.... Niechże je

pani uniesie... o tak!... moja droga pani,... tak dobrze!... Więc jedziemy — prawda?

— Pan tego serjo nie mówi.

— Najzupełniej serjo, bo tego pragnę, tego... żądam...

Znowu silny, wirowy obrót dwu-, trzykrotny i znowu wolne, rytmiczne płynięcie z jej słodką postacią zwisłą mi w ramionach.

Odchyliła główkę ku mnie, oczy nasze zatonęły w sobie. Patrzyłem na nią z pod półprzymkniętych powiek z rozkoszą.

Zadrżała....

— Żądam tego — powtórzyłem z naciskiem, lecz miękkim tonem....

— Ma pan taki wzrok....

— Jaki?...

— Może... straszny?...

— W znaczeniu?

— Dosłownem. — Lękam się go....

— Pani mnie?... to niemożliwe....

— Pańskiego wzroku....

— Co w nim panią przeraża?...

Milczała, więc kołysałem ją w takt melodji, przeginając lekko i nieznacznie, by tem więcej upajać się bliskością jej ustek rozpalonych, płonących.

— Co pani... widzi w moich oczach?...

— Moc... upiorną.

— Upiorną?... jestem dla pani Pobóg z Krąża? — sarknąłem.

— Nie. —

— Tylko?...

— Roman Pobóg!... to wystarczy.

— Dla mnie to... za mało... Ja nie mógłbym powiedzieć o pani tak sucho.... Teresa Orliczówna....

Milczała, więc pochyliwszy niżej twarz nad jej twarzą i przenikając ją oczyma nawskroś, płynąłem z nią upojnie jak w oczarowaniu.

— Pani nie pyta, jakbym powiedział?

Milczała; rzęsy jej załopotały trwożnie, jak ważki ciemne nad kryształową tonią.... Tonie jej źrenic zmąciły się, mgła subtelna zasnuła je leciuchno... odczułem powód i zrozumiałem. Ta cudna mgiełka wywołała we mnie dreszcz szalony, dreszcz, który rozrywa, wszelkie tamy i kiełzna.

W rytmie tańca pochyliłem się jeszcze bardziej i rzekłem z mocą, półszeptem:

— Powiedziałbym... Terenia moja....

Zadrżała jak brutalnie schwytany ptak, więc.... przygarnąłem ją silniej, spojrzałem w jej spłoszone oczy i z cichego rytmu wpadłem w coraz szybszy wir tańca, w zakręty i lekkie przeginania.... Szumiało mi w głowie, nie słyszałem nawet muzyki, a jednak płynąłem, płynąłem, płynąłem, mając tylko w oczach jej główkę ciemną pochyloną na moją pierś, łowiąc tylko słuchem przyśpieszony gorączkowy oddech jej ustek.

Mignęła mi w oczach, gdzieś z boku, ironicznie wykrzywiona twarz lowelasa w monoklu, potem rozbawione, czerwone oblicze jakiegoś wąsala.

A walc śpiewał, marzył, namawiał. Nagle... uprzytomniłem sobie, że tańczymy sami na całej sali. Odczułem namacalnie liczne spojrzenia... uwagi... szepty....

Zrozumiałem... trzeba przerwać ten zaczarowany taniec, ale jak? Nie można dać im sposobności do żartów, bo nie zniósłbym teraz żadnego dwuznacznego uśmiechu,

żadnego dowcipu a czułem, że wisiały one w powietrzu, jak osy krążące dokoła nas. Więc gwałtownie zakręciłem Terenią w obrocie walca i puściwszy jej rękę, lecz nie zwalniając jej z objęcia, podniosłem ramię do góry z donośnym okrzykiem.

— Mazur! wszystkie pary!...

Zahuczało na sali.

Manewr okazał się dobrym. Prowadziłem mazura z Terenią, wiedząc bez zarozumiałości, że w tym tańcu nie łatwo ze mną rywalizować. Chciałem się przed Terenią wydać jak najawantażowniej i dopiąłem celu. Moja dziewczyna tańczy mazura cudownie,... byliśmy atrakcją sali. Porywano mi już teraz Terenię. Niezmordowanie doprowadziłem taniec do końca, emablując wszystkie tancerki, jakie mi wpadły w ręce. Zrobiłem nawet, zdaje się, zabójcze perskie oko do panny Justy. Otrzymałem wzamian spojrzenie powłóczyste, potem sentymentalne, potem kokieteryjne o przeraźliwym wdzięku, wreszcie, gdy odbiłem ją komuś tam, usłyszałem jej pisk świdrujący i okrzyk pełen zapału i wiary we własne słowa.

— Ach, jaki pan ma temperament! zupełnie jak mój!...

— A jak to się temperament mierzy... miarą gorączki?... Brawo! stoimy na zerze.

— Co pan mówi?...!

Nie miałem czasu obliczać jej temperatury, ani łagodzić oburzenia, musiałem łatać inną sprawę. Oto Orlicz siedział nadęty, matka zaś Tereni była blada i niespokojnie, z przestrachem wodziła za mną oczyma, przenosząc je na Terenię. — Co u djabła... pomyślałem — tańcząc zbyt długo wprawdzie, nie popełniłem jednak wykroczenia karygodnego?...

Tknęło mię nieprzyjemne uczucie.

Trwa ono do tej chwili, spotęgowane krótką, lecz nad wyraz przykrą rozmową moją z owym hipochondrykiem, Szreniczem. Już nad ranem natknąłem się na niego niespodziewanie. Popatrzał na mnie mętnie, zaspany i rzekł swoim szczególnym stylem bufiastym:

— Cezarze!... możesz powiedzieć sobie Veni... Vidi... ale na Vici zarzuć kaptur, nie przejdzie ono bowiem przez twój łuk triumfalny.

— Co to pan, kochany panie, pan śpi i majaczy? — spytałem.

Szrenicz wyprostował się butnie, miał wygląd pytona gotowego do skoku — syknął ironicznie.

— Nie!... tylko ciebie, Atyllo, budzę z ułudnych snów — ocknij się!... albowiem sięgasz zuchwale po tron przeznaczony dla innego władcy, o ile nie na ołtarz ofiarny.

— Nieprzytomny jesteś, widzę, zwarjowany Tamerlanie i słów twoich nawet Pytia tebańska nie pojęłaby napewno... — odpowiedziałem z równym jemu patosem.

Zaspane oczy hipochondryka błysnęły złowrogo.

— Pytją będę ja sam dla ciebie. Sięgasz po Orliczównę... wiedz przeto, że ona, jeśli nie wyjdzie za młodego Orlicza, medyka,... oddana będzie do klasztoru.

Po tych słowach znikł, jakby się zapadł w ziemię. Lecz w tej samej chwili podsunęła się do mnie panna Renata i rzekła poważnie.

— Szrenicz to warjat... i... kocha się w Tereni. W tem, co powiedział, jest część prawdy, ale ja to panu wytłomaczę.

I wytłomaczyła, bardzo miękko, po kobiecemu, przy-

znaję, tylko że treść tych słów nic nie zyskała dla mnie na tem, że mi ją podano w subtelnych różach.

Orlicz pragnie, by Terenia została jego synową i do tego ją uspasabia, matka zaś, ponieważ sama odrzuciła kiedyś habit dla wieńca ślubnego, przeto teraz rehabilitując swój czyn, córkę chce widzieć zakonnicą....

Osłupiały i ogłuszony spytałem, zdaje się, nie swoim głosem:

— A... ona?...

— Terenia?... na to chyba pan najlepiej potrafi odpowiedzieć — odrzekła panna Renata i... uścisnąwszy mi rękę odeszła spokojna, poważna i wdzięczna.

Mądra to jest dziewczyna!... No... co prawda ten mój taniec z Terenią.... przecie moja twarz wtedy, moje oczy, a także i jej nie były za zasłoną, lecz na oczach wszystkich. I tę dziewczynę... Terenię... do klasztoru?... bez powołania?... Wszak to absurd!...

Młody Orlicz „medyk" wydaje mi się błahostką w porównaniu z tamtą grozą, która, sam nie wiem czemu, zaciężyła na mnie, jak tysiąc bloków żelaznych.

Oto są moje wrażenia wyniesione z Porzecza, w dniu wczorajszym. Po tym czarownym tańcu naszym nie mogłem nawet zbliżyć się sam na sam do Tereni, ani do niej osobno przemówić. Pilnowano jej. Wiem o tem. Nie mogłem się z nią nawet pożegnać tak, jak żegnałem dotąd. Tłum ludzi nas otaczał. Odmówiłem grzecznemu wprawdzie zapraszaniu dyplomaty Orlicza, by pozostać dłużej i odpłynąłem z Krzepą o 9 rano, napojony goryczą i żalem, pomimo, że tańczono jeszcze w najlepsze.

Żal i gniew zalewa mi duszę... Doskonałym akordem do tych — miłych — uczuć jest ta cisza bezdenna, jaka mnie teraz otacza. Jestem tak usposobiony, że gdybym

w tej chwili ujrzał przed sobą pradziada Hieronima, nie doznałbym żadnego wstrząsu.

Lecz nie jest to godzina duchów... Słońce zachodzi krwawą łuną i rzuca na moje papiery refleks morelowy. Cała komnata bibljoteki osnuta jak pyłem złoto-różowym. Ożywiły się stare, wypłowiałe adamaszki na ścianach, rumieniec jakby żalu za przeszłością padł na cenne niegdyś sajety, niby na blade lica prababek, gdy otwierają czeczotkową szkatułkę pełną listów z młodości, drobnych pamiątek, a zeschły ślubny wianuszek rozmarynu szeleści wzruszająco w cienkich, sinawych paluszkach staruszki...

Wianuszek ślubny!...

A gdy która na starość i tego niema w szkatułce — jeno przewija się przez palce... welon zakonny, obłóczyn pamiątka?...

Tereniu, Tereniu moja, ty przecież tego nie uczynisz!!...

Wali mi w głowie tysiące młotów. Nie! dosyć!... Idę w ten zachód... w te łuny krwawe... Gnębi mię cisza zamku i uśmiechnięte trupim uśmiechem adamaszki na ścianach... i te księgi zapylone, w których jest może istotnie ukryty testament pradziada... moje dziedzictwo. Idę!... na pola! do lasu! na rzekę ukochaną! ona mi dała Terenię...

---

1 lipca.

Zacząłem dziś przeglądanie ksiąg starych w bibljotece. Niech się stanie zadość prośbie Tereni i błaganiom Paschalisa! Wziąłem się do tego bez zapału, gdyż umysł mam zajęty czem innem, oczywiście myślą o Tereni. Mówiąc otwarcie, pragnę zbyt silnie, by ona była moją i do tego będę dążył z bezwzględnym uporem. To nic, że Orlicz chce ją zabrać dla syna, matka do klasztoru. Terenia musi być moją!

Z pośród wszystkich kobiet, które kiedykolwiek zajmowały mnie poważniej, jedna Terenia odpowiada w zupełności moim pragnieniom, ale i w jej oczach czytam, że odda mi siebie na życie całe, z wiarą w nasze szczęście. Czy jednak dobrze cię odgaduję, dziewczyno moja? Wszak się nie mylę, że mi nie odmówisz tego szczęścia, Tereniu?... Płonę ku tobie, szał mam w piersi i dziwnie dobre uczucie dla ciebie, jak do dziecka najdroższego. Nigdy dotąd względem kobiet nie miałem podobnie dobrych uczuć i nigdy tak prędko nie zająłem się żadną kobietą w życiu, bo nigdy nie kochałem. Ty pierwsza, ty jedyna! Zabiorę cię do Uchań już moją i będziemy rozkoszowali się naszem wspólnem szczęściem, jak najsłodszemi owocami. Na tę myśl szaleję, szaleję, i nowa fala życia napływa mi do serca!

Jutro jadę do Porzecza, by kwestję postawić jasno.

W bibljotece, zawierającej bardzo bogate zbiory książek, w której są dzieła wszystkich wybitnych i najstarszych pisarzy polskich, przejrzałem kilkadziesiąt tomów ciekawych. Są tam odwieczne statuty, kroniki pisane po łacinie i archaicznym językiem polskim. Są

djarjusze z czasów Jagiełły, Zygmunta III, Zygmunta Augusta, Batorego, Sobieskiego. Stare bardzo akta, rękopisy, jakieś odwieczne dokumenty, żywoty świętych pisane w 1482 r. Dużo istotnie białych kruków.

Utonąłem w tych szpargałach, delektując się staroświecczyzną języka i soczystością wyrażeń. Drażnił mnie Paschalis, który mi ciągle dogadywał, by się w te księgi nie wczytywać, jeno je kartkę po kartce przeglądać, bo tylko wtedy testament mogę odnaleźć. W końcu zniecierpliwiony powiedziałem mu, dość szorstko, by sam to robił, jeśli chce, ja zaś będę postępował wedle własnej woli. Myślałem, że stary się obrazi, ale ucałował mię w ramię z rozczuleniem i rzekł wzruszonym głosem:

— Tak powiedzieć i takim głosem może tylko prawdziwy Pobóg. Dawno, och jak dawno nie słyszałem takiego głosu i takich słów!

Paschalis, to typ nadający się zupełnie do tych starych pergaminów, które przeglądam, to również monument starożytności, chylący się ku ruinie. A szkoda, że takie postacie zanikają już, giną niepowrotnie, jak ginie wiele tradycji, jak ginie taka bezwzględna uczciwość i przywiązanie sług do panów.

Powiedziałem staremu, że wątpię, by testament znajdował się wogóle w bibljotece, a już najmniej możliwe, bym znalazł go w tych księgach. Może są tu jakieś skrytki w ścianach, lub szafach, może te wypłowiałe adamaszki chowają w sobie jakie tajemnice, przeto pozwalam mu szukać i odkrywać sezamy. Ale książki, które każdy może oglądać, napewno nie zawierają w sobie dokumentu tego rodzaju.

Paschalis zapewnił mnie, że ja pierwszy od 41 lat, czyli od zgonu Hieronima, przeglądam te książki, że po

śmierci pradziada i księdza Halmozena, żywy człowiek prócz niego i Krzepy nie był w bibljotece. To ma również swój urok i pociąga ku tym księgom, tyle lat nie otwieranym.

Podczas gdy szperałem w zapylonych tomach, wertując ich treść, Paschalis w jakiejś grubej oklamrzonej księdze, przekładał kartkę po kartce z pietyzmem zabawnym. Jest to już oczywisty znak maniactwa, graniczącego z obłędem. Patrzał w księgę, jak na relikwję, przenikając oczyma kartki, jakby one zawierały w sobie wsiąknięty testament. I tak w milczeniu spędziliśmy w bibljotece kilka godzin; ja wertując tekst ciekawych dzieł, Paschalis przerzucając kartki tomów z cierpliwością iście zdumiewającą. Dopiero mrok zapadającego wieczoru przerwał mi pracę. Uczułem znużenie, zapragnąłem świeżego powietrza, innych wrażeń. Odłożyłem wertowanie dzieł na jutro i pożegnałem Paschalisa.

W parku, oczywiście, spotkałem Gabrjela z Weroninką. Sielanka! On zrywał białą akację, ona układała wieńć z kwiatów, patrząc mu zalotnie w oczy. Gdy ujrzała mnie, nadąsała się z kapryśną kokieterją i zwrócona całą figurą do Gabrjela, rzucała tylko na mnie ukośnie powłóczyste i melancholijne spojrzenia, pełne niedwuznacznych obietnic. Ponieważ nie jestem Katonem moralności, przeto nawiedziła mnie nagła chęć wyzyskania znowu owych obietnic, by się przekonać, jak dalece teraz byłyby hojne. Spojrzałem w oczy Weroninki z brutalną zaczepką, odpowiedziała mi z wyzywającym, powabnym uśmiechem i pokazała wszystkie ząbki. Poczem podając mi kiść akacji, dotknęła dłonią celowo mojej ręki i zapłoniła się, spuszczając oczy. Ale w tej samej chwili znalazła sposobność, by oprzeć się o mnie ramieniem. Po-

czułem oddech jej na twarzy i tym razem już uścisk ręki pod ukwieconą gałęzią. Nie zapaliłem się jednakże do tej akcji, przeciwnie ostygłem, zagadując się jednakże do do Gabrjela. Weroninka spojrzała na mnie zawiedziona i uczepiła się ramienia Gabrjela ruchem swawolnej wiewiórki. Po chwili Gabrjel oddał jej całą naręcz kwiecia i coś jej szepnął.

Odeszła niechętnie, kręcąc figurą, z głową dumnie podniesioną.

Gabrjel ujął mnie pod ramię i rzekł, poprawiając monokl dwoma palcami:

— Za parę dni moje zaręczyny z Weroninką.

— Za parę dni??... Czy to już nieodwołalne twoje postanowienie Gabrjelu? — spytałem zdziwiony.

— Nieodwołalne! Gundzia wścieka się, ale mnie to nic nie obchodzi. Dziewczyna mnie kocha i... temperament ma szalony, rozumiesz... przeto... że i mnie pilno...

Uśmiechnął się dziecinnie, uderzając mnie dłonią po ramieniu.

— Kiedyż ślub?

— O... o... Przyśpieszę najmożliwiej. Muszę jej sprawić całą wyprawę, bez tego ani rusz. Zapowiedziała mi, że musi mieć wyprawę książęcą, no i jak na panią Krąża... rozumiem ją... wypada. Ale z pieniędzmi gorzej. U nas ciągła posucha, Gundzia pochłania mnóstwo.

— Babka?... co też ty mówisz, przecie chodzi ubrana jak kwakierka, bo klejnoty wszakże nie teraźniejsze, nigdzie nie wyjeżdża...

— A jednak, widzisz, pochłania lwią część dochodów Krąża. Korejwo składa jej do rąk, jak do kasy ogniotrwałej, lecz ta kasa ma jakiś ogień tajemniczy, który ją przenika. To się skończy, gdy się ożenię, Ko-

rejwo musi zapełniać nie kasę Gundzi, lecz moją, ja zaś ograniczę starą do minimum. Wtedy dopiero baba pozna moją rękę i wolę.

— Czy to twoja narzeczona tak cię usposabia do babki, Gabrjelu?...

Głos mój był suchy i twardy, lecz oburzenia swego ukryć się potrafiłem. Dziwię się, że Gabrjel, taki skądinąd muzykalny, nie odczuł mego tonu, czy może udał, iż go nie zauważa, dość, że ścisnął nagle pięść i z miną zaciętą, gniewną, rzekł, raczej syknął przez zęby:

— Już my oboje z Weroninką wskażemy Gundzi jej właściwe stanowisko dożywotnicy w Krążu, dosyć jej panowania i rządów! Nowa teraz nastąpi era, nowe porządki.

Patrzyłem na niego, jak na człowieka, którego umysł szwankuje i który rozstał się z wszelką etyką najelementarniejszą.

I ten oto człowiek potrafi tak grać cudownie i tak nieprzeciętnie rozumieć muzykę?!... Jakiż kontrast i sprzeczność w nim między człowiekiem i artystą. Szliśmy w milczeniu, nie czułem się na siłach rozmawiać po jego słowach, tak przykrych... Wzrastał we mnie gniew na niego i na tę dziewczynę, a budził się żal głęboki nad babką i jej losem. Tragiczną jej postać ocieniały w mojej wyobraźni czarne chmury przeznaczenia, cały Krąż wydał mi się ponurem osiedlem, zamykającem w sobie pokutę, hańbę i mękę, nie ofiarną, lecz karzącą, mękę upodlenia. Ciężar, gniotący sumienie babki Kunegundy, dźwigany przez nią całe życie, przedstawiał mi się plastycznie, jak okrutna kara z dantejskiego piekła, która teraz dopiero zbliża się do swego punktu kulminacyjnego. Byłem zgnębiony, czułem dla Gabrjela

pogardę. Weroninka zaś, ładna zmysłowa samica i nic więcej, wydała mi się nagle poniżającem nad wyraz narzędziem tej kary dantejskiej, jakby obuch plugawej ręki, wymierzony w postać monarszą. Zrozumiałem, że nie potrafię rozmawiać obojętnie z Gabrjelem o jego projekcie matrymonjalnym i umyślnie skierowałem rozmowę na temat bibljoteki zamkowej.

Gabrjel zaśmiał się nieprzyjemnie.

— Więc cię tak zainteresowała?... winszuję! osobiście nie znoszę takich odwiecznych szpargałów. Gdy je przeglądałem, zdaje mi się, że jestem molem lub stonogą. No i nie lękasz się ducha Hieronimka? On nie pozwala wkraczać obcym w swoje sanktuarjum. Jesteś wprawdzie Pobogiem, lecz Pobóg to już tylko legenda Krąża. Dziwię się przeto twojej odwadze.

— Czy istotnie, Gabrjelu, przywiązujesz jakiś zabobon do owej legendy o duchu pradziada i czy podzielasz i ty także ten lęk ogólny przed ową legendą?... lęk, jaki cechuje wszystkich mieszkańców Krąża? — spytałem poważnie.

Gabrjel zmieszał się nieco, pomajstrował około monokla i po chwili odrzekł niepewnie:

— Ja się nie lękam duchów, lecz nie lubię zamku, rudera ta działa mi na nerwy, brrr!... wstrętna jest razem z tym swoim nietoperzem Paschalisem. Lecz gdy się ożenię, wszystko się zmieni.

— W jakiem znaczeniu?

Gabrjel zerknął na mnie i rzekł kwaśno:

— To już moja rzecz, mój drogi, raczej nasza, moja i Weroninki... Zmienimy wszystko w zamku i dokoła niego.

— A czy... panna Weroninka należy do odważnych,

bo wiem od ciebie, że boi się panicznie duchów, że się lęka świateł w zamku, a nawet na mnie patrzyła podejrzliwie, musiałeś ją przecie uspakajać, żem człowiek żywy, nie zaś duch Poboga.

Gabrjel zbladł, odczułem, że zatrząsł się z gniewu na mnie, błysnął wzrokiem bardzo niesympatycznym i sarknął:

— Poradzę na te strachy, portret sprzedam lub każę spalić, również i zegar antyczny i inne stare graty.

— Bój się Boga, Gabrjelu, takie rodzinne pamiątki! Naprzykład zegar, przecie to rzadki i piękny okaz, niezwykle cenny.

— Zepsuty taraban, bez wartości i pożytku! Może być tylko jako dekoracja sceny na „Strasznym dworze". Jeżeli nim się tak zachwycasz, możesz go sobie zabrać razem z portretem Hieronima i Paschalisem, będę ci za to tylko wdzięczny... będziemy oboje z Weroninką...

Zesztywniałem i odparłem sucho:

— Sądzę, że portretu pradziada ruszać z miejsca nie będziesz, ani też zegara, ani również Paschalisa, jako odwiecznego stróża tych pamiątek, niemal relikwji rodzinnych.

Gabrjel obruszył się.

— Dlaczego? Kto mi zabroni robić z tem, co mi się podoba?...

— Bo to byłoby bluźnierstwo względem tradycji zamku i względem... babki.

Zaśmiał się zgrzytliwym, szyderczym śmiechem.

— Stara wiedźma już na ostatnich nogach, Paschalis również nie wieczny, a te.... relikwje, jak nazywasz, gdy je kupi jaki bogaty żyd lub ambitny dorobkiewicz, będzie cenił je jako własne pamiątki rodowe

i chlubił się niemi, o ile za grube pieniądze nie sprzeda w trzecie ręce.

Nie zdołałem już ukryć swego oburzenia. Zawołałem w podnieceniu:

— Pamiętaj, iż trzymam cię za słowo, że o ile miałbyś portret i zegar sprzedawać obcym, ja będę pierwszym nabywcą za cenę, jaką ci dadzą inni. Dziś już zastrzegam sobie pierwszeństwo. Jednakże ufam, iż zbrodni takiej nie popełnisz, nie ośmielisz się na to ani ty, ani .. Ślazówna.

Gabrjel stanął przedemną wyzywająco.

— Jak ją nazywasz? — zgrzytnął.

— Nazwiskiem, jakie nosi obecnie, wszak nie jest jeszcze Zatorzecką...

Gabrjel zaciął zęby, monokl mu spadł z oka i zakołysał się na cienkim sznureczku. Mruknął coś niezrozumiałego, wsadził ręce w kieszenie i oddalił się szybko, nie spojrzawszy więcej na mnie.

Długo jeszcze chodziłem po parku, z początku pod przykrem wrażeniem tej rozmowy, lecz cichy wieczór, upojne wonie kwiatów nastroiły mię łagodnie i tęsknie. Pomimo innych kierunków mojej wyobraźni, powracałem ciągle do rozmowy z Gabrjelem. Jak też babka przyjmie wiadomość o jego zaręczynach? Będzie to nowy dramat w życiu staruszki. Współczułem z nią, bo istotnie Weroninka jako pani na Krążu byłaby zbyt rażącym defektem. Bardziej już kojarzyła się z Gabrjelem jako człowiekiem, nie jako artystą, bo Gabrjel artysta nie stosował się również do Weroninki, nawet z jej wyjątkową urodą fizyczną. Byłem pewny jednakże, iż ona, a może jej ojciec, sprytna bestja, wywierali na Gabrjela ten wpływ ujemny, który czynił z niego brutala. Może on

nawet w rzeczywistości takim nie jest. Zauważyłem bowiem, że jakkolwiek żartobliwie nieraz wspominał Hieronima, najczęściej na złość babce, to jednak do zamku nigdy nie chodzi i wyraźnie go unika. Jest to człowiek trudny do odcyfrowania, psychika jego jest dla mnie zagadką. Jedno nie ulega wątpliwości, że to degenerat życiowy, niedołęga i wielki próżniak. Gdyby nie jego artyzm muzyczny, byłby tylko zerem, jest niem zresztą i teraz pod względem życiowym. Tak grając, jak on, i tak pojmując muzykę, można zdobyć sławę wszechświatową. Jego fantazjowanie w muzyce dowodzi, że i genjusz twórczy nie jest mu obcy, lecz go nie rozwija, nie kształci, zamyka jeno w czterech ścianach swego salonu. Gdyby był idealistą i marzycielem, możnaby mu takie dziwactwo wybaczyć, ale dzisiejsza nasza rozmowa rozczarowała mnie i pod tym względem. Niema serca i uczucia, duszę ma zimną, cud jego muzyki, może być przeto tylko wynikiem estetyki i techniki muzycznej, na co się znowu trudno zgodzić, słysząc go grającego. Więc może to miłość do Weroninki daje mu owo natchnienie? Zdaje mi się, że on bez głębszego przekonania robi projekty zaprowadzenia zmian w zamku, za mało jest na to energiczny i przedsiębiorczy, natomiast wierzę, iż potrafi zgnębić babkę i to mnie boli. O ile faktem jest, że ta kobieta nie spełniła ostatniej woli umierającego ojca, że ukryła testament i tem samem skrzywdziła okrutnie swego brata, to wina jej jest już stokrotnie odcierpiana, a może być jeszcze potwornie pomszczona. Prawdziwe są słowa mędrca Strindberga: „zbrodnia sama jest już karą".

I oto nagle w toku moich rozmyślań nadpłynęła ku

mnie silna fala postanowienia i woli: będę szukał testamentu!

A może znajdę go i wtedy ocalę babkę od zakusów Ślaza i Ślazówny, których wykonawcą byłby jej wnuk rodzony. Bo gdyby istotnie testament się znalazł, co oznaczałoby, że babka nie ukryła go, lecz tylko zlekceważyła zawartą w nim wolę ojca. Przytem gdyby testament czynił Pobogów dziedzicami Krąża, tedy babka przeszłaby siłą rzeczy pod moją opiekę i... wówczas... panie Gabrjelu i panno Ślazówno, rozmawialibyśmy z sobą nieco inaczej o rugowaniu rodowych pamiątek z zamku. Widząc, że unosi mnie fantazja, niebezpieczna w tym wypadku sojuszniczka, skierowałem gwałtownie myśl swoją w stronę Tereni, lecz rezultat nie był pomyślny. Ujrzałem bowiem Terenię kasztelanką Krąża, godną takiego stanowiska i nadającą zupełnie właściwy ton tym czcigodnym, archaicznym murom.

Zdenerwowany tą nową wizją fantazji, opuściłem park, rozśpiewany i wonny i udałem się nad rzekę, gdzie płonęły światła. Okazało się, że łapano tam raki. Kilku rybaków brodziło wzdłuż brzegu rzeki, po kostki, oświecając wodę pochodniami. Wdałem się z rybakami w rozmowę i dopiero po chwili zauważyłem, że patrzą na mnie bardzo przychylnie i odnoszą się do mnie z niezwykłem zaufaniem.

Odpowiadali mi na pytania z gorliwością niebywałą, prześcigając się jeden przez drugiego. Gdy usłyszałem nazwę „Porzecze“ jako jedno z miejsc zbytu ich towaru, spytałem, czy to dwór jest nabywcą. Odpowiedzieli mi, że tak, bo dziedzic porzecki lubi raki, — „a już jak panicz z zagranicy przyjeżdża, tak raki tam idą całemi beczkami, bo pod Porzeczem raków mniej, a kró-

lestwo ich pod Krążem, właśnie tu przy parku". Od słowa do słowa, ciągnąc zręcznie za języki chłopów, dowiedziałem się, że: — „Porzecki dziedzic, to doskonały pan, wielce sprawiedliwy dla ludzi, ale pychę swoją ma i dlatego się jego ludzie boją i sąsiady ogadują za oczami, a przed nim kłaniają się grzecznie... Starsza pani, bratowa dziedzica, to święta pani, pewnie prosto do nieba pójdzie, bo się ciągle modli, spowiada, pości, rozdaje biednym jałmużnę i wspomaga kościoły, córeczkę jedyną na zakonnicę oddać chce, ale panieneczki szkoda byłoby za kratę, choć dobra nad miarę i sama ludziom do serca idzie, wielce gospodarna, sławne robi miody, sławne kwiaty hoduje. Chcą ją wydać za mąż za młodego pana Orlicza, co jest *dochtór* zagraniczny i trupy kraje, zamiast jak syn dziedzicowy gospodarować na roli, jak Bóg przykazał. A jak do Porzecza przyjedzie, to na spacer idzie, w książkę nos wetknąwszy, tak i w bajorę ci wlezie, nie widziawszy, że woda".

— A panienka mu przychylna? — spytałem obojętnie, przeglądając raki i czując jednocześnie całą niestosowność pytania.

— Gdzieżby tam! — odpowiedział stary rybak. — Ona to ptaszka majowa, co lata a wesoło ćwierka do słońca, a on jak sum zawsze zasumowany chodzi, bez żadnej wesołości. Gdzież taki mąż dla panieneczki słonecznej?...

To ostatnie określenie ze wszystkich pochwał dla Tereni najbardziej mnie zachwyciło. Ona jest istotnie słoneczna i dlatego, że jest taka, nie oddam jej nikomu.

Zaledwo pożegnałem rybaków i oddaliłem się od nich, obserwując piękny widok ognisk na czarnej rzece, gdy z drugiej strony parku podszedł do rybaków stary

Bogdziewicz z jakimś chłopem. Zdaleka usłyszałem ich djalog:

— Był tu młody dziedzic?!

— A był, onże i prawy nasz pan, prawy dziedzic Krąża i całkiem inszy jak Gabrjel, gdzie milszy!

— Jonże Pobóg, to wiadomo, że pan z panów, to gdzie tam Gabrjelowi do niego się równać! — zaśpiewał Bogdziewicz miejscowym djalektem.

— Coże gadał?...

— A rozpytywał o wszystko łaskawie, wiadomo ciekawy swojego dziedzictwa. Krzepa mówił, że młody pan na lesie się zna i ze strzelbą on majster. Słychać, że jemu w oczko wpadła panienka z Porzecza. Ot, niechby ją wziął, pasuje akurat dla niego!

— Tak już wtedy raj byłby na Krążu — wtrącił inny rybak.

— Jonże Pobóg, jemu większa pani na żonę potrzebna — znowu Bogdziewicz zaakompanjował śpiewnym basem.

Ktoś mu odpowiedział krzykliwie:

— Tak czemuż Gabryjel jeszcze tu siedzi? żenić się ma, słychać, z ogrodniczką. Stary Ślaz jak indor napuszony już chodzi...

— Tfu! — splunął Bogdziewicz. — Nie daj ty Boże, z Iwana — pana! Ale tego i nie będzie, żeby Slazówna dziedziczką Krąża zrobiła się, na to *on* nie pozwoli, jak Bóg w niebie, tak nie pozwoli.

— Kto taki? — spytały przyciszone, trwożne głosy.

— Jonże, stary jaśnie pan Pobóg — Hieronim.

— Boże, zmiłuj się... — usłyszałem przerażone szepty.

Ubawiony serdecznie tą sceną, rozmyślałem o tej

szczególnej niechęci całej służby do Zatorzeckich, która teraz Gabrjel pogłębi, żeniąc się z Weroninką. Nie mogą jednak jakoś uwierzyć, że związek ten dojdzie do skutku.

A jednocześnie mam coraz większą ochotę szukać testamentu.

. . . . . .

Przy kolacji był przykry nastrój. Babka widocznie już wie o postanowieniu Gabrjela, gdyż siedziała ponura jak grób. Gabrjel był ironiczny, nieznośny, hetmanówna wystraszona, Korejwo zaś bardzo zgnębiony, co się na jego dobrodusznej twarzy uwydatnia aż nadto. Nawet Kacper miał zagadkową minę i z przerażeniem spoglądał to na babkę, to na Gabrjela.

Zdawało mi się, że babka chciała ze mną rozmawiać lecz może oczekiwała, że ją sam zainterpeluję. Ale ja nie chcę wtrącać się do tej sprawy i razem z Gabrjelem i Korejwą opuściłem salę stołową.

Teraz Gabrjel gra, choć pora jest wyjątkowo wczesna. Rozbrzmiewa jakaś szalona fuga, zdradzając nie zwykłe podrażnienie grającego.

Rzucam pióro, gdyż niepodobieństwem jest myśleć odbiegać od tej muzyki, chyba tworząc jednocześnie jakiś sonet, balladę, epopeję poetycką. Że zaś poetą nie jestem przeto siądę z papierosem przy oknie i zasłuchany w porywającą melodję, będę po falach rzeki wysyłał tęsknotę moją i moje nadzieje do Tereni. Czy je wyłowisz i odczujesz... ukochana?...

4 lipca.

Jestem osioł, przyznaję to sobie z całą satysfakcją. Od wczorajszego dnia ciągle powtarzam sobie ten epitet, jakby dla silniejszego utwierdzenia się w tej pewności. Marzyłem, śniłem o Tereni, już ją widziałem w Uchaniach moją na wieki i oto uderzyłem rozmarzoną głową w zaporę niespodziewaną, pomimo gróźb Szrenicza i ostrzeżeń panny Renaty. Wczoraj, w Porzeczu Tereni nie było.

Wyjechała!... tem słowem powitała mię pani Orliczowa, spuszczając oczy przed moim wzrokiem, te słowa wypowiedział dyplomata Orlicz z bardzo subtelnym, niech go wszyscy djabli porwą, wyrazem twarzy, co mnie doprowadziło do takiej pasji, że teraz sam się dziwię, jakim sposobem nie wybuchnąłem gniewem.

Dokąd wyjechała, poco i dlaczego nic mi nie powiedziano, ale to zbyteczne. Odczułem, aż nadto wyraźnie, że ja tkwię w tej sprawie, że mi Terenię z przed nosa zdmuchnięto.

Jestem po stokroć osłem, bo powinienem był pozostać na balu w Porzeczu, gdy mnie ten wykrygowany gentleman stryjaszek zapraszał, i odrazu, nie zwlekając, oświadczyć się o rękę Tereni, zamiast niepokoić szpargały bibljoteczne w Krążu i mazgaić się w marzeniach, jak stary kawaler, safanduła. Lecz jeśli myślą, że mnie łatwo oderwać od Tereni, to się zawiodą oboje: mama z nadzieją klasztoru i stryjaszek ze swoim synkiem — medykiem.

Na drodze legalnej otrzymałem porażkę, ale walka zaczęta! Nie należę do takich, których łatwo usunąć.

Zresztą skoro Terenię wywieźli, to najlepszy do-

wód, że byłem dla nich niebezpieczny, czyli, że moje nadzieje co do niej nie są płonne. Odczułem dobrze serce mojej drogiej dziewczyny i nie dam go sobie wydrzeć, pomimo wszelkich machinacji.

Ale dlaczego ona pozwoliła tak sobą pokierować, czy jest bierna czy też kryje się w tem coś jeszcze, o czem narazie nie wiem?

Będę wiedział, muszę!

Jestem dziś rozdrażniony niebywale, nie mogę nawet wrażeń swoich notować. Zostawiam to do jutra o ile nie wyjadę z Krąża. Stracił on dla mnie cały urok, wieje tu dokoła pustką.

Nie zapomnę wyrazu oczów Orliczowej, gdy na moje pytanie: dokąd wyjechała Terenia? i na prośbę dość kategoryczną o jej adres — odrzekła, składając ręce błagalnie.

— Niech pan nie mąci jej spokoju, niech pan nie idzie za popędem chwili... znacie się tak mało, że zapomnienie nastąpi łatwo i bez obopólnego żalu.

Ona miłość moją nazywa „popędem chwili?“... głupia baba! Powoli... jest matką Tereni i zdaje się bardzo kochaną. Czyżby jej wpływ przeważał nad uczuciem dla mnie? Wyznałem przed matką zamiary swoje względem Tereni, zapewniłem ją dość szorstko, że to nie „chwilowy popęd“, lecz miłość prawdziwa. Gdy mnie pytała, prosząc jednocześnie, czy nie będę narzucał się Tereni i prowokował jej swoją miłością, odrzekłem stanowczo i dałem słowo honoru, że jedynem dążeniem mojem będzie odszukać Terenię, zdobyć ją dla siebie i dać jej szczęście.

Załamała ręce rozpaczliwie.

— Przed nią są inne przeznaczenia, inne losy... — jęknęła.

— Los i przeznaczenie panny Teresy leży w jej własnej woli i w jej sercu... do którego będę kołatał wytrwale i usilnie.

To były moje ostatnie słowa w Porzeczu. Z Orliczem pożegnałem się sucho. Na jego kurtuazyjną retorykę odpowiedziałem głębokim ukłonem, musiało to jednak wyglądać na wyzwanie, bo Orlicz zesztywniał.

Dziś wieczorem zaręczyny Gabrjela. Czynią się przygotowania. Ma być bankiet dla oficjalistów i służby ze wszystkich folwarków. Dziewczyny wiją wieńce, by ubrać niemi pawilony. Orkiestra z sąsiedniej osady ma przygrywać podczas kolacji. W lewym pawilonie będą tylko miejscowi domownicy z papą Ślazem jakoby.

Czy babka wytrzyma tę próbę? Wątpię czy będzie obecna. Nie widziałem jej od piątku, gdyż zamknęła się u siebie nie chcąc widzieć nikogo. W całym dworze znać przygnębienie wyraźne. Jakaś wroga cisza tu panuje i tłoczy. Spotkałem w parku Chmielnicką. Szła zapłakana a na zapytanie, co jej jest, odrzekła z nowym wybuchem łez:

— Będzie jakieś nieszczęście! Starsza pani jak noc, modli się i po całych godzinach leży krzyżem przed krucyfiksem. Pan Gabrjel to zły człowiek, Bóg go skarze za nieuszanowanie starości babki.

— Skoro kocha prawdziwie tę dziewczynę....

Byłem nieco względniejszy co do jego miłości dla Weroninki. Ale Chmielnicka miała inne zdanie.

— Kto niema serca, ten kochać nie potrafi, proszę pana, a już co ta sroka, toż wiadomo, zamarzyło się być dziedziczką na Krążu. Ona już dziś wyśmiewa starszą panią i pana Gabrjela, tylko on w ślepocie swojej tego nie widzi. Zobaczymy tu jeszcze różne dziwy z tą nową...

jaśnie panią na Krążu — dokończyła ze śmiechem przykrym.

Od niej dowiedziałem się, że Gabrjel zażądał od babki pierścienia jej z rubinem, otoczonym brylantami dla Weroninki. Pierścień ten był zaręczynowym babki od Zatorzeckiego. Gdy nie chciała pierścienia oddać, zrobił jej brutalną scenę i pierścień prawie zdarł z jej palca.

Gabrjel dostaje widocznie obłędu na punkcie tej dziewczyny, bo jednak o takie grubjaństwo nie posądzałem go ani przez chwilę.

Przeczuwam, że będą się tu działy gorsze rzeczy... i żal mi babki. Cały Krąż jest jakby w oczekiwaniu katastrofy, coś tu istotnie straszy dokoła. Służba chodzi ponura, gromadki ludzi skupiają się i coś z sobą szepcą, nawet dziewczęta, wijące wieńce, mają niepewne miny.

Bogdziewicz, gdy przywiózł z miasta jakieś zapasy na ucztę i znosił z bryczki butelki do kredensu, patrzał chwilę na zamek z wyraźną obawą. Spytałem go, co go tam tak interesuje.

— Niesamowity... — odrzekł z niechęcią.

Potem zaś podniósł w ręku kilka butelek, wysoko w górę i wskazując mi je, rzekł ze zjadliwie chłopską ironją:

— Jaśnie wielmożny teść dziedzica na Krążu, pan Ślaz, jak się ochla tego wina, to go trza będzie z paradą na zamkowe pokoje taszczyć na łopacie. Jonże z pychy pęknie, ścierwo, jucha! —

I zaśmiał się szeroko wyszczerzając spróchniałe zęby. Oczko świeciło mu złowrogo, strasznie, niby ślepia sępa spadającego na padlinę.

. . . . . .

. . . . . .

Tegoż dnia, 12-ta w nocy.

Babka Zatorzecka na zaręczynach Gabrjela nie była obecną, na uczcie również. Uczta wyglądała jak stypa. Siedzieliśmy wszyscy powarzeni. Ja rozmawiałem z Korejwą i jakkolwiek czułem, że jestem świnią, lecz nie złożyłem życzeń narzeczonym. Gabrjelowi ścisnąłem dłoń w milczeniu, jej zaś ukłoniłem się zdaleka. Wyfiokowana jaskrawo, z kwiatami przy gorsie i głowie była bardzo ładna, ale dziwnie ordynarna, krzykliwa i rażąco pewna siebie. Co chwila poprawiała na szyji brylantowy medaljon, dar Gabrjela oczywiście i kręciła nim celowo, by kamienie dawały silniejsze ognie. Bezustannie też przyglądała się zaręczynowemu rubinowi. Czulenie się Gabrjela zbywała grymasem, kapryśnie, a na wszystkich, nie wyłączając mnie, patrzyła z góry. Gdy w pewnej chwili zauważyła mój wzrok, przeciągnęła po mnie spojrzenie powłóczyste, melancholijne i westchnęła z emfazą. Dawno już odwróciłem od niej oczy, gdy ona zawołała z pieszczotliwym grymasem:

— Czego pan na mnie tak patrzy?... już teraz nie można, jestem zaręczona.

Gabrjel, wyglądający przy niej na ogłupiałego barana, zerknął na mnie ukośnie i niechętnie, przyczem monokl wypadł mu z oka.

Szukał go długo na kolanach, co rozśmieszyło wielce Weroninkę. Gdy powtórnie zwróciła się do mnie z tem samem pytaniem, co poprzednio, odrzekłem już zły:

— Podziwiam pani humor, tak bardzo różowy.

— Chyba nietylko humor? — uśmiechnęła się z umizgiem.

— No i ten rubin na palcu pani — palnąłem bez namysłu.

Gabrjelowi monokl powtórnie wypadł z oka, Weroninka zaś nie zrozumiała mego docinka. Gdy ten wieczór był szczególnie przykry.

. . . . . .

W tej chwili babka wzywa mnie do siebie. Czego ona odemnie chce? Ciekawym! Pierwszy to raz wezwała mnie sama.

Gabrjel z Weroninką poszli oboje na spacer i chodzą dokoła gaiku na dziedzińcu, czuląc się publicznie. W prawym pawilonie bankiet dla służby trwa w całej pełni, muzyka rżnie od ucha, butelki brzęczą.

Idę do babki.

---

7 lipca.

Istne awantury arabskie! Jest już późna noc, a ja piszę, bo pomimo zmęczenia, oka zmrużyć nie mogę po tem, co się tu działo i co przeżyłem przez te kilka dni. Moje niesłychane odkrycie wywarło na mnie zbyt silne wrażenie. Ale zaczynam od początku...

W dzień zaręczyn Gabrjela byłem wezwany do babki o 12 w nocy. Zastałem ją w okropnem rozdrażnieniu. Siedziała w głębokim fotelu, zdawało się bezwładna. Ucałowałem serdecznie jej ręce. W oczach staruszki błysnęły łzy. Zaczęła mówić o szaleństwie Gabrjela, skarżąc się z początku jak małe rozżalone dziecko.

— Krąż przepadł, to już ostateczna ruina! Po mojej śmierci Ślazy zawładną Krążem, tego się doczekałam, ruiny Krąża i czarnej niewdzięczności wnuka.

Gdy broniłem słabo Gabrjela, ofuknęła mnie ostro.

— Daj spokój! Daj spokój! Wiem, że takim jak on nie potrafiłbyś być... Gdybyś nawet podobną gęś prowadził do ołtarza, to jeszcze umiałbyś szanować starość babki, która, tak jak ja Gabrjelowi zastępowałaby ci matkę. Gabrjel miał pięć lat, gdy stracił rodziców, a ja byłam dla niego opieką jedyną i czułą. Ale gdy dorósł...

Chwyciła się za skronie i zajęczała boleśnie.

— Nigdy nie skończony ciężar życia, wieczysta męka istnienia... a... a... dosyć tego, dosyć, dosyć!...

Tyle było w jej głosie rozpaczy, tyle bólu i taki ogrom nędzy malował się na jej suchej zoranej twarzy, że przyklęknąłem przy niej i ręce jej przytuliłem do ust. Uspokajałem ją, już nie pamiętam jak, bo jej rozpacz poruszyła mnie głęboko. Na myśl, że ta kobieta arbitralna i rządząca Krążem od szeregu lat, może być teraz pod tyranją Gabrjela i takiej dziewki, jak Weroninka, doznawałem przykrego uczucia. Chciałem choćby tą chwilą serdeczności złagodzić jej rozdrażnienie.

Nagle jakaś wrzawa na frontowym dziedzińcu poderwała nas na nogi.

W pokoju panował lekki mrok od nocnej lampy.

— Co się dzieje?! — krzyknęła staruszka, wbijając we mnie otchłanie czarnych oczów, pełnych przestrachu.

— To zapewne biesiadnicy wznoszą okrzyki...

— Okrzyki? — powtórzyła — jakie okrzyki?...

— No... wiwaty!

— Zwarjowałeś! Nie! niemożliwe!...

Zgiełk na dziedzińcu wzmógł się i odrazu urósł w potężny wrzask, w którym już najwyraźniej brzmiało przerażenie i popłoch. Oboje poskoczyliśmy do okna. Na dziedzińcu było ciemno. Babka szarpnęła okno i utworzywszy je na rozcież, wychyliła się głęboko całą postacią. Zdławiony krzyk wypadł z jej piersi. Cofnęła się w panice najwyższej, zakryła oczy ruchem rozpaczliwym i jęknęła jak nieprzytomna:

— On... on... widmo!

Chciałem wybiedz z pokoju, by zobaczyć, co się dzieje, lecz babka chwyciła mnie za ramię z taką siłą, jakbym się dostał w kleszcze.

— Nie odchodź... na Boga! Boję się... boję się!... boję!...

Trzasnęły drzwi. Do komnaty wpadła Chmielnicka przerażona, blada, za nią Kacper, siny ze strachu, kucharz, służące, starszy lokaj. Służba stłoczyła się na progu.

— Widmo na krużganku! Jezus, Marja!

— Upiór wygraża maczugą!

— Zamek oświetlony! W głównej sali bucha płomień!

— Duch Hieronima grozi maczugą!

Głosy te podminowane strachem, podziałały na babkę jak grom. Upadła na fotel. Nie zważając już na nic, wybiegłem po przez stłoczoną grupę wystraszonych ludzi i wpadłem na ganek. Trudno opisać, co się tam działo. Tłum z dziedzińca wpychał się na schody w tem okropnem, znamiennem milczeniu, które następując po żywiołowym wrzasku zgrozy, działa stokrotnie silniej niż najgłośniejszy objaw przerażenia.

Przedarłem się przez ciżbę i nagle... skamieniałem. Okna bibljoteki i głównej sali portretowej błyszczały zielono-błękitnem światłem. Patrzyłem w te okna zdumiony, gdy Bogdziewicz stanął przy mnie i w milczeniu wskazał mi krużganek, blisko meteorycznie płonących okien sali. W załomie murów krużganek ten był nieco wgłębiony, tak, że metaliczne światła okien rzucały nań długą smugę rozpylonego srebra. W smudze tej, jakby w promieniu reflektora, ujrzałem postać wyniosłą, niesamowitą, mglistą. Postać miała ramiona wzniesione w górę, dzierżące miecz czy maczugę. Światło z okien przenikało, zda się, nawskroś tę postać widmową. Obraz szczególny, fascynujący!... Oblicze widziadła nie było realne, a jednak odczuwało się jakby siłę utkwionych w nas oczów. Na tle ciemnej nocy było to rzeczywiście magiczne zjawisko i wzbudzało dreszcz przerażenia, przyznaję.

Stałem osłupiały. W głowie mojej stłoczyły się myśli...Paschalis??... Bądźmy trzeźwi! Nie, to jednak coś nadprzyrodzonego... jakaś halucynacja zbiorowa... spontaniczna... czy też zjawisko telepatyczne, przeniesione tu potężną sugestją jakiegoś nieznanego medjum?...

— Czyż jesteśmy wszyscy pod mocą hypnozy?...

— Co pan mówi? — spytał trwożny głos obok.

— Gdzie pan Gabrjel? — spytałem z kolei, otrząsając się siłą z wrażenia.

Nikt mi nie odpowiedział, więc powtórzyłem pytanie. Wśród ogólnej trwogi ktoś nieśmiało wskazał mi ręką w bok... Spojrzałem tam.

Jednocześnie rozległ się charakterystyczny szmer, jakby ulgi i wypowiedzianego półgłosem przez tłum a... a... a!...

Rzuciłem okiem na widziadło. Znikło. Patrzyłem bez słowa, uparcie. Postać nie pokazała się więcej, choć okna w sali świeciły jeszcze, trupim, przymglonym brzaskiem. Ludzie stali wciąż bez tchu.

Pod ścianą ganku, przyparty do filara, tulił się Gabrjel. Oczy miał zasłonięte rękoma. Obok stała Weroninka, z twarzą schowaną w dłoniach, trzęsąca się od płaczu. Zawróciłem i ruszyłem prędko w stronę zamku. Za mną rozległ się krótki okrzyk zgrozy. Ktoś zawołał stłumionym głosem, ostrzegawczo:

— Jaśnie panie!...

Nie uważałem na to i pogrążyłem się w cień, nie widząc już ludzi, zatem i oni mnie... Uwolniony od wzroku tłumu, szedłem swobodniej. Sprawdziłem, czy mam w kieszeni latarkę elektryczną. Była. Po chwili otworzyłem okute drzwi, wiodące do izby Paschalisa w narożnym załomie gmachu. Zamknęły się za mną ciężko.

Nasłuchiwałem... była cisza! Trafiłem do izdebki kamerdynera... Izba była pusta i ciemna, poszedłem więc dalej i przez znane mi już drzwi wśliznąłem się do następnej komnaty, będącej czemś w rodzaju składu, pełnego szaf i skrzyń. I tu zastałem pustkę. Skradając się, jak złoczyńca, dotarłem do korytarza, który przecinał parter. Poomacku, gdyż nie chciałem się zdradzać latarką, trafiłem na schody wiodące na piętro, gdzie znajduje się sala portretowa.

Cicho wchodziłem po schodach na górę. Wszędzie było ciemno i panowała głucha cisza. W wielkim korytarzu, na drugiem piętrze, usłyszałem zdaleka szmer. Sunąc tuż przy murze zdenerwowany, gdyż szelest powtórzył się, trafiłem na głęboką wnękę. Ukryłem się

w niej bez namysłu. Po chwili doleciał mnie szelest głośniejszy i usłyszałem kroki na kamiennej posadzce. Zataiłem oddech. Kant muru, przy którym stałem, zaróżowił się leciuchno. Nareszcie słaba smuga żółtego światła zamajaczyła na posadzce. Jeszcze chwila i ujrzałem idącą ku mnie postać, z wątłym kagankiem w rękach. Zasunąłem się głębiej we wnękę. Gdy postać mijała moją skrytkę, poznałem, że był to Paschalis. Szedł jak lunatyk, mając oczy półprzymknięte i twarz trupio bladą. Kaganek zaledwie pełgający trzymał w obu trzęsących się rękach. Przeszedł wolno obok wnęki, nagle drgnął i zatrzymał się. Była chwila strasznego oczekiwania.

A gdyby tak teraz wyjść i ukazać się, zawołać go po imieniu? — błysnęła mi myśl. Zaniechałem jednak zamiaru, czekając, co dalej będzie. W takim nastroju, w jakim był Paschalis, nie widziałem nigdy nikogo. Po długiej minucie starzec poszedł dalej. Gdy odsunął się odemnie na znaczną odległość, zdjąłem jak najciszej obuwie i podążyłem za nim, trzymając się zdaleka. Korytarz był długi i w paru miejscach załamany; Paschalis doszedł do końca, ja za nim. Gdy zauważyłem, że zawraca z powrotem, schowałem się znowu do swojej wnęki. Gdy minął mnie powtórnie, dążyłem za nim aż na drugi koniec gmachu. Paschalis robił wrażenie trupa, poruszającego się za pomocą siły galwanicznej. Przed drzwiami, wiodącemi do głównej sali, zatrzymał się — i odwróciwszy twarz, popatrzał na drzwi oczami zgoła nieprzytomnemi. Wątłą, suchą jego figurę przebiegły silne drgania, jak pod wpływem iskry elektrycznej; nagle wstrząsnął się gwałtownie i znowu poszedł naprzód miarowym, nienaturalnym krokiem. Ja za nim. Lecz gdy i ja mijałem drzwi, którym przed chwilą przyglądał się Pas-

chalis, spostrzegłem, że przez szparę między oddrzwiami sączy się jakieś światło, tworząc na kamiennej posadzce cieniutką srebrną smugę. W pewnej odległości od tych drzwi tajemniczych zatrzymałem się w drugiem zagłębieniu, obserwując zdaleka Paschalisa. Był on już ciągle w promieniu mego wzroku, gdyż korytarz kończył się ślepą ścianą, odgradzającą prawy pawilon zamkowy. Z tego węgła w stronę frontowej fasady gmachu wchodziło się do komnaty, wiodącej na krużganek, gdzie poprzednio ukazało się widziadło, i do bibljoteki. Paschalis postał chwilę na krańcu korytarza, zawrócił i nanowo rozpoczął swoją niesamowitą, jakby w śnie somnambulicznym, peregrynację... Gdy minął mnie poraz trzeci, dotarłem poza nim do pierwszej wnęki. Nałożyłem kamasze i cicho, skradając się, powracałem do sali głównej, chcąc teraz koniecznie zbadać przyczynę tych ognistych okien, no... i obecnej smugi świetlnej.

Zatrzymałem się przy drzwiach, lecz ku memu zdziwieniu świetlana smuga już znikła. Nacisnąłem ciężką klamkę bronzową i wszedłem do środka.

Sala była ciemna, dziwnie przykra. Rozjaśniłem moją latarkę elektryczną i zacząłem badanie. Nigdzie żadnego śladu lampy, świecy, lub wogóle jakiegoś palnego materjału. Przytem żadnego swędu lub dymu. W zatęchłem powietrzu czuć było wilgoć i pleśń, ale ponad to nic więcej.

Podszedłem do portretu, podniosłem lampkę elektryczną wysoko. Portret sobowtór patrzał na mnie jak żywy. Ilekroć razy spoglądam na to płótno, zawsze doznaję wrażenia, że to nie arcydzieło pędzla, lecz człowiek żywy. I teraz te oczy patrzały szyderczo a groźnie, oblicze jakby wykute z marmuru zdawało się drgać iro-

nją... usta miały zaraz przemówić... Co u licha! jeszcze i tu ulegnę halucynacji!

Z mimowolnym dreszczem opuściłem salę, zbadawszy ją całą z dokładnością detektywa. Przeszedłem parę komnat następnych i stanąłem przy drzwiach wiodących na krużganek. Wszędzie była tak głucha cisza, że słyszałem bicie własnego serca. Latarkę już miałem zgaszoną. Fala świeżego powietrza późnej nocy orzeźwiła mnie. Wszedłem na krużganek, wypatrując uważnie, czy kogo, albo czego tu nie zastanę. Ale przekonałem się, że był pusty. W dole na dziedzińcu panowały nieprzejrzane ciemności i głucha cisza, tylko w naszym pawilonie świeciło się w oknach Gabrjela i babki. Pawilon prawy był również już cichy i zaledwo gdzieniegdzie majaczyły tam światełka.

Wprost z krużganka udałem się poomacku do bibljoteki. Postanowiłem zanocować w tej sali.

Rozciągnąwszy się na niezbyt wygodnej kanapie, rozmyślałem o niezwykłem zjawisku, którego istotę trzeba było przecie zbadać. Wszak już trzeci raz widziałem meteoryczne światło w oknach zamku, dzisiejsze zaś zjawisko przeszło najbujniejszą moją wyobraźnię. Słyszałem opowiadania w Krążu i w Porzeczu o pojawianiu się tajemniczych świateł i widma na krużganku, lecz przypisywałem to jakimś zgoła naturalnym refleksom świetlnym, ewentualnie chorobliwej imaginacji tutejszych mieszkańców. Jestem trzeźwy i nie podlegałem dotąd nigdy sugestjom, a jednak to ostatnie widziadło zaprzeczyło wszelkim moim wątpliwościom, gdyż wzrokowo było najbardziej rzeczywiste, materjalne. I trzeba wziąć pod uwagę, że pojawia się ono już tyle lat, od

zgonu Hieronima i Halmozena, których śmierć nastąpiła w krótkich odstępach czasu.

Wreszcie nie bez znaczenia jest i ten fakt, że o ile ksiądz Halmozen ukazuje się rzekomo tylko Paschalisowi, Krzepie i Bogdziewiczowi, to widmo na krużganku widywała cała służba, a tym razem widziało je dużo osób, jak ja naprzykład i zaproszeni na bankiet zaręczynowy goście.

Byłyby to więc halucynacje zbiorowe? Ale jaka siła je stwarza?... Zapewne jest tu ktoś obdarzony wyjątkowemi zdolnościami medjumistycznemi.... i może nawet podświadomie działa na otoczenie.

Podejrzewam o to Paschalisa. Opętany ciągłą myślą o zmarłym Hieronimie, sugestjonuje sam siebie i całe otoczenie rozpaczliwem pragnieniem przywrócenia Krąża Pobogom. Babka zaś odczuwa w nim zaciętego wroga i sama podlega okrutnej obawie, że Krąż dzierży nieprawnie (o ile tak jest).

Ten stan psychiczny dwojga ludzi, złączonych z sobą wspólną w zasadzie, acz rozbieżną w ideologji sprawą, wytwarza bez wątpienia ów fluid hypnotyczny. Dzięki niemu następuje przy pewnych, nastrojowych okolicznościach, materjalizacja głównego fantazmu, widzialna przez ogół zasugestjonowany panującą tu atmosferą czarów.

Bo przecież żadną inną przyczyną, ani działaniem najcudowniejszych sił natury, nie można wytłomaczyć sobie podobnej manifestacji zjawiska.

Zresztą nie mogę silić się na zrozumienie tej tajemniczej zagadki, skoro dziedzina tak zwanych zjawisk nadprzyrodzonych nie została dotychczas zbadana przez nikogo, nawet przez zawodowych eksperymentalistów.

Oderwałem więc wyobraźnię od tej enigmy męczącej i wysłałem myśl ku Tereni. Nagły jej wyjazd z Porzecza był dla mnie niemniejszą zagadką, niż materjalizacja widma pradziada. Zmęczenie jednak i przedenerwowanie sprawiło, że nawet obraz Tereni zaczął mi się coraz bardziej zacierać, aż w końcu bieg moich myśli stał się niesłychanie chaotyczny i nie wiem kiedy — zasnąłem.

Gdy otworzyłem oczy, słońce już wzeszło i sala bibljoteczna była pełna światła. Nie mając na razie nic więcej do roboty, usiadłem przy stole i machinalnie rozłożyłem leżącą na nim księgę. Tyle ich przejrzałem, że przestały mnie już interesować. Trafiłem na tekst łaciński i myśląc o czem innem, jąłem go półgłosem odczytywać. Rychło jednak odsunąłem foljał z niechęcią. Oparty w fotelu, półleżąc, rzuciłem wzrok na szafkę zegara-antyka. Był to punkt w komnacie najświetlistszy, gdyż promienie słońca padły nań hojną kaskadą, zanurzywszy go w swej szczodrej kąpieli. Zegar stał przedemną w całej okazałości i dopiero teraz mogłem mu się przyjrzeć dokładnie, albowiem dotąd widziałem go tylko w cieniu i nie doceniałem. Wszak to skarb dla znawcy-amatora!

Błysnęła mi myśl, że mogłem go nabyć od Gabrjela.

Lecz rychło myśl ta wydała mi się śmieszną. Najpierw sumienie nie pozwoliło by mi pozbawiać zamku takiej ozdoby, a po drugie, nie miałbym może tyle pieniędzy do wydania dla własnej przyjemności, ile ten antyk wart jest w istocie.

Słońce uwypukliło wszystko piękno tego zabytku. Wyłoniły się rzeźby wspaniałe, cała nieskalana czystość struktury i jej bogatych linij. Królewski okaz!

Gdy tak patrzyłem pilnie na ten sprzęt wystawowy,

dostrzegłem napis nikły, majaczący na wązkiej płaszczyźnie pomiędzy rzeźbą szczytu a właściwą szafką, w której mieścił się zegar.

Zaciekawiony podszedłem blisko. Napis, jakkolwiek tylko wycięty scyzorykiem na dębowej desce, widniał wyraźnie, na poziomie moich oczów, szafka bowiem przewyższała mnie. Zapewne dlatego nie zauważyłem go poprzednio, iż szafka zawsze stała w cieniu.

Zdradzony jaskrawym blaskim słońca w godzinie wschodu napis brzmiał zagadkowo:

„Cum scelus meum cognoveritis, quam parva poenitentia fuerit, judicabitis. De manibus Dei in aeternitate poenam atque misericordiam exspecto. B. H.“

Zdumiałem!

„Gdy poznacie zbrodnię moją, osądźcie jak małą była pokuta. Z rąk Boga oczekuję w wieczności kary i miłosierdzia“.

Skąd napis tego rodzaju na zegarze?... Co znaczą litery B. H.?....

Dotknąłem palcami napisu, był chropawy nie zagładzony politurą.

Stałem zahypnotyzowany tem odkryciem, nowem a dziwnem. Tak bardzo treść słów napisu nie stosowała się do zegara, że po chwili obserwacji uderzyła mnie nagła świadomość taką siłą pewności, że czułem jak z wrażenia krew falą buchnęła mi do mózgu.

— Tu jest ukryty testament!

Podniecony niebywale obszedłem szafkę dokoła. Wtem tafla posadzki ugięła się podemną. Coś jękło w mechanizmie zegara. Spojrzałem na kolosalne wagi wiszące na mosiężnych łańcuchach. Zdawało mnie się, że w tem

jęknięciu machiny był jakiś zew nadprzyrodzony. Wyobraźnia igra — przemknęła mi myśl.

Uniosłem ramiona, ująłem rzeźbę w obie ręce i spróbowałem. Nasada ani drgnęła, zato wnętrze zegara wydało znowu jęk głuchy, przykry. Po kilku usiłowaniach stwierdziłem, że rzeźba szczytowa nie da się ruszyć i stanowi jedną całość z szafką. Obejrzałem ją tedy pilnie i fachowo, gdyż znam się trochę na stolarstwie. Naturalnie staroświecka budowa mebli była inna niż dzisiejsza, lecz napis ten nie pochodzi również z epoki powstania szafki zegara, gdyż jest dodatkiem całkiem nowym.

Po długiem badaniu całości, po stwierdzeniu, że szafka ma drzwi wiodące do zegara zamknięte i, tylko przez grubą szybę widać wnętrze całe ale puste, zamyśliłem się głęboko.... Pod wpływem nowej myśli pchnąłem rzeźbę szczytową w tył, umiejętnie jak się odsuwa szufladę.... Nic! rzeźba ani drgnęła. Czyżby istotnie stanowiła całość z szafką?... Ależ ten napis, ten dziwny na zegarze napis?

Zegar brzęczał złowrogo.

Zaszedłem go z drugiej strony. Szafka stała przyparta do listwy posadzki, lecz od ściany oddalona o kilka cali. Zajrzałem. Światło przenikało nawet do tej szczeliny; tył szafki ma deski gładkie jak marmur, ściana zaś poza nią wybita adamaszkiem jak wszędzie.

Ale ten napis... ten niezwykły na zegarze napis?... w dodatku w miejscu, gdzie, pomijając już treść, nie nadawał się absolutnie. W środku liter zacinał się ciągle, napotykając przeszkodę w postaci jakiejś poprzecznej rysy. Rysę tę właśnie wiodącą dokoła szafki, pod rzeźbą, miałem na względzie. Stanąłem tedy przed frontem szafki,

objąłem dokoła rzeźbę ramionami z dużym trudem, gdyż bestja jest szeroka w obwodzie i z całej mocy pociągnąłem ten szczyt naprzód, ku sobie. Skrzypnęło. Rzeźba ustąpiła.

Zrobiło mi się gorąco. W tej samej chwili... ostry syk zegara... i... buum!! potężny udar machiny. Ścierpłem! instynktownie cofnąłem się w tył.

Zegar bił basowym głosem pięć razy.

Długą chwilę stałem zdrętwiały. Huczny bas uderzeń opanował komnatę przeciągłem echem, rozbrzmiał nim cały zda się zamek, ba!... może cały Krąż?...

Ogrom potęgi i grozy, prawie majestat był w tych uderzeniach. Lecz co począć teraz?... Paschalis lub Krzepa może tu wpaść natychmiast. Nie chciałem, by się domyślili co robiłem.

Czemprędzej przeto opuściłem bibljotekę. Kołując po zamku, w stronie przeciwnej od mieszkania Paschalisa, trafiłem na parterze na drzwi pół otwarte, wiodące do parku. Zostawił je widać Paschalis z wieczora, lub może dziś już je otworzył. W parku nie spotkałem nikogo. Z dziedzińca dochodził jakiś gwar przytłumiony, lecz nie uważałem na to. Dotarłem do rzeki, zachwycony pięknością poranku, orzeźwiającego po niedospanej nocy. Popłynąłem łodzią na spacer.

Na rzece słońce spiło już nocne mgły, było pełno blasku i ciepła.

Po dusznej atmosferze bibljoteki oddychałem szeroko, piersią chciwą powietrza. Rozmyślałem o swojem odkryciu. Byłem już pewny, że szafka zegara pod ową rzeźbą, zasuniętą na felc, posiada skrytkę... i może w niej spoczywa dokument.... główny sprawca dramatu babki, tragedji Paschalisa i może jego podświadomych medju-

micznych poczynań?... Można by nazwać również ów testament niewidzialnym a wciąż odczuwanym motorem Krąża . . . . . .

. . . . . .

Gdy wróciłem do domu, patrzano na mnie, jak na zmartwychwstałego. Odczułem dokoła siebie sympatję ogólną i radość żem zdrów i cały, co mi sprawiło przyjemność. Dowiedziałem się, że bicie zegara wywołało popłoch straszliwy w całym dworze, ponieważ zegar ten stał od zgonu Hieronima i teraz pierwszy raz, od tamtej pory wydzwonił piątą, równo o piątej godzinie, czego sam nie zauważyłem zupełnie. Najwięcej podobno odczuła to babka. Leżała krzyżem w gorącej modlitwie a obecnie jest chora. Mówiła mi Chmielnicka, że babka dopytuje się ciągle o mnie....

Nikt jakoby tej nocy nie spał we dworze, Gabrjel nie grał, jest zły i przygnębiony, Ślazówna „sfiksowała ze strachu" — wedle słów Chmielnickiej. Paschalis zaś, usłyszawszy rano o piątej bicie zegara o mało nie padł trupem, bo on już i tak chory, jak zawsze po ukazaniu się widma... a tu jeszcze ten zegar!

Wierzę! i wyobrażam sobie jego minę! Myśl, że niechcący nastraszyłem tego mistrza medjumizmu bawi mię niesłychanie.

Gdy spotkałem Bogdziewicza nastrój mój zmienił się nieco. Czuję się podrażniony, gdyż atmosfera Krąża zaczyna mnie męczyć nie na żarty. Bogdziewicz mówił:

— Jak jasny pan wczoraj w nocy odszedł od nas w stronę zamczyska, to już niektórzy myśleli, że i po nim. — Ale ja wiedział, że jasny pan — Pobóg — to mu się od pradziada Poboga żadna krzywda zdarzyć nie może. Czas już wielki, żeby na Krążu całkiem było ina-

czej. Sam jonże pradziad daje znaki coraz częściej, że czas i, że prawy jego prawnuk dziedzicem na Krążu stać się musi. A... na... Ślazów... tak i przyjdzie czarna godzina.

Ostatnie słowa wypowiedział z ociąganiem się i intencją patrząc w okna Gabrjela. Najwyraźniej pod nazwisko Ślazów podciągał Zatorzeckich. Można to było wyczuć łatwo z akcentu słów i z mściwego zmrużenia strasznego oczka.

. . . . . .

Nie widziałem tego dnia ani babki ani Gabrjela, który siedział ciągle u Weroninki. Po drugiem śniadaniu tedy poszedłem do zamku.

Paschalis był chory i zmieniony do niepoznania.

Skarżył się przedemną, że całą noc duchy Hieronima i Halmozena nie dawały mu spokoju, prześladując go i dręcząc a oto jeszcze zegar zaczął bić... i wybił godzinę zgonu pradziada.

Paschalis podniósł swoim zwyczajem roztwarte dłonie do głowy. W oczach miał żółty płomień, na twarzy wyraz uroczysty.

— To, jasny panie, znak, że Pobóg stanął na Krążu Jak usłyszałem to bicie zegara... odrazu krzyknąłem... jasny pan Pobóg znalazł testament!... Powlokłem się do bibljoteki, ale jasnego pana nie było. To nic, to wróżba pewna, że testament lada dzień się objawi, to już pewne!

Byłem niezwykle poruszony temi słowami starca. Chcąc pokryć zmieszanie, zapytałem go, dlaczego w nocy chodził tak długo, po górnym, wielkim korytarzu.

Paschalis wytrzeszczył na mnie oczy tak szczerze zdumione, że nie można było wątpić, że nic nie pamiętał i że jest nieświadomy zupełnie tego co się działo. Pa-

trzał na mnie zgnębiony okropnie, był szarożółty na twarzy a w oczach miał bezbrzeżny strach i mękę. Odczułem, że odgaduje takie stany swoje, lecz nie zdoła ich określić. Czyli, że jak przeczuwałem, był on wtedy, w korytarzu pogrążony w jakiejś silnej hypnozie.

Nie zdradziłem się, oczywiście, że nocowałem w zamku. Teraz zapowiedziałem mu, by nie powstawał z łóżka i nie ważył się mnie przeszkadzać, gdyż idę do bibljoteki. Ucałował moją rękę ze łzami i rzekł błagalnie:

— Szukaj, jasny panie nasz, szukaj testamentu, czas nadszedł. Ja to czuję. Duch starszego pana i duch księdza mi to objawiają, ich pokuta skończy się, gdy znajdziesz testament!

Idąc do bibljoteki sprawdziłem raz jeszcze główną salę i krużganek. Tu żadnego oszustwa materjalnego być nie mogło, zresztą stan Paschalisa, wtedy w nocy mógł wiele tłomaczyć, o ile takie objawy dadzą się tłomaczyć w ogóle.

W bibljotece obejrzałem zegar, stwierdzając, że podczas mojej nieobecności nikt go nie ruszał. Szafka stała już w cieniu, napis był prawie niewidzialny. Zastanowiłem się teraz jak postępować, by zegarowi przy odsuwaniu rzeźby, nie podobało się znowu ryknąć na cały Krąż.

To by mi dogodził!

Nikt by tu nie przyszedł prócz Paschalisa i Krzepy, za to ręczę ale wolałem, by antyk milczał.

Zacząłem tedy odsuwać rzeźbę wolno, delikatnie i z ogromnemi ostrożnościami. Szło wybornie. Szczyt szafki wysuwał się gładko ku przodowi, odkrywając jak przypuszczałem, głęboką skrytkę pod sobą. Raz brzęknęły sprężyny zegara, lecz prócz jękliwego odgłosu maszynerji

antyk zachował milczenie. Podwoiłem ostrożność i pracując długo, z najsubtelniejszą delikatnością, wreszcie zatrzymałem się z głębokim oddechem zadowolenia. Skrytka była odsunięta na tyle, że mogłem w nią włożyć rękę swobodnie. Wysunięta zaś rzeźba naprzód szafki nie groziła upadkiem mając jeszcze większą połowę oparcia na felcu.

Teraz w imię Boże!

Wzrost mój pozwolił mi zajrzeć z łatwością do skrytki... Stwierdziłem iż... była pusta. Nie powiem, bo wrażenie moje na ten widok należało do przyjemnych! Zakląłem jak dragon, lecz nie dałem za wygranę. Zacząłem badać dno skrytki. Lekkie dudnienie oznaczające próżnię, napełniło mnie radością. Jeszcze chwila i, deseczka zahybotała się pod mojemi palcami. Przeniknął mnie dreszcz nowej nadziei. Przyniosłem do szafki taboret, stanąłem na nim ostrożnie i wolno delikatnie zdjąłem deseczkę z jej podpórek. Wszystka krew spłynęła mi do serca. Ujrzałem duży rulon papierów, związany czarną taśmą. Nie traciłem czasu. Wydobyłem zwój, zbadałem dokładnie, czy niczego więcej w skrytce niema i przyprowadziłem zegar do porządku, z zimną krwią i spokojem. Wprawdzie unosiła mnie szalona niecierpliwość, lecz nie poddałem się jej. Gdy już rzeźba była na miejscu i zegar miał dawną fizjognomję bez śladu wiwisekcji, jaką przeszedł, usiadłem przy stole. Rozwiązałem zwój papierów skręcony w rulon. Pieczęci nie było żadnych. Oczy moje padły na tytuł zeszytu większego:

„Moja spowiedź".

Poczem był ten sam napis łaciński, który jest na szafce zegara. Dalej następowało coś w rodzaju dewizy jakiejś czy przedmowy i tekst na kilku arkuszach, pisany

po polsku, silnym, wyraźnym charakterem, na końcu zaś rękopisu podpis.

Ksiądz Bernard Halmozen
czyli
Krzysztof Hradec Hradecki.

. . . . . .

Długo siedziałem zamyślony nad tym foljałem. Leżał oto przedemną dokument, w którym zamknięta jest dusza człowieka nieżyjącego już od czterdziestu lat i, ważniejsze dusza wykonawcy testamentu mojego pradziada. Ogarnął mnie szczególny niepokój, odczułem, że teraz czytać tego nie mogę — zanadto byłem podniecony i roztrzęsiony myślowo.... Rozwinąłem drugi rulon owiązany osobno, czarną tasiemką, który wypadł z pierwszego. W rulonie tym znalazłem przedewszystkiem sygnet złoty; na wielkim krwawniku widniał herb Pobogów i litery H. P.

Zdziwiony spojrzałem następnie na ten nowy dokument.

„Kopja testamentu ś. p. Hieronima Poboga, dziedzica na Krążu, Dębowej, wraz ze wszystkiemi przyległościami, przepisana z oryginału, sporządzonego dnia 20 grudnia 1870 r. i przypieczętowanego tym oto sygnetem Pobogów. Kopję pisał sługa Boży, pokutnik ks. Bernard Halmozen na świadectwo autentyczności istniejącego testamentu, który spoczywa w pierwszej, wyższej części skrytki w zegarze antycznym. Niech Bóg czyniąc sprawiedliwość w rodzinie Pobogów, zmiłuje się i nademną grzesznym".

Zrozumiałem.

Oryginał testamentu Hieronima Poboga został zatem wykradziony z górnej skrytki zegara. Kopja scho-

wana niżej, w drugiej skrytce i dlatego ocalona od kradzieży, była straszliwem świadectwem dokonanej zbrodni moralnej, która kompromitowała okrutnie babkę Zatorzecką. Wszak nikt inny nie mógł usunąć testamentu, tylko ona lub jej mąż Ksawery....

Oczywiście, że Halmozem, umierając, nie wiedział, że testament już jest wykradziony, ale jednak musiało to nastąpić chyba przed jego zgonem. Paschalis twierdzi wszakże, iż z chwilą śmierci nikt już prócz niego, Krzepy i rejenta nie był w bibljotece....

Lecz co zawierał testament?

Zacząłem czytać kopję. W trakcie tej lektury oblewały mnie zimne i gorące dreszcze. Paschalis miał słuszność.

Ś. p. pradziad Hieronim, oskarżając się w niezmiernej skrusze przed Bogiem i ludźmi z niesprawiedliwości popełnionej względem syna Marcelego, czynił go w tym dokumencie ostatnią wolą swoją właścicielem prawnym całego klucza Krąża, wraz ze wszystkimi folwarkami, zaznaczając, iż dziedzictwo to przechodzi potem na synów, wnuków, prawnuków Marcelego, aż do wygaśnięcia rodu Pobogów. Żądał by prawnie i jak najprędzej odszukano Marcelego w Paryżu, czy gdzie by nie przebywał, a jeśliby nie żył, tedy jego potomka męskiego lub żeńskiego, by go sprowadzić do Krąża i oddać mu jego dziedzictwo. Przeznaczał na ten cel dużą sumę pieniędzy, z kapitału ulokowanego w banku. Dla córki Zatorzeckiej oraz jej męża i dzieci wyznaczył rentę posagową z Krąża, należącą się córce z działów majątkowych, ujętą w ścisłe formy prawne. Zobowiązywał córkę Kunegundę, z Pobogów Ksawerową Zatorzecką i księdza Bernarda Halmozena, oraz świadków, będących przy zgonie, by testament

jego roborowano prawnie jak najprędzej i spełniono jego wolę co do słowa pod groźbą przekleństwa.

Poczem następował wzruszający zwrot do syna, by wybaczył ojcu popełniony grzech wydziedziczenia. Błogosławił syna, jego rodzinę i córkę Zatorzecką, którą nadto w serdecznych słowach zaklinał, by spełniając jego wolę, zrozumiała i odczuła sercem ten akt czynionej sprawiedliwości i stała się dla brata, wracającego z obczyzny, dobrą siostrą. — Dokument kończył się następująco: „Dzieci moje, Marceli i Kunegundo, pamiętajcie i zanotujcie w sercach waszych: Lepiej być stokrotnie skrzywdzonym niż raz krzywdzicielem. Każda krzywda zawsze się zemści okrutnie, każdy skrzywdzony, nagrodzonym będzie kosztem krzywdziciela.

Duszę swoją polecam ci Panie.

Amen!!...“

. . . . . .

. . . . . .

Nie na tem koniec moich wrażeń tego pamiętnego dnia piątego lipca. Po przeczytaniu kopji testamentu dłużej wytrzymać w komnacie bibljoteki już nie mogłem. W głowie waliły mi młoty, każdy nerw dygotał w ciele, myśli polotne, jastrzębie, złowrogie szarpały mózg. Zabrałem pierwszą lepszą księgę i ukrywszy w niej dokumenty, wybiegłem z zamku. Licho nadało natknąć się na Krzepę, spojrzał na mnie przestraszony.

— Co jaśnie panu jest, czy chory?

Coś mu tam odburknąłem i dopiero gdy w pawilonie w swoim pokoju, zamknąłem księgę w biurku, uczułem ulgę, nawet pewną równowagę duchową.... Biegałem jak oszalały po parku, lecz dręczyło mnie szczególne prze-

czucie, iż jestem obserwowany z okien zamkowych przez Krzepę i Paschalisa.

Wrażenie to było tak silne, że nie mogłem się z niego otrząsnąć. Wróciłem do mieszkania i przebrawszy się do konnej jazdy, udałem się do stajni. Bogdziewicz osiodłał mi konia najbardziej niesfornego.

Poczułem swobodę i skrzydła u ramion.

. . . . . .

. . . . . .

Był już wieczór, gdy powracałem do Krąża od strony pól szerokich, lekko falistych. Na tle bujnych drzew parku, zamek wyglądał okazale. Skrzydła jego, prawy i lewy pawilon były oświetlone i tem światłem odbijały rażąco od głównego korpusu, w którym nieznać było cienia życia. Martwy i głuchy stanowił on niemą i dosadną illustrację własnej historji. I takim pozostanie, dopóki Zatorzeccy będą jego właścicielami.... a przecież nie oni lecz mój ojciec i ja jesteśmy tu de jure panami. Był nim przedewszystkiem mój dziad Marceli, który w Paryżu umarł z nędzy i może z rozpaczy.

„Lepiej być stokrotnie skrzywdzonym, niż raz krzywdzicielem“ — to słuszne! Dziad mój umierał z tęsknotą w sercu, zapewne z głębokim żalem, ale sumienie miał czyste i jasne czoło przed Bogiem i synem.... A babka Zatorzecka?....

Dziad mój zostawił rodzinę w biedzie, lecz jego pamięć ojciec mój czci i ja czczę, choć go nie znałem... A jakże jest ceniona przez wnuka Gabrjela, babka Gundzia, pomimo, iż zostawia mu taką fortunę jak Krąż?....

„Każda krzywda zemści się zawsze okrutnie, każdy skrzywdzony nagrodzonym będzie kosztem krzywdziciela“.

No, tego przypuśćmy babka nie doczeka, gdyż my wykonawcami takiej zemsty nie będziemy. Ani ja, ani jak sądzę mój ojciec nie złakomimy się na Krąż.

Niech on sobie zostaje własnością potomstwa Zatorzeckich, zrodzonego w niedalekiej przyszłości ze Ślazówny.

Powtarzam znowu słowa Strindberga: „Zbrodnia sama jest już karą". — Sprawdziło się to boleśnie na babce Gundzi. Czemże bowiem było całe jej życie, jeśli nie karą, czyśćcem na ziemi?...

Jakże straszną być musi ta wiecznie aktualna kwestja kary, do której się sumienie poczuwa i na którą czeka? A jednak można się widocznie z tem zżyć, skoro tyle lat zamek otacza chmura trwogi zabobonnej, skoro się ta trwoga rodzi ze świadomości własnego grzechu i, pomimo to nie robi się nic w tym kierunku by oczyścić duszę, sumienie i by z tej chmury, wiecznie trwożącej — wyjść nareszcie na jasny świat Boży i śmiało, bez lęku spojrzeć ludziom w oczy. Ale jeśli kto ma miedziane czoło, może nawet nie odczuwa takich podszeptów sumienia, lub odczuwając podświadomie, odrzuca je bezwzględnie, jako zbyteczny balast w życiu.

Czyż babka Zatorzecka byłaby tak bezczelną?...

Nie, bo w niej odczuwa się jakiś straszny niepokój... nawet trwogę.

A ten wnuk i przyszłość Krąża, w takich jak obecne konjunkturach?... Ależ krzywda nasza jest już pomszczona stokrotnie!

Nie wyobrażam sobie, jak spojrzę w oczy babki teraz, gdy już znam kopję testamentu, którego oryginał ona posiada, o ile go nie zniszczyła.

A może posądzam ją niesłusznie?... Wszak kradzież mógł popełnić Ksawery Zatorzecki bez jej wiedzy.

Jednakże mądrym był ten Halmozen, chowając tak sprytnie kopję wraz z sygnetem, że ten, kto wykradł testament, nie spodziewał się, iż dokument tak kompromitujący leży tuż pod nim, odgrodzony cienką tafelką drzewa... Ten ktoś spieszył się zapewne i bał.... I oto po tylu latach... zbrodnia się wykryła.

Och!... nie będę twoim ostatnim i najokrutniejszym katem, twoim sędzią, ani egzekutorem. Wszelkie porachunki za spełniony czyn własny dokonasz sama z sobą... Ja... czmychnę!... powietrze tutejsze zaczyna mnie dławić... Zresztą Terenia!... Do niej mi pilno....

Ze ściśniętem sercem przypomniałem sobie „Spowiedź Halmozena".

Co w niej jest, czy mam w ogóle prawo odczytywać ten manuskrypt księdza pokutnika?... Hradec Hradecki, nie słyszałem nigdy tego nazwiska.

Uczułem nagle gwałtowne pragnienie poznania co zawiera ten drugi dokument, znaleziony nieoczekiwanie.

Trąciłem konia ostrogą.

. . . . . .

. . . . . .

Zamiast czytać położyłem się, albowiem znużenie moje było silniejsze, niż ciekawość. Wkrótce zasnąłem snem kamiennym.

Obudziły mnie późno tony muzyki Gabrjela. Grał z pasją, hucznie.

Na stoliku moim stała zimna kolacja. Pochłonąłem jakieś zakrzepłe mięso z wilczym apetytem, zapiłem zimną herbatą i otrząsnąwszy z siebie resztę snu, zabrałem się do owej „Spowiedzi".

Czytałem:

„Tego kto znajdzie ten dokument, gdy mnie już na świecie nie będzie, obowiązuję ostatnią wolą moją i czynię odpowiedzialnym za jej spełnienie, by oddał go we właściwe ręce.... W jakie, dowie się z tekstu mojej spowiedzi".

Ciekawość moja wzrosła. Położyłem się na otomanie i przysunąwszy bliżej stolik z lampą, zacząłem tę niezwykłą lekturę. Gabrjel grał „Gebet und Tempeltanz" — Griega, z drażniącą brawurą, z dziką zaciętością. Jego psychologja, to także ciekawy temat. Gdybyż on wiedział jaki dokument posiadam!....

. . . . . .

. . . . . .

---

10 lipca.

Nowa, zdumiewająca koincydencja zdarzeń, nowy niejako pewnik, że wiodło mnie do Krąża jakieś przeznaczenie.

„Z rąk Boga oczekuję w wieczności kary i miłosierdzia".

Miłosierdzia już tylko możesz oczekiwać, nieszczęsny pokutniku.

„Moją spowiedź" przeczytałem wówczas jednym tchem. Dramat Hieronima i babki Gundzi blednie wobec spisanych tu dziejów. Włączać je w całości do mego pamiętnika byłoby za długo. Podaję autentycznie tylko te

ustępy, w których jest akcja. Pomijam natomiast zwroty pokutniczej skruchy i samooskarżania się, a także cytaty z „Biblji“ i z „Naśladowania“. Wstępu utrzymanego w tymże tonie religijno ascetycznym nie zamieszczam również.

Zaczynam tę smutną historję:

. . . . . .

. . . . . .

„Rodzina z której pochodzę, znaną była w Galicji Zachodniej i cenioną. Ojciec mój Tytus Hradec-Hradecki, był od długich dziesiątków lat dziedzicznym właścicielem dóbr Sławohora w Beskidach nad Dunajcem. Ożeniony z Matyldą hrabianką Herburtówną, zacnego rodu panną, owdowiał, gdy ja, najstarszy syn Krzysztof, miałem lat piętnaście. Z kilkorga rodzeństwa zostałem sam, dwóch braci i siostrę Bóg powołał wcześnie do swojej chwały. Dlaczego, Boże wszechmogący, zostawiłeś mnie przy życiu, zamiast tamtych, którzyby sztandar naszego rodu godniej odemnie dźwigali, pozostanie tajemnicą Twoich wyroków....

Uczyłem się dobrze, ale pełen fantazji i bujnego temperamentu, byłem uczniem niesfornym, zbyt samodzielnym. Chlubnie skończyłem szkołę i wyjechałem do Genewy na studja historyczno-filozoficzne. Do Sławohory przyjeżdżałem rzadko, ferje wakacyjne spędzając prawie zawsze w podróżach zagranicą. Będąc na ostatnim kursie uniwersytetu, przemęczony pracą, zapadłem na uciążliwe bóle głowy. Za poradą lekarza pojechałem do Sławohory, na odpoczynek i kurację. Wtedy poznałem i pokochałem pierwszem, najczystszem uczuciem pannę Katarzynę X.... (nie chcę wymieniać jej nazwiska...). Była córką zamożnych rodziców, panną światową. Piękna

nad wyraz, wesoła, zalotna. Widziałem w niej bóstwo. Wszystkie moje górne ideały, wyniosły gmach marzeń fantastycznych, złożyłem u jej stóp, zdawało się anielskich. Wyznałem jej swoją miłość, i ona zapewniła, że mnie kocha. Byłem oczarowany. Nastąpiły nasze zaręczyny.... Lecz oto dowiedziałem się, że ojciec mój zapłonął również miłością ku Katarzynie. A ona?... Nie wiem, nic nie wiem, jak oni doszli z sobą do porozumienia! Ojciec powiedział mi, że kocha ją i że ją chce poślubić, mnie zaś kazał wyrzec się miłości dla niej. Gdy oburzony zareagowałem na to, zagroził mi wydziedziczeniem. Chłonęło mię piekło za życia....Buntowałem się,... brutalnie rzuciłem ojcu obelgę w oczy... ojciec mnie uderzył.... oddałem, nieszczęsny,... przeklęty na wieki!... Ojciec mnie wypędził z domu, wydziedziczył... Poszedłem precz! Napisałem do Katarzyny rozpaczliwy list, wierząc jeszcze (głupiec) w jej uczucie dla siebie. Nie odpisała, ani słowa, pomimo, że list mój doręczono jej osobiście. Wkrótce odbył się ślub mego ojca z tą, którą kochałem... która obiecywała zostać moją żoną, która miłość mi swoją wyznała....

Jak żebrak odarty ze wszystkich ideałów, poszedłem w świat. Myśl wstrętna, że ona wybrała dziedzica i pana na Sławohorze, miast mnie, który się miłości dla niej wyrzec nie chciał, pomimo wydziedziczenia, była mi cięższą... niż moja hańba... ów czyn popełniony względem ojca...

Nie kończyłem uniwersytetu, duszę miałem złamaną, umysł ciężki... w sercu grób... zemsta, straszna nienawiść do ojca,... do niej.... A pomimo to kochałem ją... kochałem... Pracując ciężko, żyłem tylko nadzieją zemsty. Ona była moją dźwignią i ostoją.... W Zurichu, gdzie

byłem nauczycielem, poznałem młodą Francuzkę, Jeannetę Ducasse. Pokochała mnie ta słodka idealna dziewczyna, siostra moich uczniów... sierota i opiekunka młodszego rodzeństwa.... Widząc jej miłość, powodowany niewygasłą jeszcze w mej duszy prawością, wyznałem jej całą prawdę o sobie.... Niezrażona, przeciwnie współczująca serdecznie, otoczyła mnie siostrzaną opieką. Tyle uczucia wkładała w ten stosunek nasz braterski, że uniesiony wdzięcznością... poślubiłem tę biedaczkę moją,... najsłodszą, najidealniejszą i... najnieszczęśliwszą kobietę, chyba, na całej ziemi.... Życie nasze było ciągłą ofiarą z jej strony, męką i wyrzutem z mojej.... Byłem dla Jeannety przykrym, ciężkim, okrutnym. Chwilami mściłem się na niej za to tylko, że nie była Katarzyną... pomimo, iż umiałem odróżniać charakter tego anioła od tamtego szatana. Mieliśmy syna. Cieszyłem się z niego, byłem pewny, iż to będzie w przyszłości mój wspólnik w dziele zemsty. Wampira zemsty hodowałem z lubością. Bóg nie dopuścił, by grzech mój oddziedziczył i powiększył ten chłopczyna niewinny.... Dziecko zmarło wcześnie.... Odczułem ostrzeżenie i karę za łotrowskie zamysły względem syna. Przyszła na świat córka... Ten nowy dowód istniejącej jeszcze nademną łaski Bożej, przyjąłem z radością wielką. Ale Jeanneta od urodzenia tej dzieciny słabła i nikła w oczach... Przekonana, że nie przywiąże mnie do siebie, tak, jak miała prawo oczekiwać, widząc, że żrącego mnie wampira zemsty nie złagodzi swojem uczuciem i skarbami duszy... odczuwając, że kocham stale... tamtą... dręczyła się, borykała z losem i psychiką swoją, aż nie zniosła ciężaru życia i poszła za synem. Zostałem sam z małą Joanną, była ona moją jedyną osłodą... i ciągłym a nowym wyrzutem, żem zabił jej matkę, nie

umiejąc ocenić tego, co w niej posiadałem... ni tego, jakim aniołem opatrzności mogła być nadal dla mnie... Gdy Joanna skończyła dwa lata, doszła mnie wieść, że ojciec mój zmarł nagle na serce. Wtedy zrodził się w mojej duszy bunt gwałtowny, żądza już nie tyle zemsty... ile żądza odzyskania majątku dla dziecka.

Z Joasią pojechałem w Beskidy, tam dowiedziałem się, że ojciec nie zostawił potomstwa, że nie było testamentu i majątek nie był poprzednio przepisany na Katarzynę, jak również nie istniało prawne wydziedziczenie mnie. Śmiało więc wystąpiłem o swoje prawa. Przyjechałem wprost do Sławohory z Joasią, jako prawny spadkobierca. Nieoczekiwanie Katarzyna przyjęła nas z wielką gościnnością i serdecznie.... A była tak bardzo piękna!!... Kochałem ją stale, uczucie to wzmogło się, gdym ją ujrzał.... Spadł na mnie nowy obuch: wyznanie Katarzyny, że... kocha mnie jak dawniej, że tylko mnie kochała, ale była steroryzowaną przez ojca, i nieszczęśliwą ofiarą jego szału. Boże, tyś widział jakie przechodziłem męczarnie duchowe i fizyczne.... Kochałem tę kobietę opętańczo, a nie mogłem jej wszakże poślubić.... Cierpiałem, walczyłem, klnąc Ciebie Boże za taką nieszczęsną dolę. Stary rezydent, przyjaciel mego ojca, Justynjan, który nosił mnie jeszcze na rękach, widział, co się święci, bolał nad tem,... ostrzegał mnie... radził wyjechać ze Sławohory i z daleka czuwać nad procesem spadkowym. Nie usłuchałem go, zawładnął już mną szatan i pchał do przepaści... Urok Katarzyny, okazywana mnie czułość doprowadzała mię do burzy zmysłów. Nie były to już marzenia dawne, pełne ideału, lecz podłe pragnienie miłosne, wichura pragnień szaleńczych.... A ona mnie kusiła, podniecała. Drażnił mię w najwyższym

stopniu młody strzelec dworski, Wasyl Czobro, Rusin, piękny, śmiały i w swym wspaniałym stroju strzeleckim, zwracający uwagę hardą postawą. Widziałem, że Katarzyna lubiła go i nieco nazbyt poufale odnosiła się do niego... on był względem swej pani rażąco obcesowy.... Lecz miłość dla Katarzyny na wszystko złe rzucała różową mgłę zaślepienia.... Nie cierpiałem Czobra instynktownie, ale nie podejrzywałem, pomimo dwuznacznych ostrzegań Justynjana, nic hańbiącego.... I... otworzyła się przedemną przepaść... przyszła chwila straszna,... zapomniałem o świecie Bożym, zapomniałem żem człowiek... i że ta kobieta była żoną mego ojca....

Wybiegłem od niej półprzytomny z rozkoszy i rozpaczy. W tumanie czarnym grzechu, miłość sama jakby zmalała, został pożar we krwi i bezprzykładny bolesny zgrzyt w duszy i wyrzut, ach, jaki wyrzut!... jaki wyrzut!!! Ugiąłem się pod ciężarem grzechu kaziroctwa. Rzuciłem się krzyżem w swojej komnacie i wyłem z bólu, wyłem jak zwierz dziki, ranny, szarpiący kłami wściekłości własną ranę. Walczyły we mnie... straszliwa zgryzota z bydlęcą żądzą nowej rozkoszy z tą kobietą.... Kochała mnie, jak sądziłem, skoro potrafiła zapomnieć o wszystkiem w moich ramionach, dając mi nieznane dotąd upojenie, szał. Siły niespożyte: poczucie winy własnej z rozpasanemi potęgami zmysłów prowadziły z sobą bój tytana. Niewiem, która siła stałaby się zwycięzką, gdyby nie kara... spadła na mnie jak piorun, w tej samej minucie moich zapasów duchowych z samczem pożądaniem zmysłów. Wszedł do mnie Justynjan i błagał abym się uspokoił.... Mówił, że przeczuwa, co się stać może (nie przeczuł, że już się stało) i chce ocalić mnie i Joasię od grożącego nam łotrostwa Katarzyny. Rzuci-

łem się na niego, kazałem mu iść precz, lecz nie odszedł, błagał, rozkazywał, bym z nim poszedł. Wprowadził mnie jak lunatyka do komnaty Katarzyny, ukrył w kryjówce, z której nie widziany, mogłem widzieć i słyszeć wszystko. Instynkt może również zwierzęcy dał mi świadomość jakiejś straszliwej prawdy, która ma się objawić.

Stało się!....

Wstręt mój i nienawiść do Czobra miały uzasadnienie płynące z głębokich pokładów psychiki mojej.

Ujrzałem Katarzynę w jej sypialni z... Czobrą....

Więc może człowiek znieść tyle co ja wtedy przeżyłem i nie paść trupem na miejscu?... Palce moje spłynęły krwią, gryzłem je, by nie wydać jęku... Ona była dziś w moich ramionach, ona teraz....

Ona upajała mnie zapewnieniem niezmienionej miłości... dla której ja zatraciłem człowieczeństwo swoje... ona teraz, jak rozpasana nierządnica była w ramionach tamtego...

Zniosłem jednakże i to piekło. Uratował mnie djabelski śmiech wewnętrzny z samego siebie. Szyderstwo z własnej naiwności ocaliło mnie od pomięszania zmysłów.... Lecz nie tu jeszcze tragiczny moment mego nieszczęścia.... Wysłuchałem ze zjeżonym włosem na głowie całego planu ohydnego spisku, który ta para łotrów ukuła na mnie i moją dziecinę.

Zawadzałem im, gdyż byli kochankami oddawna. Katarzyna oszukiwała mego ojca... jak teraz mnie....

Sprawa oddziedziczenia przezemnie Sławohory zbliżała się ku końcowi... więc Katarzyna mając wszystkich przeciw sobie i swemu kochankowi szelmoską intrygą chciała mnie przykuć do siebie, uśpić moją czujność.

Plan był piekielny. Za kilka dni, datę dnia właśnie

umawiali, miały być urządzone łowy w puszczach górskich, mnie towarzyszyłby Czobro, jako strzelec. Katarzyna, która pozostanie w pałacu, wpuści małą Joasię moją do izby, ukrytej w parku, gdzie chowane były zażarte, wiecznie głodne i jeszcze specjalnie na ten dzień wygłodzone wilki. Gdy bestje zagryzą dziecko, (miało to być upozorowane wypadkiem omówionym bardzo zręcznie), wtedy Katarzyna wyszle posłańca do lasu z tą ponurą wieścią, wprost do mnie i do Czobra. Tu następowała rola strzelca. Gdy przerażony wieścią będę z nim dążył do pałacu on mnie zastrzeli, z mego własnego rewolweru, w ten sposób, by znowu wszystkie pozory świadczyły, że zabiłem się sam w przystępie rozpaczy.... Szczegóły projektowane przez nich, a mające na celu ścisłe zachowanie niezbitych pozorów wypadku z dzieckiem jak i mego samobójstwa, słyszałem już jakby z oddali... jakby w huraganie rozpętanych żywiołów. Wybuchnęła we mnie taka potężna żądza zemsty, taki wir obłędu i furji, że w szaleństwie odczułem, tylko jedno: „Zabić"! Był to nakaz bezwzględny a tak mocarny, że w tej samej sekundzie skoczyłem ze swej kryjówki ku zbrodniarzom jak tygrys, łaknący krwi.

Byli bezbronni. Sam już niewiem jak się to stało; porwałem Katarzynę w swoje wściekłe ręce i grzmotnąłem jej głową z taką siłą desperacką o gruby kant marmurowego stołu, że zwisła mi w rękach bez życia. Czobro rzucił się na mnie, lecz walka trwała krótko. Szaleństwo uczyniło ze mnie rozjuszoną bestję. Pod okrutnym ciosem mojej pięści strzelec upadł na ziemię z rykiem bawoła, zalany krwią. Ja miałem w oczach łunę krwistą, gdym runął na niego, gniotąc mu kolanami klatkę piersio-

wą... drapieżne szpony moich palców wpiłem w jego gardło. Chwila i wszystko było skończone.

Leżały przedemną dwa trupy....

Wpadł Justynjan, jego wzrok utkwił mi w pamięci zmąconej nawet tragizmem mego potwornego morderstwa. Pokazałem mu trupy bełkocąc:

— To ja... to ja....

Bóg wie co by się stało potem, gdyby nie Justynjan...

On mi ułatwił ucieczkę ze Sławohory z dzieckiem. Gdybyż nie to dziecko moje jedyne, nie uciekałbym..... Chciałem się oddać władzy, niech mnie sądzą. Świadkiem moim mógłby być tylko Bóg... Justynjan wskazał na dziecko, sierotę bez matki, sierotę po ojcu zbrodniarzu....

Tego się zląkłem, osądź mnie Boże. Zląkłem się sieroctwa dziecka po ojcu mordercy....

Uciekłem!

Opuszczając tejże nocy potajemnie Sławohorę, przekląłem ją na całe życie swoje i swego dziecka. Przekląłem to miejsce moich nieszczęść, zbrodni, moich mąk nadludzkich. Przysiągłem sobie, że noga moja więcej w Sławohorze nie postanie i że Joasia nie będzie nigdy dziedziczyła tego miejsca zbrodni podwójnej, tej kaźni mego życia. Przysięgi dochowałem wiernie....

Musiałem się ukrywać, gdyż szukano mnie. Rozeszło się, żem zginął.... Sławohorę rząd austrjacki wziął w opiekę.

Krew krzepnie w żyłach moich, jeszcze dziś, gdy stojąc już nad grobem, myślę o tej czarnej przeszłości swej i o zbrodni, której cała wieczność pokuty nie zmaże. — Doczesną pokutę obmyśliłem sam sobie.

Postanowiłem zostać zakonnikiem. Córkę Joasię po-

święciłem także służbie Bożej. Przywiozłem dziecinę ukochaną (była żywym obrazem swej matki) do klasztoru w Belgji i wyznałem ksieni zakonu, że jestem pokutnikiem dobrowolnym, za zbrodnię popełnioną, że sam wstępuję do zakonu i że wolą moją, ostatnią w życiu jest, aby Joasia pozostała już w tym klasztorze do końca życia. Poświęcam ją Bogu w nadziei, że ta niewinna dusza, przyczyni się do przebłagania Boga za grzechy jej ojca. Ja zaś za karę nigdy już więcej nie będę widział Joasi, tak, jak bym umarł dla niej i ona dla mnie. Wyrok ten surowy uważałem sobie wtedy za największe bohaterstwo, na jakie człowiek zdobyć się może. Teraz widzę, że było to poświęcenie wielkie, ale za małe, jako kara dla mnie.... Wtedy inaczej rozumiałem problemat kary wogóle. Pożegnałem Joasię krzyżem świętym, na piersiach jej zawiesiłem medalik złoty mojej Jeannety. Był na nim napis francuski: „Skieruj, Boże, wzrok swój na mnie, bym się nie potknął na drodze życia. Boże, Twój wzrok mnie onieśmiela, Boże, Twój wzrok mnie przygarnia".

Dziecko płakało rzewnie, gdym odchodził... wyciągało do mnie ramionka wołając rozpaczliwie: „Tato, Tato", a ja... ja, dla którego to dziecko było wszystkiem już na ziemi, ja miałem siłę odchodzić, sztywny, nie oglądałem się na płaczącą Joasię i... tak, ze wzrokiem utkwionym przed siebie, w bezdennej przepaści swojej nędzy.... odszedłem zimny, zdawało by się, bezduszny.... Boże, Tyś widział jaka wtedy burza szarpała piersią moją, jakie były w niej wulkany....

Wszystko musiałem stłumić w sobie, by karę uczynić tem okropniejszą. Wszak tak bardzo na nią zasłużyłem.

Gdy zamknęły się za mną kraty klasztorne miałem lat trzydzieści cztery. Surowa klauzura zakonna... moje praktyki pokutnicze były mi zawsze wyrzutem, że są za małe, za błahe w porównaniu z moją zbrodnią. Czułem, że to ciche życie zakonne, to błogosławiona ostoja dla zmęczonej życiem duszy, lecz, że brak tu czynu, którym bym odkupił choć w drobnej części swoje winy... i to mnie dręczyło.... Męki moje duchowe były ponad ludzką miarę — uciążliwe. Cierpiałem stale, pragnąc czynu...

Tak przeszło lat szesnaście, które się wiekiem być zdawały.... Plecy miałem poorane batami, ciało od włosiennicy zjedzone, jak ze skóry odarte... mając pięćdziesiąt lat, wyglądałem na starca ośmdziesięcioletniego.

Stale przemyśliwałem nad jakimś czynem, czy misją. Bóg świadkiem, nie pragnąłem ludzi, ni świata, jeno jakiejś działalności, utylitarnej dla ducha. Samo życie pokutnicze, oddane modlitwie, rekolekcjom i umartwieniom nie uspokajało mnie. Troska o to odbiła się na mojem zdrowiu. Chorowałem ciężko, prosiłem Boga o śmierć i lękałem się śmierci... kary.... Wówczas to, do zakonu naszego zwrócił się pan Hieronim Pobóg z Krąża, z prośbą, by mu klasztor przysłał zakonnika do jego zamku. Pan Pobóg pisał, że jest grzesznikiem, że czuje zbliżającą się śmierć i chce pociechy duchowej, że jest przytem zupełnie prawie samotny, borykający się z męką swego życia....

Przeor naszego Zgromadzenia odrazu na mnie skierował myśl swoją, zapewne miano na względzie moje niknące siły fizyczne, które uginały się coraz bardziej pod pręgierzem twardej reguły zakonu, pomimo hartownej woli mojej. Nie śmiem przypuszczać, że uznano mnie za godnego takiej misji, ratowania duszy ludzkiej cier-

piącej. Wyrok wyjazdu do Krąża przyjąłem z radością, przeczuwałem czyn, był on moją tęsknotą.

Przyjechałem do Krąża na początku 1868 roku i od razu przypadliśmy sobie z Hieronimem do serca. Poznałem jego duszę, jego czyny, jego mękę. Zrozumiałem moją misję.... Musi się stać w rodzinie Pobogów sprawiedliwość, choć spóźniona, i ja się do tego przyczynię. Wpływałem na Hieronima... robiłem starania by odnaleźć Marcelego Poboga. — Hieronim czekał na syna, by mu oddać Krąż.... Ale nikt się nie zgłaszał....

Zatorzeckich Hieronim nie lubił... zwłaszcza zięcia Ksawerego, który ożenił się z Kunegundą tylko dla majątku, o czem wiedziano ogólnie. Hieronim przeczuwał, że Ksawery i Gundzia będą intrygowali, aby Krąż pozostał ich własnością choćby kosztem nędzy Marcelego i opinji całego świata.

W ostatnim roku życia, Hieronim, przez stosunki swoje dowiedział się w klasztorze, w Belgji, że córka moja, Joanna Hradec-Hradecka... nie została zakonnicą, jak pragnąłem. Skończywszy nowicjat, poczuła się powołaną do życia świeckiego i wystąpiła z klasztoru. Wzięła ją podobno pod opiekę jakaś poważna dama z arystokracji małopolskiej. Bliższych szczegółów klasztor nie posiadał. Hieronim chciał odszukać Joasię, nie pozwoliłem. Wszak przysiągłem sobie, że jej więcej w życiu nie zobaczę. Nie miałem prawa szukać jej i lękałem się odnaleźć, by nie czynić jej wyrzutów. Cóż ona winna, dziecina moja biedna! Może Bóg ku innym ją wiedzie celom?... Nie mnie grzesznemu było kierować życiem Joasi i oto Bóg ją do czego innego powołał! Może jej przeznaczeniem jest zakończyć na sobie nasze nieszczęścia rodzinne i nową, szczesną rozpocząć erę... nie

przez habit zakonny, lecz może przez stworzenie rodziny szczęśliwej, żyjącej bez skazy na sumieniu i duszy z Bogiem w sercu i jasnem czołem pogody duchowej. Daj ci, Boże, spełnić godnie przeznaczenie swoje, Joasiu moja....

Wkrótce potem Hieronim, nie doczekawszy się wieści od syna, zapadł gwałtownie na zdrowiu. Wtedy Zatorzeccy donieśli mu z zagranicy, że Marceli zginął, płynąc do Ameryki. Szeroko opisali historję zatonięcia pewnego statku, co było faktem autentycznym i że jakoby na mocy poszukiwań i dowodów zebranych, na statku tym był Marceli z żoną. Oboje zginęli. Wieść ta była ostatecznym ciosem dla Hieronima. Ale Bóg w łaskawości swojej niepojętej zesłał na mnie jasnowidzenie: Ujrzałem Marcelego i jego syna żyjących, lecz w nędzy... Wizja była tak wyraźna i dokładna, że odmalowałem ją niby na jawie przed Hieronimem. Zakląłem go, by nie wierzył Zatorzeckim, lecz natychmiast sporządził testament na rzecz Marcelego, jego dzieci, wnuków i t. d. Sam przysiągłem Hieronimowi, iż po jego zgonie zajmę się gorliwie tą sprawą, z przeświadczeniem, że to będzie mój ostatni czyn na ziemi, okupujący w części moje grzechy. Testament spisałem na kilka dni przed śmiercią Hieronima, pod dyktandem testatora z jego własnoręcznym podpisem i pieczęcią, przyciśniętą sygnetem Pobogów. Świadkami tego aktu, oprócz mnie, który go pisał, byli: kamerdyner Paschalis Tuleja,... Szczepan Bogdziewicz, kucharz zamkowy, i Łukasz Krzepa, borowy lasów Krąża, towarzysz z powstania Marcelego Poboga. Ja zostałem mianowany przez umierającego egzekutorem testamentu pod przysięgą, że wyszukam Marcelego i oddam mu Krąż prawem dziedzictwa. W razie zaś istotnego zgonu jego i jego dzieci, Krąż przechodzi na Kune-

gundę, lecz dopiero po dowodach najbardziej rzeczowych, że tamci zginęli. Świadkowie testamentu zobowiązani byli pomagać mi w tem, ile ich sił starczy...

Na parę godzin przed zgonem Hieronima przybyli do jego łoża, wezwani naglącо z zagranicy oboje Zatorzeccy. Wobec świadków odczytałem im testament. Na ich replikę, że Marceli zginął, umierający Hieronim zawołał wielkim głosem proroczym: „On żyje!... on wróci!... on, czy jego syn, wnuk, czy prawnuk, ale tylko Pobóg będzie właścicielem Krąża. Pamiętajcie... że taką jest wola moja, wola niezłomna i zanotujcie sobie ostatnie moje słowa w testamencie".

Tu zwrócił się do mnie:

— Bracie, czy prawda, że Marceli żyje?....

— Żyje i... wróci!... jeśli nie on, to jego syn, wnuk czy prawnuk. Krąż będzie Pobogów, sprawiedliwości stanie się zadość, umieraj, bracie, w spokoju!....

W godzinę potem Hieronim nie żył!! Oddał ducha Bogu o 5 rano dnia 20 grudnia 1870 r.

. . . . . .

. . . . . .

Dalej następowały żałobne rozmyślania Halmozena, opis jego starań w celu odszukania Marcelego.... Na końcu pisał:

„Zrobiłem kopję testamentu Hieronima na wszelki wypadek. Dołączam do kopji sygnet Hieronima, którym własnoręcznie pieczętował dokument i razem z tą moją spowiedzią chowam go do wykończonej przeze mnie dolnej skrytki zegara w bibljotece. Oryginał testamentu składam w górnej skrytce. Gdyby nawet oryginał ów został wykradziony, pomimo, iż nikt nie wie, oprócz może Gundzi, o istnieniu skrytki i o tem, gdzie ukryłem dokument,

wtedy kopja ta będzie dowodem, że dokument istniał, co tu stwierdzam przysięgą pokutnika, stojącego nad grobem... Nie chcę wierzyć, by Bóg w łaskawości swej niezmierzony dopuścił do najokrutniejszej kary dla mnie, to jest abym umarł nie dokonawszy aktu sprawiedliwości i nie spełniwszy przysięgi danej Hieronimowi. Jeśliby to nastąpiło, tedy moje doczesne kary samemu sobie wymierzone byłyby niczem wobec tej najboleśniejszej".....

Znowu następuje cytata biblji i zakończenie:

„Tego, kto odnajdzie i przeczyta moją spowiedź, błagam z za grobu, by odszukał Joasię Hradec-Hradecką, lub jej dzieci i... oddał jej moją spowiedź....

W aktach sądowych z roku 1852 odnajdzie się akt, czyniący mnie, Krzysztofa Hradec-Hradeckiego, właścicielem dziedzicznym całego klucza Sławohory. Proszę Joasię moją, lub jej potomków, o ile będą i będą żyli, by po dziedzictwo to sięgali wtedy tylko o ile zmusi ich do tego bieda materjalna.

W przeciwnym razie, jeśli są zabezpieczeni pod tym względem, zobowiązuję ich i tego kto odnajdzie moją spowiedź, aby wyprocesowali Sławohorę od rządu austrjackiego, na mocy zdobytych aktów i mojej ostatniej woli i przeznaczyli ten majątek na rzecz jakiego najbliższego klasztoru. Joasię zwalniam już od wszelkich ekspjacji, któreby mogły trapić ją z powodu, że woli mojej nie spełniła, nie przywdziewając habitu. Taką widać była wola Boga i przed nią schylam głowę. Rozgrzeszenie, jakie otrzymałem powtórnie, przed napisaniem tej spowiedzi, obejmuje Joasię i jej potomków. Niech Joasia będzie spokojna w swem sumieniu, niech już nie pokutuje ani ona, ani jej dzieci, niech tylko wiodą życia w cnocie i mi-

łości Boga, a tem uradują duszę moją i odkupią moje zbrodnie.

Błogosławić ich nie mogę, bom grzeszny nędznik, ale polecam ich Bogu i słodkiej opiece Najświętszej Panny. Niech zapamiętają słowa z modlitwy „Stąd wedle ciebie tysiąc głów polęże, stąd drugi tysiąc ciebie nie dosięże. Miecz nieuchronny, a ty przecież swemi oczyma ujrzysz *pomstę nad grzesznemi*“....

I... słowa wielkie, modlitwy pańskiej „i odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy naszym winowajcom“....

Gdy słowa te czcić będą, przejdą przez życie w promieniu łaski najwyższej.

Gdyby odnalazcą niniejszych dokumentów był Marceli Pobóg, lub jego potomek, właściciel Krąża, proszę go pokornie o Zdrowaś Maryja za grzeszną duszę Krzysztofa Hradec-Hradeckiego“.

. . . . . .

. . . . . .

Czyż nie jest to niesłychany zbieg faktów?... Zwiedzenie Sławohory podczas wycieczki mojej, zeszłorocznej w Beskidy i wrażenie, jakie ta miejscowość sprawiła na mnie?.... Potem, częste zwracanie się myślą do onego pałacu, który wali się w gruzy, bo „krew jaka się tu po lała zbladła i zaschła na murach, łzy właściciela wsiąkły w głazy i dlatego Sławohora się wali, ale wszystko się zmieni, gdy pan na Sławohorze powróci“.

Wszak te słowa nawiedzały zbyt często moje myśli. Wspomnienie Sławohory nasunęło się i pierwszej nocy przyjazdu do Krąża, wtedy, gdy zamek był oświetlony. Lecz na tle starego pałacu ukazywał się jeszcze inny szczegół: na ławce kamiennej omszałej, oparta o pień

siwy platana... ona... moja kobieta-wizja... marzenie.... Czyżby to była Terenia? Skądże skojarzenie jej postaci ze Sławohorą?... Może dlatego, że ona... poznanie jej i odkrycie spowiedzi Halmozena to były dwa cele, które dał mi Krąż, to było przeznaczeniem mego przyjazdu do Krąża.... A sen Tereni.... Halmozen oddający jej zwój dokumentów? Objaw podświadomej myśli Tereni, bym koniecznie szukał testamentu.... Znalazłem co innego, a mianowicie wytłomaczenie szczególnych wrażeń, jakie odniosłem, zwiedzając Sławohorę. Powtarzam: koincydencja zdarzeń niezwykła! Owładnęły mną teraz dwie idee: jedna — odnalezienie potomków Joanny Hradec-Hradeckiej... druga — zdobycie dla siebie Tereni. Oczywiście ona pierwsza.

---

12. lipca

Już wiem, gdzie ona przebywa i jutro jadę do mojej dziewczyny. Muszę przy niej ukoić nerwy stargane doszczętnie wypadkami ostatnich dni.

Wczoraj spytałem Krzepy, gdzie odbierają pocztę z Porzecza. W Łuczycach... Dziś rano pojechałem konno do Łuczyc, bite cztery mile. Los mi sprzyjał. W drodze spotkałem ogrodnika z Porzecza. Wiózł do osady jakieś ogrodowizny.

Pozdrowiłem go i zatrzymałem się blisko niego... Nie

chciałem go wypytywać, dopóki nie zawiedzie mnie inny pomysł. Na poczcie stanąłem tuż przy ogrodniku, który z torby wyjmował korespondencję. Wzrok mam wyborny. Z kilku listów z Porzecza wyłowiłem odrazu ten z jej nazwiskiem. Mgnienie oka i zanotowałem sobie w myśli adres Tereni. Jest w Krakowie, ulica, numer, obce nazwisko kobiece, dla wręczenia... Teresie Orliczównie... Eureka!... Zdaje się, że Archimedes nie wykrzyknął słowa tego z większym triumfem, niż ja w tej chwili. Uradowany zagadałem wesoło do ogrodnika i ni w pięć ni w dziewięć dałem mu rubla, za nic. Skłonił się w pas. Lecz że naczelnik poczty bardzo mi się uważnie przyglądał, zapewne dlatego, że stoję przy okienku bezczynnie (o, gdyby wiedział, jakiego czynu dokonałem w onej minucie!), więc przyszedł mi figiel do głowy i napisałem depeszę do Ganiewicza, który z Krąża nie odebrał jeszcze odemnie ani słowa.

„Wielkie odkrycie, wielki zysk może in spe wielkie szczęście. Roman".

Czytając tę depeszę, naczelnik miał bardzo głupią minę. Z Łuczyc pojechałem wprost do Kniażyna, gdzie Krąż wysyła pocztę. Tam napisałem do Tereni list krótki, lecz treściwy i zapowiedziałem swój przyjazd, skoro tylko wyrobię paszport. O bytności w Porzeczu i zawodzie, jaki mnie tam spotkał, napisałem również. Domyśli się ona wszystkiego. List ten, uprzedzający moje wyznanie, będzie u niej za kilka dni, w każdym razie wyprzedzi mnie... Pełen najlepszych nadziei i marzeń wróciłem do Krąża. Przed stajniami spotkałem babkę w jej wytartej burce. Patrzyła na mnie głębinami czarnych, ponurych oczów.

— Gdzieś był? — spytała ostro.

Zapłonąłem z gniewu.

— W Łuczycach i Kniażynie — odrzekłem sucho.

— Pocóż w Łuczycach?

Ponieważ nie tłomaczyłem się zaraz, babka dodała dużo łagodniej:

— Minąłeś się z depeszą do ciebie.

Ognista myśl zajaśniała mi w mózgu.

— Może od Tereni?

Pobiegłem do siebie. Depesza była z Uchań. Ojciec mnie wzywa. W tonie tekstu odczuwa się zdenerwowanie... Sprawy gospodarcze to, zdaje się pozór, między wierszami brzmi wymówka za... Krąż... Jednak wezwanie naglące... A Kraków??...

Będę miał wszakże Warszawę po drodze, lecz do Uchań muszę zbaczać. I co ojcu tak nagle może na mnie zależeć? Psuje mi cały plan. Babka coś podejrzywa, może to podszept sumienia? Ha! — możemy się więcej w życiu nie zobaczyć, będzie to dla niej ulgą, zapewne...

Jest w mej duszy jakiś niepojęty zgrzyt, coś niby żal... Żal Krąża, gdzie przez te cztery tygodnie tak wiele przeżyłem... i... żal babki Gundzi... Pomimo wszystko, mam dla niej sentyment... Żal Paschalisa, Krzepy, zwłaszcza tego dziada właśnie i, puszcz, lasów bezmiernych, rzeki już kochanej, pośredniczki mojej w spotkaniu z Terenią. Nie! ja tu jeszcze wrócę... może z nią?...

Kocham cię tak bardzo, ty moja!... Usłyszałem jakby sercem jej ciche słowa z zaczarowanego walca w Porzeczu, gdy na zapytanie moje, co widzi w moich oczach, odrzekła: „moc upiorną!“ — a potem te ostatnie, po mojej wymówce, że jestem dla niej Pobogiem z Krąża..... „Nie! Roman Pobóg, to wystarczy“. Ile uroku było w tych

kilku słowach... ile wyrazu... Tak! upiorną mocą chcę ciebie zdobyć i zdobędę...

Gdy pogrążony w ekstazie tych marzeń spacerowałem po parku, nagle zaszeleściło za mną i ze skupiny krzewów wysunęła się do mnie Weroninka, zastępując mi drogę. Była wyzywająca, pewna siebie. Stanęła tak blizko, że piersią wypukłą przyparła się prawie do mnie.

— Dokąd pan jeździł konno, tak daleko?

Tego było mi stanowczo za wiele.

— Proszę panią bardzo zaniechać niedorzecznych pytań i... proszę mi zejść z drogi.

Byłem zły.

Dziewczyna zachichotała szyderczo... i w jednej chwili, jak kot na zdobycz, rzuciła się na mnie, owijając moją szyję ramionami.

— Pan jeździ do jakiejś panny?... a ja pana kocham, i pan, niby to o tem nie wie?

Odwinąłem natrętne ramiona bardzo łatwo, choć prężne były jak dwa węże.

— Ojej, jaki pan straszny i silny, ale właśnie dlatego ja się pana nie boję... bo...

Odsunąłem ją daleko od siebie, spokojnie, lecz bardzo stanowczo, panując nad sobą, by nie odepchnąć brutalnie tej lubieżnicy i... bez słowa poszedłem do mieszkania.

— Poczekaj! jeszcze ty mnie będziesz błagał o miłość! — usłyszałem za sobą głos drapieżny i urągliwy.

W pawilonie trafiłem na obiad. Kacper mnie właśnie szukał.

Gabrjel przyszedł zły, zaczął dogryzać babce i Korejwie w bardzo niesmaczny sposób, wreszcie rzekł:

— Hetmanówna niech dziś przyjdzie do mojej na-

rzeczonej i razem z nią zrobi wypis dokładny wyprawy. Proszę prędko zrobić ten wypis i mnie przedstawić. Pojedzie pani ze mną i moją narzeczoną do Warszawy po zakupy.

Chmielnickiej wystąpiły na twarzy czerwone wypieki. W oczach pokazały się łzy. Zaczęła coś bąkać.

Wtem babka blada jak kreda, rzekła tonem mrożącym:

— Panna Chmielnicka podlega tylko moim dyspozycjom i nikt prócz mnie, prawa do niej niema.

Gabrjel sarknął jakiś epitet przez zęby i dodał głośno:

— Zobaczymy!

Zwrócił się do Korejwy:

— Pan przygotuje za tydzień dziesięć tysięcy rubli, gotówką, koniecznie, będą mi potrzebne.

— Czyś ty zwarjował do reszty? — zawołała babka.

Korejwo ostentacyjnie wzruszył ramionami.

— Dalibóg!... pan to tak jak dziecko.

Gabrjel ścisnął pięść i położył ją na stole, patrząc na babkę i Korejwę wzrokiem doprawdy bestjalskim, okropnym.

— Ja wam wszystkim pokażę, kto ja tu jestem... Ja wam teraz... ja wam...

— Gabrjelu, zastanów się, tracisz miarę — ostrzegłem go cicho, lecz z naciskiem, pochyliwszy się ku niemu. — Jesteś rozdrażniony, ale bądź dobrze wychowany.

Wtem hetmanówna wybuchnęła histerycznym płaczem, zerwała się z krzesła i, wpychając sobie chusteczkę w usta, opuściła salę. Gabrjel zarechotał przykrym śmiechem i, wskazując mi odchodzącą, zawołał na głos:

— Widziałeś dziewkę!... ryczy!... Czego ona ryczy

u czarta? No, ale to jej na zdrowie pójdzie, schudnie, bo już wygląda dziewica, jak przed konsolacją...

— Gabrjelu! — syknąłem ostro, ściskając go za rękę.

— Cóż złego mówię? — poprawił wesoło monokl — aa... bo... zapewne odgadłem trafnie?... Ale kto deflorował tę cnotę atamańską?... pewno pan, Korejwo!...

— Gabrjelu, milcz! Dosyć!... jesteś nieprzytomny, niepoczytalny! — zawołałem z oburzeniem podniesionym głosem, gniotąc mu ramię, zdecydowany wyprowadzić go natychmiast z sali.

Gabrjel spojrzał na mnie wyzywająco, lecz w jednej chwili spuścił oczy, zadrżał, monokl spadł mu na piersi, szukał go nerwowo, milczał i mienił się na twarzy, skurczony jakiś, jakby zgnieciony cały. Tak niesłychanie nagłą była ta przemiana, że mnie samego zdziwiła. Puściłem już jego ramię, a on siedział wciąż jak przygwożdżony, jak obity.

— Ehe! toś ty taki, bratku?! potrzeba na ciebie bata — pomyślałem z niesmakiem i... teraz dopiero spostrzegłem utkwione w siebie oczy babki i Korejwy, bezmiernie zdumione, prawie przerażone. Patrzyłem na nich pytająco.

— Jezus, Marja!... Jezus, Marja! — powtarzała babka białemi ustami, nie odrywając odemnie oczów pełnych grozy.

— Co się stało? — spytałem.

— Pan jest teraz... żywym portretem pradziada z sali mahoniowej... wierzyć trudno, że to nie tamten, — szepnął Korejwo strwożony.

Babka Zatorzecka powtarzała jak urzeczona:

— Obraz z przed laty, obraz ojca... Chryste Panie!.. to... ojciec... to on!

Zapanowała chwila tak szczególna i tak ciężka, że drugiej takiej nie pamiętam. Siedziałem jak pod pręgierzem oczów babki i Korejwy, którzy patrzyli na mnie niby zahypnotyzowani. Gabrjel nie spojrzał na mnie więcej i siedział wciąż skulony, jakby się bał ruszyć.

Zrozumiałem wszystko. W gniewie byłem, jak słyszę, jeszcze bardziej podobny do pradziada i to wywołało przestrach Gabrjela i jego gwałtowne umitygowanie się. Babka zaś znała ojca swego żywym i młodym.

Coś mię uniosło z miejsca. Prędko podsunąłem się do staruszki i pochylony nisko nad nią, wziąłem jej lodowate ręce w swoje dłonie.

— Babciu, uspokój się, proszę... wszak to ja... Roman...

Patrzała na mnie ze zgrozą...

— Romek?... Niebywałe, straszne, niepojęte podobieństwo — powtarzała.

Jej wrażenie wzruszyło mnie. Ucałowałem jej ręce.

— Przypomniałem ci ojca... babciu?...

— Zawsze... zawsze bardzo, ale nigdy tak, jak teraz, w gniewie. Ten sam nizki baryton głosu, te same pioruny w oczach, ten sam mars na czole i zmarszczenie brwi takie same... Niesłychane podobieństwo!...

Wtem Gabrjel z hałasem odsunął krzesło, zerwał się i, patrząc w ziemię, prędko skoczył do drzwi. Tam natknął się na Kacpra niosącego deser; ogromną piramidę jakiegoś kremu. Jak się to stało, nie wiem, tylko nagle ujrzeliśmy cały krem na głowie, twarzy i ramionach chłopca, a Gabrjel z furją walił go półmiskiem po głowie, aż porcelana rozprysła się w kawałki. Dopadłem

do lokajczyka, gdy Gabrjel znikł za drzwiami. Kacper wyglądał, jak bałwan ze śniegu i wrzeszczał tak, że nie mogliśmy go obaj z Korejwą uspokoić. Zdawał się nie pojmować, skąd to na niego spadło. Gdy jęcząc uciekł z sali, babka rzekła z bezmiernym żalem w głosie:

— Jak wyjedziesz... Romek, co tu się będzie działo? Gabrjel warjat i... podły, podły!! Tyś go skuł jak kajdanami, on się teraz ciebie będzie bał... a mnie... zakatuje...

— Niech pan zostanie u nas jeszcze — poprosił serdecznie Korejwo.

Wytłomaczyłem mu, że mam swoje obowiązki, do których mi pilno, ale Korejwo, pokiwał głową i szepnął cicho:

— W Krążu może i najpierwszy pana obowiązek.

Czy babka słyszała te słowa, nie wiem, bo zwiesiła głowę na piersi i blada wyszła z sali...

Jutro opuszczam Krąż.

W wagonie 13. lipca.

Mimo, że od Krąża dzieli mnie cztery godziny drogi, jestem jeszcze pod wrażeniem pożegnalnej sceny, która wstrząsnęła mną do głębi.

W chwili mego wyjazdu babka Gundzia zachowała źle pozorowaną rezerwę, jak gdyby nie chciała okazać mi serdeczności, którą jednakże doskonale wyczuwałem. Ga-

brjel był sztywny, zalękniony i jakby niepewny. Natomiast pożegnanie z Paschalisem i Krzepą wzruszyło mnie bardzo. Obaj starcy wyrazili mi swoje oburzenie, że odkładam poszukiwania testamentu i nie szczędzili mi gorzkich wymówek. Były one dla mnie tem przykrzejsze, że nie mogłem ku ich pocieszeniu zdradzić swoich odkryć, lękając się następstw. Paschalis łamał ręce z rozpaczą i zapowiedział mi, że teraz, skoro ja lekceważę szukanie dokumentu, tedy on całą bibljotekę przewróci, a testament musi znaleźć. A jest to już najwyższy czas, bo on czuje blizką śmierć i z takim ciężarem na duszy na tamten świat nie pójdzie.

Obaj z Krzepą zaledwie zdołaliśmy uspokoić Paschalisa. Zostawiłem go chorego i, doprawdy, czuję wyrzut, że go opuszczam... Obiecałem starcowi swój powrót. Gdy Krzepa wyprowadził mnie z zamku, poleciłem mu opiekę nad chorym, on zaś schylił się nizko do moich nóg i potem całując moje ręce, spytał nieśmiało:

— A nasza panieneczka, jasny panie? Tak ją zostawić, żeby ją dali innemu?...

Dostrzegł zapewne cień na mojej twarzy, bo dodał prędko:

— Ją że podobno wywieźli do onego medyka, młodego Orlicza. Panienki niemasz w Porzeczu, ja się dowiadywał.

— Jadę do niej i po nią — odrzekłem.

Krzepa rozpromienił się, radość trysnęła mu z oczów.

— Chwała Najświętszej Pannie... toż i początek dobrego w Krążu. Niech Bóg miłosierny... Ot, to Paschalisa ozdrowi!

I stary sługa mego dziada Marcelego rozpłakał się jak małe dziecko.

Ucałowałem go jak przyjaciela, sprzymierzeńca.

Stangret Bogdziewicz ani chwili nie wątpił, że wrócę, nawet prosił mnie, bym przyjazdu nie opóźniał.

— Paschalis już cienko przędzie, zamek zostanie na łasce pana Gabrjela i Ślazów, a wtedy tak już jemu i koniec!... Krąż zginie i zamek przepadnie.

Zobaczymy!

Uchanie 14. lipca.

Zdenerwowałem się odrazu na dworcu kolejowym, ujrzawszy przy amerykanie ulubioną czwórkę gniadoszów, spasionych jak woły.

— Cóż to, psiakrew, cugowe na opasy idą? — rzuciłem na powitanie stajennemu Kubie, zgarniając lejce moich angloarabów, wiatronogich jak Boreasze.

— Nigdzie nie chodziły, toż się i spasły kobylska — odrzekł Kuba z flegmą. — Starszy dziedzic kazał sypać obroku, co zjedzą, żeby jeszcze i z niemi kłopotu nie było...

— Jakiego kłopotu?... Źrebięta ładne, rosną?...

— O, wa! co mają nie rosnąć, piękne jak landszafty.

— To znaczy, że wszystko dobrze?

— Jak najlepiej, panie dziedzicu! — Ino co jedna żerdź od wygonu dla stadnicy złamana od tego czasu, kiedy kasztanowaty, łysy źrebiec od „Miłej", ten dwula-

tek, co to pan dziedzic wie, taki warjat sialony, gonił tegorocznego pędraka od „Rozkosznej“ i jak rymnął o żerdź, tak sobie całą pierś rozwalił, jak dynię, a tegoroczniak został na miejscu, ani drgnął. Kasztan po prawdzie tyż zdechł, bo się okrutnie przebił.

Co już mu nagadałem za taką wiadomość, tego nie będę powtarzał. „Dukat“ od „Miłej“ był ozdobą stadniny i ten malec marcowy prześliczny... Na moje wymysły Kuba rzekł z flegmą:

— Toć, panie dziedzicu, wola Boska. Dobrze, że tylko to się stało, a nie gorsze, bo jak byk w oborze zerwał się i pastucha poturbował tak, że pewno lada dzień skona w szpitalu, to tylko co i starszego dziedzica na rogi nie wziął. Starszy pan na niego laską, ale się pośliznął na bruku, przewrócił i...

— Kończ-że do stu djabłów, ośle jeden! — huknąłem przerażony, zatrzymując konie na miejscu.

— I... nic już, panie dziedzicu, bo akurat przyskoczył stangret z wrzaskiem i z kijem okutym. Byk do niego. Przyskoczyli fornale także z kijami, to prawie z pod rogów starszego pana wyjęli, ale, że nogę, tego zwichnął, to my dziedzica zanieśli do dworu. Ino co stangret to ze szczętem do niczego.

— Co? zabity!? — krzyknąłem.

— I... i... ledwie zipie, pewno ostatnią parę puści! A co reszta, to wszystko dobrze, chwalić Boga!

Przyjemne wiadomości! Pędziłem też do domu tak, że biała piana okryła boki spasionych klaczy. Zakląłem na rządcę, więc Kuba mnie pocieszył nową wiadomością, że Klonowski był chory, na zapalenie płuc, ale że już mu lepiej i wstaje...

Czekałem, czy Kuba znowu nie powie „a co reszta,

to wszystko dobrze"... i zaczęło się tylko od złamanej żerdzi.

Na szczęście ojciec zdrowszy, ale jeszcze kuleje. Klonowski jak z krzyża zdjęty, lecz także na dobrej drodze zdrowia. Natomiast stangret i pastuch chorzy są bardzo i leżą w szpitalu. Odwiedziłem ich zaraz po przyjeździe, boć to starzy i przywiązani słudzy.

Jakkolwiek lekarze pocieszali mnie, ręcząc za życie obydwuch, to jednak wypadek ich przejął mnie do głębi.

Ojciec zaczął wymawiać mi gorzko moją przewlekłą bytność w Krążu, lecz gdy opowiedziałem mu wszystko, był poruszony.

Kopję testamentu odczytał kilkakrotnie. Wspominał ojca swego Marcelego i wszystko, co jako młodzieniec przeżywał z nim w Paryżu. Był tak przejęty, że wyznanie o Tereni jak również „spowiedź" Halmozena odłożyłem na drugi dzień. Dziś ojciec uspokoił się znacznie i powiedział mi, że... powinniśmy może dochodzić naszych praw do Krąża, na zasadzie znalezionej kopji oraz świadectwa Paschalisa i Krzepy, ale, że on mnie do tego nigdy namawiać nie będzie. Ja też o tem nie myślę. A jednak... Krąż de jure należy do nas bezwątpienia, więc tymczasem zostawić wszystko status quo, dopóki żyje babka, by nie zadawać jej ciosu ostatecznego... Ale potem? Czyż godzi się zostawiać Krąż w rękach niedołężnego Zatorzeckiego i Ślazów, którzy, opanowując Gabrjela, zawładną majątkiem po swojemu?...

Czyż nie szkoda, by ta siedziba rodzinna przeszła w ręce takich Ślazów? Wszak to byłoby dowodem naszego niedołęstwa, może nawet nową zbrodnią w stosunku do Krąża i pamięci pradziada, oraz intencji Halmozena?...

15. lipca.

Powiedziałem dziś ojcu o Tereni... Wzruszył się.. i wyznał, że marzeniem jego jest, abym się ożenił.. W toku mego opowiadania patrzył na mnie badawczo, wreszcie ujął mnie za ramiona i rzekł z uczuciem:

— Czytam w twoich oczach, Romek, że kochasz ową Terenię tak, jak Pobóg kochać potrafi, to znaczy, żeś w niej znalazł i ocenił duszę kobiecą. Myślę, iż ta dziewczyna jest dużo warta, skoro zdołała ciebie przykuć zupełnie i inaczej, niż to potrafiły dotychczasowe twoje konkiety...

— Ach, to co innego, to różnica!... Terenia i kobiety, o które się dotąd ubiegałem, to niebo i... kabaret, jeśli nie jawny, to ukryty w zręcznie noszonych szatach ideału dla skokietowania naiwnych. Terenia nie jest ani pseudo anielicą, bowiem wstrętny to typ, ani naiwną, spadłą z księżyca niewinnością, którą zawsze rodzi głupota umysłowa i tępota duchowa, wszystko w sutym sosie parafiańsko-purytańskim. Nie jest też demonem wyniszczającym i wyzyskującym mężczyznę, o ile trafi na dudka, ani pawicą pragnącą wiecznych hołdów i dumną z siebie, co kobietę poniża tembardziej, im więcej jest zarozumiałą. Terenia, to kwiat nietylko uroczy, lecz wonny upoistym nektarem duszy i serca. Przy niej życie może być poezją, daleką od poziomu codzienności, rozłożonej na półkach śpiżarni. — Terenia to typ daleki od błędnych Ofelji, lub drażniącej, przebujnej Kleopatry... Słowem Terenia, to żona w pojęciu najbardziej idealnem, bo wszak i samo pojęcie ideału miewa różne odcienie stosownie do indywidualnego pojmowania rzeczy.

Ojciec bardzo gorąco popiera moje zamiary względem Tereni i pragnie ją jaknaprędzej poznać.

Wiem, że podoba się ojcu moja słodka dziewczyna.

---

16. lipca.

Unosi mnie, by jechać do Tereni, lecz jeszcze nie mogę. Klonowski jest tak osłabiony, że zajmować się gospodarstwem nie zdoła. Czekam na Ganiewicza, po którego depeszowałem, by przyjechał. Niema posady obecnie i siedzi w Warszawie, niech więc przyjeżdża zaraz. Jego przyjazd będzie dla mnie wybawieniem, bo nie zostawię ojca i majątku bez należytej opieki. Ganiewicz to morowy chłop i wszakże mój kolega z agronomji. Zdolny rolnik i administrator, więc będę spokojny o Uchanie, gdy on się tu zajmie wszystkiem.

Myśl o Tereni jest obecnie moją kwestją życia i odrywa mnie od innych zagadnień. — Chodziłem dziś długo po polach, na których żniwa rozpoczęte, po łąkach i lesie. W parku przepych kwiatów dorocznych, przedewszystkiem róż, a one są cudowne! To już zasługa ojca, sam je pielęgnuje ze znajomością rzeczy i z amatorstwem.

Po ponurym Krążu, Uchanie robią wrażenie kwiecistej polskiej wsi, w porównaniu do skalnej jaskini duchów. Jest tu nuta melodji swojskiej, która koi i daje dobre natchnienia. Co do wspaniałości rezydencji, Ucha-

nie porównania nie wytrzymują z Krążem. Jednakże nasz modrzewiowy dwór, duży i wygodny, z gankiem na staroświeckich filarach, opleciony winem i różami Crimson Rambler, ze swym łamanym dachem gontowym i wyniosłą fasadą, jest milszy i — że się tak wyrażę — serdeczniejszy od zamku na Krążu. Nasz dom ma również powagę starości, jej majestat, okraszony uśmiechem pogodnym, przywabiającym wszystkich, jakby rozłożonemi gościnnie ramionami kontuszowego szlachcica. Krąż ma wygląd surowy: mars na czole, zbroja na piersi, miecz w dłoni — takie określenie najwłaściwsze.

Terenia napewno polubi Uchanie.

---

17. lipca.

Ganiewicz przyjechał, zacny chłopak!... Pytał mnie, co znaczyła zagadkowa depesza z Łuczyc? Wyznałem mu swe uczucia dla Tereni i opowiedziałem szczegóły z Krąża i z Porzecza.

— Człowieku! Biesie jeden! toś ty dwa runa złote znalazł. No!... Orliczówna twoja! Wiwat! będzie weselisko! Ale i Krąża bym nie darował tej cholerycznej babie, pardon! i temu mazgajowi Zatorzeckiemu... Widziałem go przecie w Warszawie. Numer!!... Za paznogciami gruba żałoba po kocie, a na palcach brylanty, jak fasola. Facet niedorozwinięty, a mina jakby wszystkie

rozumy pojadł, ale żadnego nie strawił... To mu, uważasz, uderzyło na mózg. Degenerat!...

Ganiewicz machnął ręką znamiennie.

Jutro jadę via Warszawa do mojej Tereni....

. . . . . .

Kraków, 21. lipca.

Homo proponit, Deus disponit!

Uderzyłem się znowu głową o mur i doznałem haniebnego zawodu. Skronie pulsują jak motory, głowa pęka z bólu, nerwy rozigrane.

Tereni w Krakowie nie zastałem. Wyjechała za granicę z siostrą Orlicza, u której bawiła. Zatrzymają się w Wiedniu, hotel Erzherzog Karl. Tak mnie w mieszkaniu pani Hańskiej poinformowano. Dowiedziałem się na osłodę zawodu, że list mój do Tereni nadszedł po jej odjeździe i że go przeadresowano do Wiednia. Piekło się na mnie sprzysięgło. Chodziłem po Krakowie w oszołomieniu. Teraz czekam na pociąg pośpieszny. Jadę do Wiednia.

ST. FRANCIS ... ATHOL SPRINGS, N. Y.

Wiedeń, 22. lipca, w nocy.

Nowy zawód! Terenia wyjechała z panią Hańską na Semmering Pontebbę, dziś rano. Dokąd, portjer hotelowy nie wie. Przypuszczam, że chyba do Włoch, zresztą czy ja wiem dokąd?... Tu już zbłądziłem. Portjer mówi, że te panie rozmawiały coś o statkach i... że był z niemi jakiś młody pan, który je tu w Wiedniu spotykał. Spytałem, jak wyglądał... Chytry niemiec, portjer zauważył widocznie moją alterację, bo odrzekł z powagą mającą zapewne na celu uspokojenie mnie: „O, es war wirklich ein Professor oder ein Philosoph".

— Medyk!... niech cię wszyscy djabli wezmą! — zakląłem.

— O... ja, ja! Er kann auch ein Doktor sein! — podchwycił skwapliwie dygnitarz Erzherzog-Karl hotelu.

Byłem wściekły, ale panowałem nad sobą, by... okazać się europejczykiem... Lecz gdy portjer ofiarując mi numer, nazwał mnie „Herr Graf", zwymyślałem go poprostu za ten tytuł, który jak dla ironji nadają nam wszystkim za granicą, wiedząc, że niektórzy to lubią. — Portjer zdumiał się srodze i w dowód skruchy zaczął mnie tytułować... Fürstem. Zaciąłem zęby w pasji najwyższej, zrezygnowany już nawet na tytuł królewski. Zajmowało mnie co innego, a gniew na Orliczów i trochę na Terenię wyprowadzał moje nerwy z równowagi. Zapytałem jeszcze portjera, czy był do panny Orlicz list przeadresowany z Krakowa. Ale i tu los uwziął się na mnie, bo list nadszedł dziś, w kilka godzin po wyjeździe pań. Zażądałem zwrotu list, legitymując się dokładnie, zarówno dokumentami, jak i charakterem pisma, jako

nadawca. Po długich ceregielach niemiec, zbadawszy wszystko, wręczył mi kopertę, uspokojony głównie tem, że panie nie podały mu adresu, gdzieby miał odsyłać nadchodzącą korespondencję.

Czy to nie jest „pech", nabyty chyba w Krążu prawem dziedzictwa?... Czyż mogłem przypuszczać, wysyłając swoje wyznania Tereni do Krakowa, że będę je sam czytał... w Wiedniu?... Staje mi w poprzek jakiś szatan ale go odepchnę i zniszczę...

Asinus Asinorum! Ona pojechała gdzieś pod włoskie niebo z — medykiem — a ty zostałeś ze swoją porażką i jeszcze się odgrażasz?...

Zły jak tabun szatanów, tłukłem się po Wiedniu bezcelowo. Znam wszakże aż nadto dobrze to miasto i, nie interesowało mnie ono obecnie wcale. W jakiejś napotkanej pierwszej lepszej restauracji, gdzie rżnęła muzyka cyganów węgierskich, kazałem sobie dać jeść i butelkę burgunda. Wino i muzyka wpłynęły na mnie dodatnio, rozjaśnił się umysł, wróciła fantazja. Recepta Zagłoby skutkowała doskonale, więc piłem na umor, czując radość życia i młodości... Orkiestra zanosiła się czardaszami. W sali był dym od papierosów i cygar, jakiś głos kobiecy śpiewał kuplety tłuste, rozebrane. Zaduch nocnej nory uderzał do głowy zabójczym tumanem. Woń kwiatów mieszała się tu z wyziewami wina, piwa i koniaków, lejących się strumieniem, przez wypalone gardła do otchłannych żołądków wesołych wiedeńczyków.

Jakaś wcale miła buda! — przeleciała myśl frywolna... — Co ja tu właściwie robię w tej spelunce? chlam wino bez sensu i czekam... na co?

Terenia jedzie sobie teraz ekspresem z ciotunią i konkurentem!... To nic, że on wygląda na „ein Professor.

czy ein Philosoph", — taki może być również niebezpieczny, gdy go przygrzeje włoskie słońce i... oczy Tereni... Nie ufajmy zbytnio profesorom ani filozofom, gdyż miewają oni chwile, w których... — profesorstwo ich idzie na strych — kopnięte systemem króla Gobi w puszczach Kongo... Takie zaś oczy, jak Tereni, łatwo wywloką nawet z dostojnej togi rozanielonego Don Juana.

Widzę ich oto: Ciotunia, siostra Orlicza, bagatela!... dobra obsada akcji! śpi sobie nieboże, albo udaje, że śpi. Ciotunie bywają ciekawe, artystycznie potrafią się nawet kiwać we śnie, nie śpiąc... Terenia zaś z nim, zapewne prowadzą dyskurs — o czem? o górach, które mijają, o morzach, w których się będą kąpali, razem, w kostjumach oczywiście.

Zobaczyć ją w kostjumie obcisłym, blado turkusowym wśród pian, nie, lepiej w lazurowej przezroczystości wody, jeszcze lepiej rozciągniętą jak alga morska na piasku... Alga?... jestem cymbał! jak najada, najcudniejsza syrena... Amfitryta płynąca na muszli z konchy perłowej...

I to ma oglądać ów medyk? A ja, jak niepyszny, sam, jeno z listem do niej w kieszeni... tu w tej dziurze przesiąkniętej dusznym „Odor di Femina" naturalnym, płynącym z nagich ramion bachantek? O psiakrew, czy to logiczne, czy to możliwe do zniesienia? Więc dla mnie była tylko owa noc w lesie nad rzeką, przy ognisku i ten zaczarowany walc w Porzeczu?... a medyk... ma osiągnąć tyle szczęścia?...

Kazałem podać drugą butelkę. To już usposobiło do mnie przychylniej obecne na sali Wenery. Jedna w różowej tunice greckiej z anemonami przy głębokiem wycięciu sukni, w jasnych lokach, uśmiechnęła się do mnie

lubieżnie i przesunęła wachlarzem wzdłuż linji ramion, bogatych w białe puchy ciała... Patrząc na te alabastry pomyślałem podle: Jakie też ma ciało Terenia?... Widziałem trochę śliczne jej ramiona, ale są drobniejsze, nie takie rubensowskie, jak tej oto...

...Tfu!... świństwo porównania takie robić! Ze złości i wstrętu do siebie wychyliłem cztery kielichy duszkiem jeden za drugim. Różowa piękność zrozumiała inaczej mój odruch desperacki.

Jeszcze parę uśmiechów i — ujrzałem ją przy sobie...

Zaproponowała gabinet osobny, poszliśmy tam we dwoje. Obstalowałem sutą kolację i szampana.

Liza, bo tak się kazała nazywać, przegięła się ku mnie i wsparła na mojem ramieniu.... Zajrzały mi w oczy źrenice jakieś żółte jak topazy, nalane zmysłami niby kielich tokajem, usta czerwone mokre sięgały moich ust. Od ciała tej hetery szedł żar namiętności, spalał. Istna Messalina ciągnąca ku sobie magnesem łakomych obietnic.

Spojrzałem jej w te złote źrenice i spytałem jak idjota:

— Czego pani sobie życzy?...

Odchyliwszy się w tył zaczęła się śmiać drażniącym trelikiem. Nie wiem kiedy znalazłem się w dusznej atmosferze przepysznych ramion Lizy... Z sali szedł pomruk znamiennej wesołej zabawy, zaprawnej już lubieżnością jak gorący napój odurzającemi korzeniami.

...Ależ ma biust!... niech się Izyda zarumieni z zazdrości... Podziwiałem wzrokiem kształty Lizy, lecz widocznie zbyt chłodno, gdyż nagle rzuciła się do mnie i spytała z sykiem:

— Bist du so weise oder so dumm?

Znowu się zaśmiała i wpiła płomienne, krwawe wargi w moje usta....

Buchnął ogień w żyłach.

Człowiek jest zawsze draniem, gdy go takie bydlę żeńskie....

Całowałem ją bez pamięci w te bezczelne, rozwarte, jak pęknięty granat usta łajdackie....

Szumiało mi w głowie... piliśmy szampana, orkiestra grała coś takiego w czem był hurkot... ekspresu dążącego pod słońce włoskich upojeń. Nie mogłem myśleć logicznie, a Liza całowała moją twarz i łasząc się dowodziła, że jestem jej ukochany... piękny... oczekiwany dawno... i... coś tam jeszcze. Odpowiadałem z rozczuleniem, szampan zamrożony w igły pienił się w kielichu, a ona... Terenia... (nie wymówiłem głośno) ...jedzie z — ein Professor — do krainy Dantego i Beatryczy.... To nie jest niebezpieczny przykład!... Do krainy Romea i Julji... o, do djabła, to gorzej! Upoją się tam romantyzmem, nasiąkną tchnieniem sztuki... rozkoszną atmosferą róż szkarłatnych... canzonett, śpiewanych przy dźwięku mandolin, zapalą się infernalną iskrą z buchającego Wezuwiusza,... Herr Philosoph ciśnie swój majestat w otchłanie krateru i... carpe diem!...

— Do stu szatanów piekielnych! — zawołałem z obrzydzeniem, odpychając od siebie Lizę. Lecz wytrawna bachantka zaśmiała się tylko histerycznem parsknięciem, pokazując zmysłowo dziąsła i zęby wilczycy. Chwyciłem ją za ręce w przegubie, ścisnąłem aż syknęła z bólu. Co jej mówiłem, nie pamiętam, musiałem mieć niesamowitą twarz, bo patrzała na mnie z przestrachem, i nagle... podała mi usta, prosząc z pokorną miną, bym ją zabrał do siebie.

— Do hotelu?... a tobym się ubrał!...

Zaśmiałem się z sarkazmem, więc zaczęła mnie błagać, bym jechał do niej.... Obietnice, nęcące rozkoszą nasycenia zmysłów już rozigranych, obietnice upojeń, z pod ciemnej gwiazdy, któremi obsypywała mnie jak pożogą płomieni....

— Ech, psiakrew!... co mi teraz więcej pozostało!... Niech żyje szał i zapomnienie, pijmy z czary Bachusa, zaprawiając ją purpurą szaleńczej orgji pożądania!

Wzniosłem jakiś toast niedorzeczny, oczarowana Liza padła mi znowu w ramiona, piliśmy szampana coraz zachłanniej.

Wreszcie otworzyłem szeroko drzwi do sali. Muzyka dostała obłędu, wszystko tańczyło w wirowym tempie: cała sala, nagie ramiona z torsami męskiemi, kelnerzy na stołach i pod stołami, ściany sali z sufitem. Butelki, jak meteory, śmigały w takt tego wiru, a nad tem wszystkiem zanosiła się ze śmiechu pucołowata twarz Bachusa w zbakierowanym wieńcu, chwiejąca się na potężnym brzuchu Falstaffa, który oto wyciągnął ramiona do Lizy, w chwili gdy opuszczaliśmy roztańczoną salę.

Trzasnąłem kogoś w pysk, ktoś się przewrócił,... ktoś ryczał ze śmiechu... ktoś wrzeszczał, że mnie zabije... Liza piszczała kocim falsetem, ale zamiast Bachusa-Falstaffa, podnosił się z ziemi jakiś opasły jegomość, któremu sztywny gors koszuli wyłaził z kamizelki bombiasto i wydymał się jak balon.

Komuś rzuciłem garść złota, coś się toczyło a kelnerzy zbierali po suficie i po podłodze....

Otrzeźwiałem! Świeże powietrze, czyste, jak woda źródlana wpłynęło do płuc ożywczą kaskadą.... Samochód pędził Ringami hucząc i zanieczyszczając swędem ben-

zyny kryształ powietrzny... tak samo... tak samo... jak ja... miłość moją dla Tereni....

Uczułem niechęć do siebie, ohydny posmak rozpusty wywołał dreszcz wstrętu.

— Jestem nędznik! — wygarnąłem sobie ów epitet jako remedium z rzetelną satysfakcją.

Znowu unurzałem się w brudzie i oto znowu przy moim boku rozpasana samica?... Tfu! cóż mnie pchnęło w to błoto? Dławił mnie wstyd, gniew na siebie samego biczował szyderstwem.

Mam tego dosyć, zabawa skończona!

Liza tuliła się do mnie szepcąc jakieś zaklęcia, roznamiętniona, oczekująca, niecierpliwa.... Pędziliśmy ulicami pełnemi światła i tłumów, poczem auto poniosło nas w jakieś ciche dzielnice.

— Daleko bestja mieszka — myślałem zły....

Ulgę poczułem w całem swojem jestestwie, gdy wreszcie samochód stanął....

Pomogłem wysiąść rozedrganej jak harfa po uwerturze kokotce, nie odczuwając wzajemnie jej zapału do dalszego koncertu. Podbiegła do bramy, zadzwoniła z impetem....

Zdołałem szepnąć parę słów szoferowi....

Gdy bramę otworzono i Liza weszła w mroczną czeluść, wołając mnie za sobą, uchyliłem lekko kapelusza i rzuciłem pośpiesznie skromne:

— Adieu Fräulein!...

Zamykałem właśnie za sobą drzwiczki auta, gdy moja Messalina wybiegła z bramy zdumiona, rozczerwieniona jak jaskrawa reklama protestu i oburzenia. Wołała coś w uniesieniu wygrażając ku mnie nagiemi ramionami. Płaszcz jej obsuwał się na asfalt chodnika.

Nie mogłem go już podnosić. Samochód ruszył.

Przesłałem jej jeszcze całusa z życzeniem dobrej nocy i dalszego powodzenia. Rozdzieliła nas biało-siwa smuga dymu. Ryk ostry trąbki szofera na rogu ulicy, wydał mi się hejnałem głoszącym mój triumf zwycięstwa! Kazałem jechać poza miasto całą siłą motoru. Jak to długo trwało nie wiem. Minęliśmy Schoenbrunn, widziany z daleka w astralnej atmosferze nocy. Jego biały pajac i glorjeta świeciły mistycznie na tle wyniosłych obrzezanych szpalerów. Szpalery te są jakby obrazem gladjatorów, ujętych w sieci dla zabawy cezara. Spotwarzone te drzewa o wynaturzonych kształtach niewolników, mogą być również porównane do pojęcia etykiety; tchną ceremonjalną formą bytu narzuconego siłą feudalizmu człowieka, lecz są zimne, bezduszne, bez tego tętna serca, którem pulsuje każde drzewo normalne.

Pod wpływem tej myśli przeniosłem się do puszczy Krąża.... W taką samą noc gwieździstą, pod nawisłemi gałęźmi jodeł, siedzieliśmy z Terenią, blizko siebie, szczęśliwi pierwszem upojeniem budzącego się uczucia....

Jak to już dawno, a jednak miesiąc zaledwo. Moc wrażeń i tęsknota nie skraca, lecz przeciwnie przedłuża czas.... Jakże jest dziś inaczej niż wtedy, a jakże mogłoby być jeszcze inaczej gdyby nie moja impulsywność względem Tereni na balu w Porzeczu!... Był to wyrok na mnie przez samego siebie wydany. Nadziei jednak nie tracę, gdyż za silnie kocham Terenię, ale chwilowo przeznaczenie założyło na mnie kaganiec. Dokąd że będę gonił za nią?... gdzie jej szukał? Fakt, że Terenia wyjechała daleko i zapewne na długo, bez słowa odemnie, po owym walcu, pozostawiona bez żadnego echa z mojej strony, to mnie doprowadza do furji na samego siebie, do

rozpaczliwych przeczuć. A jeśli ona weźmie za letkiewicza... kokieta, bałamuta, farmazona, rządzącego się chwilą fantastę?... Szarpałem się w sobie jak zwierz w klatce. Pędzić za nią, odnaleźć, odebrać ją dla siebie! Zapomnieć o Uchaniach, o obowiązkach, byle ją odszukać...

Jest to na razie niepodobieństwem! Ale trzeba wierzyć we własną gwiazdę szczęścia i nie pozwolić jej zagasnąć.

Wobec tego:

— Erzherzog Karl! — zawołałem do szofera.

Pierwszym pociągiem opuszczam Wiedeń. Ile czasu zostało? — spytałem portjera.

Psiakrew, spóźniłem się! Gdyby nie marzenia na schoenbrunńskich niwach, byłbym już w expresie, teraz trzeba czekać do rana.

Zabrałem się do pamiętnika i oto już srebrzą się okna.... Noc uleciała na jaskrawych skrzydłach hulanki, ku mglistym błękitom mojej tęsknoty.

W drogę!...

Sławohora, 24 lipca.

Otaczają mnie puszcze leśne Beskidów.

Przeczystość powietrza odurza.

Płuca nie mogą nasycić się tym rozkosznym aromatem, który już niewiadomo skąd płynie: z nieba, z ziemi, z ziół, czy z lasów. Wszędzie wyczuwa się tu siłę kos-

miczną utajoną w potędze przyrody. Wchłania się tę moc w siebie i odczuwa się nicość wszystkiego, co nie jest szczerą naturą dającą najszczytniejsze natchnienie. Wszelkie mgławice abstrakcyjnych dociekań rozpływają się tu, jak obłoki, którym szczyty drzew prują trzewia. Jeśli gdzie odczuwa się najsilniej Boga Twórcę, to w takich sanktuarjach głuchych puszcz wyniesionych pod strop niebios jak złota monstrancja zawierająca tajemnicze misterja boskości. Tu się odprawia Ofiara, wieczysta msza ziemskiego padołu. Archanielski poszumny wzlot ku idei, ku świętemu tabu wielkiej metafizycznej Tajemnicy.

Sławohora osadzona na stoku olbrzymiej wyżyny, u której stóp pędzą w przestrzeń namiętne wody Dunajca, zda się być siedzibą jasnych duchów. Trudno uwierzyć by tu kiedyś polała się krew popełnionej zbrodni. Praojcowie puszczy, otaczający dokoła pałac nieszczęsny, pamiętają noc tragizmu i widzą dokonaną już karę nad tym, który nie wraca.

Ach, w szumie dostojnych koron weteranów i matron drzewnych słyszy się inne jeszcze baje... prawdy. Czasy królów polskich nie są dla nich wspomnieniami młodości. Rozwitą już koroną widziały one pożogi buntów chłopskich Kostki Napierskiego, widziały hufce szwedzkie, czatujące na Jana Kazimierza, ileż legend stworzonych fantazją tych gór, jakie sabaty duchów w cerkwiszczach zagai, w nieprzebytych gąszczach dziewiczych ostępów! Gubiłem się w labiryntach wązkich korytarzy, wśród nawisłych sędziwych jodeł, błądziłem po tych kniejach, pośród nieprzebytych tworzyw roślinnych, bo pasję mam do wszystkiego co stare, mchem i pleśnią wieków okryte.. A teraz zwierzam wrażenia swoje powiernikowi memu,

siedząc na omszałej ławce pod oliwkowym pniem platana. Szumi nademną ten platan wiekowy, a w szumie jego słyszę pytanie:

— Gdzie tamten? Gdzie Krzysztof? Co ty tu robisz, obcy wędrowcze, dlaczego tak serdecznie patrzysz tu na wszystko?... Czy znasz historję Sławohory?... Drugi raz odpoczywasz w moim cieniu, snadź polubiłeś to miejsce, lecz co cię tu pociąga?...

Gdzież Krzysztof?... Gdzież córa jego?... Maleńką dzieciną była, gdy w noc zemsty i krwi wychodził stąd wygnańcem. Czy ją i jego świat wchłonął, czy wieczność zamknęła nad nimi swe tajemne bramy prabytu?...

— Co się z nimi działo?... słuchajcie platany.

Wydobyłem z teki mojej „Spowiedź" Halmozena. Przeczytałem głośno wyznania pokutnika tu, w miejscu jego zbrodni. Słuchały mnie stare platany w skupieniu nabożnem. Ciszy gór, puszczy i odwiecznego parku nie mącił żaden odgłos ze świata.

Mistyczna cisza nastrajała uroczyście. Gdy przytłumiony głos mój przebrzmiał, cała wyżyna Sławohory wsłuchana w dzieje Krzysztofa Hradec-Hradeckiego zapadła w zadumę ponurą. Czy rozważa losy człowieka, którego nawiedziło fatum nieszczęsne... czy współczuje mu, czy go karci, czy go błogosławi, czy potępia?... Egzaltacja przyrody tutejszej nasuwa halucynacje słuchowe.... Oto słyszę najwyraźniej śpiżową pieśń dzwonów odległych. Wiem, że to złudzenie, lecz dźwięk rośnie, i w metalicznym chrzęście gałęzi sosny podają ton melodji dzwonów siostrom swoim, jodłom niebotycznym. A one, podzwon przestrzenny tłumiąc długo w okiściach konarów, przenoszą go echem w listowia buków...

Płynie dźwięk z puszczy, uderza w walące się mury

pałacu, nowe echa grają w komnatach.... Rozjęczały się drzewa i pałac.

Sławohora śpiewa hymn — Salve Regina — dla ostatniego z Hradec-Hradeckich. Doczesna jego powłoka, w habicie zakonnika spoczywa snem wiecznym, tak mizernie, pod murem cmentarza w Krążu. A jego spadkobiercy? Gdzie ich szukać i czy żyją, a jeśli żyją to jakim sposobem ich odnajdę? Wszak na taki cel można poświęcić całe swoje istnienie i jeszcze nie osiągnąć żadnych rezultatów. Znam siebie! Ta idea będzie mi już zapełniała życie, daj Boże by go nie psuła... Czuję, że płynąc dotychczas w życiu przez mniej lub więcej pogodne przestrzenie, wpadłem teraz w mistyczny krąg zagadek, jakby w mgławicę Orjona — i błądzę od błękitnego Rigela Vel Tereni, do czerwonego Betejgeuza — „spowiedź Halmozena"... bezradnie, zaś — Canis minor — Krąż czyni mi wstręty, odwracając ku sobie wybujałą wyobraźnię. Do czynu zatem! Może dozorca pałacu, tęgi góral, da mi jakieś wskazówki bardziej realne. Trochę w to wątpię, jednakże spróbójmy. A może? Jakże byłbym szczęśliwy, by prośba twoja ostatnia, wielki pokutniku, spełniła się i, by w mury opuszczone byłej twojej siedziby wszedł twój wnuk czy prawnuk. Na szczęście twój testament nie został wykradziony w Krążu. Los sprzyjał mi dotychczas, lecz obecnie odwraca się karta, słyszę jej szelest, a odwraca ją rączka Tereni. Nieświadomie, wiem! Z niezmierną otuchą myślę, że owa podróż wspólna zagranicę, naturalnie obmyślona przez Orlicza, będzie Alfą i Omegą zakusów medyka. — Terenia wróci do mnie!...

. . . . . .

Idę do pałacu w roli detektywa z najświętszem pragnieniem w duszy.

. . . . . .

Góral Gajdo tyleż wie, co i ja, nawet ja dużo więcej. Powtórzył mi znowu z systematyczną dokładnością, jak ongi, pomimo, że mnie poznał, dlaczego Sławohora kruszy swoje mury, że wsiąkły w nie krew i łzy, no i tak dalej, jak już nadmieniałem. Oczekuje powrotu prawego pana Sławohory i mówi, że niedaleka już jest ta godzina. Gdy go pytałem, czy się tu kto nie zgłaszał po dziedzictwo, spojrzał na mnie wielkiemi oczami i usta otworzył szeroko ze zdumienia. Zrozumiałem go, gra on rolę zwykłego cicerona, który nauczył się mechanicznie pewnych zdań, niby deklamacji i powtarza ją bez głębszego odczucia kwestji, bez wniknięcia w historję danego miejsca. Gajdo jest typowym góralem, w guńce i kierpcach, w kapeluszu otoczonym wianuszkiem muszelek z zatkniętem piórem sokolim, spluwa daleko na parę metrów przed siebie i ciupagą wywija w powietrzu. Lulkę wypuszcza z ust tylko w czasie spluwania. Włosy ma szpakowate, twarz jak z bronzu wykutą, nos orli i oczy małe, siwe, patrzące z pod nawisłych powiek łagodnie a bystro, z pewną sentymentalną łezką pod rzęsami, gdy wygłasza swoje informacje, przekazane mu przez poprzednika.

Głos tubalny, budowa wspaniała, siła i zręczność znamionują go wybitnie. Od lat już dwudziestu przebywa w zrujnowanym pałacu jako stróż. Mówi, że majątek i lasy są „cisarskie“ bo rząd się opiekuje Sławohorą, która od 60 lat nie ma właściciela, po tem nieszczęściu co się tu spełniło. Pałac stoi pustką, dach się wali pełen dziur, sufity i posadzki już gniją, ginie ponura rudera bezpańska. W zimie bywają tu czasem polowania, zjeż-

dżają „oficjery" z kucharzami i służbą, wtedy nocują w pałacu. Raz był tu sam „cisarz" na obławach, ale to już dawno.

Spytałem go, dlaczego pałac jest taki ogołocony z mebli i wszelkiego sprzętu. Gajdo odrzekł, że on już go takim zastał a jego poprzednik nawet nie pamiętał, by w pałacu było coś więcej nad odrapane ściany i wybite przez burzę okna. Nadlatują tu z Tatr wiatry halne i trzaskają okiennicami, cały budynek drży w posadach. Była tu widocznie czyjaś niszczycielska ręka uzurpatora, o czem milczy pałac i milczy puszcza drzew. Może tylko platany śnią sny bolesne i wzdychają w tęsknej zadumie, szepcąc: „Sic erat in fatis"....

Gajdo mówił patetycznie, że nie daleką jest chwila powrotu pana na Sławohorze, ale mam wątpliwość czy wierzy on w to istotnie. Prawdopodobnie tak samo jak niektórzy ciceronowie w muzeach Europejskich, którzy pokazują mumję Ramzesa Wielkiego w kilku stolicach jednocześnie. Gdy zapewniłem raz przewodnika, że już Ramzesa Wielkiego oglądałem gdzieindziej, odrzekł mi z całą powagą: to ten sam.

Jest zastrzeżenie w „spowiedzi" Halmozena, by potomkowie Joanny nie pretendowali o Sławohorę. Czy się jednakże uda ich wogóle odnaleźć, skoro nikt przez tyle lat nie zgłosił się tu jako spadkobierca? Joanna po wyjściu z klasztoru, o ile to był fakt, mogła nie wiedzieć wszakże o istnieniu swego dziedzictwa. Ale była Hradec Hradecką i nikt się do niej z tem nie zwrócił?... Żaden krewny Hradeckich nawet z najdalszych nie pokusił się o Sławohorę. Pałac czeka na dziedzica wiernie, ale któż wie, czy przyjazd jego nastąpi kiedykolwiek? Hradec Hradeccy wymarli, Krzysztof był ostatnim z rodu. Ród

wygasł i gniazdo jego ginie. Wątpię nawet, czy się uda wyprocesować Sławohorę na rzecz klasztoru, jak życzył sobie Halmozen. — „Oficjery i cisar stareńki“ — będą tu sobie przyjeżdżali czasem na łowy, latem ten i ów turysta odwiedzi piękne, dzikie ustronie i poduma sobie o własnych sprawach pod wiekowemi platanami... Tylko nie każdego przywiedzie tu przeznaczenie i wola ducha pokutniczego, jak mnie przywiodła „spowiedź“ Halmozena, a przedtem chyba podświadoma siła jego sugestji pozagrobowej, skoro Sławohorę tak zapamiętałem i tak często wracałem ku niej myślami.

. . . . . .

Wagon kolejowy, 27 lipca.

Dojeżdżam do Warszawy. Sprawa moja jest na lepszej drodze. W Krakowie wszedłem nolens volens w porozumienie ze stróżem domu, w którym mieszka pani Hańska, i poczciwy (oczywiście za pieniądze) cerber, obiecał zawiadomić mię natychmiast telegraficznie, skoro panie powrócą...

Tymczasem los chwilowo rozkapryszony na mnie, udobruchał się nieco, bo oto w restauracji hotelu Pollera spotkałem panny Renatę i Justę. Panna Justa ujrzawszy mnie, wrzasnęła tak, że wszyscy obejrzeli się przestraszeni. Gwałtownie robiła mi miejsce przy sobie, zapraszając do swego stolika. Jedliśmy razem obiad. Panny

wracają z Krynicy. Rozmawialiśmy o wszystkiem i o niczem, jak to zwykle bywa przy tak małej znajomości. Justa rozrzucona jak wiatrak w wichurę, działa mi na nerwy ujemnie, istny młyn, mielący osypkę. Oczy wytrzeszcza szczególnie, z grymasem nieprzyjemnym. Czy to ma być wdzięk, czy oznaka temperamentu, którym się ciągle chwali, i który demonstruje? Nie, jest to raczej silna temperatura zmysłów zachłannych, ale nigdy nie iskra szczerego temperamentu. Główną rolę w niej gra pobudliwość namiętna, czysto fizycznej natury, polegająca na wrzaskliwości i wierceniu się jak bąk nakręcony. Skacze na krześle na widok każdego mężczyzny i aż na nią wary biją z nieukrywanego apetytu na owoce zakazane.

Panna Renata robi przy Juście wrażenie królewny, podobnie jak Terenia, tylko Renata piękniejsza klasycznie, Terenia zaś bardziej urocza, ale obie mają w sobie dystynkcję nieprzeciętną i wytworną.

Terenia ma naturę subtelną... zresztą Terenia... jest dla mnie wszystkiem, więc oceniać jej nie mogę... Panna Renata ma pewność siebie, samopoczucie istoty dobrze o sobie myślącej, co jednak przy posiadanych przez nią atutach jest mile widziane. Ale tupet Justy, jej widoczna zarozumiałość co do swojej osoby, obcesowość zalotna względem mężczyzn, razi i śmieszy.

Po obiedzie chciałem się pożegnać z pannami, gdy Renata, korzystając, że Justa wierciła oczami jakiegoś młodzieńca na sali, — szepnęła do mnie cicho:

— Chciałabym z panem pomówić parę słów o... Tereni...

Gorąca fala krwi uderzyła mi do głowy. Renata to spostrzegła, cień uśmiechu błysnął na jej twarzy Madon-

ny, lecz był to uśmiech życzliwy. Zawahała się chwilę i szepnęła znowu:

— O piątej wieczór na dworcu kolejowym... czy dobrze?...

— Tak, pani.

Miałem jechać wcześniej, lecz oczywiście, zostałem. Punkt piąta byłem na dworcu. Za chwilę weszła Renata. Przywitaliśmy się przyjaźnie.

— Jedynie tu mogłam uciec niepostrzeżenie. Odjeżdżamy dopiero jutro rano. Justa z towarzystwem i Szrenicz pojechali na kopiec Kościuszki. Szrenicz jest w czarnej melancholji, bo Terenia... zdaje się... stracona.

— Jakto... stracona?...

Uczułem przykre dławienie, jakby mi kula utkwiła w krtani.

— No, skoro pan jest w Krakowie, sądziłam, iż pan wie już o wszystkiem...

— To jest, o czem, proszę panią?... Przyjechałem tu jedynie dla panny Teresy. Nie zastawszy jej, podążyłem za nią do Wiednia, ale i tam zawód, w hotelu zaś nie wiedziano, dokąd obie panie wyjechały. Odebrałem tylko list własny przeadresowany z Krakowa.

— Pisał pan do niej?

— Tak, z Krąża, lecz mam go w kieszeni. Gdy się dowiem, gdzie przebywa, napiszę znowu.

— Od kogo się pan dowie?...

Poruszyłem brwiami, byłem zły. Panna Renata podała mi rękę serdecznie.

— Przepraszam, nie chcę być niedyskretną, ale czy pan wie, że z Terenią jest także...

— Młody Orlicz, który spotykał te panie w Wiedniu.

— Nie zawiodłam się na panu, umie pan walczyć z przeszkodami... Tego nawet nie wiedziałam, że on je spotykał w Wiedniu, sądziłam, że Hańska powiozła Terenię do Genewy, gdzie ten mizantrop siedzi jak mół w bibule. To jeszcze gorzej, że on zdecydował się jechać z niemi, bo plan Orlicza był inny. W każdym razie bardzo źle, że Terenia listu pańskiego nie otrzymała.

— Czy pani wierzy w spełnienie zamiarów Orlicza?

— Osobiście nie, bo... — zamilkła i poczerwieniała silnie.

— Bo co?... rozmawiajmy szczerze.

— Nie wiem, czy mam prawo tak otwarcie z panem mówić?

— Chyba cała rozmowa nasza, jej założenie nie jest niczem innem?... Spodziewam się, że nie będziemy grali z sobą w ślepą babkę?...

Pocałowałem ją w rękę. Sponsowiała jeszcze bardziej.

— Więc co zawiera to niedokończone słowo? — nagliłem.

— Dlaczego pan postąpił tak... z Terenią?

— To jest... jak?...

— No, chyba pan rozumie, po owym balu...

— Przepraszam, ale nie to chciała pani powiedzieć poprzednio. Proszę o tamtą pierwszą myśl.

— Terenia jest panem zajęta — zdawało mi się, że i pan?

Pomimo, iż uczułem w sercu niebo, ostatnie słowa panny Renaty sprawiły mi pewną przykrość.

— A ja, jak pani sądzi, odbyłem spacer do Krakowa i Wiednia, aby poznać panią... Hańską? Czy tak?... W Porzeczu zaległem placu, to prawda, lecz pani odczuła

chyba atmosferę przy pożegnaniu i wyjątkową uprzejmość Orlicza? Taka wyskokowa gentelmenerja działa czasem trująco, zwłaszcza w takiej sytuacji, jaką była moja. Szczególnie po pompatycznych słowach Szrenicza, wyjaśnionych przez panią. Na trzeci dzień, trzeciego lipca, byłem w Porzeczu i już nie zastałem... Tereni.

— Był pan w Porzeczu? o tem nie wiedziałam.

— Rezultatem nieudanej wizyty był ten oto list.

Panna obejrzała kopertę z pieczęciami Kniażyna, Krakowa i Wiednia.

— Jednak dano panu adres?...

— Nie pani, zdobyłem go sam. W Porzeczu mi go nie udzielono.

— Widzę, że pan ma pecha, ale i energję, którą pan zapewne zwalczy Orlicza. O, stryjaszek zagiął parol na Terenię... działa w porozumieniu z synem. Albert kocha się dawno w Tereni, tylko on nie ma sam inicjatywy, by się oświadczyć. A może wątpi we wzajemność, co zresztą dowodzi, iż jest bystry.

— Czy pani nie wie, dokąd te panie pojechały? — spytałem.

— Gdybym wiedziała, jużby i pan wiedział. Była w projekcie Szwajcarja, lecz się widocznie zmieniło, skoro pojechały na Semmering, Pontebbę. Przypuszczam, że Terenia napisze do mnie, gdyż wie, że wracam do domu z Krynicy. Natychmiast po jej liście zawiadomię pana.

Podziękowałem jej gorąco.

— Jeszcze słówko — czy pani rozmawiała o mnie z Terenią?...

— Owszem, zaraz po balu, prawie bezpośrednio po wyjeździe pana..... Była trochę rozgoryczona, ale

z całego zachowania się jej wywnioskowałam, że jest absolutnie pod wpływem pana, mogłabym to nawet określić silniej, pan rozumie.

Zauważyła zmianę na mojej twarzy, spowodowaną wrażeniem jej słów i dodała szybko:

— Gdyby Terenia widziała pana w tej chwili, porażka Orlicza byłaby dokonaną. W oczach ma pan siłę prawdziwie... upiorną.

Zadrżałem.

— Skąd pani?...

— Skąd znam to słowo?... To określenie Tereni.

— A dlaczego... ona była wtedy... rozgoryczoną?

Renata zaśmiała się.

— Ach, to głupstwo! Tembardziej świadczyło o wrażeniu, jakie pan wywarł na niej. Oto... jedna z panien, obecnych na zabawie, chwaliła się przed Terenią z wielkiej konkiety swojej odnośnie do pana. Miał jej pan podobno mówić dużo duserów i bardzo znamiennych słówek. No, więc to oczywiście Terenię speszyło.

— Tą panną jest panna Justyna — palnąłem bez namysłu.

Renata zagryzła wargi i odrzekła sucho:

— Nie wymieniam nazwisk, ale dlaczego pan w tym kierunku odgaduje?

— Tak przeczuwam, gdyż łatwo poznaję kobiety, podciągające pod swój adres wszystkich mężczyzn. Takie niewiasty wszędzie i zawsze widzą tylko siebie, bez względu na to, czy mogą być pryzmatem lub nie... Dla siebie są nim zawsze.

— Złośliwy, jak szatan! — zawołała Renata, trzepnąwszy mię po ręku.

Zaczęła bardzo zręcznie bronić Justy, odwracając od

niej posądzenia moje, lecz z jej zmieszania i z tej widocznej gry, którą łatała moją domyślność, zrozumiałem, żem się nie omylił. Utwierdziłem się tylko w mniemaniu, że lepiej być czasem bezczelnym satyrem, niż powiedzieć głupiej kobiecie pospolity komplement... Taka bowiem gęś zarozumiała przyjmie za najlepszą monetę najbardziej wytarty liczman salonowej uprzejmości.

Pal ją djabli zresztą! Życzę jej, by dostała mniej wrzaskliwego męża, bo w przeciwnym razie narodzą się im gramofony.

Rozstaliśmy się z panną Renatą jak dwoje przyjaciół, złączonych tajemnicą.

Gdy się dowiem, gdzie Teruś mój najdroższy, jadę tam natychmiast... Ba! Albert!... Musimy spojrzeć sobie w oczy, czcigodny eskulapie... nie lubię dwuznacznych sytuacyj... I... uważasz, najzacniejszy molu, gdy papo musi cię popychać do panny, bo sam nie masz inicjatywy, tedy nie przystoi tobie włazić w drogę komarowi.

Jestem głupiec! Skądże ja wiem, kim jest właściwie ten Albert... Może to tuz pierwszej klasy?... Cierpnę, dali bóg! W każdym jednak razie ustępującą przed nim dwójką nie będę!

Uchanie, 30. lipca.

Wczoraj powróciłem do domu i zastałem wszystko dobrze, nie według logiki Kuby, lecz istotnie. Ojciec zdrów, Kalinowski, rekonwalescent, stangret i pastuch mają się lepiej, Guniewicz gospodaruje z zapałem.

Jestem zadowolony i pełen dobrych nadziei... Żniwa w pełni. Plon zapowiada się obfity. Lipy kwitną i ronią takie aromaty, że głowę tracę...

A ty Teruś na południu napawasz się cudzą przyrodą, kiedy u nas tak pięknie? Słońce zalewa pola potopem złotych blasków, upały, „żar z nieba leci" mówią kosiarze. W południe spiekota, ale jakże bogato na polach, wszędzie złotogłów, złote lamy! Chrzęst kłosów łaskoczący nerwy. Rolnikowi nasuwa nadzieje ponętnych, zmysłowych rozkoszy, marzycielowi udziela nieskończonych natchnień, które jednak muszą mieć w sobie gorętsze iskry od błękitnych rojeń, gdyż są od nich żywiołowsze. Namiętny dreszcz budzą te pola rzęsiste, złote, srebrne, malachitowe, przetkane purpurą kraśnych maków, niby królewski płaszcz, haftowany rubinami...

Zapala się ogień we krwi, nozdrza rozdyma pragnienie, wchłania się w piersi tę otchłań dojrzałych łanów, jakby ozon leczniczy. Ale nie działa on ożywczo, przeciwnie osłabia zmysłową lubieżnością, rozgrzewa temperament i... zbyt niebezpieczne nasuwa wizje... Wizje ustek Twych malinowych, dziewczyno moja....

Na Demonie skarogniadym, wrzącym jak wodospad gorących źródeł, buszowałem po polach, nie jak rolnik, lecz jak szaleniec-fantasta. Wparłem lśniącego od potu ogiera w najwyższy i najgęściejszy łan pszenicy, jeszcze nie ruszony, trzymając się zdala od warczących żniwiarek i kosiarzy, by nikt mnie nie widział i nie ogłosił warjatem.

Demon, bestja, rozumiał mnie. Szedł wolno prychając, nogi stawiał z wdziękiem i lekkością rasowca, może rozumiał, że fantazji pana nie trzeba zbytnio nadużywać, bo szkoda smakowitych kłosów. Piersią roztrącał sypkie

złote trzęsienia rozchwianej fali, jak lewiatan, prujący wzburzone bałwany. Zapienionemi wargami chwytał suchoszelestny kłos, w dzwoniącem wędzidle przeżuwał. Zamieć burzy poszumnej otoczyła nas ze wszech stron, kaskady kłosiste osypały stalowe nogi Demona, tuliły się do moich butów drażniące, rozkoszne! Och, rozkoszy ma się pełną pierś wśród tych łanów iskrzących się słońcem. Do duszy wpływa radość i szał, upojenie i jakby tęsknota i wiara... wszystko, czem oddycha szeroko boska przyroda. Unosiła mię fantazja w tym potopie chlebodajnym.

Nagle Demon dał gwałtownego szczupaka w bok... Wstrzymałem go silnie na miejscu, zdziwiony. Jak się zaraz okazało, przestraszyła go czerwona główka Lodzi Zagajanki, która oto wychyliła się z pszenicy. Dziewczyna miała kraśne roześmiane usta, ale w chabrowych jej oczach był przestrach.

— Dla Boga! ten smok zwali panicza!

Patrząc na dziewczynę, uspokajałem Demona.

— Po coś tu przyszła, Lodka? Co?...

Patrzyła mi w oczy i jęła się kręcić, przeginać po swojemu.

— La panicza tu przyszłam, zobaczyłam zdaleka i gnałam na przełaj bez pszenicę, bych choć popatrzyć. Tak już dawno... panicz... i nie spojrzy na mnie... Czy ja tak zeszkaradniała?

Szelma dziewka!!

— Umykaj Lodka, bo jak puszczę konia... to cię stratuję...

— Ej, nie! — zaśmiała się kokieteryjnie. — Panicz ta nie taki zły... ja wiem!...

Podsunąłem Demona tuż do niej i uniosłem dziewczynę pod pachy na wysokość swojej twarzy.

— Cóż ta to znowu będzie?! — pisnęła.

— A jak myślisz?

— Czy ja ta wiem? — mizdrzyła się. — Musi panicz weźmie mnie przed się i... wycałuje...

Oczy jej i usta prosiły o to...

— Otóż omyliłaś się, na koniu nie wygodnie całować.

— A bo to raz było... i było wygodnie?...

— Nie, dziś chciałem ci się tylko przypatrzyć. Krasna z ciebie dziewka, niema co!

Demon kręcił się młyńcem. Lodzia piszczała ze strachu.

— Oj, paniczu serdeczny! Zletę na ziemię! Panicz mnie trzyma w powietrzu, kieby tego kociaka i tylko patrzy...

— A tybyś chciała?...

— Niby to panicz nie rozumie?...

— No, to masz!

Wyciąłem jej całusa na różanym policzku, aż dziewczyna spłonęła ogniście.

Postawiłem ją na ziemi.

— I... i... i... abo to tak panicz dawniej całował?... to na nic!... Pan praktykant cięgiem mnie napastuje, bych w usta pocałować, alem nie dawała, bo to la panicza.... a tera panicz tylo tak??....

— Jak pan Ganiewicz potrafi lepiej, to używaj!....

Dziewczyna przestępowała z nogi na nogę rozmarzona i zasępiona jednocześnie, patrzyła mi w oczy pokornie...

— Nikt tak na świecie nie potrafił, jak panicz, kieby żarem całował dawniej, a tera panicz w oczach ma takiego cosi... że się boje.

— „Ma pan w oczach moc upiorną“ — zaszeptał mi

nagle głos najdroższy. Uczułem iskry we krwi... i tęsknotę wzmożoną szalenie.

Łagodnie, lecz stanowczo odprawiłem dziewczynę do żniwa.

Odeszła ze łzami w oczach, migając czerwienią chusteczki z poza sypkiej osłony kłosów, a ja wracałem wolno swoim śladem do drogi...

Miała rację! Przed paru laty upatrzywszy sobie tę bajaderę wiejską w Wierzbkach, jeździłem tam, wyręczając rządcę, po ludzi do pielenia buraków... gdy zaś sąsiad mój młody Wiłkoński także tam zaglądał, w tym samym niby celu i agitował do siebie, zdarzyło się parę razy, żem Lodzię porwał na konia i uwiózł do Uchań, a za nią poszła cała roześmiana gromada dziewuch i, Wiłkoński został na lodzie. Inny byłem wtedy, o tak!...

Wróciłem do domu zamyślony poważnie, tęsknie. Gdyby nie ten przeklęty medyk Orlicz, świat bym przetrząsł, i znalazł Terenię, nie siedziałbym tu tak biernie. Lecz ten drab paraliżuje mnie, właściwie nawet nie wiem, dlaczego. Jestem pewny, że dostanie kosza... po co mam mu w tem dopomagać? W domu zastałem Czymielskiego. Rozgadany zawsze krzykacz wymyśla teraz na rząd rosyjski i na obywateli, że tkwimy w obroży moskiewskiej. Zaaresztowali mu siostrzeńca za polityczne konspiracje, więc Czymielski znowu na niego wali góry przekleństw.

— Wszyscy ziemianie, to niedołęgi, baby... samoluby... sybaryci, snoby! Nie warci jesteście starej podeszwy, na której chodzili bohaterowie w powstaniach. Darmozjady z nas!... Póki niewoli nie zrzucimy z karku, nie nazwą nas inaczej, jak pasorzytami... Albo ten Bolek! Zbereżnik, bestja, samolub! błazen, snob! niedołęga!...

posiedzi teraz w cytadeli, o ile w drodze łaski nie wyszlą go tylko do Tuły zamiast do Irkucka czy innego Tobolska.

— Wszak on działał w duchu obalenia niewoli — przerwał mój ojciec.

— Milczałbyś, Pawle! Twój ojciec bił moskali w 63 roku, ale ty i twój syn już palcem nie kiwnęliście w tę stronę.

— A ty, Anastazy? — spytał ojciec spokojnie.

— Ja? Ja?... Ja zobaczycie co zrobię! Jeszcze wy mnie nie znacie. Ja całą Moskwę, Kreml, Petersburg wysadzę w powietrze! Mam pomysł kapitalny!

— Ciekawy jestem tego dzieła.

Czymielski wpadł nagle w patos apostolski.

— Nie będzie ani Tuły, ani Irkucka, bo nie będzie czapki monomacha... Ja spać nie mogę tak, jak wy wszyscy śpicie. Ja im teraz wypisałem petycje różne i dałem im swoje programy.

— Jak wysadzać Kreml?... — spytałem niewinnie.

Czymielski spojrzał na mnie z wyższością.

— O reformach państwa. Ty wolisz latać po świecie, zamiast sterować nawą Polski, ale ja muszę... muszę!

Trzebaby ich kiedy skonfrontować z Kołomyjskim z pod Porzecza. Który którego przegada?...

. . . . . .

Oddano mi dwa listy z pieczątką Kniażyn — zatem z Krąża.

Ciekawym!

31. lipca.

Głowa mi płonie!

Co robić?... Wczoraj otrzymałem listy z Krąża od Korejwy i Krzepy, a dziś depesza od panny Renaty. — Terenia jest w Rzymie. Będzie tam jeszcze tydzień, poczem na Ankonę przejeżdżają do Abbazji, gdzie się zatrzymają dłużej.

Krzepy list brzmi:

„Jaśnie Wielmożny i t. d. Czekamy co dzień i modlimy się o przyjazd j. pana. — Paschalis ciągle chory... po nocach dzieją się z nim straszne rzeczy... nieprzytomny, jak niesamowity przez sen gada z księdzem Halmozenem, jakby go widział przed sobą. Nam z Bogdziewiczem włosy stają na głowie, jak to słyszymy. Paschalis bije się w piersi i woła: „Błagałem, błagałem, ale nie szukał!... odpuść mnie staremu... ześlij na pana opamiętanie, żeby szukał testamentu, wtedy umrę“... Strach patrzyć na Paschalisa, jak tak mówi i płacze. To męczennik... Ile razy zasypia takim snem piekielnym, zawsze wtedy zjawiska się pokazują... A jak tylko chodzi z kagankiem po korytarzu jak martwy, to wtedy okna sali portretowej płoną. Duch był znowu na krużganku... Sądny dzień u nas, panie. Pani Zatorzecka jak grób ponura, nie gada do ludzi... Pan Gabrjel gotuje się do ślubu, ale mu jakoś nie tęgo w głowie. Pobił Kacpra, że wilgotną ścierką skurzał fortepian. Jego panna robi mu brewerje różne, a na folwarku strach, jak się wszystko rozłazi, bo i pan Korejwo stracił głowę!!...“

List ten wstrząsnął mną do żywego.

Korejwo pisze w tym samym duchu, powściągliwiej

i oczywiście nie wspomina o szukaniu testamentu. Nadmienił tylko, że ktoś naopowiadał Ślazom, że nie Gabrjel, lecz ja jestem właścicielem Krąża i że z tego powodu Weroninka robi sceny i miny Gabrjelowi, które on znosi flegmatycznie, ale staje się czasem anormalnym. Po całych nocach gra, a w dzień, o ile nie śpi, robi wszystkim awantury. Najwięcej Korejwo rozwodzi się nad babką Gundzią, której stan nerwowy budzi obawy. Pisze również o zjawiskach w zamku, deprawujących całą służbę, że wszyscy mówią o mnie jako o prawym dziedzicu i przepowiadają koniec Krąża, jeśli ja go nie obejmę... że Paschalis to człowiek jakby nawpół żyjący, za którym ciągle chodzą duchy i on z nimi rozmawia, kaja się i wygaduje niezrozumiałe słowa. Korejwo błaga mnie usilnie o przyjazd, a głównie mu chodzi o babkę, która wedle słów Korejwy wspomina mnie często i miło.

Proboszcz naszej parafji, ksiądz Juljan Borowski, radzi mi jechać do Krąża, by załagodzić tam wszystko. Ksiądz przeczuwa jakieś ważne wypadki, lituje się nad babką Gundzią i jest pewny, że ona zbliża się do tego momentu w życiu swem ciężkiem, którym odkupi swoje grzechy, oczyści się z nich czynem sprawiedliwości i sumieniu własnemu ulży.

Proboszcz ani chwili nie wątpi, że testament był w jej ręku. Mógłby go zniszczyć Zatorzecki, lecz, o ile tego nie zrobił, ona nie uczyniła tego tembardziej. Więc w takim razie wszystko zależy od niej, ale jakaż tam moja rola?... Sytuacja niewyraźna i kłopotliwa. Ja bez Krąża będę żył dalej spokojnie, ale co zrobi Gabrjel ze swojem niedołęstwem życiowem?

O tem nie ma mowy! Nikt mu nie zabierze Krąża.

Napisałem do Tereni list polecony, posyłając jej po-

nadto list poprzedni, zabrany z Wiednia. W obecnym wyznaję jej swoje uczucia i zamiary. Teruś odczuje, że w duszy mam płomienie i że kocham ją nadewszystko. Moje najmiłościwsze dziecko, jak też ona odczytywać będzie oba te listy, i co mi odpisze? A jeśli młody Orlicz?... Gdyby groziło niebezpieczeństwo z tamtej strony, przeczuję to i pojadę sam. Obliczam, jak długo list będzie w drodze i kiedy otrzymam odpowiedź.

Opanowała mnie szalona, niepokojąca rozterka duchowa. Duszę się w Uchaniach, nic mię nie zajmuje, myślami wybiegam do Tereni i do Krąża.

Spowiedź Halmozena i myśl uparta, by ją oddać w ręce jego potomków jest moją bolączką. Uciekam od tego tematu napróżno. Obowiązek robienia starań w tym kierunku dręczy mnie i odbiera resztki spokoju. Tylko ojciec wie o tej sprawie, przed nim nie robiłem tajemnicy.

Od rana do nocy błąkam się jak pijany po Uchaniach, robię dalekie wycieczki konne i stronię od ludzi. Gdy zaprosili mnie Żaliccy na zabawę w lesie z muzyką i tańcami, nie pojechałem. Lubię ten dom, są tam panny sympatyczne, lecz co mnie to teraz obchodzi!...

. . . . . .

. . . . . .

Zabawny Ganiewicz! Od kilku dni odgadywałem, że go coś nurtuje i że chce mnie o coś spytać. Najwyraźniej dążył do wprowadzenia mnie w dobry humor. Gdy wreszcie dopiął celu swojemi dowcipami i wesołą beztroską miłego łobuza, zapytał, czy nie będę zazdrosny o... Lodzię... Ha, ha! Komik! bo oto: „Spalił się już na węgiel z pragnień łakomych, dziewczyna ta rozgrzewa mu krew, już mu kipi w żyłach, a ona ciągle oporna i ciągle panicza Romana ma na ustach!!“

— W czepku podwójnym rodziłeś się, biesie jeden! — wrzeszczał mi nad uchem, gdyśmy szli drogą leśną, prowadząc konie za uzdy.

Wracaliśmy od żniwa, gdzie istotnie widziałem znowu jasne, pokorne oczy Lodzi, utkwione we mnie, pytające, pragnące i bolejące nad moją obojętnością. A Ganiewicz pochłaniał ją wzrokiem tak zachłannym, że mi się śmiać chciało. Uspokoiłem go, że Lodzi nie przysięgałem wierności, ani też ona mnie, przynajmniej bez mojej wiedzy, nie mogę jej przeto... oddawać, jako rzecz lub przedmiot. Jeśli zaś tak bardzo ją sobie upodobał, nikt mu nie broni starać się o jej względy. Zapytał mnie wtedy, czy mam duże zobowiązania... Na to już parsknąłem śmiechem...

— Cóż ty się chcesz z nią żenić, czy co u djabła? Po co ci moje zwierzenia tego rodzaju?

Ganiewicz stropił się nieco.

— Bo widzisz, ta dziewczyna, taka niewinna... więc skoro ty byłeś pierwszym, który ją...

— Skądże przypuszczasz, że byłem pierwszym? Ona ci tego chyba nie mówiła?...

— Nie pytałem jej o to — pytam ciebie.

— Więc słuchaj! — zawołałem z niesmakiem. — Jeśli znasz obyczaje, panujące w starożytnej Romie, choćby z „Quo Vadis", tedy wiesz, że dziewczętom istotnie jeszcze dziewiczym, bielono nogi wapnem, gdy je wystawiano na rynek niewolnic. Otóż ja nigdybym po taką, dla własnej zabawy, nie sięgnął — rozumiesz? bo mi na to nie pozwala moja etyka. Skoro taki kwiat wiejski nie może się stać moim na zawsze, do czego zresztą nie mam ani powołania, ani pragnień, przeto pączki nie-

winne omijam zdaleka i celowo, z powodu tej właśnie etyki. Zrozumiałeś?...

Ganiewicz westchnął zabawnie.

— I mnie się zdawało, że ona musiała być heterą wiejską, choć tak młoda, nawet mówią o tem, ale ona jednak zakochana w tobie na umor.

— Mam wrażenie, że mi ją odbijesz i życzę powodzenia.

Śmiałem się z rozpromienionej miny Ganiewicza, a gdy zostałem sam, zamyśliłem się nad potęgą miłości i zmysłów. Czy można pojęcia te rozdzielić krańcowo?... Chyba nie! Tylko w jednych wypadkach siła ciężkości przeważa na zmysłach, w drugich na uczuciu idealnem, duchowem. Jednakże przy budzeniu się miłości silniejszym czynnikiem są zmysły, gdyż one występują pierwsze i dopiero podsunięty przez nie objekt, który na nas podziałał podniecająco, możemy potem pokochać idealnie. Wątpię, by mężczyzna mógł pokochać kobietę odrazu duchem tylko, bez zmysłowej podniety, czyli bez tego, co nazywamy podobaniem się, zrobieniem wrażenia, oczarowaniem i t. d. Ale czar, urok, to już zew ducha, to już coś innego, głębszego. Natomiast wdzięk może być tylko zewnętrznem uplastycznieniem zmysłowej siły danej kobiety i może być początkiem przeczuć rozkosznych. Kobieta wdzięczna może budzić nawet wyłącznie tylko pokusy zmysłowe, ale — urocza — porywa silniej... inaczej. Odsuwa zmysły na plan drugi, a podnieca i zachwyca prestigem swej wewnętrznej duchowej istoty, którą się przeczuwa, jak się przez lazur przeczystych fal morza odgaduje na dnie różowe perły.

Teruś mój jest taką perłą ukrytą w przeczystej, lazurowej fali jej wykwintnej urody, ozłoconej słoń-

cem wesela i dziewiczego uśmiechu. Ale ona posiada również i wdzięk illustrujący jej czysto zmysłowe ponęty kobiece. Tchnie urokiem duszy i serca, czarem wewnętrznych walorów, lecz i upaja narkotykiem rozkosznych obietnic... Ona przepala płomieniem, bezwiednie i nieśmiało w niej gorejącym, który zdradza się zapałem, entuzjazmem i bujnością życia, jakie w niej wre.

To kobieta, towarzyszka, żona, kochanka... O takiej marzyłem, by przy cennych zaletach na żonę i matkę posiadała w sobie zalety rozkosznej kochanki, by przy powadze myśli, uczuć i inteligencji, łączyła w sobie bogaty żywioł wabiący, porywający i ciągle ponętny. Niech będzie pełna zapałów szlachetnych, energji, czynu, byle znowu nie krańcową, doktrynerską społeczniczką oddaną par excellence swojej działalności. Niech będzie nawet w dobrym stylu grymaśna i fantastka, byle nie była nudną, mazgajowatą purytanką, reklamującą się cnotą,... tylko kucharką, niańką lub bigotką.

Kobiet podobnych do żab i glist nie znoszę organicznie, ani kobiet kur z pretensjami do bażantek, a nawet i bez pretensji, siedzących w kojcach i rozgdakanych mniej lub więcej krzykliwie. Tyle się spotyka takich właśnie gatunków, że traciłem już nadzieję, czy znajdę kiedy mój wymarzony typ... a... oto!...

Nie! Dłużej tej bierności nie zniosę. Setki Orliczów, medyków, filozofów, profesorów roztrącę na cztery wiatry i Terenię wyrwę dla siebie.

Jadę do Rzymu!

Ojciec, gdy to usłyszał, rozjaśnił czoło i rzekł tylko:

— Toś Pobóg!

1. sierpnia.

Dziś w wilję mego wyjazdu chodziliśmy z ojcem długo po parku. Noc lipcowa rozsnuła wszystkie czary, zapach lip miodowy wnikał w nerwy i krew, odurzał. Z pól dochodziło wołanie derkacza, monotonne i miłe, jako odgłos lata i wsi. Pachniały kwiaty i one może nasunęły memu ojcu roje wspomnień odległych, gdy z matką moją spędzali pierwsze swoje lata po ślubie w Uchaniach.

Wreszcie ojciec rzekł:

— Pragnę dla ciebie, Romek, takiego cudu szczęścia, jakiego myśmy doznali. Ja to już uważałem za nagrodę po cierpieniach ojca Marcelego i jego żony, mojej matki. Pochodziła ona z mieszczan, tak, lecz posiadała duszę magnacką, królewską. Czemże wyższem był od niej ten rodowy szlachcic, potentat skoligacony z pierwszemi rodami w Polsce, który wydziedziczył syna swego za jego miłość gorącą... Czyż godną była jej stopy ta kobieta, rodowa szlachcianka, która pozwoliła na krzywdę brata i dla własnej chciwości pozbawiła go rodzinnego dachu nad głową? Smutne, bezecne pseudo-tradycje! Dopóki takie tylko tradycje i zapatrywania będą pokutowały w naszych stosunkach, nie dojdziemy nigdy do szczytu kultury. Za mało cenimy głębiny duchowe, zanadto dużo przywiązujemy wagi do wszelkich atutów powierzchownych. Zbyt głośne i wyraźne hołdy składamy materjalizmowi, tej hydrze ludzkości. Wszystko dla dogodzenia swej ambicji i kieszeni.

Zwrócił się do mnie i rzekł innym tonem, serdecznie:

— W zasadzie rozumiem cię zupełnie i cenię, że ma-

jąc takie trzy problemy jednocześnie do rozwiązania, jak miłość dla Tereni, Krąż i ów obowiązek sumienia, nałożony ci przez tego pokutnika, wybierasz najpierw Terenię. Lecz nie zaniedbuj i spowiedzi Halmozena. To jest kwestja bardzo trudna i zawiła, jednakże nie można jej zasypywać w popiele, tembardziej, że to sprawa cudza, a powierzona tobie, być może jakąś tajemną dla nas wolą Opatrzności. Szczególne jest to, że ta spowiedź tak się łączy z odkryciem całej prawdy o istniejącym testamencie. Prześladuje mnie myśl, że ten ksiądz Halmozen będzie w jakimś związku z twoją przyszłością, jak jest w związku z Krążem, bo jednak to ty właśnie odnalazłeś tę spowiedź i ty siłą rzeczy stajesz się testatorem pokutnika.

Ojciec oparty na mojem ramieniu, zapatrzył się w gwiazdy. Miał w twarzy, pięknej jeszcze, ten wyraz, który lubię u niego wyjątkowo. Wtedy zdaje mi się, że, będąc jego synem, jestem naprawdę coś wart, przynajmniej więcej, niż mi się zdaje.

Po chwili zadumany ojciec mówił dalej:

— Niezbadane są wyroki Boskie, ani ludzkie losy nie ogarnięte przez ludzi. Choćby Krąż! Czterysta lat z górą należał do Pobogów... a teraz, czy wiesz, co przeczuwam?... Oto, że Gabrjel będzie ostatnim Zatorzeckim, który dzierży nasze dziedzictwo.

Nagle uśmiechnął się wesoło i, ścisnąwszy mi rękę, wskazał na niebo.

— Ot, tak mi mówią te gwiazdy, chłopcze mój drogi. Nie chcę cię ani popychać do żadnych kroków w tej sprawie, broń Boże, ani cię sugestjonować temi myślami. Nazwisko Zatorzeckich było w rodzinie naszej ciężkim kamieniem, było na indeksie, choćby dla tego, by nie po-

budzało do rodzenia się niechęci, zawiści, buntu w duszach naszych... Teraz rzecz inny przybrała obrót i... kto wie, może ty, Romek, jesteś tym, którego los czyni objektem sprawiedliwości Boga. Może na tobie się zakończy krzywda Pobogów... W każdym razie sprawa Halmozena jest bezsprzecznie dla ciebie najpierwszą, bo to kwestja sumienia i ufności położonej w tobie.

Odczułem ojca i rozumiem go, lecz dla mnie najpilniejszą sprawą i najświętszą jest... Terenia i nikt mnie nie przekona, by mogło być inaczej...

Odpisałem Korejwie i Krzepie, że przyjechać obecnie nie mogę, lecz że ich jeszcze kiedy odwiedzę. Powodowany jakiemś chwilowem wrażeniem, napisałem również do babki Gundzi kilka słów serdecznych, gdyż pomimo wszelkich posądzań mam dla niej sentyment szczególny. Do Gabrjela naprzykład nie mógłbym napisać bez zadania sobie gwałtu. Lubię go nawet czasami, często mnie drażni, często bawi, ale nic mnie do niego nie przywiązuje, a wszystko odsuwa, prócz jego cudownej muzyki, która zresztą tak do niego pasuje, jak naprzykład kwiat do szkieletu... Weroninka robi mu sceny. Hm!.... może to nareszcie otworzy mu oczy na jej wartość właściwą i Krąż ocaleje od Ślazów...

Warszawa, 3. sierpnia.

Miałem trudności szalone z paszportem. Władzom wydało się, że za prędko żądam powtórnie paszportu zagranicznego po tak niedawnej podróży i robiono mi wstręty. Idąc za wskazówkami osób wtajemniczonych, dałem komu należy porządną „łapówkę" i wreszcie z dużem opóźnieniem jutro wyruszam w drogę. Gdyby to było możliwe, przypiąłbym skrzydła do pięt jak Hermes, lub włożył bym stumilowe buty, byle być prędzej przy Tereni. Zastanawiam się, czy jechać jeszcze do Rzymu, czy już prosto do Abbazji i prawie jestem zdecydowany na to ostatnie, gdyż termin wyjazdu tych pań z Rzymu upływa właśnie. Lecz i Abbazja to projekt niepewny jak pisze Renata. Ale choć by mi przyszło teraz pędzić za Terenią do Afryki nie zawaham się ani chwili. Uzbroiłem się w sumę pieniężną, wystarczającą nawet na podróż do Przylądka Dobrej Nadziei. Czy będzie nim dla mnie Abbazja czy inna jakaś miejscowość, nie zastanawiam się nad tem. Wiem tylko z całą pewnością, że wkrótce zobaczę Terenię.

---

4. sierpnia.
wagon kolejowy.

Zbliżamy się do Wiednia. Mój niepokój i trema szczególna wzmogła się tak silnie, że jestem prawie chory nerwowo jak stary histeryk. Stanowczo do Rzymu

jechać już nie mogę, bez upewnienia się, czy p. Hańska z Terenią bawią tam jeszcze, czy już wyjechały i dokąd. Kobiety zmieniają projekty prędko i niespodziewanie.

Późny wieczór. Dojeżdżamy do Wiednia. Postanowienie moje dojrzało. Zatrzymuję się tu wiedząc, że robię dobrze.

Wiedeń, 4. sierpnia, 2 w nocy.

Wysłałem depeszę terminową do Rzymu do hotelu „Quirinal", w którym te panie mieszkają. Czekam na odpowiedź, muszę ją mieć jutro, stanowczo. Czy jednak będę miał? O Boże... po cóż ja o tem myślę!...

Wiedeń, 5. sierpnia.

Włóczyłem się po Wiedniu trochę jak lunatyk. Czekam na depeszę z Rzymu ze wzrastającą niecierpliwością. Chyba portjer w „Quirinalu" będzie wiedział dokąd wyjechały te panie, o ile wyjechały już istotnie. Znowu się zastanawiam czy dobrze zrobiłem, że zamiast jechać samemu wysłałem depeszę. Może nierozsądnie, ale na

zbytnim rozsądku wychodzi się często gorzej niż na jakiemś popełnionem kapryśnem głupstwie, które trafi na dobry humor fortuny. Jestem tak roztrzęsiony duchowo, że nie mogę sobie miejsca znaleźć. Wiedeń dla mnie za ciasny, wszystko jest tu nudne, znajome aż do przesytu. Prater, muzea, galerje obrazów, księgarnie, antykwarnie, wreszcie restauracje, cukiernie, tattersale, och, jakież to nudne!

Przechodząc koło wspaniałej wystawy jubilerskiej, zapragnąłem nagle kupić pierścionek zaręczynowy dla Tereni. Wszedłem do sklepu bez namysłu. Cóż za kamienie!... Wybierałem długo, zdawało mi się, że przytem rozmawiam z Terenią, że ona wybiera a ja jej doradzam. To jest co się zowie wyzywanie przeznaczenia i drażnienie się z fatum, które może ryczy ze śmiechu. Podła mara! Ale jest to również i sugestjonowanie fatum, jakby chwycenie go za czub: — musisz mi służyć, bo ja tak chcę!

Kupiłem śliczny szafir, cudownie szlifowany o głębokich tonach jezior szwajcarskich, okolony tęczą brylantów, w bardzo oryginalnej stylowej oprawie... Jezior szwajcarskich?... O, do djabła z takiem porównaniem! Może jeszcze jeziora genewskiego, na które patrząc Albert Orlicz, marzył o Tereni, zanim wyruszył po szczęście... Po szczęście czy po zawód?... A ja poco jadę?... na co czekam?... Może Terenia teraz w Rzymie zaręcza się właśnie z Orliczem... a ja tu z tym szafirem....

Jedna chwila i byłbym cisnął pierścionek jubilerowi na ladę, ale się powstrzymałem. Psiakrew! trzeba znowu nerwy swoje wziąć na munsztuk, bo się nadmiernie rozhulały.

Wybiegłem ze sklepu jak szalony. Unosi mnie orkan

podniet najróżnorodniejszych, jakie w jestestwie człowieka mogą się zrywać. Płonę duchem, goreję zmysłami. Szarpie się we mnie wściekły niepokój, niecierpliwość chwyta mnie za włosy.

Uciekłem z ulicy do hotelu i tu tłukę się jak zwierz w klatce. W ogóle w Erzherzog-Karl mogą mnie łatwo wziąć za warjata. Zachowaniem się przypominam Gabrjela z ostatnich dni mego pobytu w Krążu.

O, właśnie, Krąż! Drażni mnie też Krąż, który mię prześladuje nawet w takich chwilach kiedy wszystkie moje myśli są przy Tereni. Co się tam dzieje?...

Widzę przed sobą oczy groźne babki i widzę portret pradziada. On mnie znowu przywołuje, on mi znowu coś nakazuje ...

Co to jest?... ulegam hypnozie czy telepatji?... Co się tam dzieje w tym Krążu?... dlaczego stoi znowu przedemną jak fantom z nieubłaganym uporem?....

Dają dziś Tannhäusera. Idę na operę!

Potrzeba mi muzyki, blasku, świateł, widoku nagich ramion kobiecych. Może ucieknę w połowie opery, niewiem, może dziś jeszcze w nocy wyjadę do Rzymu.

---

5. sierpnia, 12 w nocy.

To, co mię spotkało mnie samemu wydaje się snem. Nieprawdopodobnym snem.

Jak przepowiedziałem sobie, nie dobyłem do poło-

wy opery. Nerwy okazały się silniejsze niż rozkosz słuchania muzyki wagnerowskiej. Uciekłem! Wróciłem do hotelu z zamiarem wyjechania pierwszym expresem do Rzymu. Mówię o tem portjerowi a to bydlę wybałusza na mnie oczy i patrzy zupełnie jak na warjata.

Zacisnąłem zęby i sięgam po klucz od mego pokoju, wtedy portjer otrzeźwiał.

— Och, Herr Graf był w teatrze i nic nie wie, że mamy gości.

Wskazał mi na listę przyjezdnych.

Marja Hańska.

Teresa Orlicz.

Znieruchomiałem! Wrażenie było nieoczekiwane i spiorunowało mnie.

Lwią mocą woli i przytomnością umysłu zapanowałem nad sobą. Zdradziła mnie łuna ognista na mojej twarzy. Portjer patrzał badawczo i uśmiechał się dyskretnie.

— Kiedy panie przyjechały? — zapytałem jak nie swoim głosem.

— Przed godziną, z Rzymu.

Spytałem jeszcze pod którym numerem mieszkają. Okazało się, że na drugiem piętrze, to znaczy o piętro wyżej nademną. — Jak oszołomiony szedłem do siebie.

Terenia jest tu, tak blisko mnie!... Ona, ona...

Ale co to znaczy, że one wracają tak prędko?...

Czyżby?... jedna tylko była ewentualność.... Terenia odmówiła Orliczowi i wraca, gdyż w przeciwnym razie on by im towarzyszył.

Płonę na tę myśl błogosławioną.

Z depeszą moją oczywiście minęła się, ale czy otrzymała moje listy?....

Nieskończone pytania rozsadzały mi głowę nawałem

przypuszczeń, dociekań... przeczuć i wulkanicznych w swej mocy pragnień. Ogarnia mnie wzruszenie, że oto kilka ścian odgradza mnie tylko od najdroższej dziewczyny.

Ależ ja muszę, muszę się z nią zobaczyć jaknajprędzej!... Lecz co przedsięwziąć?... Godzina jest późna. Nachodzić Terenię teraz nie wypada w żadnym razie, mogłaby mnie nawet nie przyjąć. Zresztą Ciotunia!... Jeśli Terenia odmówiła Orliczowi, ciotunia jest dla mnie wrogiem.

Zawołałem lokaja i poleciłem mu zdabać jaknajdyskretniej, czy panna Orlicz jest u siebie i czy już śpi.

Gdyby nie spała, nie pozwoliłem mówić jej o sobie, gdyż jutro sam się z nią zobaczę. Wkrótce lokaj przyniósł zdobyte wiadomości od służącej hotelowej: Terenia nie śpi, pisze listy, jutro rano o ósmej będzie sama na mszy w kościele św. Stefana. W południe te panie rozjeżdżają się w dwie strony. Terenia jedzie do Krakowa, sama, pani Hańska zaś na Gmunden, Salzburg.

Z trudem powstrzymałem się by nie uściskać sprytnego Niemca. Lokaj wyszedł rozpromieniony z powodu mojej wdzięczności.

Marzę i śnię na jawie o mojej Tereni, układając sobie, co jej powiem. Do kogo ona pisze, może do mnie? Dziecko moje umiłowane, nawet nie wiesz, że ja tu, tak blisko ciebie za tobą tęsknię!...

Pisać nie mogę dłużej, unosi mnie szał, szczęście, że Terenia już jest ze mną, teraz już jest moją! Mój pomysł zatrzymania się w Wiedniu był oto kaprysem, który trafił na świetny humor fortuny. Cóż za szczęśliwy uśmiech losu! Gdybym nie usłuchał wczoraj dziwnego nakazu Opatrzności, uciekalibyśmy teraz z Terenią od

siebie w dwie przeciwne strony, ona do Krakowa, ja do Rzymu. No, nie wyobrażam sobie swojej miny w hotelu Quirinal gdyby mi powiedziano, że te panie odjechały do Wiednia. Horrendum!

Jutro... jutro... ujrzę Terenię.

Kraków, 7. sierpnia.

Z obrazem najdroższym Tereni w umyśle i w oczach, zasnąłem onegdaj. Przespałem czy przemarzyłem w półśnie, zaledwie trzy godziny i o szóstej byłem już ubrany. Ranek prześliczny, słoneczny nastroił mnie wesoło i dobrze. O siódmej rano udałem się do kościoła św. Stefana. Serdecznie pragnąłem by Terenia nie dowiedziała się wcześniej o mojej obecności w Wiedniu i manewrowałem tak, by służba odgadła moją intencję. Chciałem ujrzeć jakie na Tereni wywrę wrażenie, gdy mnie zobaczy niespodziewanie. W kościele, w bocznej nawie stojąc przy filarze, czekałem na nią.

Wspaniałość świątyni i samotność, byłem bowiem pierwszym, który tam wszedł po otworzeniu drzwi, usposobiła mnie dziwnie uroczyście. Miałem wrażenie, że będzie się odbywał za chwilę mój ślub z Terenią... i jakieś podniosłe święte wzruszenia uczułem w piersiach. Nagle myśl ostra, jak cierń, nasłana przez szatana chyba, ukłóła mnie w samo serce. Oczyma okrutnej wyobraźni ujrzałem Terenię wchodzącą do świątyni z Orliczem.

Targnąłem się jak ściągnięty batem. Skąd podobna potworność myśli?... Ha, mogą mieszkać w innych hotelach ze względu na przyzwoitość, podyktowaną przez ciotunię — drwił dalej szatański podszept. Rozszarpałbym własny mózg za takie przypuszczenia. Przebiegłem kościół wzdłuż i wszerz, jak warjat opętany furją straszliwej wizji. Gdyby tak się stało istotnie palnąłbym sobie w łeb. Znam siebie, nie zniósłbym takiej porażki najdroższych uczuć i najbardziej wytęsknionych marzeń, nie zniósłbym utraty Tereni....

Zdawało mi się, że czekam wieki... nie mogłem zdobyć się na zimną krew.

Wtem na jasnem tle drzwi w głębi, ujrzałem cień smukłej postaci. Ona! Tak, Terenia! Weszła sama. Nie zerwałem się, by biec do niej pędem, tylko dlatego, że stałem zahypnotyzowany widokiem jej postaci. Szła prędko, środkiem nawy, lekka i zgrabna, dziwnie drobna przy ogromie świątyni. Dążyła wprost przed wielki ołtarz. Pożerałem ją chciwemi oczami. Terenia uklękła przy kracie presbiterjum, podniosła oczy na ołtarz, a ja... ja nie ruszałem się z miejsca jak wkuty w posadzkę.

Ciemna, wiotka postać dziewczęca modląca się w skupieniu, to wszakże Terenia, moja Terenia i, ja jeszcze nie jestem przy niej?...

Patrzyłem na nią. Kapelusz panama z białym woalem ślicznie otulający jej główkę, odsłaniał mi leciuchno jej profil ładny, wdzięczny w rysunku i taki uroczy. Nagły poryw uniósł mnie ku niej. Panując nad sobą, podszedłem krokiem spokojnym i z lewej strony ukląkłem przy niej.

Odwróciła do mnie główkę gwałtownym ruchem i, zakwitła mi nagle cała jak róża opromieniona słońcem.

Odruchowo zerwała się z kolan, niby ptak do odlotu, lecz ja silnie zatrzymałem ją za rękę.

— Tereniu!...

Sam nie wiem jak mi to imię spłynęło na usta. Patrzyłem w jej oczy zdumione bezmiernie, pełne iskier szczęścia, pełne pytania, takie cudowne w tym wyrazie jedynym. Musiała dostrzec zachwyt najwyższy w moich źrenicach, bo spłonęła jeszcze jaskrawiej. Długie, ciemne rzęsy jej zatrzepotały, niby skrzydełka jaskółek, nad przezroczą tonią głębokiego jej wejrzenia. Spuściła oczy na chwilę i znowu z nieopisanym urokiem podniosła je na mnie ufne i gorące. Patrzyliśmy na siebie w milczeniu tak bardzo wymownem. Słowa były nam zbyteczne w onej minucie. Pochyliłem nisko czoło i rączkę jej uwięzioną w mojej dłoni przycisnąłem do ust. Sięgnąłem po drugą, oddała mi ją serdecznie. Usłyszałem jej szept.

— Czy to nie sen? skąd pan tu?...

— Jechałem do ciebie i po ciebie, przeczucie zatrzymało mnie w Wiedniu.

Cała promieniująca uśmiechem, cofnęła ręce z moich dłoni, ruchem łagodnym i, oczyma wskazała mi ołtarz. Zrozumiałem ją.

Obejrzałem się na kościół. W ławkach siedziało kilkanaście osób; skąd i kiedy tu wleźli?....

— Chodźmy stąd! — szepnąłem.

— Zaraz będzie msza, zostańmy proszę.

Za to spojrzenie i za ten słodki szept mógłbym jej tu publicznie paść do nóg. Klęczałem bardzo blisko, tak, że ramieniem dotknąłem jej ramionka.

— Czy pani otrzymała moje listy?...

— Tak na dwa dni przed wyjazdem z Rzymu, te listy zdecydowały o moim powrocie.

— Więc odgadłaś, że przyjadę do Rzymu jeśli....

— Tak, ale....

W tej chwili wyszedł przed wielki ołtarz ksiądz ze mszą. Terenia wydobyła z woreczka list i podała mi go. Schowałem go w dłoni.

Ofiara się rozpoczęła.

Spojrzałem na kopertę z marką austrjacką... adres mój do Uchań. Rozerwałem list.

„Wiedeń, 5. sierpnia"... więc odgadłem; do mnie pisała dziś w nocy. Stojąc tuż obok Tereni czytałem:

„Drogi panie Romanie. Listy pana otrzymałam w chwili, gdy byłam bardzo nieszczęśliwa. Od kilku dni bowiem jestem w niełasce u cioci Hańskiej i to mnie boli, bo przedtem była dla mnie zawsze bardzo dobra. Ale odmówiłam mojej ręki Albertowi, który jest moim stryjecznym bratem, a którego chcieli koniecznie ożenić ze mną. Nie mogło się to stać nigdy a tembardziej wtedy, gdy poznałam pana. Teraz zrozumiałam, że wysyłając mnie tak impetycznie do cioci Hańskiej, stryj Piotr chciał mię przedewszystkiem usunąć od pana, po tym balu, tak pełnym drogich wspomnień. Nic mi nie mówiono o Albercie, który nas spotkał dopiero w Wiedniu, był to dyplomatyczny wybieg nawet przed moją mamą; mama nie życzy sobie wogóle małżeństwa dla mnie. Było mi smutno, ach jak smutno! Po balu zostałam z obrazem pana w duszy wyrytym głęboko. Wiedziałam, czułam, że pan przyjedzie do Porzecza i pragnęłam odwlec wyjazd do Krakowa narzucony mi niespodziewanie, ale nie zdołałam dokonać tego. I oto pan tam był na drugi dzień po moim wyjeździe. Przeczułam, że adresu mego nie dadzą panu w Porzeczu, ale byłam pewna, że gdy

drogi pan zechce mnie odszukać, to zwalczy wszelkie trudności. I odgadłam dobrze. Drogi panie Romanie, więc słowa pana w tym niezapomnianym walcu to nie był wpływ chwilowego wrażenia?.... więc pan mnie istotnie kocha i chce mieć mnie dla siebie? Jakżem ogromnie szczęśliwa! W listach pana jest taka siła uczucia, taka potęga woli, że mi pan wprost rozkazuje, bym życie mu oddała z ufnością. Uczynię to bez wahania, bo i ja kocham pana serdecznie i z radością w sercu żoną pana zostanę. Teraz kiedy mi pan wyznaje swoje uczucia tak szczerze, kiedy jestem ich pewna, muszę również wyznać, że i ja tak samo, jak najdroższy pan, odrazu wtedy, w lesie, odczułam, że pan jest tym, którego jedynie pokochać mogę; bo nikt nigdy nie wywarł na mnie takiego wrażenia jak właśnie pan. Byłam tak dalece pod pana wpływem, że czułam się już jego od tamtej chwili.

Jakie to dziwne, prawda?...

„Los nas złączył z sobą na tej rzece jakby złotemi więzami i odrazu w sercu mojem zapalił płomienie dla ciebie. Pragnę płomieniem tym pochłonąć cię, jedyna moja, by serca nasze stopiły się w tym ogniu świętym w jeden bezcenny klejnot szczęścia i zachwytu. Dziś ci już przysięgam, Tereniu moja, że gdy zechcesz życie swe ze mną podzielić, jedynem dążeniem mojem będzie opromienić ci przyszłość przy moim boku, osłodzić ją moją miłością. Chcę abyś wsparła główkę na mojej piersi z ufnością i wiarą w naszą wspólną drogę życia. Chcę z cudownych spojrzeń oczu twoich czerpać siłę na życie całe i wiarę bezmierną i urok, a z ustek twych pić rozkosz, najdroższa“....

Cytuję słowa z listu drogiego pana, by go zapewnić, że płomień twego serca był bardzo silny, skoro odrazu

pochłonął mnie i przykuł na całe życie. Wszystko to co mi obiecujesz, drogi panie Romanie, napełnia mnie szczęściem niewysłowionem, a to, czego odemnie żądasz, będziesz miał, ofiarowane ci z głęboką wdzięcznością za taką jak Twoja miłość. Chcę być dla ciebie, drogi panie, skoncentrowaniem wszystkiego co najdroższe w życiu, najwierniejsze i najpiękniejsze, byś całe życie wspominał chwile naszego spotkania się na rzece, jako moment błogosławiony, ręką Bożą zesłany na nas. Chcę ci stworzyć niebo na ziemi. Czy zdołam?... O to błagam Boga, by mi pozwolił urzeczywistnić moje marzenie"....

List ten ukochany kończył się zawiadomieniem, że jedzie do Krakowa, dokąd ma przyjechać jej matka, proszona o to jeszcze z Rzymu, w celu omówienia pewnego projektu, który powstał po odmowie danej Albertowi.....

List podpisany:

Twoja Terenia.

Skończyłem go czytać gdy zabrzmiały dzwonki rzęsiście na podniesienie. Ukląkłem tedy znowu obok Tereni i, za jej przykładem pochyliwszy nisko głowę, szepnąłem wzruszony do głębi duszy:

— Podaj mi rączkę, dziecko.

Podała mi prawą, po pod ramieniem lewej. Ująłem ją w silnym uścisku i wciąż pochylony szepnąłem znowu.

— Dziękuję ci, najdroższa, za ogrom szczęścia jakie mi dajesz, Tereniu moja.

— Tak, jestem twoją — odszepnęła ufnie z prostotą. Podniósłszy głowy utonęliśmy w swoich oczach z rozkoszą prawie boskiej ekstazy. Niewidzialne prądy łączyły nas w szczęściu i spajały twórczą mocą zachwytu. Ściskałem jej rączkę, jakby już ręce nasze wiązała mistyczna stuła. To był pierwszy istotny moment naszej wspól-

nej przysięgi. I wtedy nagle, z radością przypomniałem sobie mój szafir nabyty wczoraj.... Miałem go przy sobie. Gdy niespodziewanie klejnot ten błysnął na paluszku Tereni, spojrzała na mnie zdumiona i szepnęła z rzewnym uśmiechem, jakby trochę spłoszonym:

— To naprawdę już nasze zaręczyny?....

— Więcej, to nasze zaślubiny duchowe, jedyna moja.

Rączka jej drgnęła w moim uścisku i nie puściłem już jej do końca mszy. Odeszliśmy od ołtarza i wychodziliśmy z świątyni w widocznej tylko dla nas glorji szczęścia.

. . . . . .

. . . . . .

Spotkanie moje w hotelu z panią Hańską, uprzedzoną przez Terenię, na chwilę przedtem o mojej obecności, odbyło się ceremonjalnie, wedle wszelkich form kodeksu światowego.

Siostra Piotra Orlicza stylem swoim przypomina brata. Dużo pozy i sztucznej uprzejmości przy dystynkcji wielkiej damy. Na bladej twarzy wyraziste oczy błękitne przy siwych włosach, ruchy metodycznie wyrachowane, nieco przesadne.

Brak jej tylko krynoliny i peruki pudrowanej, a byłaby skończonym typem markizy z dworu Ludwika XIV. Przyglądała mi się badawczo ale dyskretnie, przez szyldkretowe face a main i była grzeczna bez zarzutu. Lecz pod tą kurtuazyjną glazurą odczuwało się lodowatość mrożącą.

Pomimo, iż miałem słońce w duszy, udało mi się zachować doskonały chłód, którym bezwiednie ująłem sobie tę damę. Im bardziej byłem sztywny wobec niej, tem życzliwiej patrzyła na mnie.

Podczas wspólnego śniadania, w południe, podano mi depeszę z Rzymu.

— Odpowiedź z Quirinalu — rzekłem podając telegram Tereni. Pani Hańska przeczytała go również przez swoje szkła. Uśmiechnęła się subtelnie.

— Gdyby nie... ostatnie wypadki i list pana do Tereni, byłybyśmy teraz w Ankonie o ile już nie na Adrjatyku. Co wtedy?...

— Wtedy podążyłbym za paniami — odrzekłem z lekkim ukłonem.

— Dokąd?...

— Tam dokąd by panie jechały.

— Wierzę, wygląda pan na człowieka, który... rapidem... dąży do swego celu, a tacy zwyciężają. Pan już jechał do nas z palmą zdobywcy. Nieprawdaż?...

— Nie, pani, jechałem dopiero po ową palmę, z bardzo silnem pragnieniem, z niezłomną wolą by ją zdobyć. Lecz, czy ten błogosławiony laur uwieńczy moje czoło, nie byłem bezwzględnie pewny.

— Czyż pan wogóle bywa czego nie pewny?...

— Gdy chodzi o największy skarb człowieka, o szczęście własne, — skłoniłem nisko głowę ku Tereni — potrafię się nawet trwożyć.

Pani Hańska podniosła do oczów lornetkę. Po chwilowej obserwacji, podczas której zamieniliśmy parę słów serdecznych z moją dziewczyną, pani Hańska złożyła szkła i uśmiechnęła się znowu dyskretnie.

— Mój brat, Piotr, jest bardzo stanowczy i przewidujący. Przeczuwa ludzi przez skórę, jak mówią... Nazywamy go Metternichem rodzinnym. Przeczuł pana i niebezpieczeństwo poważne grożące od pana Albertowi, to prawda, ale na swej dyplomacji przegrał na całej linji.

No, nie docenił, że wyzywa do gry Poboga z Krąża.... i takiego jak pan... Nulle chance!

Skłoniłem się jej z chłodną uprzejmością.

— Szanowna pani pozwoli, że sprostuję; jestem Pobóg z Uchań.

— Och, to brzmienie nowe! Pobóg z Krąża to tak samo, jak...

— Święty Franciszek z Assyżu — palnąłem rozdrażniony.

Dama zaśmiała się tracąc na swej sztywności.

— Prawie! jeśli chodzi o ścisłość w skojarzeniu nazwisk. No, na świętego pan nie wygląda co prawda! Lepsze byłoby jakieś porównanie rycerskie, naprzykład: Spytko z Melsztyna, lub Zawisza Czarny, albo bohaterskie: ...Orland szalony — uśmiechnęła się — bo chociaż to ostatnie to tylko imiona z przymiotnikami, nie zaś z nazwą miejscowości, lecz jednakowo same się bezwzględnie nasuwają na usta. Zatorzeccy mogą być właścicielami ziemskiego majątku Krąż, lecz ideowo Krąż zespala się tylko i zawsze z Pobogiem. Istnieje zresztą ogólne przekonanie, że Zatorzeccy są uzurpatorami na Krążu przez jakiś straszny błąd ludzki, czy ironję losu, czy chwilowy kaprys przeznaczenia, ale tylko przypadkiem.

Zastanowiły mnie te słowa pani Hańskiej. Nie powiedziałem jej oczywiście o odnalezieniu kopji testamentu, ani o tem co mnie w ogóle spotykało w Krążu. Od Tereni zaś wiem, że jej również nie powtarzała moich zwierzeń, które tylko poufnie wyznałem Tereni wtedy, w lesie, nad rzeką. A zresztą i Terenia mi wówczas wyjawiła taką samą opinję ogółu.

Śniadanie zbliżyło nas z ciotunią. Wierna dawnym

obyczajom, dama ta, miała pewne skrupuły by Terenia jechała sama pod moją opieką do Krakowa, lecz czułem, że się krępuje wyjawić to głośno przedemną. Terenia ułatwiła jej wybrnięcie z sytuacji.

— Ależ cioteczko — rzekła z figlarnym uśmiechem — przecież miałam jechać z Wiednia zupełnie sama, więc chyba tylko wtedy cioteczka mogłaby się obawiać o mnie?...

Pani Hańska pogroziła nam palcem z wytworną minką markizy.

— No, no, nie obawiajcie się, towarzyszyć wam, niestety, nie mogę. Ostatnie wypadki pokrzyżowały mi już zupełnie dawne plany.

— A prosiłam ciotunię, że pojadę sama z Rzymu. Nie i nie!... to już nie moja wina.

Ach, petite, za wiele wzbudzasz interesu w pasażerach, zwłaszcza oczy Włochów nazbyt cię przepalały. Chociaż nie chciałaś być Orliczową, lecz mam do ciebie słabość.... Zresztą wiodło mnie tu widocznie przeczucie, że ja będę pierwsza, która uściska was jako narzeczonych.

Wyciągnęła do nas ręce.

Ucałowałem je skwapliwie i gorąco, głowy nasze z Terenią zetknęły się z sobą przy objęciu pani Hańskiej.

— Daj Boże, by ta moc... upiorna, którą pan zahypnotyzował naszą, no... i swoją już Terenię, trwała zawsze w jednakowej potędze uroku. Co do Tereni to jestem pewna, że jej czaru nigdy pan nie wyczerpie i nigdy się nim nie nasyci. To nasza petite charmeuse!

— Tak, i dla mnie jest, od pierwszej chwili poznania i pozostanie na zawsze Thérèse enchanteresse — rzekłem tuląc rączki Tereni do swoich ust.

Ciotunia klasnęła wytwornie w palce, iskrzące się brylantami.

— Très chic! Znakomicie powiedziane! No na takie określenie jużby się Albert nie zdobył nigdy.

Ucałowała mnie w głowę rozpromieniona.

Zdaje mi się, że pan może być despotą, ale despotą... aksamitnym... a taki jest najniebezpieczniejszy. Strzeż się Tereniu — rzekła wdzięcznie.

Lody zostały przełamane i stopniały odrazu w atmosferze obopólnej serdeczności. Ciotunia obiecała nam, że będzie na naszym ślubie, a żegnając nas na kolei, zastrzegła, aby Terenia zatrzymała się w Krakowie, nie u niej, gdyż mieszkanie jej puste, lecz u pani Śniadeckiej, jakiejś serdecznej przyjaciółki pani Orliczowej. Widząc w ręku Tereni ogromny pęk róż szkarłatnych, pani Hańska uśmiechnęła się swoim subtelnym uśmieszkiem i rzekła na pożegnanie:

— Niech te róże będą jedynym płomieniem między wami.

— Jakto, tylko tyle nam pani życzy?!... — udałem oburzenie odgadując jej intencję.

— Och, na czas podróży, zaznaczam — zmrużyła dowcipnie oczy. — Chcę być spokojna o moją pupilkę.

Skłoniłem się jej głęboko, kładąc rękę na sercu.

Pociąg ruszył.

. . . . . .

. . . . . .

W przedziale wagonu oprócz nas było jeszcze parę osób, które drażniły mnie niepomiernie. Siedzieliśmy z Terenią naprzeciw siebie. Mogłem patrzeć w jej oczy prześliczne, koloru ciemnych fiołków, mieniące się jak klejnoty pełne iskier, promienne, spoglądające na mnie

z poza szkarłatnych róż z niewymownym czarem. Bardzo długie i gęste, ciemne rzęsy kryły mi często urok jej spojrzenia, a czasem z poza róż widziałem tylko jej czoło jasne, jak alabaster, gładkie, dziewicze, okolone miękko bujną falą włosów jedwabistych... i wytworne w rysunku brwi ciemne. Terenia jest niepospolitym typem wykwintnej szatynki o jasnej cerze delikatnej, okraszonej lekkim rumieńcem. Wygląda tak, jakby była ciągle w blasku porannej jutrzenki.... Muskała ustami kwiaty a mnie przenikał dreszcz rozkosznych przeczuć i zazdrościłem różom jej ustek.

Jeden z kwiatów płonących dłużej, niż inne na jej drobnych, o kształcie różowych muszelek, wargach, zerwałem gwałtownie i przytuliwszy jego płatki do ust własnych, schowałem go do portfelu.

— Będzie mi symbolem twoich ustek, do czasu, aż...

— Za chłodny i prędko straci świeżość — odszepnęła i jednocześnie oblała się szkarłatem krwi, jak te róże w które teraz wtuliła całą twarzyczkę, zmieszana a taka urocza.

Uniesiony szaleńczo jej słowami, pochyliłem się ku niej, lecz oprzytomniałem rzuciwszy wzrokiem na przygodnych towarzyszy podróży.

Dwóch Austrjaków i jakaś starsza niewiasta rozmawiali z ożywieniem często obserwując nas.

Terenia zrozumiała mnie i uśmiechnęła się zabawnie.

— Ci także odgadli w nas narzeczonych, tak samo jak i portjer w Erzherzog-Karl, który nam taką owację życzeń wypowiedział na pożegnanie, jakby toast weselny. Wszystko to robi ten potop róż od pana.

Odpowiedziałem jej, że portjer mógł mieć dużo po-

wodów do uważania mnie za jej narzeczonego, początkowo zaś zapewne za odpalonego konkurenta.

Terenia była uszczęśliwiona, że tak przejednałem ciotkę Hańską, która w Rzymie, po zerwaniu z Albertem, okazała jej dużo niezadowolenia, nawet chłodu. Wtedy Terenia napisała do Porzecza do matki, prosząc ją by przyjechała do Krakowa, gdzie chciała zawiadomić matkę o swoim projekcie poszukania posady dla siebie, gdyż wobec tego co zaszło nie mogłaby, w swojem mniemaniu, mieszkać teraz w Porzeczu.

Gdy usłyszałem o tym projekcie posady dla niej, zaciąłem zęby, byłem zły. Wyczuła wyrzut w moim wzroku i pochylona lekko ku mnie, szepnęła tonem usprawiedliwienia:

— Wszakże nie mogłam przeczuć, że będę... żoną pana, a stryjowi narzucać się teraz nie chciałam.

— Moje słodkie, dzielne dziecko, rozumiem cię zupełnie.

Ze czcią uścisnąłem jej ręce, nizko chyląc czoło. Opowiedziała mi, że przeżyła chwilę niezwykłą w kościele św. Stefana, gdy wyjeżdżała do Rzymu. Rano, w dniu wyjazdu, modląc się przy tej samej balustradzie presbiterjum, gdzie odbyły się teraz nasze zaręczyny, usłyszała szept wewnętrzny, a nie jej własny, że będzie moją, gdyż jesteśmy dla siebie przeznaczeni. Tak wyraźnym był ten szept, że uznała go za objawienie wyższej woli, i teraz, wracając, po moich listach, pragnęła w tem samem miejscu, podziękować Bogu za szczęście. Gdy mnie ujrzała nagle, tuż przy sobie, w pierwszej sekundzie doznała wrażenia halucynacji, spowodowanej nieustanną myślą o mnie. Zwłaszcza, że zjawiłem się jej

w tem samem miejscu, gdzie słyszała wtedy głos proroczy.

Powiedziałem jej, że właśnie wówczas, tego samego ranka gdy ona przeżywała tę chwilę w kościele, ja dojeżdżałem do Wiednia. Przyjechałem bowiem w kilka godzin po ich wyjeździe.

— Szczególne! O ile przedtem bruździł mi ciągle jakiś zły duch przekorny, to od pewnego czasu odczuwam życzliwą opiekę niewiadomej mi siły nad sobą, która niemal krokami mojemi kieruje. A co najdziwniejsze, że w takich momentach prawie zawsze widzę przed sobą portret pradziada Hieronima — rzekłem w zamyśleniu.

— Pradziad opiekuje się teraz panem widocznie, ale w takim razie wolą jego było, abym ja...

— Abyś się stała mojem szczęściem, jedyna. Może to nagroda zesłana przez pradziada na mnie za krzywdę wyrządzoną jego synowi.

I opowiedziałem Tereni o swoich poszukiwaniach w Krążu, uwieńczonych odnalezieniem kopji testamentu i spowiedzi Halmozena. Naturalnie na razie nie wyjawiałem tajemnicy tego drugiego dokumentu.

Terenia zaciekawiła się całą tą sprawą, ale gdy ją spytałem, czy mi radzi dochodzić praw swoich na zasadzie odnalezionej kopji, odrzekła z żywością:

— Teraz? Za życia pani Zatorzeckiej, nigdy! I pan chyba tego nie zrobi? To byłoby publiczne oskarżenie staruszki, strasznie kompromitujące. To by ją mogło zabić. Jeśli istotnie ona ukryła testament i z taką krzywdą brata na sumieniu potrafi żyć, to jednak jestem pewna, że z takim ciężarem nie zdoła umrzeć. Sumienie się w niej ocknie i przemówi groźnie, może nawet dopiero w godzinie zgonu, ale wtedy byłby wasz odwet naturalny,

ręką Boga sprawiony. Wtedy, o ile by to nastąpiło, Pobóg nic nie miałby sobie do wyrzucenia i z kryształowem czołem objąłby w posiadanie należne mu dziedzictwo.

Patrzałem na nią z zachwytem i miałem ochotę całować jej stopy.

— Jesteś stworzona na żonę dla Poboga — rzekłem z dumą — bo i my z ojcem nie pokusimy się o Krąż, zwłaszcza za życia babki, i wogóle nie chcemy już mieć do niego pretensji, chociaż horoskopy przyszłości Krąża w rękach Gabrjela i Ślazów... nieciekawe.

— I to zapewne najwięcej trapi babkę Zatorzecką — odrzekła Terenia.

Zamyśliła się nagle trochę smutno. Gdy spytałem o powód tego smutku spojrzała na mnie łzawemi oczami.

— Lękam się spotkania z mamą — szepnęła — mama ma również taki dramat w duszy, który ją dręczy i czasem do absurdu doprowadza... a teraz, gdy się dowie, żeśmy zaręczeni...

— Czyżby mama chciała występować przeciw twojej woli, dziecko?...

— I szczęściu niech pan doda. Ale mama upatruje szczęście w innych celach życia... dla mnie szczególnie. To jest wiecznym cieniem między nami. Kocham mamę bezmiernie i świętą jest dla mnie jej wola, lecz zawsze mam złe uczucie, że jest w mamie jakiś wyrok na mnie tak ciężki, że go nie zmogę. A wtedy....

— Rozumiem o czem mówisz, ale teraz już nie możesz się obawiać, by żądanie mamy, abyś została zakonnicą mogło trwać dalej. Teraz już ja zamykam kategorycznie drogę do podobnych projektów i proszę cię, Teruś najdroższa, nie zakłócaj spokoju sobie i nie psuj nam chwil szczęścia takim zgrzytem.

— Pan nie zna mamy. Najzacniejsza, złota dusza ale prawie do manjactwa oszołomiona swoją ideą.

— Jaką ideą? — spytałem nagle zaniepokojony.

— Och to długa historja, nie mówmy o tem.

Ożywiła się, oczy jej błysnęły weselem.

— Pamięta pan wtedy w lesie pod jodłami, nad rzeką, gdy mi pan opowiedział o Krążu, chciałam mu również opowiedzieć naszą historję rodzinną i przerwał nam Krzepa... Jaka to była cudna noc!...

— Pamiętam, Teruś, każdy najdrobniejszy szczegół spotkania się naszego, każde słowo twoje i każdy uśmiech. To była nasza noc Opatrznościowa, noc świętojańska, która dała nam w posiadanie kwiat paproci.

— Tak, tak! i on będzie nam kwitł, darząc nas szczęściem całe życie! Więc dobrze się stało, że Krzepa przeszkodził mi w opowiedzeniu smutnej historji. Zostało wspomnienie tylko promienne. Historję mojej rodziny opowiem panu później.

— Jak chcesz i kiedy chcesz. Ale jeszcze słówko. Pisałaś w liście do mnie, że wysłanie ciebie do cioci Hańskiej było dyplomatycznym wybiegiem stryja przed mamą. Więc mama nie wiedziała o projekcie, wydania ciebie za Alberta?

Terenia uśmiechnęła się, ślicznie mrużąc oczy.

— Owszem projekt ten był mamie wiadomy, lecz nie uważała go za groźny. Albert to mój stryjeczny brat, miałam dla niego zawsze uczucie tylko siostrzane. O tem, że on będzie z nami w podróży stryj ukrywał i przed mamą i przedemną; to była tajemnica. Zresztą Albert....

Pochyliłem się do niej i biorąc jej rączki spytałem patrząc w oczy przenikliwie, z uśmiechem.

— No, proszę mi się tu zaraz wyspowiadać, jaki jest ten mój rywal?...

Pochyliła główkę przekornie.

— Już nie rywal!... Albert to chodząca encyklopedja medyczna i prosektorjum razem. On jest ciągle w todze przygnębiającej powagi. Miałam wrażenie, że on patrząc na mnie rozpatruje mnie przedewszystkiem anatomicznie. Umiał rozmawiać tylko o tem i o roślinach leczniczych. Nawet kwiaty, pozbawione tych walorów, były dla niego tworami bezwartościowemi. Muzyki nie lubił, męczyła go. Ile razy dla mnie poszedł na operę lub na koncert, był rzetelnie znudzony i zapewne myślał wtedy także o prosektorjum, które wszędzie zwiedzał z pasją.

— Trzeba mu było grać ciągle „Taniec szkieletów"... możeby go to przez analogję zainteresowało.

— O... jaki złośliwy! — zaśmiała się Terenia. — „Taniec szkieletów" zapewne oburzyłby go jako profanacja. Ja się boję takich ludzi, którzy nie lubią muzyki i kwiatów. Kiedyś w Rzymie, na spacerze w ogrodach botanicznych, włożyłam mu umyślnie do butonierki śliczną złoto-żółtą różę. Krępował się ją wyrzucić, bo przecie zabiegał o mnie, ale krzywił nos, bo go zapach drażnił i wreszcie tak zmajstrował, że niby to zgubił różę i udawał zasmuconego....

Potem dałam mu białą kamelję, to taki zimny martwy kwiat, jakby tylko dla niego, ale i ten spotkał podobny los. Stary Rzym nie interesował go wcale, nawet gniewał, a na moje zachwyty Albert odpowiadał niezmiennie, że to są gruzy bezpożyteczne.

Wstrząsnąłem się na takie bluźnierstwo. Terenia to zauważyła.

— A widzi pan! Dokuczałam mu za to strasznie,

ale nie przekonałam go. Jedynie lubił drogę Apijską i na Via Apia mi się oświadczył.

— Tego momentu właśnie zupełnie sobie nie wyobrażam.

— Może pan być pewny, że był zastosowany stylem do tych starych grobów, wśród których zebrało się Albertowi na wyznanie. Biedny Albert, żal mi go. Życzę mu szczęścia z całej duszy. Jest dobry, przystojny, podobny do cioci Hańskiej, jakby jej syn, tylko blondyn, nie siwy oczywiście. Ciocia miała do mnie żal za niego. Ależ ja jemu nigdy szczęścia bym nie dała, to niemożliwe, nie, nie!... pokiwała główką energicznie.

— O swojem szczęściu nie mówisz? — spytałem głucho.

— Moje szczęście było już zdecydowane w sercu, wtedy, w noc świętojańską.

Ogarnęła nas nowa fala uroku.

Po chwili Terenia rzekła w zamyśleniu.

— Ciocia Hańska pragnęła zawsze abym wyszła za Alberta i swatała mnie z nim, jeszcze wówczas, gdy po ukończeniu nauk w klasztorze, byłam w Krakowie na kursach, dopełniających mojej edukacji i mieszkałam u cioci. Ale teraz, gdy przyjechałam do niej z Porzecza, ciocia, zdaje mi się, odrazu zwątpiła w możliwość swoich i stryja Piotra zamiarów, co do małżeństwa mego z Albertem. Odgadła bowiem....

Umilkła i spojrzała wymownie w moje oczy. Poczem rzęsy jej opadły na policzki.

— Co odgadła? — spytałem szeptem pochylony ku niej.

— Że oddałam już serce pewnemu... szatynowi

o smagłej cerze i ciemnych... uroczych oczach, w których wyczytałam, że i on... nie odda mnie... nikomu.

— Teruś! bo porwę cię w ramiona!..

Chwyciłem jej ręce tuląc je do rozpłomienionych ust.

— Panie Romanie... Rom... patrzą na nas! — szepnęła spłoszona.

— Niech cały świat patrzy, że jestem, najszczęśliwszy z ludzi! — zawołałem z głębi serca przepełnionego najświętszem uczuciem dla niej i... najgorętszym ogniem.

Podróż zeszła nam jak sen piękny, lecz zbyt krótki.

Kraków, 10. sierpnia.

Oczekujemy przyjazdu pani Orliczowej i po całych dniach jesteśmy razem z Terenią. Im więcej ją poznaję, tem silniejsze więzy przykuwają mnie do niej. Jest inteligentna, umysł ma żywy i bystrą spostrzegawczość, oraz subtelność natury. Urokiem tchnie, otacza ją czar przedziwny, który wywiera na mnie wpływ magnetyczny. Istotnie jest Thérèse enchanteresse. Przytem jest tak bardzo już moją duchowo, pomimo swej indywidualności, że to jedno może oszałamiać i upajać. Nie zawiedziesz się najdroższe dziecko moje, na tym, któregoś wybrała tak ufnie na całe życie, bo oddałbym Ci życie własne, bylebyś szczęśliwą była....

Już zdobyliśmy szczęścia tak wiele, że się zdumiewam nad tym cudem nieoczekiwanym.

Zwiedzamy razem Kraków, znajomy nam dobrze, ale zawsze kochany i ciekawy. Wieczory spędzamy w cichym saloniku pani Śniadeckiej. Pani ta grywa nam na fortepianie różne stare melodje; są one doskonałym akompanjamentem do nieskończonych rozmów naszych z Terenią. Muzyka pani Śniadeckiej cicha i słodka, jak zwierzenia babki, czynione wnuczce, drażniła by mnie w każdym innym czasie. Lecz gdy mam przy sobie Terenię, mogę znieść nawet obecność mnóstwa kotów, które rozpanoszyły się tam ze zdumiewającą bezczelnością. Jest ich pełno. Gdy pani Śniadecka gra, koty dekorują gęsto fortepjan i jej kolana, gdy krząta się po mieszkaniu, łażą za nią całą procesją senne, mruczące, elastyczne, koty-lwy. Małe to mieszkanko posiada prócz kotów dużo starych zabytków dawnej zamożności. Kilka pięknych portretów, meble antyczne, bardzo cenne, trochę szanownych książek i szpargałów. Ale przedewszystkiem na właścicielce tych rzeczy znać starą, wyborną patynę dobrego rodu i wychowania. Niezwykle miła osoba, poważna wiekiem, ale nie staruszka, gościnna i serdeczna. Można jej wybaczyć nawet ciągłe asystowanie nam w roli przyzwoitki, co mnie jednak niecierpliwi i doprowadza czasem do rozpaczy. Gmina kocia bywa także wielce uprzykrzona.

Wczoraj wieczorem jednak błogosławiłem te koty z całej duszy.

Siedzieliśmy z Terenią w półmroku lampy wysokiej, okrytej sutą krynoliną abażuru z różowego jedwabiu. Pani Śniadecka grała Mendelssohna. Nastrój był drażniący, bo zbyt często od fortepjanu spoglądały na nas czujne oczy, a gdy tylko za długo zatrzymywałem ręce Tereni w swoich, zaraz słyszeliśmy ostrzegawcze kaszl-

nięcie. Po każdym takim sygnale Terenia robiła zabawnie dramatyczne oczy i oboje przykładnie składaliśmy ręce w małdżyk, cofając się bogobojnie w głąb foteli.

Nagle ze stołowego pokoju rozległo się rozdzierające miauczenie. Pani Śniadecka skoczyła przerażona od fortepjanu. Załamała ręce.

— Ach, mój Boże! — to głos Pluszka! Ktoś go skrzywdził.

Wybiegła z salonu, Terenia zerwała się także z miejsca.

Zatrzymałem ją za rękę stanowczo. Zaśmiała się.

— Chodźmy ratować. Cóż za pisk!...

— Ależ, niech wrzeszczą jak najdłużej! Boże im dopomóż! Teruś ani kroku, najmilsza, błagam! — błagałem ustami i oczyma.

Usiadła posłusznie.

— Pan zawsze błaga i zawsze rozkazuje, — szepnęła z niewysłowionym wdziękiem. — Pan pewno jest okropny despota.

— Okropny!....

— Ładna perspektywa! Słyszałam, że wszyscy Pobogowie byli despotami.

— Tak i wszyscy mieli zawsze bardzo uległe żony.

— Doprawdy!!! — uśmiechnęła się przekornie. — Więc ja będę wyjątkiem w tej tradycyjnej regule.

— O, nie! Ja jestem straszny, mnie trzeba słuchać.

— Otóż właśnie, że pomimo tej groźnej miny idę ratować koty.

Zatrzymałem ją i odgrodziłem od salonu zręcznem posunięciem fotela. Przy tym ruchu, wypadł mi portfel z bocznej kieszeni marynarki. Terenia błyskawicznie go

podniosła, oddając mi. Otworzyłem i pokazałem jej zgniecioną, nadwiędłą już różę, pamiątkę z wagonu.

— Teruś, pamiętasz?...

— O... pan ją jeszcze ma dotąd?... Ale już straciła swój szkarłat.... .

— Spiłem go ustami.

Terenia spłonęła ogniście.

— A widzi pan? — próbowała brawury — mówiłam, że jest chłodna i prędko zwiędnie....

— Bo to tylko wątły symbol twoich ustek....

Patrzyliśmy chwilę na siebie. Spuściła rzęsy.

— Rom, nie patrz tak na mnie, bo te twoje przymrużone, despotyczne oczy....

Była czarująca w tem spłoszeniu, w tem odczuciu moich pragnień.

Przyciągając ją do siebie, szeptałem.

— Różę szkarłatną spaliły moje usta, bo to był tylko symbol... Teruś!... twoje usteczka przeciwnie, zapłoną gorętszą purpurą... żarem...

Oddychała szybko... Pierś jej, falując może przeczuciem upojenia podnieciła mnie do szaleństwa.

Oplotłem ją mocno ramieniem, wrzałem....

— Chcę ustek twoich....

Z tym szeptem posiadłem je i długo trzymałem pod mocą moich zachłannych warg.

Gdy oderwaliśmy się od siebie, byłem pijany rozkoszą, jaką mi dały jej różowe, gorące, drobne, soczyste usteczka. Na ochłodę przytulałem do nieskończoności jej dłonie do twarzy i czoła swego... Była oszołomiona pierwszym pocałunkiem... Spojrzała zamglonymi lekko oczyma w moje oczy... rzęsy jej drżały, jak łątki... i zakryły mi znowu głębokie tonie jej źrenic. Usta jej płonęły teraz

istotnie, jak najżywszy szkarłat. Gdy jej to powiedziałem pieszczotliwym szeptem, odszepnęła, darząc mię przedziwnym wyrazem swego spojrzenia.

— I znowu uległam twojej władzy... To straszne!...

Przepływały nad nami i łączyły nas prądy wszechmocnej, zawsze potężnej, szczerej i żywiołowej, jak natura miłości.

W kwadrans potem, przy kolacji musieliśmy wysłuchać ubolewania pani Śniadeckiej nad kocią katastrofą: Oto Atłasik wskoczył na kredens i pił śmietankę z kubka. Zobaczywszy to Pluszek, Tygryś i Barchanka, poczuli zazdrość w kocich sercach i dalejże na kredens! Ale za nimi wskoczył jeszcze i ten brutal Kudłek, potem Cap, Miauk, Pisk, Szarotka i Pieczarka, stara kocica. Kudłek do spółki z Miaukiem zboksował wszystkie koty, ale najwięcej ucierpiał Pluszek, bo mu imbryk z gorącem mlekiem spadł na nos. W chwilę potem poparzony nieborak w bandażach, kompresach leżał w łóżeczku, rozmyślając nad znikomościami kredensowych smakołyków. Zauważyłem w sobie niezwykły objaw cierpliwości. Nigdybym bowiem nie przypuszczał, że takiego raportu i biuletynu o kotach zdołam wysłuchać spokojnie. Ale miałem przed sobą Terenię i jej oczy roziskrzone podnietą.

11. sierpnia.

Pani Orliczowa przyjechała dziś w południe, prędzej niż sądziliśmy. Terenia prosiła mnie, bym matki nie witał na dworcu, gdyż ona chce sama uprzedzić ją o mnie i naszych zaręczynach. Usunąłem się tedy, obserwując zdaleka powitanie matki z córką.

Pani Orliczowa wydała mi się zmienioną i dziwnie surową. Parę godzin wałęsałem się samotnie, oczekując, wedle umowy z Terenią, na kartkę od niej, by przyjść i powitać matkę.

Nareszcie zaniepokojony brakiem wiadomości, pośpieszyłem do mieszkania pani Śniadeckiej.

Powitała mnie sama z tajemniczą miną, kładąc ostrzegawczo palec na ustach.

— Co się stało? — spytałem zdziwiony.

— Nic, nic, niech pan tu spocznie w saloniku. Bo to widzi pan, Terenia miała dużo przykrości od matki. Odrazu, jak tylko przyjechała, zauważyła te wszystkie kwiaty od pana, bo u mnie w domu nigdy takiej oranżerji nie bywa... i spytała, co to znaczy. Terenia, jak to ona, rzuciła się matce na szyję i wyznała wszystko, o listach pańskich do Rzymu, o spotkaniu w Wiedniu i że jesteście narzeczeni. Awantura, drogi panie! Matka dostała ataku sercowego, mdlała, zrobił się gwałt... przyszedł lekarz, polecił spokój i ciszę. Mnie powiedział, że to raczej na tle histeryczno-nerwowym, ale że z sercem nie nazbyt dobrze, więc ostrożność nie zawadzi. Terenia biedactwo, spuchła od płaczu, ale to dzielna dziewczyna i bardzo pana kocha.

— Czyli, że powodem rozpaczy pani Orliczowej i... płaczu Tereni jestem ja... — rzekłem matowym głosem.

Doznałem uczucia, że stoję pod jakimś murem, który oto zaraz runie... czyżby mnie zmiażdżył?...

Pani Śniadecka złożyła ręce na piersiach pobożnie.

— To nie chodzi o to, drogi panie, czy to pan, czy byłby Albert Orlicz, czy kto inny, bo matka wogóle nie chce, żeby Terenia wyszła za mąż...

— Dlaczego? Cóż to za wyrok dziwaczny?

— Ot, widzi pan, jakby to panu powiedzieć? Matka pragnie zawsze i postanowiła to sobie jeszcze wtedy, gdy Terenia była dzieciną malutką, że ją poświęci Bogu, że Terenia będzie zakonnicą, i teraz żąda tego od córki.

Zatrząsłem się z gniewu i oburzenia. Mur runął, ale mnie nie zmiażdżył, cios nie wydał mi się nawet groźnym.

— To barbarzyńskie wprost żądanie matki! — zawołałem zły. — Zamykać taką Terenię, w której życie wre, w klasztorze, bez powołania?... to średniowieczna tyranja, to absurd! Ale to się nie stanie, bo ja na to nie pozwolę! Kocham Terenię i ona mnie kocha, więc nasze szczęście potrafię ocalić od niedorzecznych pomysłów matki. Gdzie jest Terenia, pragnę ją zobaczyć.

Pani Śniadecka patrzyła na mnie serdecznie.

— Ja wiem, wiem, że pan ją ocali... Ale widzi pan, Joasia ma obłęd na tym punkcie... Bo trzeba panu wiedzieć, że ona sama, od małego dziecka była poświęcona Bogu, wychowywała się w klasztorze, na zakonnicę, ale nie miała powołania, męczyła się strasznie. Dopiero moja matka nieboszczka, dawno to już dawno, zrządzeniem losu, wyrwała Joasię z klasztoru w Belgji, prawie w przededniu składania ślubów zakonnych. Matka moja opiekowała się nią aż do czasu wyjścia jej za mąż. Związek małżeński zawarła bardzo późno, bo za karę, że nie zo-

stała zakonnicą, postanowiła sobie trwać w panieństwie całe życie. Bóg chciał widocznie inaczej, bo wyszła w końcu za Józefa Orlicza z Pieńczyc, ojca Tereni. Kilkoro dzieci starszych straciła, co znowu sobie poczytywała za karę, jak zawsze i wszystko, aż dostała manji na tym punkcie. Gdy Terenia, najmłodsza, przyszła na świat, Joasia wymarzyła sobie, że ona odkupi błąd matki i przywdzieje habit. Joasia, panie drogi, to wyjątkowo zacna kobieta, ale okropnie biedaczka nieszczęśliwa. Trzeba być dla niej wyrozumiałym, bo to męczennica własnego obłędu.

W miarę słuchania słów pani Śniadeckiej, zdawało mi się, że i ja dostaję obłędu. Co się ze mną wówczas działo, opisać nie potrafię, nie zdołałbym wyrazić. Gdy cichy głos tej pani umilkł, powtórzyłem, jak w malignie:

— Joasia?... klasztor?... Co to jest, na Boga?

Nagle myśl piorunowa zapaliła mi iskrę w mózgu, iskrę oślepiającą. Chwyciwszy ręce pani Śniadeckiej, spytałem nie swoim głosem:

— Kto zamknął małą Joasię w klasztorze, w Belgji?

— Co to panu?... Jezus, Marja!...

— Kto zamknął Joasię w klasztorze? — powtórzyłem gwałtownie.

— Jej własny ojciec, podobno za jakieś swoje grzechy.....

— Jak się nazywał jej ojciec?...

— Krzysztof Hradec-Hradecki.

— Co to panu, drogi panie? Pan tak strasznie zbladł — usłyszałem przerażony głos Śniadeckiej.

Wyprostowałem się i, odetchnąwszy głęboko, przetarłem ręką czoło wilgotne. Krew spłynęła mi do serca.

W tej chwil weszła Terenia. Na widok jej smutnej

twarzyczki i zapłakanych oczów wzburzyło się we mnie wszystko.

Porwałem jej ręce, jak najdroższe talizmany mego szczęścia i zawołałem z podnieceniem niezwykłem.

— Ty moja, tyś mi oddana wyraźną wolą Boga, przeznaczenia, losu, Opatrzności! Oddana jesteś mi wolą twego dziada. On ciebie dla mnie przeznaczył! Ręka woli silniejszej nadewszystko na świecie, kierowała naszemi losami. Jesteś moją, na wieki moją!...

— Oddana wolą mego dziada?... co pan mówi, co panu jest, Romku?!...

— Powiem ci wszystko, ale nie teraz. To jedno wiedz, Tereniu najdroższa, że już matka twoja nie będzie żądała od ciebie ofiary habitu, gdyż sama zrozumie, żeś ty tylko dla mnie przeznaczona...

Nic jej więcej dziś nie powiedziałem.

W głowie czuję chaos. Ileż niespodziewanych zdarzeń przeżywam ciągle od chwili przyjazdu do Krąża, nie! już od momentu spotkania się z Gabrjelem w operze warszawskiej...

Spowiedź Halmozena przejrzałem raz jeszcze... Jakie też wrażenie zrobi na pani Orliczowej ten manuskrypt ojca, nieznanego... bo wszak muszę go oddać jej... to jej własność... jej dziedzictwo.

12. sierpnia.

Dziś rano Terenia powiedziała mi, że matka jej zdrowsza, ale nie opuszcza swego pokoju.

Postanowiłem się z nią zobaczyć koniecznie. Wszak od tego zależał spokój nas wszystkich. Terenia, uproszona przezemnie, uprzedziła matkę o mojej prośbie, zaznaczając w mojem imieniu, iż sprawa jest nagląca, bardzo ważna i poufna. Po długich certacjach pani Orliczowa zgodziła się wreszcie przyjąć mnie.

Wchodząc do jej pokoju, doznałem wrażenia, że jest to osoba jakby już nie z tego świata, tak uduchowioną była jej twarz, prawie przezroczysta. W oczach szarych, dużych, był mistycyzm i szczególne natchnienie zupełnie już nieziemskie. Wydało mi się, że to oczy pokutnika Hradeckiego patrzą na mnie w tej chwili, gdy świętą misję jego spełniam. Wszak to córka jego i nieszczęsnej Jeannety Ducasse. Na mój ukłon bardzo niski matka Tereni podała mi w milczeniu rękę białą, jak opłatek. Nie wiem sam, jak się to stało, że przyklęknąłem przed nią i rękę tę welinową ucałowałem, jak relikwię. Wskazała mi krzesło nawprost siebie. Usłyszałem głos cichy, zmęczony:

— Dotrzymał pan danego mi słowa, że odszuka Terenię wbrew mojej woli i będzie ją chciał zabrać dla siebie.

W słowach jej zadrżał żal, który mnie dotknął.

— Kocham Terenię nad życie i pragnę naszego szczęścia, gdyż... i ona mnie kocha.

— Tak, niestety, tak. Ale ja o innym losie marzyłam

dla niej. Przeznaczyłam ją... przeznaczeniem jej jest... może wolą Boga... nawet...

Z trudem widocznie walczyła, by wypowiedzieć przedemną słowo... klasztor lub habit.

Pochyliłem się i ująwszy delikatnie jej rękę, przytuliłem do niej usta.

— Pani szanowna pozwoli mi dokończyć. Oto Terenię sam Bóg przeznacza mnie, przez niesłychany zbieg faktów, kierowanych ręką losu. Pani sama to przyzna, gdy dowie się o wszystkiem. Terenia jest niejako promieniem, który dwie rodziny, pogrążone przez szereg lat w ciężkiej doli duchowych cierpień i ekspjacji, ozłoci blaskiem nowym. Przez małżeństwo zaś ze mną spełni przeznaczenie, wskazane jej mocą wyższą i może nawet... wolą ojca pani.

— Mego ojca? Skąd pan wie o moim ojcu?... — spytała zdumiona.

— Zaraz to wytłomaczę. Lecz obawiam się, czy to pani nazbyt nie wzruszy. Wrażenie będzie silne, uprzedzam.

Na twarzy pani Orliczowej wystąpiły plamy jaskrawe. Utkwiła we mnie oczy otwarte szeroko, pełne niebywałego zaniepokojenia i zapytała drżącym głosem.

— Skąd pan wogóle wie o moim ojcu? Chyba jakaś omyłka? Czy może Terenia panu co mówiła?

— Nie, pani droga, to powtarzam zbieg faktów, koincydencja zdarzeń bardzo szczególna.

I nagle pytanie ostatnie pani Orliczowej przypomniało mi ową chwilę, w lesie, w noc świętojańską, gdy Terenia miała mi opowiedzieć smutną historję swej rodziny. Chwilę tę przypominała przed kilku dniami w wagonie, jadąc z Wiednia. Lecz Terenia, a może i jej

matka, nie wiedzą zapewne połowy tego, co zawiera spowiedź pokutnika.

— Jak nazywał się mój ojciec? — padło nagle zimne pytanie Orliczowej.

Patrząc jej prosto w oczy, powiedziałem imię i nazwisko.

Zadrżała i ciężko opadła na poręcz fotelu. Twarz ukryła w dłoniach. Ale gdy poruszyłem się zaniepokojony o nią, spojrzała na mnie oczami pełnemi łez i rzekła z mocą:

— Niech pan mówi dalej, mogę już wysłuchać wszystkiego.

Teraz ja spytałem:

— Czy pani wie, co to jest Sławohora?

— Nie!

— Jest tam stary pałac nad Dunajcem, rezydencja majątku i lasów.

— Nie znam i nic o nim nie słyszałam nigdy. Ale cóż to ma za związek z moim ojcem?

Wtedy zacząłem jej opowiadać dość szczegółowo pierwszą bytność w Sławohorze i wrażenie, jakie wywarła na mnie ta miejscowość. Potem skierowałem opowiadanie na Krąż i na ostatnie moje tam przeżycia, to jest odnalezienie kopji testamentu pradziada i spowiedzi księdza Halmozena. Pokazałem pani Orliczowej rulon papierów, które przyniosłem z sobą.

— Oto jest właśnie spowiedź księdza pokutnika, z której szanowna pani dowie się wszystkiego.

Matka Tereni wyciągnęła rękę po papiery.

— Czy mam to czytać sama? — spytała głuchym głosem.

— To zależy od woli pani i od jej nerwów. Są tam

zapewne fakty znane pani z historji jej rodziny, lecz są i szczegóły zupełnie dla pani nowe...

— Pan mówi pokutnika?... Mój ojciec był również pokutnikiem? Skądże ten ksiądz Halmozen zna historję mojej rodziny?

— Wytłomaczenie jest w tym manuskrypcie.

Pani Orliczowa trochę mechanicznie rozwijała rękopis. Powstałem z krzesła z ukłonem.

— Pan odchodzi?... więc ja mam to czytać sama?... — powtórzyła przestraszona.

— Sądzę, że tak będzie najlepiej. Pani jest właśnie tą osobą, dla której ten dokument został przeznaczony. Ja go odnalazłem i upoważniony wzmianką autora rękopisu, którą pani odnajdzie na początku tekstu, przeczytałem go i teraz oddaję w ręce pani, jako prawnej właścicielce.

— Pan mnie zdumiewa! Jakto? więc te papiery zagadkowe są moją własnością? To coś niepojętego, ja tego nie rozumiem, panie — mówiła gorączkowo.

— Wczoraj od pani Śniadeckiej dowiedziałem się, przypadkowo, pewnych szczegółów z młodości szanownej pani, jak również o nazwisku pani ojca. To mnie upoważnia do wręczenia jej tego dokumentu. Jest to zarazem spełnieniem włożonego na mnie obowiązku.

Matka Tereni przysunęła do oczów rękopis, ja opuściłem pokój. W saloniku zastałem Terenię samą. Podbiegła do mnie żywo, podając mi obie rączki.

— Cóż mama? pan rozmawiał z mamą o nas... nieprawdaż?... czy... pan przekonał? — pytała niespokojna z wypiekami na twarzy.

— Mama czyta obecnie dokument, odnaleziony przezemnie w Krążu, razem z kopją testamentu mego pra-

dziada, o czem ci mówiłem, Teruś. Jest to spowiedź księdza Halmozena, którego ty, dziecino moja najdroższa jesteś... rodzoną wnuczką.

I opowiedziałem jej wszystko, całą nawet treść owej spowiedzi. Wrażenie było ogromne.

. . . . . .

W godzinę potem, kiedy Terenia niepokoiła się już bardzo o matkę, ja zaś miałem również wyrzuty sumienia, że ją samą zostawiłem z taką lekturą, nagle weszła do salonu pani Śniadecka, prowadząc pod rękę panią Orliczową. Matka Tereni była bardzo podniecona i dziwnie radosna. W oczach jej błyszczał promień szczerego entuzjazmu.

Podeszliśmy oboje prędko do tych pań, jakby jedną siłą pchnięci. Pani Orliczowa podała mi rękę, a gdy pochyliłem się nad nią, rzekła silniejszym niż zwykle głosem:

— Miałeś słuszność, Terenię sam Bóg przenaczył tobie i wola mego nieszczęśliwego ojca przeznacza ci ją również. Spowiedź mego ojca, którą tobie powierzył, bo skoroś ty ją odnalazł, to wyraźny znak Opatrzności, uwalnia Terenię od, jak sądziłam, obowiązkowej ofiary z jej strony, jako rehabilitację za mój błąd i nieposłuszeństwo względem woli ojca, wyrażonej mi przez ksienię Zakonu w Belgji. Spowiedź mego ojca ocala i mnie. Ojciec mi daje rozgrzeszenie. Całem życiem swojem okupiłam błąd popełniony, tak, jak ojciec mi to przepowiedział proroczo.

W oczach córki pokutnika błysnęły łzy, usta jej drżały...

— Terenia twoja, Romanie! — rzekła z mocą. — Niechże ona w rodzinę Pobogów wniesie takie światło

i pokój, jakie wniósł do mojej duszy, do mego serca... ten manuskrypt ojca. Ojciec tobie powierzył tajemnicę swego życia, swojej pokuty, męki i... wolę swoją ostatnią. Wierzę, że ciebie wybrał na męża i opiekuna swojej wnuczki... A oto ja was... błogosławię tem.....

Trzęsącą się ręką wydobyła z za stanika medalik złoty Jeannety Ducasse i kreśliła nim znaki krzyża nad pochylonemi do jej kolan, w głębokiem wzruszeniu, głowami Tereni i moją.

Warszawa, 16. sierpnia.

Terenia napierała się trochę, by zwiedzić Sławohorę. Byłem skłonny zadośćuczynić jej prośbie, lecz matka oparła się temu stanowczo. Postanowiliśmy więc wstąpić tam po ślubie, przy sposobności odbycia podróży do Włoch. Opowiedziałem mojej dziewczynie o owych wizjach jej postaci wyśnionej, na ławce omszałej, pod platanami i nadmieniłem, że chcę ją tam zobaczyć już moją żoną. Na tę myśl szaleję.

Onegdaj przyjechaliśmy do Warszawy. Ojciec mój uprzedzony przezemnie telegraficznie, oczekiwał już nas w hotelu Europejskim. Przedstawiłem ojcu moją Terenię. Chwila ta była należycie podniosła i wzruszająca. Wrażenie obopólne było najlepsze, a spotęgowało się bardziej, gdy oznajmiłem ojcu, że Terenia jest córką Joanny Hradec-Hradeckiej. Przeczucia ojca, iż Halmozen sple-

cie się z moją przyszłością tak jak i Terenia, którą poznałem przez Krąż, sprawdziły się w zupełności. Ojciec jest oczarowany przyszłą synową. Po pierwszych momentach wzruszeń, ojciec ofiarował Tereni pęk róż Uchańskich i całując ją w czoło, rzekł z uczuciem:

— Stań się ich siostrą, dziecko najdroższe... i kwitnij w Uchaniach dla Romka, ciesząc moje oczy waszem szczęściem.

Promienność tych cudownych dla mnie chwil zaćmiły przywiezione mi przez ojca listy z Krąża. Potop listów! Znowu od Korejwy i od Krzepy, ale i od Gabrjela i... od babki. Te dwa najbardziej mnie zaciekawiły. Babka pisze krótko:

„Przyjedź Romanie, obecność twoja jest mi potrzebna do osiągnięcia względnego spokoju. Ty umiesz wpływać na Gabrjela, on się z tobą liczy, a to dla niego teraz konieczne. Zdaje się, że wszyscy odetchną, gdy przyjedziesz. Nie zwlekaj! Ziemia pali się pod mojemi stopami. Uszanuj prośbę starej kobiety nieszczęśliwej, którą przekonałeś, dopiero ty pierwszy, że istnieje serce, może nie dla mnie, ale ciepło jego odczuć potrafię... i tego mi teraz brakuje, jak zresztą przez całe życie".

Smutkiem powiało z tego listu, jakby cień grobowej kaplicy omroczył mi duszę.

Gabrjel pisał widocznie w pasji:

„Przyjedź prędko i wytłomacz mojej narzeczonej, że nie ty, lecz ja jestem właścicielem Krąża. Te stare pudła, mamuty zamkowe naopowiadały Ślazowi, że dlatego, iżeś Pobóg, dziedziczysz Krąż. Weroninka kocha mnie głęboko, jestem jej pewny, ale ojciec, niegodziwy bałwan, dokucza jej i wmawia w nią, żeś ty pan na Krążu i że ja, Zatorzecki, razem z wiedźmą Gundzią

pójdziemy stąd precz. Trzeba tylko takiego hipopotama, jak Ślaz, żeby podobne banialuki opowiadać. Ale naturalnie biedna Weroninka denerwuje się takiemi plotkami... Kazałem Gundzi uspokoić Weroninkę, przyprowadziłem ją do starej czarownicy i... wyobraź sobie, zamknęła się u siebie i nie przyjęła mojej narzeczonej. Weroninka mieszka już teraz w lewym pawilonie, w dawnym apartamencie mojej matki, bo ja tak chciałem. Gundzia jeszcze nie wierzy, widzę, w moją władzę, ale skoro uwierzy, będzie za późno. Wtedy pożałuje swoich uporów. Żeby już nareszcie te krążskie borsuki zdechły, ten drab Krzepa i nietoperz Paschalis, czarci syn, wtedybym Gundzię na miotle przez komin wyprawił tam, gdzie jej właściwe miejsce, to jest na Łysą górę... Ale gdy oni żyją, mogliby ją djabelskiemi sztukami wyratować, bo chociaż nienawidzą jej również jak i mnie, ale zawsze swój swego broni. Mam nadzieję, że przyjedziesz. Tego cymbała Ślaza trzeba koniecznie umiejscowić. Zaraz po ślubie wyprawię go z Krąża won na cztery wiatry, tymczasem trzeba mu zakneblować pysk, żeby mi narzeczonej nie denerwował... Gdy przyjedziesz, a zechcesz, zabierz z sobą portret wiadomy, który może być równie dobrze uważany za twój własny. Nie chcę go mieć w Krążu. Możebyś zabrał i tę lucyperską parę, Paschalisa i Krzepę, skoro cię tak uwielbiają. Oddałbym ci za tę przysługę... babkę Gundzię w dodatku. Możesz wówczas otworzyć w Uchaniach muzeum żywych mamutów, allosaurusów pod tytułem „Okazy z epoki jurajskiej" — co ci sprawi przyjemność, skoroś taki amator starożytności".

Gabrjel zdaje się goni resztkami słojów mózgowych.

Biedna babka!

Korejwo i Krzepa piszą w tym samym duchu, co listy poprzednie, tylko z większym naciskiem błagają o mój przyjazd. Paschalis podobno przestrasza sobą nawet Krzepę, który przypuszcza, że dni jego policzone i że już ma obłęd wyraźny. Ciągle mówi o mnie, mnie wzywa i mnie widuje przed sobą w majakach niesamowitych. O babce pisał Korejwo, że po całych dniach siedzi zamknięta u siebie, a w nocy leży krzyżem.

Wesołe życie!

Widmo na krużganku ukazywało się znowu, i okna zamkowe świeciły dwukrotnie.

Pojadę do Krąża, choć wiem, że nic tam nie zbuduję, ale może niejedno złagodzę, oprócz Ślaza oczywiście i jego córki; z nimi bowiem widzieć się nie chcę, ani się do nich wtrącać.

Podobno Jerzy Strzełecki był w Krążu u Korejwy, pytając o mnie. Wyobrażam sobie, jakie ta wizyta zrobiła wrażenie na wszystkich ipso facto, że znam kogoś z okolicy.

---

20. sierpnia.

Matka Orliczowa zostaje z Terenią w Warszawie, do czasu ślubu, który się ma odbyć za sześć tygodni. Ślubu udzieli nam ksiądz Juljan Borowski, zacny człowiek i serdeczny przyjaciel naszej rodziny. Teruś najdroższa zgodziła się na to chętnie.

Mam teraz mnóstwo zajęcia. Chcę upiększyć Uchanie, muszą być jak cacko na przyjęcie Tereni. Odświeżę i ozdobię dom weselej, zwłaszcza pokoje przeznaczone dla nas. Gdy pytałem Terenię o pewne szczegóły, by je swoim gustem wybrała, odrzekła mi wdzięcznie, iż pozostawia to mnie, gdyż wierzy w moje poczucie piękna, ponieważ zdążyła je zauważyć.

— Sama sobie powiedziałaś teraz, najdroższa, komplement — odrzekłem, chłonąc w pocałunkach jej ręce.

Ojciec powstrzymuje mnie trochę w zapędach, zwłaszcza przy kupowaniu nowych ekwipaży i zaprzęgów. Ale musi być wszystko godne Tereni, zaczynając od prezentu ślubnego, którym chcę przystroić moją narzeczoną tak zawsze elegancką i efektowną.

Już upatrzyłem naszyjnik, odpowiadający temu celowi; dwa sznurki pięknych pereł spięte z przodu brylantami, bardzo oryginalny i w wykwintnym smaku klejnot.

Wybrałem dla Tereni zamszowe siodło damskie; podobno, jak mówił mi w Porzeczu pan Piotr Orlicz, jeździ ona konno wybornie. Wyobrażam ją sobie na Uchańskiej angloarabce, Zorzy, kłusującą obok mego Demona, po naszych drogich łanach, których będzie panią i złotym ich promieniem. A dla mnie!! — Teruś! ty moja ubóstwiana!

21. sierpnia.

Z wielką radością powitaliśmy dziś powracającą z Krynicy pannę Renatę. Terenia zaprosiła ją już na drużkę, jako poniekąd pośredniczkę w odszukaniu się naszem. Ale gdy Teruś zaproponowała pannę Justę na drugą drużkę, zauważyłem z udanym niepokojem i powagą:

— Lękam się, że wtedy ślub nasz może mieć niespodziewaną dystrakcję, bo jak panna Justa poruszona byle jakiem wrażeniem piśnie po swojemu, ksiądz Juljan, bardzo cichy ksiądz, może z przerażenia poplątać słowa przysięgi i...

— I zamiast Terenia tobie, to ty Tereni przysięgniesz posłuszeństwo — dokończył mój ojciec.

— Niestety, nawet w takim wypadku to mu nie grozi — ślicznie pokiwała główką moja urocza dziewczyna.

— Romek! za takie słówko i tak wypowiedziane bucha się do nóżek, niewdzięczniku! — zawołał ojciec.

Terenia śmiała się wesoło, oddając mi ręce.

— O, o!... to także nie w jego stylu.

— Widzę, że Terenia do reszty zawojowana przez narzeczonego — co będzie potem?... — pytała panna Renata.

— Może... vice... versa?...

— Och, mówi to pan bez przekonania i nawet nie wygląda pan na to. Tyran!

Trzepnęła mnie w rękę po swojemu.

Tak mi dobrze z moją najdroższą, że z dnia na dzień

ociągam się z wyjazdem do Krąża. Postanowiłem wyjechać tam za kilka dni, robię to tylko dla babki...

Dziś na podwieczorku u Loursa z Terenią i panną Renatą, spotkaliśmy Szrenicza. Siedział z rękoma w kieszeniach i grobową miną, nad szklanką mleka, patrząc w nią ponuro. Ujrzawszy nas, pobladł, ale, zachęcony uśmiechami panien i moim ukłonem, podszedł zmieszany. Zaprosiliśmy go do swego stolika. Po chwili panna Renata palnęła bez ceremonji:

— Cóż to, nie składa pan życzeń narzeczonym?

— Nigdy! — odrzekł z patosem. — Narzeczeni są enigmą, węzłem gordyjskim, który dopiero życie rozplącze. Składać życzenia można po dwudziestu pięciu latach małżeństwa, ale wcześniej?... taki sam nonsens, jak gdyby kto pisał historję panowania króla podczas jego wstąpienia na tron.

— Słusznie! Podoba mi się pańska teorja! — zawołałem wesoło.

Spojrzał na mnie z podełba.

— Pan teraz wogóle patrzy na świat i ludzi przez lunetę, sięgającą Olimpu. Ale nie trzeba na kwadrydze zwycięskiej wkładać na głowę wieńca laurowego, gdy się ma przed sobą niepobite jeszcze legje barbarzyńskie.

— Jakie legje? co pan plecie?! — oburzyła się Terenia.

— Legje lat małżeńskiego pożycia. A zresztą jesteście dopiero u bram ogrójca szczęśliwości. Triumf zbyt wczesny !

Ubawiony jego emfazą, chciałem mu odpowiedzieć podobnym wersetem, gdy odezwała się panna Renata.

— A jednak pan Roman zdobył nawet — Vici —

o czem pan wątpił w Porzeczu... Okrzyk cezara wypełniony.

Szrenicz wzruszył ramionami.

— Dla wybrańców fortuny nawet Parnas jest łatwym... jak... spacer do Łazienek... Apollo dla niego potrafi nastroić wyłącznie swoją lutnię, a Kupido oddaje mu cały kołczan do rozporządzenia...

Gdy prosiliśmy go na ślub, Szrenicz spytał z brutalną szczerością:

— Czy i młody Orlicz, medyk i... Jerzy Strzełecki będą asystowali przy tej ceremonji?... Jeśli tak, tedy jesteście okrutniejsi niż Achilles, bo trzech Hektorów chcecie wlec za swym rydwanem triumfu.

Terenia zaczerwieniła się ogniście.

— Pan jest obrzydliwy cynik.

— Jestem mieszkańcem ziemskiego padołu i szarych prochów przyziemnych, nie znam wyżyn Olimpu.

— Ale za to retorykę studjował pan w grodzie Priama — rzekła Terenia z uśmiechem.

— Zaś filozofję swoją czerpał pan, zapewne, od Djogenesa — dodałem.

Oczy Szrenicza błysnęły. Przeszył mnie wzrokiem i odparł szorstko:

— Mógłbym na wzór Djogenesa powiedzieć panu: ...Nie zaciemniaj mi słońca, Aleksandrze!...

— Tak, ale ja musiałbym najpierw spytać pana o jego życzenie, jak to uczynił Aleksander — odrzekłem z lekką drwiną. — Ja zaś panu podobnych pytań nie zadaję.

— Zaniechajmy szermierki — wdzięcznie rzekła Terenia.

Rozmowa potoczyła się na inne tematy, zawsze jednak lekko podminowana rozgoryczeniem i bufiastością stylu Szrenicza.

---

24. sierpnia.

Przeżywam epopeję mego życia. Terenia jest jej bohaterką. Coraz silniej ją kocham i codzień czynię w niej nowe dodatnie odkrycia. Oto prócz uroku niewyczerpanego, jak słusznie mówiła pani Hańska, są w Tereni zasoby walorów duchowych i moc porywów polotnych. Imperatywy jej moralnych zasad nie stają w poprzek jej żywotności i fantazji bujnej; okrasza nią wszystkie swoje czyny, zamiary, pragnienia. Jest praktyczna, ale naturę ma szeroką i czasem wydaje się rozrzutną. Zaczęła uczęszczać teraz na jakieś sześciotygodniowe kursy kuchenne. Gdy jej tego broniłem, odrzekła mi kategorycznie, że za mało umie w tej dziedzinie, której dobra znajomość jest dla gospodyni domu niezbędną. Oprócz tych kursów studjuje tam jeszcze coś z zakresu ogrodnictwa praktycznego, uczy się przetworów owocowych i pakowania owoców i kwiatów na eksport, ponieważ ojciec mój nagadał jej o intensywnie prowadzonych ogrodach w Uchaniach. Ale nie dość tego, doucza się muzyki na fortepianie pomimo, iż gra bardzo ładnie, bo dowiedziała się, że jestem znawcą i miłośnikiem tej gry. Zabawny dzieciak!! Ponadto kupiła sobie, ku rozpaczy matki, przybory malarskie, jako to farby

olejne, pastele, blejtramy, atłasy... jakieś jedwabie i wzory do haftów, bo dowodzi, że musi przystroić dom Uchański swojemi robotami.

Książek nakupiła mnóstwo w dobrym doborze, a gdy jej mówiłem, że posiadamy dosyć sporą i obfitą w dzieła bibljotekę — odrzekła mi kapryśnie, że i ona chce coś wnieść do naszego dorobku w tym zakresie. Matka narzeka, że za te sprawunki byłoby więcej rzeczy domowych i strojów potrzebnych dla mężatki, więc Terenia dowiodła jej bardzo wdzięcznie, że bielizny ma multum, a to najważniejsze, że zaś będzie mniej sukienek, to głupstwo. W ferworze swego dowodzenia zwróciła się do mnie z ożywieniem:

— Czy to mało pięć tuzinów koszul i...

Umilkła i stanęła cała w ponsach. Pani Orliczowa zasłoniła rękoma uszy.

— Tereniu! bój się Boga!...

Chwyciłem rączki mojej dziewczyny, spłonionej jak róża i szepnąłem z szelmowskim zapewne uśmiechem:

— Najciekawsze bywa niekiedy to krótkie... i...

— Daj spokój Rom... cóż jestem winna, że pana uważam już za... naszego...

— I ja ciebie za swoją, ukochana... przeto ten „pan" zaczyna mnie już drażnić.

Terenia podniosła się na palcach i szepnęła mi z porozumiewawczym słodkim uśmiechem:

— Mama nie lubi inaczej, trzeba się do tego stosować.

Gdy któregoś dnia pani Orliczowa zasłabła na atak sercowy, Terenia cały dzień przesiedziała przy niej, nie ruszając się krokiem od jej łóżka. Nie mogliśmy jej na-

wet z ojcem namówić, by zjadła z nami obiad w drugim pokoju.

Jest bardzo uczuciowa i entuzjastka, nie reklamuje swego serca, lecz rządzi się niem istotnie. Dlatego też w żadnym wypadku nie jest egoistką. Z ofiarowywanych jej kwiatów część natychmiast oddaje jakiejś skromnej przyjaciółce i koleżance z klasztoru, gdzie się wychowywała, która lubi kwiaty, a nie może pozwolić sobie na ich częste kupowanie. Myśli ciągle o wszystkich, najmniej o sobie. Niepokoi ją Krąż ze względu na mnie, gdyż się obawia, czy tam nie doznam jakich przykrości. Do babki Kunegundy jest usposobiona serdecznie. Zapowiedziała mi, że musimy kiedy z Porzecza odwiedzić przedewszystkiem groby pradziada Hieronima i jej dziada Hradec-Hradeckiego, by te opuszczone mogiły ozdobić kwiatami. Pani Orliczowa słysząc to, smutnie zwiesiła głowę.

— Kilka lat mieszkałyśmy tak blizko, nie wiedząc, że tam w tym Krążu, żył i działał mój ojciec i że jest tam pochowany. Dziwne, dziwne zrządzenie losu.

Pani Orliczowa postanowiła postawić pomnik na mogile ojca.

---

25. sierpnia.

Dziś spotkała nas niespodzianka. Przyjechał stryj Tereni, Piotr Orlicz.

Zastał mnie z narzeczoną. Powitaliśmy się z zacho-

waniem wszelkich form wyszukanej grzeczności. Ściskając moją rękę gentleman ten rzekł z ujmującą swobodą:

— No panie Romanie, spadasz na ludzi prostopadle z nieba, jak sokół, wielki berkut i, porywasz panny, nie zawoławszy nawet... pardon! A tych co ci są na zawadzie roztrącasz i zwyciężasz samem istnieniem swojem. Mój syn przegrał stawkę, poważną, to prawda, ale zawsze przegrał. Pan Albert sam sobie winien! Pan Albert jest safanduła! lecz na jego obronę powiem, że nie przewidział takiego, jak ty, rywala.

Odpowiedziałem mu w stosownym tonie i zapanowała między nami zgoda zapieczętowana uściskiem.

Stryj będzie na naszym ślubie, poczem zabiera panią Orliczową do Porzecza.

— Obrabowałeś, panie Romanie, Porzecze z Tereni, tak, jakbyś zgasił w niem słońce — rzekł ze szczerym żalem.

Lecz zaraz dodał żartobliwie.

— Albo, jakbyś zabrał królowę z ula, szerszeniu jeden!

— Przeniosę ją na kwiatach do swego ula w Uchaniach — odrzekłem z zapałem.

Orlicz pokręcił siwego wąsa.

— Tedy przepowiadam ci... złote miody!....

Z moim ojcem stryj bardzo prędko i łatwo porozumiał się. Obaj należą do jednej epoki, a choć różni ich nieco odmienny styl, to jednak dyplomata Orlicz ulega z łatwością swobodnej szczerości i taktowi mego ojca.

Może łączy ich kult obopólny dla Tereni.

Uchanie, 27 sierpnia.

Wpadłem tu by poczynić niezbędne zarządzenia i przygotować dom na przyjęcie młodej pani. Ganiewicz jest w ósmem niebie, ciesząc się, że dopiąłem celu. Huczał z radości, jak bąk, gdy zarządzał odnowienie domu i pędził służbę do robienia wszelkich porządków.

Będzie drużbą panny Justy. Przynajmniej może on ją zagłuszy. Gdy spytał czy ładna, odrzekłem, że bardzo bogata.

— Coś kręcisz, biesie jeden! Ale jeżeli, naprawdę ma duży majątek, to sama panna, jako dodatek konieczny, niestety, może być mniej tego... tam,... wtedy, uważasz, uroda furda!...

Wiem, że żartuje.

Ganiewicz przekonał mnie, by zabrać z sobą do Krąża kopję testamentu i sygnet pradziada Hieronima. Niewiem na co mi się to przyda, ale zabieram. Ganiewicz mówił:

— A czy ci się nie przydała ta spowiedź pokutnika, gdyś jechał do Wiednia?

— To co innego! Tamto woziłem z sobą, mając stale na myśli odszukanie potomków Hradec-Hradeckiego, jako spadkobierców Sławohory.

— No, już mówię ci, weź tę kopję. Nigdy nie wiadomo, skąd jaki anioł pokaże skrzydła albo djabeł rogi.

Lapidarny w wyrażeniach, ale tęgi chłop i kochany.

Krąż, 30. sierpnia, 6 rano.

Przybyłem tu wczoraj, tak samo jak i pierwszym razem późno w nocy, tylko teraz księżyc biały oświecił mi drogę. Noc sierpniowa była cicha, upalna. Na dworcu oczekiwał stary Krzepa, witając mnie z radością wzruszającą. Powóz galowy zaprzęgnięty w najpiękniejszą czwórkę, odświętna liberja uroczystego Bogdziewicza i uniform strzelecki borowego, o który go nie posądzałem, wszystko to świadczyło jak byłem tu przez całą administrację, i służbę oczekiwany i witany. Bo przecie nie Gabrjel zarządził taką paradę. Czyżby to był pomysł babki?... Wątpię!...

W pawilonie służba męska stanęła strojnym szeregiem na schodach. Korejwo i Chmielnicka oczekiwali mnie u wejścia. Babka, pomimo tak późnej godziny, siedziała w sali jadalnej przy stole. Gabrjela nie było. Babka podała mi rękę serdecznie.

— Dziękuję ci, żeś przyjechał — szepnęła. — Długo na ciebie czekałam.

Twarz staruszki była bardzo mizerna, blada, jakby wyrzeźbiona ostrym rylcem z kości słoniowej. Rysy miała prawie zastygłe, usta zaciśnięte, w oczach jej gorzał jakiś nowy płomień, którego za pierwszej swej bytności nie dostrzegłem. Gdy całowałem jej rękę, babka objęła nagle moją głowę i... o dziwo! na czole uczułem dotyk jej suchych ust.

Podczas kolacji patrzyła na mnie tym zagadkowym płomieniem oczów; u ludzi czynu jest on świadectwem niezłomnej woli, u osób zaś tak zrujnowanych jak bab-

ka... niemym krzykiem duszy... Gdy ją zapytałem o zdrowie, machnęła ręką.

— Duszę mam chorą, nawet konającą, ale ciało!.. trzyma się silnie ziemi, jakby na ironję. Czasby już na mnie, ale muszę żyć, byleby jeszcze....

Ucięła nie dokńczywszy zdania i zaraz zmieniła temat. Żaliła się na Gabrjela, opowiadając o jego brewerjach. Parę razy załamała ręce i, schyliwszy ciężko głowę, powtórzyła z bezmiernym tragizmem:

— Oddany chleb! Oddany chleb!...

W pewnej chwili zawołała głosem pełnym bólu, przejmującym:

— Czy ty wiesz, co Gabrjel mi zapowiedział? Że jak się tylko ożeni z tą lafiryndą, to mnie z Krąża wyrzuci precz, jak starego grata. Sam mi to powiedział.

— Gabrjel jest brutal i wszystko teraz czyni pod wpływem swojej narzeczonej. Babcia nie powinna dopuszczać do takich jego potworności.

— Brutal, mówisz?... To przedewszystkiem głupiec ordynarny, jeśli on nie widzi tego, co widzą wszyscy, począwszy od Kacpra, że Ślazówna go lekceważy a zależy jej tylko na Krążu. Gdyby on jej się podobał jako mężczyzna, doprowadziłaby napewno do innego stosunku. Ty Romku bądź z nią ostrożny, gdyż ona na ciebie zagięła parol, z powodu różnych tu... takich... okoliczności... Dopytuje się ciągle Chmielnickiej, kiedy przyjedziesz....

— Niech babcia będzie o mnie spokojna!

Staruszka ścisnęła mi rękę.

— Spodziewam się i wierzę ci.

— Ja sądzę, że Gabrjel jeszcze się otrząśnie i bielmo spadnie mu z oczu. Niech się babcia tak nie dener-

wuje, bo mam wrażenie, że ten szał Gabrjela bardzo prędko się skończy.

Babka Kunegunda zaśmiała się tym szczególnym zdławionym dźwiękiem śmiechu, w którym nie śmieją się ani usta ani oczy. Lecz odrazu jęknęła żałośnie:

— Oddany chleb!...

Byłem podrażniony i chciałem, by ta przykra rozmowa skończyła się jaknajprędzej. Babka może to odczuła, bo podała mi rękę i rzekła niezwykle miękko.

— Bóg mi ciebie zesłał, Romek. Jego Święta wola! Bóg mi ciebie zesłał na ratunek... Idź, odpocznij.

W swoim dawnym pokoju, długo jeszcze przy otwartem oknie patrzyłem na rzekę, zalaną blaskiem księżyca.

Rozmyślałem jak wtedy, gdym w połowie czerwca spędzał pierwszą noc w Krążu. Ileż zmian przez te dwa miesiące!... Uniosła mnie tęsknota do Tereni i nowy przypływ rozdrażnienia.

Poco jestem tu znowu w tym Krążu?... jaki mnie tu właściwie sentyment wiedzie i jaka naprawdę moja rola?... Ha! zabawię parę dni dla babki, ostatecznie przekonam Paschalisa a jeśli trzeba będzie to i Weroninkę, że właścicielem Krąża jest i pozostanie Gabrjel Zatorzecki, i... wyjadę. Za pilno mi teraz do Tereni, by mnie Krąż mógł interesować tak, jak to było w czerwcu.

W pewnej chwili rozległy się tony muzyki Gabrjela. No, tego warto posłuchać! Wszak on chyba wie, że przyjechałem... niezbyt gościnny! Phi! może już zapomniał, że do mnie pisał.... Rapsodja Liszta rozbrzmiewała huczną skalą tonów. Melodja płynęła zda się po falach rzeki, aż hen, w księżycową dal.... Obiecywałem sobie, że jutro popłynę do puszczy pod pamiątkowe jodły.

Po jakimś czasie z głębokich rozmyślań zbudził mnie szelest poza mną.

Obejrzałem się.

W drzwiach stała Weroninka. Zanim ochłonąłem z niemiłego zdumienia, dziewczyna podbiegła błyskawicznie i zarzuciła mi ręce na szyję.

Uczułem się jak sparzony tym uściskiem.

— Co pani tu robi? — zawołałem zły, odsuwając ją stanowczo od siebie. Ramiona jej zdjąłem ze swojej szyji.

— Pan jest niegrzeczny! ja pana witam, a pan?....

— A ja panią proszę aby pani raczyła opuścić mój pokój.

Ślazówna upadła na kanapkę. Swoim zwyczajem założyła nagie ramiona za głowę. Pierś w białych batystach i koronkach odsłonięta nizko, uwypukliła się przy tym ruchu wyzywająco. Nogi z pod krótkiego szlafroczka, nagie, tylko w czerwonych trepkach, założyła jedną na drugą i patrząc na mnie kokieteryjnie, rzekła zduszonym głosem:

— Tęskniłam za panem....

Stałem przed nią wzburzony i, bardzo uprzejmie, raz jeszcze powtórzyłem żądanie, by opuściła pokój. Ognie strzeliły z jej oczów.

— Nie, nie pójdę!... bo ja wiem doskonale, dlaczego się pan odemnie broni, że niby jestem narzeczoną tego muzykusa?...

Zaśmiała się niegodziwie.

— Niech pan się o to nie martwi!... już ja sobie poradzę... z takim jak on.... Teraz możemy być pewni, on nam nie przeszkodzi, nie odlezie od fortepianu, żeby się paliło. Czekałam na pana a tamten mi obmierzł do reszty.

Wyciągnęła do mnie ramiona i czerwonemi ustami mówiła półszeptem:

— Pan mi się strasznie podoba... ja pana kocham! czy pan tego nie widzi?... czy pan jest jak kamień?... Skosztuj moich ust... raz... a już skuję...

Żądza buchała od niej jak z krateru namiętności; dławiła się żądzą.

Było to coś wprost bezczelnie haniebnego.

Pomyślałem mimowoli, że, gdyby tak ta hetera przyszła do mnie przed dwoma miesiącami, może byłbym bezwzględny nawet w stosunku do Gabrjela. Ale dziś?.... Nie!!... Odczuwałem do niej nieprzeparty wstręt. Jej natarczywość odpychała mnie i gniewała.

Z sali dochodziły teraz subtelne tony muzyki Gabrjela. O ironjo! grał „Warum“ Schumanna.

Stojąc ciągle naprzeciw wyzywającej Weroninki i patrząc na nią spokojnie, rzekłem zimnym głosem:

— Mam nadzieję, że pani usłucha mojej prośby, gdyż w przeciwnym razie ja będę zmuszony opuścić ten pokój.

— Nie, bo zostaniemy w nim razem.

— Czy pani nie obliczyła się z następstwami swego kroku?... czy pani nie rozumie na co się naraża?...

Żachnęła się gniewnie.

— Mówiłam już panu, niech pana o to głowa nie boli... to moja sprawa...

— Ach tak, prawda!... Więc zapowiadam pani ostatni raz, że przez wzgląd na Gabrjela, który tam gra, marząc o swojej narzeczonej i przez wzgląd na służbę w pawilonie....

— Wszyscy śpią! — przerwała bezwstydnie. Jesteśmy zupełnie swobodni...

— ...Żądam aby pani wyszła stąd natychmiast — dokończyłem ostro.

— A jeśli tego nie zrobię, to mnie pan wyniesie na rękach? — sarknęła. — Owszem, niech mnie pan weźmie na ręce, tego właśnie chcę!...

Zerwała się i padła mi na piersi, przylgnąwszy do mnie całem ciałem ciasno i silnie, jak ślimak do skorupy. Sięgała do moich ust. Na szczęście jestem za wysoki i wysoko trzymałem głowę.... Odszarpnąć ją od siebie i rzucić na ziemię byłoby dziełem jednej sekundy, lecz brutalem nie jestem. Więc... uniosłem ją w górę i poszedłem w stronę drzwi, zdecydowany. Weroninka zrozumiała mnie inaczej, bowiem wtuliła twarz w moją kamizelkę i szepnęła zdyszana.

— O tak!... tak! Niech pan zamknie drzwi na klucz...

— Właśnie, zamknę na klucz!

Z temi słowami otworzyłem drzwi i prędko niosłem ją przez pokój następny do małego saloniku, tuż obok sali muzycznej Gabrjela.

Zorjentowała się.

— Dokąd pan idzie?... Co to znaczy?...

Położyłem ją na kanapie, w salonie oświetlonym tylko księżycowem światłem wpadającem przez okno.

— Tu będzie pani lepiej słyszała muzykę narzeczonego. Przyjemnych marzeń — rzekłem grzecznie i opuściłem salonik.

Za chwilę byłem u siebie, przekręciwszy klucz w zamku. Odetchnąłem z ulgą.

Pawilon rozbrzmiewał dalej melodją Schumanowską, która była takim dysonansem dla mnie, że pragnąłem by Gabrjel zaczął grać co innego. Lecz „Warum“ tęskniło jakby się skarżąc.

Biedny Gabrjel! Czyż nie posiada on najelementarniejszej intuicji i poczucia własnej godności, że pozwolił się opanować takiej dziewce, jak ta zmysłowa samica. I przez nią, bo tylko przez nią, stał się tak ordynarnym w stosunkach z ludźmi?... A przecież jest on pierwszorzędnym artystą o bardzo subtelnem poczuciu piękna o duszy niezwykle wrażliwej na każde drgnienie serca, zaklęte w muzyce. Och, gdybyś mógł, gdybyś umiał odczuć drgnienia serca w swojej narzeczonej, którą szanujący się mężczyzna musi za drzwi wyrzucać, jak natrętną lubieżnicę. Ale cóż! Weroninka chwyciła cię mądrze w jasyr swoich zmysłowych podniet i zaślepiłeś się w niej, jak stary, zdegenerowany ramol. Gdybyś nie był zarozumiałym cynikiem, mógłbym cię uświadomić dla kogo grasz takie cudowne rzeczy i komu składasz tak bezkrytycznie swoje czołobitne hołdy. — Ale nie chcę się mieszać do waszych spraw, bo ostatecznie cóż mnie może obchodzić twoja miłość! Człowiek każdy jest w znacznej mierze budowniczym własnego gmachu szczęścia, lub niedoli. A już w kwestji małżeńskiej tembardziej. Nie można przewidzieć jak się pożycie małżeńskie dwojga ludzi ułoży, zwłaszcza, że istotnie narzeczeństwo jest enigmą, wedle słów Szrenicza. Ale kobieta, z którą los swój sprzęgamy, chyba zawsze może nam dawać pewne gwarancje, idące w tym czy innym kierunku. Jakieś odcienia i sprzeczności subtelne w naturze kobiecej mogą być trudne do zrozumienia i mogą sprawiać nam niespodzianki. Lecz takie grubo ciosane natury jak Weroninka same się odrazu tłomaczą bez niedomówienia. I chyba najsilniejsza miłość nie zdoła oślepić mężczyzny do tego stopnia, by nie zdawał sobie sprawy, kto zacz jest jego wybrana. Chyba, że wyboru niema, ale może się to

zdarzyć tylko w jakiemś bezmiernem oddaleniu od środowiska ludzkiego.

Długo jeszcze w nocy koncert Gabrjela był akompanjamentem do moich rozmyślań na taki stary, oklepany temat, jak stosunek mężczyzny do kobiety. Gabrjel grał Mozarta, potem Beethovena, Wagnera, Verdiego, Griega. Zasnąłem przy cichych preludjach... Chopina.

Dziś rano, o piątej, obudził mnie szalony świst wichru i grzmoty. Burza rozsrożyła się nad Krążem z gwałtowną nawałnicą deszczu. Ubierałem się przy blasku nieustających błyskawic. Piorun za piorunem uderzał w rzekę, aż się mury trzęsły. Rzeka wyglądała jakby ją gigantyczne jakieś miny wysadzały w górę. Zbałwaniona, pokryta fryzami białych pian ryczała dziko, przewalając się wściekle w swem korycie i ciskając na piasek nadbrzeżny mnóstwo spienionych odprysków. Deszcz siekł z góry kaskadą strumieni, wicher uderzał z taką zajadłością, że rzeka niby gad ćwiczony batami, wzdymała się w konwulsjach bezsilnego gniewu.

Lubię burzę, zwłaszcza nad dużą wodą, lub w lesie. Przyglądałem się długo rozkiełznanemu żywiołowi przyrody i dopiero później po nasyceniu się widokiem usiadłem w blaskach błyskawic do pisania.

Teraz jest dziewiąta, deszcz przestał padać, chmury znikły, przebłyskuje słońce przez pryzmat wspaniałej wielobarwnej tęczy, która łukiem otacza Krąż jakby go wieńcząc.

Ten bogaty barwą łuk występuje z prawej strony rzeki, za lasem i ginie na drugim krańcu horyzontu, hen poza zamkiem, przecinając ukośnie rzekę królewską wstęgą, świetną w kolorach.

Wydobyłem z portfelu fotografję Tereni. Uśmiech-

nęła się do mnie moja umiłowana dziewczyna, oczy jej urocze wróżą mi szczęście i dają najlepsze natchnienie.... Jest ona dla mnie bajecznym... kwiatem paproci, istotnym skarbem, znalezionym w puszczy Krąża...

Wyobrażam sobie zdziwienie babki Zatorzeckiej gdy jej opowiem o mojej Tereni. Ciekawym dnia dzisiejszego, głównie spotkania z Gabrjelem.

Idę na śniadanie.

Krąż 30 sierpnia, 12 w nocy.

Mój zeszyt pamiętnikowy jest mi, jak widzę, najskuteczniejszem lekarstwem na nerwy wzburzone niebywale. Przeżywam w nim powtórnie przeżyte chwile i to mnie uspokaja, daje często dobre myśli, łagodzi. Więc i teraz porywam pióro, by powtórzyć sobie to, co dziś mnie spotkało. Jednakże dzisiejsze wypadki przewyższyły wszystkie zdarzenia jakie dotychczas przeżywałem w Krążu i z powodu Krąża. O śnie niema mowy! Zresztą dziś nikt w całym Krążu napewno nie śpi...

Po burzy o dziewiątej rano wyszedłem na śniadanie, zastałem w sali stołowej Gabrjela, jedzącego zachłannie. Był ubrany z większą abnegacją niż zwykle: bez krawata, kamizelkę miał niedopiętą, włosy w nieładzie. Ale monokl tkwił w oku i zdawał się szydzić ze swego stanowiska. Gabrjel był sam. Ujrzawszy mnie wyciągnął rękę na powitanie. Palce miał powalane tłusz-

czem od szynki i brudne paznogcie. Przemówił ustami pełnemi jedzenia.

— Zapomniałem, żeś przyjechał, no, ale była noc, a dziś ta przeklęta burza zbudziła mnie wcześnie. Weroninka także nie mogła biedaczka spać, bo pioruny trzaskały. Podczas burzy siedzieliśmy oboje tutaj, a teraz poszła się ubierać.

— Ty za to nie bardzo się stroisz do narzeczonej — rzekłem rozśmieszony jego wyglądem.

Gabrjel nadął się i odparł naiwnie.

— Weroninka kocha mnie samego, nie zaś moją oprawę. To dziewczyna bardzo rozumna i głęboka.

— O o o! tak! — potwierdziłem hiperbolicznie.

Gabrjel rzucił na mnie wzrokiem niepewnym.

W tej chwili weszła Weroninka bardzo wyniosła i dumna. Jednocześnie Kacper zaanonsował mi uroczyście, że borowy Krzepa chce się ze mną widzieć.

Skłoniwszy się Weronince, chciałem wyjść, gdy w tem Gabrjel porwał mnie za rękę i pokazując na Ślazównę rzekł krzykliwie:

— Powiedz, Romanie, mojej narzeczonej, kto jest właścicielem Krąża.

Popatrzyłem na niego jak na idjotę. Weroninka była czerwona i zła. Gabrjel miał w oczach głupi wyraz, śmiał się przykrym śmiechem. Odczułem, że on mi zadaje to pytanie tylko z jej powodu.

— Czy tu zachodzi jaka wątpliwość i czy komu z nas na tem zależy? — spytałem wzruszając ramionami.

— Jej zależy, bo uważasz, jej kochany papcio nagadał, że to nie ja, lecz ty jesteś panem na Krążu, no i... ona... uwierzyła — ha, ha! — zachichotał nieprzyjemnie.

Weroninka targnęła go za ramię bez ceremonji.

— Milczałby pan już! — rzuciła wulgarnie.

Przyszła mi złośliwa myśl do głowy. Zwrócony do Weroninki, ukłoniłem się jej z przesadną grzecznością i rzekłem:

— Wiem jak bardzo kocha pani swego narzeczonego i że pani, naturalnie, nic a nic nie zależy na tem, czy on jest, lub nie właścicielem Krąża. Ale na wyraźne życzenie Gabrjela odpowiadam, chcąc panią uspokoić zupełnie, by już nie było kwestji, że Krąż należy do pani narzeczonego.

Skłoniłem im lekko głową i opuściłem salę.

Wezwałem do siebie Krzepę, zacząłem z nim rozmawiać.

Borowy prosił mnie, bym zaraz poszedł do zamku, bo z Paschalisem dzieje się coś niedobrego. W nocy czekał na mój przyjazd a gdy mu potem Krzepa wytłomaczył, że przyjdę dopiero rano, wpadł w rozpacz i już od świtu w bibljotece wyprawia różne dziwy.

W trakcie opowiadania Krzepy, przebiegł koło nas roześmiany Kacper. Usłyszałem jak obok w garderobie opowiadał głośno służbie.

— A to Gabrjel klęczy przy Ślazównie i całuje ją w łydki, a ona, nogi wysunąwszy naprzód, beczy czegoś, hi, hi, pewno ze złości bo i klnie i chustkę drze zębami. Mnie wypędziwszy z pokoju jak psa! Hi, hi, hi!...

Krzepa usłyszał również to samo i pokiwał głową żałośnie. Z garderoby dobiegł głos starszego lokaja:

— Ot kiedy nieszczęście, to nieszczęście!...

Wychodziłem już z Krzepą z pawilonu, gdy Chmielnicka biegnąc pędem w moją stronę odwołała mnie do babki.

Staruszka była jeszcze bardziej podniecona, niż

wczoraj. Wygląd jej był zagadkowy, jej dziwny niepokój udzielał się mimowoli. Miałem wrażenie, że tę kobietę otacza jakaś atmosfera trwogi, że ją ciągle coś przeraża. Rozglądała się dokoła niepewnie jakby ktoś był w pokoju, niewidzialny tylko dla niej. Ten jej popłoch nieustanny przygnębiał i drażnił jednocześnie.

Zadała mi pytanie zdawkowe, czy dobrze spałem, i naiwne, czy się nie bałem burzy. Snać zupełnie co innego mówiła niż myślała. Nagle rzuciła pytanie gorączkowe:

— Paschalis cię wzywa?... podobno... zwarjował?...

— Jest chory!... idę do niego.

— Zostań jeszcze!... zostań!... Roman! — krzyknęła ze strachem chwytając moją rękę.

Długich parę minut milczała, siedząc ze zwieszoną głową i rękoma założonemi na piersiach. Potem zaczęła mnie wypytywać o dom, o ojca: czy ojciec pytał o nią, czy pytał o Krąż, skąd znam Strzełeckiego, który był w Krążu, dopytując się o mnie.

— Poznałem Strzełeckiego na balu w Porzeczu, 29 czerwca.

Babka zrobiła wielkie oczy.

— Ty byłeś w Porzeczu... Skąd?... co?... nic mi o tem nie mówiłeś....

Wtedy wyznałem jej wszystko — od spotkania się z Terenią, aż do zaręczyn z nią w Wiedniu. Babka słuchała zdumiona, wlepiwszy we mnie czarne jaskinie swych źrenic. Pokazałem fotografią mojej narzeczonej. Staruszka patrzyła ciekawie i szepnęła:

— Orliczówna?... a tak! Ona z matką w Porzeczu mieszka od niedawna. Śliczna dziewczyna!... Ależ ona

miała być zakonnicą?... Orlicz przeznaczał ją także dla swego syna.

— Doskonale babcia poinformowana — uśmiechnąłem się.

— Wiem wszystko, co się dzieje w okolicy. Wiem, że mnie nazywają czarownicą, niektórzy, a pewno i gorzej.....

Zadrżała, jakby pod wpływem jakiejś bolesnej myśli.

— Boże, bądź miłościw — usłyszałem jej cichy szept. Poczem spytała mnie znowu z żywością.

— Więc się żenisz, Romek?... robisz dobry wybór. Gdy Orliczówna zamieszkała w Porzeczu, myślałam, że może Gabrjel z nią się ożeni, zanim ta lafirynda nie przewróciła mu w głowie. Ale Orliczówna nie chciała Strzełeckiego, więc tembardziej nie chciałaby Gabrjela.

Rękoma zakryła oczy.

— Zatorzeccy zgubieni!... na zatratę idą... Oddany chleb!... Sprawiedliwa ale niemiłosierna zemsta ojca i... Marcelego....

— Kogo? — spytałem z naciskiem.

Wyprostowała się nagle.

— Twego dziada, Marcelego Poboga, za... za... Dowiesz się za co! — krzyknęła.

— Może być babcia pewna, że ani mój dziad, ani ojciec, ani ja... nie jesteśmy zdolni mścić się za krzywdę!

Sam niewiem, jak mi te słowa wypadły z ust, tak byłem wzburzony...

Babka nagle błysnęła strasznie oczyma i... zwisła na fotelu prawie sina.

Zemdlała.

Przestraszony zacząłem ją cucić, wezwawszy do

pomocy Chmielnickiej. Po długiej chwili staruszka odzyskała zmysły. Tragiczne jej oczy spoczęły najpierw na mnie, gdyż byłem nad nią pochylony. Patrzyliśmy na siebie. Babka dotknęła ręką, zimną jak lód, mojej ręki. Rzekła głosem cichym, wyczerpanym:

— Ty musiałeś bardzo kochać matkę swoją, dawno to już odczułam, ty masz serce.

Na jej prośbę musiałem opowiadać szeroko o moich rodzicach, o ich życiu w Uchaniach, o swojem dzieciństwie, potem o Tereni. Babka nie spuszczała ze mnie wzroku.

— Jesteście szczęśliwi!... w szczęściu idziecie przez życie!... Ja... w wiecznej męce... zgrzyty w duszy, z każdym rokiem zgrzyty były silniejsze,... wyrzuty okrutniejsze!... O, o!... Krąż nie ozłocił życia, Krąż złamał całe życie... tyle tylko zyskałam... i... w końcu taki wnuk, jak Gabrjel....

Przesiedziałem z babką długich kilka godzin. Gdy chciałem odejść, zatrzymała mnie trwożliwie.

— Zostań! Boję się!

Byłem pewny, że babce grozi poważna choroba nerwowo mózgowa, w połączeniu z histerją.

Nie miałem serca odejść od niej, tembardziej, że jej niepojęta obawa wzmagała się z każdą prawie chwilą. Drugiego śniadania nie jadła wcale, mnie zaś broniła iść do stołowego pokoju, dokąd sama nie wychodzi, od czasu, gdy Gabrjel wprowadził tam Weroninkę... Była tam tylko wyjątkowo wczoraj w nocy, na moje spotkanie.

Ja jednakże nie chcąc, by mnie Gabrjel posądził o jakieś konszachty z babką, zmanewrowałem tak, że wreszcie wymknąłem się z pokoju, przepełnionego wonią octu i eteru, do sali stołowej. Tam odrazu Korejwo i Chmiel-

nicka oznajmili mi, że Krzepa desperuje z powodu, iż nie idę do zamku, gdy on z Paschalisem rady sobie już dać nie może. Załatwiłem się prędko z jedzeniem, słuchając monotonnych słów Korejwy, który się litował nad Paschalisem, i gadatliwego terkotania Chmielnickiej. Gabrjel z Weroninką szeptali ostentacyjnie tylko z sobą.

Po śniadaniu podążyłem z Krzepą do zamku. Borowy prowadził mnie w głąb gmachu, ponieważ Paschalis był w bibljotece.

— Cóż on tam robi? — zaciekawiłem się.

— Od paru dni szuka testamentu. Całą bibljotekę od góry do dołu przewrócił. W nocy szukał w sali portretowej. Chodził ciągle z tym bronzowym świecznikiem; w zwyczajnym czasie sam prawie go udźwignąć nie może, a teraz go nosi jak pióro i wcale nie zapala. Po ciemku łaził i szukał za portretami, we wszystkich kątach. Potem upadł jak długi i spał kamiennym snem ze dwie godziny. Obudził się i teraz...

Krzepa zrobił tajemniczą minę.

— Teraz Paschalis mówi coś jak w jasnowidzeniu. Strach patrzeć na niego.

— Cóż on mówi?

— Jaśnie pan sam usłyszy. Paschalis już chciał iść do pawilonu, żeby szukać jaśnie pana. Ledwo go zatrzymałem.

Mijając salę portretową, zauważyłem nieład, porozrzucane na posadzce i stołach szpargały, niektóre porwane jakby w złości. Bronzowy, stary świecznik, z połamanemi świecami, snać niezapalanemi oddawna, może od czasu, gdym zwiedzał pierwszy raz zamek, stał na stole blisko portretu pradziada. Gdy weszliśmy do bibljoteki, przeraziłem się wyglądem Paschalisa. Był to

kościotrup powleczony skórą żółtą jak wosk, zczerniałą. Oczy świeciły niby karbunkuły fosforycznym blaskiem. Stał jak jakiś potworny mag wśród stosów książek, starych pergaminów, poszarpanych zeszytów, zwalonych w nieładzie na podłogę.

Ujrzawszy mnie, wydał okrzyk głośny i rzuciwszy się po przez zatory ksiąg, runął przedemną na kolana. Objął mnie ramionami za nogi tak mocno, że kroku postąpić nie mogłem. W oczach miał wyraz półprzytomny, rozpaczliwy i błaganie.

Wołał głosem ochrypniętym:

— Jaśnie pan nasz! nareszcie!... nareszcie!... jaśnie pan nasz jest!... Już nas nie opuści! nie odjedzie!... na wieki zostanie w Krążu, na wieki!

Z trudem dźwignąłem go z kolan.

— Uspokójcie się, proszę was, Paschalisie!

— Jaśnie panie, ja wiem wszystko, wiem już wszystko. Teraz do dzieła... Zatorzeckich wyrzucić precz! za granicę Krąża. Wyrzucić podłych renegatów, uzurpatorów... oszustów!...

Przemówiłem do niego ostro, by milczał. Zgiął się zalany łzami, całował moje kolana, ręce, ramiona i coraz głośniej wołał jedno w kółko, że teraz trzeba wypędzić Zatorzeckich. Zirytowany spytałem go wreszcie, czy znalazł testament.

— Jaśnie pan go znalazł, już wiem! Jaśnie pan go znalazł! Dziś w nocy objawił się mi sam pan Hieronim i ksiądz pokutnik. Oni mi to powiedzieli.

— Oszaleliście!!

Czułem, że drętwieję pod niesłychaną mocą wzroku tego jasnowidza-maga.

Paschalis uderzył się pięścią w zapadłą pierś aż jęknęło.

— Jak kocham Boga, jak pragnę szczęśliwego skonu, tak dziś w nocy nawiedziły mnie znowu duchy pana Hieronima i księdza pokutnika. Widziałem ich wyraźnie. Słyszałem głos pana: „Pobóg na Krążu, idź w pokoju sługo Boży!"... A ksiądz patrzał na mnie łaskawie jak nigdy i wskazał mi na ręce swoje bez pergaminów, które zawsze nosił. Powiedział wyraźnie: „Wyzwolonym!" To znaczy, jaśnie panie, że testament znaleziony. Ja ich rozumiem! Ksiądz wyzwolony z pokuty za niespełnienie przysięgi — a słowa mojego pana: „Pobóg na Krążu", to znaczy to samo, że testament znaleziony. „Idź w pokoju sługo Boży"... to do mnie, to mnie woła Bóg...

Paschalis obsunął się powtórnie na kolana. Złożył ręce z błaganiem:

— Najdroższy nasz jaśnie panie, ty nie ukrywaj testamentu! nie idź przeciw woli Boga! Znalazłeś testament, a nie chcesz tego wyznać. Za ciężki kamień krzywdy rzucasz chlebem na Zatorzeckich! Nie godni tego! Nie godni!!... Panie nasz, zmiłuj się nad Krążem, zmiłuj się nademną!... Zmiłuj się!...

Krzepa ukląkł obok Paschalisa i objął mnie również za kolana. Zawołał ze łkaniem:

— Zmiłuj się, panie nasz, nad Krążem! Zmiłuj się! Zmiłuj!

Tak okropne było dla mnie to błaganie tych dwóch starców, że ścierpłem cały. Walczyłem z sobą, nie wiedząc co robić.

Gdy im pokażę kopję testamentu, Paschalis, będący w niesłychanem podnieceniu, gotów skonać tu przy mnie, z rozpaczy i zawodu.

Milczałem.

— Zmiłuj się panie!... Zmiłuj się nad Krążem!...

Te dwa głosy wyprowadzały mnie z równowagi.

— Ja testamentu nie znalazłem — odrzekłem wreszcie głucho.

Paschalis zerwał się z kolan i chwycił mnie za rękę z siłą zadziwiającą. Ciągnął mnie za sobą. Wyprostowany szedł krokiem nienaturalnym, martwym jakimś, jak nakręcony mechanicznie manekin. Dążył do sali portretowej. Krzepa wlókł się za nim zgnębiony. Paschalis zatrzymał się przed portretem pradziada, podniósł rękę w górę i zawołał potężnie, rozkazująco:

— Na ten portret pradziada swego przysięgnij, żeś testamentu nie znalazł.

— Paschalisie!!...

— Przysięgnij, jaśnie wielmożny panie, najdroższy nasz panie!... przysięgnij na ten portret, na prochy pradziada! Przysięgnij!!

Postanowiłem powiedzieć wszystko.

— Przysięgam, że znalazłem kopję testamentu, spisaną przez księdza Halmozena, ale tylko kopję z sygnetem, którym oryginał testamentu był pieczętowany. Oryginału nie znalazłem.

Paschalis i Krzepa patrzyli na mnie w popłochu... Wtedy wyjąłem z kieszeni woreczek zamszowy, z sygnetem Pobogów. Oddałem go Paschalisowi. Obaj starzy pochylili się nad nim.

— Ten sam! ten sam! to sygnet pana Hieronima... sygnet nieboszczyka... jaśnie wielmożnego Poboga.

Paschalis ucałował pierścień nabożnie, poczem utkwił we mnie oczy pałające w wyrazie bezdennego zdumienia.

— Kopję... tylko kopję... gdzie ona jest?...

Zwróciłem się do Krzepy z poleceniem, by z pawilonu przyniósł moją walizkę.

Stary wybiegł pośpiesznie. Paschalis patrzał na sygnet. Oczy zwilżyły mu się łzami. Rozpatrywał pierścień szczegółowo, w rozdygotanych rękach, obracając go na wszystkie strony. Powtarzał cichym, łzawym głosem:

— Ten sam, ten sam! Tym sygnetem pieczętował testament... podawałem lak... pamiętam jakby to było dziś... To nie kopję, to oryginał testamentu jaśnie pan znalazł... Kopji żadnej nie było!...

Zachichotał śmiechem ironji i zwątpienia w prawdę moich słów. Szyderstwo było w tym śmiechu szatańskim.

Krzepa nie wracał długo. Niecierpliwiłem się, bo Paschalis mnie męczył swoim wzrokiem i widoczną niewiarą.

Gdy nareszcie borowy powrócił, niosąc walizkę, zrobiłem mu cierpką wymówkę za marudztwo.

— Ale... bo tam, w pawilonie... jaśnie panie, coś się dzieje, czy co? — rzekł z zagadkowym wyrazem twarzy.

Nie zwróciłem uwagi na jego słowa... Otworzyłem walizkę i pokazałem dokument. Paschalis zatrząsł się cały.

— Pismo księdza!... To testament! — zawołał z wybuchem. — Gdzie podpis, gdzie podpis pana Hieronima?!

Chwycił za papier. Uniosłem w górę dokument.

— Więc słuchajcie!...

W miarę czytania odczuwałem, że zbliża się jakaś chwila decydująca, że zaraz nastąpi coś nieoczekiwanego, coś epokowego, co się już nasuwa jak przeznaczenie... Wrażenie tego było tak silne, że poddałem się mu w zupełności... Coś się zbliża, coś zaraz nastąpi...

Spojrzałem na Paschalisa.

Oczy starca, przed chwilą pełne łez, stawały się teraz drapieżne, sępie...

Skończyłem czytanie.

— Gdzie to jaśnie pan znalazł? — spytał Krzepa.

— W skrytce zegara pod rzeźbą szczytową, w bibljotece.

Krzepa porwał się za głowę.

— Boże, mój Boże! Nikt z nas nie wiedział o skrytce w starym zegarze. Szukaliśmy w środku szafki, przy samym cyferblacie. Jezu! Jezu! Ale gdzież oryginał testamentu? Gdzie?...

Wtem rozległ się dziki wrzask Paschalisa.

— Wykradli testament!... Ooo!!... Zatorzecka wykradła! Zbrodniarka! Złodziejka!...

W furji zwrócił się do portretu i z wyciągniętemi ramionami w górę, jął tak nielitościwie kląć Zatorzeckich, głównie babkę, że nie mogłem tego słuchać dłużej.

Krzepa oparty czołem o ramę portretu, trzymał się oburącz za głowę i ryczał jak bóbr, rozdzierającym szlochem. Płacz borowego był jeszcze okropniejszy, niż przekleństwa Paschalisa, już prawie niepoczytalne.

Skoczyłem, by odciągnąć Paschalisa od portretu.

— Milczeć!... Milczeć! — krzyknąłem groźnie. — Boga się nie boicie, którego wzywacie! Dosyć!...

Chwyciłem za ręce zapamiętałego starca, chcąc go wyprowadzić z sali, by przerwać nareszcie ten straszny paroksyzm jego.

Krzepa na dźwięk mego głosu wyprostował się przedemną jak struna i jęknął:

— Jezu!... A toż co?!

Przypomniałem mu widocznie pradziada.

Odwróciłem się z Paschalisem od portretu, w stronę sali, gdy nagle, opętany starzec skurczył się jakoś jak tygrys do skoku, wyrwał mi z rąk kopję testamentu i ze zwierzęcym rykiem rzucił się naprzód, biegnąc do drzwi.

Spojrzałem i... krew mi ścięła się w lód...

W drzwiach sali stała babka Zatorzecka.

— Oto kopja testamentu, znaleziona w zegarze!!... Zbrodniarko! Oszustko!... Złodziejko!... gdzie testament?... Tyś go wykradła... ty! ty!! — wrzeszczał Paschalis.

Jednym susem ocaliłem babkę od ciosu wściekłej pięści straszliwego dziada. Chwyciłem z tyłu jego rękę tuż nad jej głową w kleszcze swojej dłoni. Krzyknąłem na Krzepę i obaj obezwładniliśmy szaleńca.

Trzymany silnie za ramiona, miotał bezecnemi wyzwiskami na tę kobietę, stojącą jak słup, bez ruchu, bez słowa. Ręce miała splecione na piersiach, chude, przezroczyste palce drżały febrycznie, twarz jej była kamienna, oczy wbite w ziemię, usta zaciśnięte tak, że tworzyły tylko wklęsłą linję bolesną.

Za nią stała Chmielnicka przytulona do drzwi, w niemem przerażeniu. Za progiem, w korytarzu, ujrzałem Korejwę bladego śmiertelnie. Czaiło się tam jeszcze kilka osób.

Przez chwilę zdawało mi się, że śnię. Groza jakaś niepojęta zawisła nad nami. Odciągaliśmy Paschalisa w tył machinalnie. Krztusił się, a nie przestawał ciskać obelg hańbiących, wytykając babce kradzież testamentu i majątku. Wreszcie zakryłem mu usta dłonią. Wtedy zabrzmiał w sali silny, ale tępy głos Zatorzeckiej:

— Nie uciszaj go, Romanie. On ma prawo bluzgać na mnie przekleństwem. On mówi prawdę!

Podniosła głowę do góry, oczy utkwiła w moich oczach.

— Ja wykradłam testament Hieronima Poboga, mego ojca.

W głuchej ciszy, jaka zapadła po tych słowach, usłyszałem głęboki, świszczący, ciężki oddech starej kobiety. Z takim oddechem chyba sumienie zwala z siebie głazy, zbrodnia wydaje na siebie wyrok.

Zaszeleściało... Babka wyjęła z pod burki zwój papierów, owiniętych czarną taśmą. Odwróciła głowę wstecz i spytała sucho:

— Czy Gabrjel tu jest?

Odpowiedziało jej grobowe milczenie. Ale w tym samym momencie Korejwo wepchnął prawie Gabrjela z korytarza do sali. Zatorzecki blado siny, drżący jakby ze strachu, patrzał dokoła zmieszany, bezradny. Za nim dostrzegłem Weroninkę, Ślaza, Bogdziewicza, kucharza, starszego lokaja z pawilonu i Kacpra.

Paschalis stał między mną i Krzepą, z oczyma wlepionemi w Zatorzecką, pochylony naprzód, z wyciągniętą szyją. Milczał, więc puściłem jego ramiona ale tak się trząsł, że musieliśmy go znowu podtrzymać, by nie upadł.

Babka postąpiła kilka kroków naprzód i dając ręką znak stojącym za nią osobom, zawołała zawsze tym tępym, szczególnym głosem:

— Chodźcie tu wszyscy, wszyscy... bliżej!...

Stanęła naprzeciw portretu Hieronima, podniosła na niego oczy. Zmierzyli się wzrokiem; martwy portret ojca z czasów młodości, z żywą córką... staruszką.

Drgawki konwulsyjne przebiegły po marmurowem

obliczu Zatorzeckiej. Przez długą, złowrogą chwilę patrzyła na portret, spojrzała na mnie, znowu na portret i... spuściła oczy na zwój papieru. Rozwinęła rulon spokojnie, ale drżącemi rękoma i przemówiła:

— Tu przed portretem ś. p. ojca mego, Hieronima Poboga, czytam jego ostatnią wolę, zawartą w tym oto testamencie, spisanym ręką księdza Bernarda Halmozena, przyjaciela ojca i spowiednika, z podpisem własnoręcznym testatora. Testament ten, ukryty przez księdza Halmozena w skrytce zegara w bibljotece zamkowej, ja Kunegunda Zatorzecka, własną ręką wykradłam, w nocy, w wilję śmierci księdza, gdy on był już nieprzytomny. Czynem tym skrzywdziłam mego starszego i jedynego brata, Marcelego Poboga, i jego małoletniego syna, Pawła. Skłamałam przed ojcem, że Marceli zginął, płynąc do Ameryki, mimo, iż wiedziałam dobrze i ja i mój mąż Ksawery, że brat mój z żoną i z synem żyją i że cierpią biedę w Paryżu. Zbrodnia moja zemściła się na mnie okrutnie. Zniszczyła mi całe życie, rzucając na nie klątwę. Zbrodnię swoją wyznaję teraz ze skruchą, wobec portretu mego ojca Hieronima, wobec was dwóch; Paschalisa Tuleji i Łukasza Krzepy; ostatnich świadków sporządzenia testamentu; wobec mego wnuka Gabrjela Zatorzeckiego i wobec Romana Poboga, rodzonego wnuka mego ś. p. brata Marcelego, czyli w prostej linji prawnuka, po mieczu Hieronima Poboga. Wobec was wszystkich zebranych odczytuję testament mego ojca.

I zaczęła czytać oryginał dokumentu, czyniącego Pobogów dziedzicami Krąża. Czytała głosem podniesionym i stała prosta w swej burce długiej, wytartej, w której ją poznałem, z gruszkami pereł zwisających na kołnierzu burki. Twarz jej była surowa a zimna jak

głaz. Cała postać miała w sobie moc bohaterskiego samooskarżania się i zaparcia się siebie. Wszyscy, ilu nas było, patrzyliśmy na nią z zatajonym oddechem i podziwem.

Paschalis trząsł się coraz bardziej i tak już ciężył nam sobą, że ja i Krzepa ledwo utrzymywaliśmy go na swych ramionach.

Staliśmy, słuchając... Końcowe ustępy testamentu, w których testator zwraca się do dzieci: córki Kunegundy i syna Marcelego, zwłaszcza do córki, oraz ostatnie słowa, babka czytała prawie z mozołem, sztucznie, z męką wyraźną. W głosie jej odczuwało się tamowane łkanie:

„Dzieci moje, Marceli i Kunegundo, pamiętajcie i zanotujcie w sercach waszych: — Lepiej być stokrotnie skrzywdzonym, niż raz krzywdzicielem. Każda krzywda zawsze zemści się okrutnie, każdy skrzywdzony nagrodzony będzie kosztem krzywdziciela. Duszę swoją polecam ci Panie. Amen".

Słowa te akustyka sali uniosła w głąb i powtórzyła echem parokrotnie: Amen! Amen!

Milczenie!

Nikt nie śmiał odetchnąć. Babka Kunegunda stała wpatrzona w portret, pod pręgierzem spojrzeń w bezmiernej ciszy. Zdawało się, że wszyscy zmartwieli w bezruchu, jakby znowu pod wpływem jakiegoś fantomu. Moment ten wydał się wiekiem.

I oto babka rozwinęła drugi jakiś papier i donośnie, z nowym zasobem sił, czytała własną już wolą spisany akt oddania Krąża, na mocy testamentu pradziada, jego prawnukowi w prostej linji po mieczu.

Dobitnie wymieniła moje imię i nazwisko.

Gabrjela wyposażała spłatą z Krąża, ograniczoną ściśle tak, jak miała być spłaconą ona, jako córka Hieronima.

Skończywszy czytanie, umilkła.

Cisza! tylko echo ważkich słów szemrało pod stropem mahoniowych kasetonów sali. Babka Zatorzecka zwróciła się do mnie:

— Romanie, w ręce twoje oddaję testament twego pradziada i cały Krąż... Pobogowie nie przestawali być właścicielami Krąża, ale nie wiedzieli o tem... Ja tylko wiedziałam zawsze, że Krąż to ich dziedzictwo.

Zwróciła się do obecnych:

— Wy wszyscy zebrani tu słyszeliście testament mego ojca. Właścicielem dziedzicznym Krąża jest prawnuk Hieronima, obecny tu — Roman Pobóg...

Coś jeszcze zaczęła mówić, gdy zagłuszył ją krzyk Paschalisa.

Starzec ten, przed chwilą omdlewający, wyszarpnął się z rąk moich i Krzepy i, wyrzuciwszy w górę ramiona, wrzeszczał nieludzkim głosem:

— Pobóg na Krążu! Pobóg na Krążu!...

Porwał gwałtownie ze stołu stojący tam świecznik antyczny, uniósł go w rękach wysoko i obłąkany radością, potężny w swem podnieceniu, przerażający w wyglądzie, biegł wzdłuż sali pod portretami, krzycząc bez tchu:

— Pobóg na Krążu!

Było coś tak olbrzymiego w tym tytanicznym wybuchu starca, taki bezbrzeżny ogrom entuzjazmu i szału, że wszyscy staliśmy jak wkuci w ziemię, osłupiali. Paschalis mocą swojej radości przygważdżał. Obiegł całą salę dokoła, snać resztą sił, bo się chwiał w swym pędzie i zataczał. Chciałem go podtrzymać, ale on stanął znowu

przed portretem i chwiejący się machał świecznikiem w powietrzu, jak taranem, nad swoją i naszemi głowami. Zawołał ciszej ochrypłem, rwącem się, potwornem charczeniem raczej niż głosem:

— Pomszczonyś jaśnie wielmożny panie! spełniona wola twoja! Skończona... moja... męka! Zemsta, kara... do... ko... nana!

Odwrócił się w stronę sali. Głos mu się załamał jakby zakrzepł na chwilę i znowu zdławiony ryk, niby rannego lwa:

— Pobóg na Krążu!... Po... bóg...

Runął na posadzkę, na wznak, jak zwalony pień drzewa, ciężko, z łomotem, uderzając głową o ramę portretu. Świecznik z trzaskiem grzmotnął tuż obok niego. Dopadłem pierwszy, by dźwignąć Paschalisa z ziemi, za mną podbiegli Krzepa, Bogdziewicz, Korejwo.

Ale w oczach starca był już stygnący krzyk szczęścia obłędnego. Piersi wydały ostatnie tchnienie.

Skonał...

. . . . . .

Milczeliśmy wszyscy, jakby dur jakiś padł na salę.

Babka wpatrzona w zmarłego, wyglądała jak statua z granitu. W oddali zamajaczyła biała jak opłatek twarz Gabrjela... Gdzieś w korytarzu rozległ się spazmatyczny płacz kobiecy...

A pod portretem pradziada na zapylonej posadzce leżał ten wierny sługa i przyjaciel Pobogów, już cichy, uspokojony. Umarł z nazwiskiem Poboga na ustach.

Obaj z Krzepą uklękliśmy u jego zwłok. Poczułem w oczach łzy.

. . . . . .

. . . . . .

Tam, pod portretem, kazałem ustawić mu ostatnie wzniesienie — tam śpi teraz, a świecznik antyczny, którym witał dwukrotnie Poboga na Krążu, jarzący się światłem, stoi przy jego głowie. Okna mahoniowej sali w zamku świecą dziś czysto ziemskim, czerwono-złotym blaskiem mnóstwa gorejących świec.

. . . . . .

. . . . . .

Po zajściach w zamku już, o zachodzie słońca, odprowadzałem babkę do pawilonu. Na dziedzińcu zamkowym ujrzałem z przykrością tłum służby zebranej tu w uroczystym nastroju. Zawahałem się, czy babkę prowadzić tędy. Zauważyła to i szepnęła półgłosem:

— Idźmy, mogę już wszystko znieść.

Szliśmy pośród tłumu; rozstępował się przed nami w milczeniu.

Czerwone refleksy zachodzącego słońca rzuciły na białą twarz babki żywszy złotawy blask. Nie tknął on jednak czarnych głębin jej oczu, w których nie było już dawnego wyrazu męki, jeno rezygnacja zupełna, przygniatająca.

Szła odważnie, wyprostowana, patrząc gdzieś przed siebie. Tak może bohaterzy idą na szafot. Ona wracała ze swojej Golgoty.

Tłum pochylił się w cichym ukłonie, oczy wszystkich wlepione były we mnie z tak wyraźną radością, tak serdecznie, że czułem się, w tej właśnie chwili, skrępowany tym objawem życzliwości. Ze względu na babkę było mi nawet bardzo przykro.

A ona rzekła półszeptem i miękko:

— Ciebie witają, Romku, nie krępuj się mną, okaż

im serce. Jesteś na swojem dziedzictwie. Wszak oni wiedzą, że Krąż ocalony.

. . . . . .

. . . . . .

Późna noc, ale w całym Krążu nikt nie śpi... tylko Paschalis. Pawilon nasz opanowany dynamiczną muzyką Gabrjela. Tony i akordy grzmiące, cichsze melodje — wszystko to w burzliwej huraganowej wichurze, plącze się, gmatwa, tworząc wrzawę niesłychaną, która przypomina orkan morski. Bezładna ta muzyka, szarpana cyklonem fantazji, brawurą rozpasanych władz umysłowych i zmysłowych grającego artysty, jest zgrzytem tej nocy, przekraczającym miarę, jaką nerwy i uczucia ludzkie znieść mogą.

Chciałem się z Gabrjelem rozmówić w sprawie Krąża, lecz uciekł z zamku i zatarasował się u siebie. Powiedziałem przeto narazie tylko babce, że życzeniem mojem jest, a napewno będzie i wolą mego ojca, podzielić się mojem dziedzictwem z Gabrjelem. Nie znieślibyśmy bowiem, by Gabrjel został wyzuty całkowicie z majątku w naturze. Sprawę tę omówimy rzeczowo i prawnie. Oddam mu również sumiennie połowę kapitału w gotówce, którą babka oddała w moje ręce. Jest tam tego spora suma. Musiałem sobie to zastrzedz, gdyż babka nie chciała słuchać o oddaniu Gabrjelowi części kapitału do rozporządzenia, twierdząc, że to są pieniądze zebrane z jej własnych oszczędności, od czasu, gdy już sama gospodarowała w Krążu, które oddaje mnie ciepłą ręką i tylko mnie.

Może to i niepraktycznie dawać Gabrjelowi dużą gotówkę do ręki, ale niech babka robi z tem, co chce, byleby

z tej sumy korzystał i Gabrjel, inaczej się nie zgodzę na jej przyjęcie.

Nawał spraw i kłopotów spadł mi na głowę. Musiałbym dłużej pobyć w Krążu, a pilno mi do Tereni. Wszak nasz ślub odbędzie się już wkrótce...

Ach, ta dysharmonijna muzyka Gabrjela!... Można doprawdy dostać pomieszania zmysłów, słuchając tych warjacyj, zwłaszcza po takim dniu... w taką noc.....

---

31. sierpnia.

Wstrętna scena, jaką Weroninka urządziła Gabrjelowi dziś rano, wzburzyła mnie, pomimo, iż nie byłem przytem obecny. Teraz już znam powód główny jego męki duchowej, która się w nocy uzewnętrzniła w warjackiej muzyce. Podobno wczoraj właśnie, bezpośrednio po zajściach w zamku, Ślazówna odrazu odepchnęła od siebie Gabrjela, rzuciwszy mu w oczy grubjańską obelgę. Dziś rano zerwała zaręczyny.

Gabrjel jakoby tarzał się u jej nóg, a gdy go odtrąciła ze wzgardą, rzucił się na nią i bił ją... po twarzy. Chmielnicka była przytem obecną. Na jej krzyk i Weroninki wpadł Korejwo i Kacper, z trudem oderwali od niej Gabrjela rozjuszonego w najwyższej pasji.

Spotkałem go na korytarzu w naszym pawilonie, gdy wracałem z zamku.

Korejwo prowadził go pod ramię. Gabrjel trzymając

ręce wciśnięte głęboko w kieszeniach, gwizdał na cały pawilon. Po minie Korejwy domyśliłem się, że zaszło coś ohydnego. Gabrjel popatrzył na mnie sowiemi oczami i zawołał przez zaciśnięte zęby, głosem jakby pełnym uciechy:

— Pochlastałem piękny buziaczek!...

Puścił ramię Korejwy i biorąc mnie za rękę, pisnął dyszkantem:

— Czy uwierzysz, Roman?... Ona kochała Krąż! wcale nie mnie... Glicynja Krąża, uważasz! Ha! ha! ha!

Był to śmiech wstrząsający. Nagle pochylił się do mnie i rzekł poważnie:

— Ona teraz ciebie pokocha. Tylko nie myśl, że ona ciebie naprawdę kochać będzie! Ona kocha Krąż, tylko Krąż. Stara wiedźma Gundzia mówiła jednak prawdę... tylko Krąż! No cóż, trzeba to uszanować. Ha! ha! ha! ha!... — śmiał się przewlekłą gamą djabelskiego śmiechu, który targał mi nerwy na strzępy.

Jął znowu gwizdać.

Tak go doprowadziłem do sali muzycznej i tam starałem się go uspokoić, poczem jak najłagodniej powiedziałem mu, że dzielę się z nim swojem dziedzictwem. Zdawał się nie słyszeć tego wcale, ale gdy zostawiałem go już przy fortepianie, odchodząc, Gabrjel odwrócił się do mnie i rzekł ironicznie:

— A nie opowiedz tego czasem Ślazównie, bo wprowadzisz ją w kłopot. Glicynja zechce nas obu na mężów...

Zaczął grać coś takiego, jakby płakał. Ciągle gra — pomimo, że to dzień.

Jutro przed wieczorem eksportacja Paschalisa, pojutrze pogrzeb. Będzie pochowany w podziemiach mauzoleum Pobogów. Babka zgodziła się na to bez protestu.

W całym Krążu panuje jakiś nastrój uroczysty. Rozdźwiękiem tego jest bezustanna muzyka Gabrjela, tak nieznośnie uporczywa, że przenika w każdą tkankę duszy i nerwów, a nawet nasyca sobą każdy kąt, zda się, Krąża.

Gdy pytałem babki, czy ją to nie drażni, odrzekła z uśmiechem pogodnym, pierwszym, jaki u niej widziałem:

— Ja tej muzyki nie słyszę, jest we mnie radosna pieśń, która głuszy wszystko. Pieśń pokoju. Przestąpiłam próg ciężki, ostry, wspinałam się nań z nadludzkim mozołem... ale Bóg łaskaw, już go przekroczyłam i... tak mi cicho w sumieniu.

Krąż, 1. września.

Weroninka zniknęła dziś w nocy. Są poszlaki pewne, że uciekła do stacji kolejowej. Nikt za nią nie gonił.

Ślaz machnął tylko ręką ze słowami: „da sobie radę!“ Na starym znać jednak przygnębienie, ale i jakąś wrogą złość na córkę.

Gabrjelowi, podobno, doniósł o tem Kacper, lecz on przyjął tę wieść napozór obojętnie. Mam wrażenie, że cierpi bardzo. Korejwo i hetmanówna twierdzą, że za klejnoty otrzymane od Gabrjela i za pierścień zaręczynowy, Weroninka będzie żyła wygodnie.

Wygodnie?... chyba wesoło...

---

2. września.

Wczoraj eksportacji Paschalisa towarzyszyły nie oczekiwane tłumy ludzi. Była to istna manifestacja, któ rej się nie spodziewałem. Zdaje mi się jednak, że, nie stety, nie chodziło tu głównie o złożenie hołdu zmar łemu, ale o zobaczenie mojej osoby, a zapewne i babk Zatorzeckiej.

Setki spojrzeń czułem na sobie. Ja i babka byliśm przedmiotem ogólnej uwagi. Ani mnie, ani jej temba dziej, nie było to przyjemnem, lecz wyszła z próby z gd dnością. Do zamku jednak prócz nas dwojga, miejsc wej służby i księdza nikt nie wszedł więcej.

Z murów, w których Paschalis spędził właściw całe swoje życie, wynieśliśmy go we czterech: ja z Krze pą i Korejwo z Bogdziewiczem. Babka szła za nam sama, za bramę zamkową, gdzie czekał na nią powóz.

Okrutną wprost w tej chwili kakofonją była muzyk Gabrjela. Głuchy na moje prośby, by uszanował ten mo ment uroczysty, grał jakieś fugi, warjacje huczne, któ remi rozbrzmiewał cały dziedziniec zamkowy i któr wpadały bestjalskim akompanjamentem w monotonn melodje śpiewów rytualnych. Wszyscy obecni spoglądal w okna pawilonu, otwarte urągliwie, z zabobonną trwog i niepokojem. Było to rzeczywiście demoniczne skoja rzenie dźwięków, jakby akord piekielny do śpiewów i modłów żałobnych.

Na trakcie ujrzałem po bokach tłumu parę ekwi paży z dworów ziemiańskich. Czy i tych wiodła cieka wość?...

Wśród tłumów, bezpośrednio za zwłokami, niesio

nemi przez nas, na zmianę ze służbą dworską, jechała babka Zatorzecka w odkrytym powozie, chłodna, sztywna, obojętna, zda się, jak blok skalny. Twarz jej blada była twarzą posągu. Głębiny jej oczów jak dwa odkryte groby...

Gdy już umilkło z oddali echo muzyki Gabrjela, wszyscy odetchnęliśmy z ulgą... i cisza zaległa majestatyczna, tem więcej posiadająca w sobie powagi, że nastąpiła po poprzednim chaosie bluźnierczym. Mąciły ją tylko przerywane tony pieśni, jakby już pozamogilnej i chrzęst masy nóg ludzkich po żwirowanej drodze.

Donieśliśmy Paschalisa aż do kościoła... Wieczór już był ciemny, gdy wracałem z babką w powozie. Gdy zatroszczyłem się o nią, czy nie zmęczona, odrzekła mi serdecznie:

— Nie, Romku, to już wszystko lżejsze do zniesienia. Gdy się przebyło moment ukrzyżowania duchowego, wówczas pręgierz ludzkich, biczujących spojrzeń mniej boli...

Dziś rano złożyliśmy do podziemi w mauzoleum rodzinnem wiernego sługę i przyjaciela Pobogów.

Śpij spokojnie udręczony starcze, i niech ci sny zaziemskie wynagrodzą twoją mękę tyloletnią, w zaniku ponurym, gdzie oczekiwałeś swoich panów z wielkiem umiłowaniem w stęsknionej duszy, i gdzie, schodząc do grobu, powitałeś wreszcie Poboga.

Po pogrzebie oboje z babką odwiedziliśmy grób ś. p. Krzysztofa Hradec Hradeckiego. Opowiedziałem już babce poprzednio historję księdza Halmozena.

Złożyłem wieniec na skromnej, zapomnianej mogile

dziada mojej Tereni i... usłyszałem szum odwiecznych platanów Sławohory, które tu, nad tę mogiłę, zdają się chrzęst swój i serce przenosić.

Krąż, 6. września.

Prawnie załatwione już wszystko. Jestem właścicielem Krąża z przyległemi folwarkami, lasami, tartakiem, młynami, gorzelnią i t. d. Zatory zaś i należące do nich folwarki, oraz młyny, z których jeden parowy, tartak i lasy przepisałem Gabrjelowi i jego potomkom.

Babka oprócz dożywocia na Krążu nie chciała nic więcej. Gabrjel na własne życzenie chce mieszkać w Zatorach, gdzie jest ładny murowany dwór. Pojechał tam ze mną, by obejrzeć... salon, nic go bowiem więcej nie interesuje. Zbadawszy dokładnie duży, narożny pokój, rzekł kwaśno, poprawiając z grymasem monokl:

— Zła akustyka!

Będzie przerabiał dwór na swój sposób. Zatory zostają pod moim zarządem, na co Gabrjel zgodził się bez żadnych zastrzeżeń, machnąwszy ręką obojętnie. Z połowy kapitału przepisanego jemu, bank będzie mu wypłacał renty.

Sprowadzam do Krąża Ganiewicza na administratora, gdyż ma on wyborne kwalifikacje i praktykę w dużych dobrach. Korejwo zostaje na posadzie rządcy. Zresztą główny kierunek będzie należał do mnie.

Ganiewicza wybrałem jeszcze i dlatego, że oprócz kwalifikacji i energji, posiada delikatność i serce. Chcę babkę otoczyć ludźmi tylko tego pokroju. Ci, co zostają z dawnego autoramentu, zastosowują się już chętnie do mojej woli i mego stylu.

Jakkolwiek Gabrjel zapalił się do przebudowania dworu w Zatorach, wątpię, czy potrafi przenieść się tam z Krąża. Jest cichy, apatyczny, jakby zgnieciony. Zresztą objawia się tylko przez swoją muzykę. Stała się ona dla niego jedyną ostoją życia. Bezużyteczny, chorobliwy manjak sui generis.

. . . . . .

---

7. września.

Byłem dziś łodzią w puszczy, pod jodłami, w miejscu, gdzie poznałem Terenię. Na szczęście te lasy należą do Krąża, zatem do mnie.

Przypomniałem sobie wróżby Krzepy dla nas, w tę noc świętojańską.

— Ten bór jest twój — pamiętam uparty refren moich rozmyślań, gdym go zwiedzał poraz pierwszy w czerwcu. Wypadki rozwijały się w szalonym pędzie, a jednak od tamtej chwili, zdaje mi się, iż przeszły lata... Długo błądziłem po rzece i lasach.

Przyjadę tu już z Terenią moją... Jadę do ciebie, Teruś ukochana i po ciebie. Szczęście i duma, że będziesz moją, przepełnia mi serce...

---

8. września. Wagon kolejowy.

Żegnano mnie dziś w Krążu z namaszczeniem i serdecznością niezwykłą.

Krzepa wyraził prośbę, w imieniu całej służby, abym jak najprędzej przyjeżdżał tu z młodą panią. Oni sądzą, że my będziemy na stałe mieszkali w Krążu. Narazie nie mam tego zamiaru i wątpię, czy to kiedy nastąpi.

Krzepa błogosławił mnie, jak sam się wyraził, w imieniu pradziada. Ten stary borowy ma w sobie obecnie majestat ostatniego już z tych, który znał osobiście pradziada Hieronima, kochał go i służył mu wiernie. Babka, żegnając mnie, położyła mi rękę drżącą na głowie i rzekła wzruszona:

— Przywieź mi swoją Terenię. Nie godnam was błogosławić, tak samo jak Halmozen, lecz chcę was uścisnąć razem.

Ucałowała mię w czoło z uczuciem.

Przed wyjazdem przebywałem długo samotnie w zamku. Stojąc przed portretem pradziada, rozmyślałem o przeszłości Pobogów i o ich przyszłych losach.

Czy my z Terenią zdołamy rozjaśnić mrok, w którym Krąż i zamek stary pogrążony był przez tyle lat?...

Czy nasza pogoda rodzinna w Uchaniach rzuci i w te mury promień słoneczny i rozpali w nich jasne ognisko nowych czynów, nowych pięknych idei?... Pragnienia moje w tym kierunku są gorące i silne, a podsyca je świadomość, że Terenia odpowie we wszystkiem moim marzeniom.

Patrzyłem w oczy portretu pradziada-sobowtóra... i oczy te mówiły... mówiły... Ale czy znowu uległem halucynacji?... bo oto przemawiały teraz inaczej niż dawniej. Nie było w nich grozy ni surowego nakazu, był wyraz dziwnie ujmujący. Błąkał się w nich uśmiech łagodny. Usta zwykle zacięte z despotyczną mocą szeptały mi w onej minucie:

„Hic obiit Gustavus, natus est Conradus".

Warszawa, 30. września.
Hotel Europejski 10 rano.

Wczoraj odbył się nasz ślub u PP. Wizytek o szóstej wieczorem. Obecnie Terenia z matką swoją spoczywa, o kilka pokoi dalej i może w tej chwili śni dobry, rozkoszny sen naszej wymarzonej przyszłości. Przed godziną rozjechali się nasi goście, a ja jeszcze we fraku ślubnym notuję te... ostatnie zapiski. Czyż będą mi one teraz potrzebne?

Dziś o drugiej po południu wyjeżdżamy do Uchań.

W listopadzie najpierw do Krąża, potem Włochy, Grecja, Egipt...

Szedłem do ołtarza i odchodziłem od niego, jak zdobywca największego skarbu na świecie. Teruś była śliczna i promieniejąca w białych osłonach ślubnych. Zatrzymywano nas co krok, składając życzenia.

Nagle z tłumu zebranych w kościele gości, wysunął się chłop barczysty w strzeleckim galowym stroju, z blachą herbową Pobogów na piersiach.

Krzepa!

Objął nas za kolana, całował nam ręce.

Przybyciem swojem na ślub, stary sługa sprawił nam niespodziankę nader wzruszającą.

Spojrzeliśmy na siebie z Terenią jednocześnie i zrozumieli odrazu. Zaprosiliśmy starego na ucztę weselną.

I... siedział Krzepa obok mego ojca, przy tym stole ukwieconym, przy którym królowała Terenia.

Z ojcem uściskali się jak bracia i ojciec sam go przy sobie posadził. — Wszak Krzepa znał ojca zaledwo jedenastoletnim chłopcem.

Podczas licznych, poważnych i wesołych naprzemian toastów, podkreślanych fanfarami orkiestry weselnej, w pewnej chwili stary borowy podniósł się z krzesła, z kielichem szampana w dłoni. Oczy wszystkich spoczęły na jego mężnej, weterańskiej postaci. On walczył ze wzruszeniem przez krótki moment, wreszcie przemówił, zaczynając tytułem, od którego już go widać nie oduczę:

— Jaśnie wielmożni państwo! Niech i mnie staremu słudze Pobogów wolno dziś będzie, podczas tej szczęśliwej uroczystości weselnej młodego Poboga z Krąża i jego pięknej małżonki, wznieść ich zdrowie i wypowie-

dzieć tu stare, bardzo stare przysłowie o tym rodzie cnotliwym i dzielnym. Może młodzi tego przysłowia nawet i nie znają, ale jaśnie pan Paweł Pobóg napewno o niem słyszał.

Krzepa odchrząknął, wyprostował się jeszcze bardziej i podnosząc kielich wyżej w drżącej dłoni, zawołał donośnie:

„Gdzie załogą stanie Pobóg,
Zczeźnie każdy jego wróg.
Pobóg sam nie szuka dróg,
Dopomaga mu w tem Bóg!"

Powstała wrzawa, rumor odsuwanych krzeseł, okrzyki podniecenia. Biesiadnicy otoczyli borowego zwartem kołem. On pochylony ku nam, ogarnął mnie i Terenię razem, w jednym gorącym uścisku szerokich ramion.

— Niech wam, najdrożsi państwo, Bóg zsyła łaski swoje... i... szczęście... na całe... wasze...

Nie mógł dokończyć, łzy zalały mu oczy.

Wówczas Terenia objęła rączkami głowę starego i na czole jego złożyła pocałunek serdeczny.

Dokoła brzmiały entuzjastyczne wiwaty.

Kuchary, w marcu 1927.

ST. FRANCIS COLLEGE,
ATHOL SPRINGS, N. Y.

ST. FRANCIS COLLEGE
ATHOL SPRINGS, N.Y.

U.C. BERKELEY LIBRARIES
C096414208